

SZYMON JĘDRUSIAK



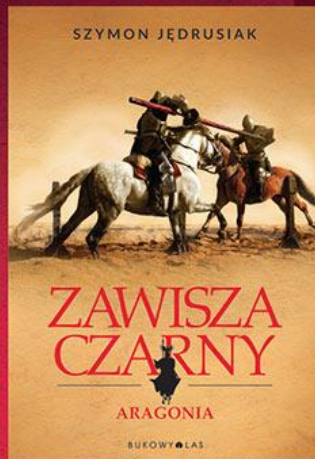
Polityczne walki, szpiegowskie intrygi
i sztylety splamione krwią

ZAWISZA CZARNY

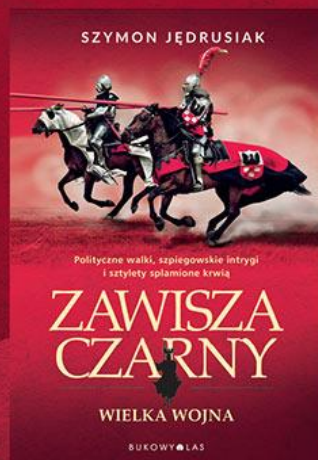


WIELKA WOJNA

BUKOWY LAS



Zacznij swoją przygodę z Zawiszą Czarnym
od dowolnej książki z cyklu.
Każdą z nich można czytać oddzielnie.



<https://www.facebook.com/zawiszaczarny.eu>

SZYMON JĘDRUSIAK

ZAWISZA CZARNY

WIELKA WOJNA

BUKOWY LAS



Część I

Garbów, wiosna roku Pańskiego 1408

Hanna już od dzieciństwa nie znosiła miasta. Hałasów, smrodu, nieustannej cizby. Pragnęła zamieszkać w dużym majątku – takim jak sadłowski zamek, który jej ojcu, Tomaszowi z Węgleszyna, wniosła w posagu druga żona, pochodząca z zamożnej rodziny dobrzyńskiej.

Dziewczyna, kiedy tylko mogła, wymykała się spod skrzydeł ciotki Barbary, z którą mieszkała w kamienicy przy krakowskim Rynku, i gnała do Sadłowa. Spędzała tam kilka miesięcy w roku. Duma rozpierała jej serce, kiedy ojciec zasiadał u szczytu stołu, a po bokach zajmowali miejsca liczni biesiadnicy: rodzina, goście i dworzanie. Z rozbawieniem obserwowała, że starają się usadowić jak najbliżej gospodarza. Tylko na nią zawsze czekało wolne krzesło u jego boku.

Hanna znakomicie jeździła konno. Często brała z zamkowej stajni najbardziej ręcznego wierzchowca i galopowała trawiastymi równinami, zostawiając w tyle eskortę posyланą w ślad za nią przez troskliwego ojca.

Wielu polskich panów starało się umieścić swe córki na dworze królowej. Nic dziwnego zatem, że i Tomasz z Węgleszyna miał takie ambicje. Hanna jako dwórka młodej Jadwigi mogłaby zdobyć wykształcenie, nabrać dworskiej ogłady, poznać świat. Zapobiegliwy ojciec przygotowywał córkę do tej roli od jej wczesnych lat młodzieńczych. Dziewczyna dużo czytała, uczyła się języków, ćwiczyła w sztuce prowadzenia konwersacji.

Pierwsze zauroczenie, a może nawet miłość, nie umiała wówczas tego rozstrzygnąć, przeżyła w Krakowie. Zachwyił ją Zawisza herbu Sulima, piękny, smukły młodzieniec, o rękach czarnych, jedwabistych jak u wytwornej damy; ubogi, ale sławny już rycerz, pasowany przez króla w wieku zaledwie dwudziestu lat, robiący karierę u boku Jana z Tęczyna, starosty sieradzkiego, najpotężniejszego z panów krakowskich.

Stało się jednak tak, że wkrótce potem Zawisza został wysłany z polityczną misją najpierw do Brugii, a następnie do Aragonii. Zniknął na dwa długie lata. Nie napisał do Hanny ani jednego listu. Dziewczyna była zbyt dumna, by wzdychać. Zresztą jej ojciec wymarzył sobie dla córki znacznie lepszą partię niż ubogi rycerz z Małopolski.

Do Sadłowa, na organizowane tam turnieje, oprócz Polaków zjeżdżali także rycerze z Prus i Niemiec. Tak Hanna poznała Zygryda, młodzieńca ze sławnego rodu von Dohnów. Rycerz szybko przekonał do siebie jej ojca. Hannie pochlebiało, że urodziwy pruski szlachcic, do którego wzdychały wszystkie panny, wodził za nią oczami. Szybko się w nim zakochała. Trochę też było w tym i przekory: Hannę bolało, że Zawisza na ten długi czas, jaki spędził w Aragonii, zupełnie o niej zapomniał, mimo że rozstawali się czule jak kochankowie. A potem doszło jeszcze do rozczarowania, że o nią nie walczył, gdy o jej zażyłości z Zygrydem huczał już cały Kraków.

Zanosilo się na ślub, gdy nagle latem roku 1395 Hannie zatrzęsa się ziemia pod stopami.

Zygryd został zamordowany. Podobno zabił go w bójce na noże przyjaciel Zawiszy, Aragończyk z Saragossy, Aaron. Ludzie jednak z niedowierzaniem kręcili głowami. Nikomu nie mieściło się w głowie, że młody Żyd, nieobyty z bronią, mógł zasztyletować tak sławnego i zaprawionego w bojach rycerza.

Dwa lata później Hanna poślubiła Zawiszę.

Sam Jagiełło przesłał do jej ojca, Tomasza z Węgleszyna, list, w którym słauił czyny Sulimy i jego oddanie dla Korony. Jak więc ona, skromna panna, mogła sprzeciwić się królowi? Jeszcze raz oddała serce rycerzowi. Wszystkie szlachcianki, bogate i ubogie mieszczyki znów płonęły zazdrością.

Co ciekawe, także jej ojciec zmienił zdanie. Tak jak wcześniej patrzył na Zawiszę wilkiem, tak później gorąco poparł jego kandydaturę. Hanna nigdy nie domyśliła się przyczyn tej nagłej odmiany. Przypuszczała, że sprawiły to autorytet króla i rosnąca sława rycerza.

Hanna nie wiedziała, że kasztelan sandomierski i starosta wielkopolski, Tomasz z Węgleszyna, został zdemaskowany jako krzyżacki szpieg. Nie wtrącono go jednak do więzienia i nie osądzono. O jego zdradzieckiej działalności wiedziało zaledwie kilka osób. Polski wywiad przeciągnął go na swoją stronę. Prowadzenie podwójnego agenta to niezwykle trudna sztuka. I wielkie ryzyko. Jak wielkie – miało się okazać kilkanaście lat później.

Garbów, rodzinna posiadłość Zawiszy, w niczym nie przypominał sadłowskiego majątku, jednak Hanna odczuwała tak silne pragnienie ucieczki z miasta, że na to nie zważała. Poza tym była przy nadziei. Łatwiej dziecko na wsi wychować. Więcej służby, przestrzeni, powietrza i dobrego jedzenia.

Położona na skraju wsi siedziba Sulimy mogła uchodzić raczej za dom zamożnego sołtysa niż rodową posiadłość jednego z najslawniejszych polskich rycerzy. Stanowiły ją modrzewiowy dwór z gankiem, kilka budynków gospodarskich, sad i pasieka. Dostępu do zabudowań broniło solidne ogrodzenie z zaostrzonych pali wzmocnionych bitymi poziomo płazami. Wjazdu strzegła równie solidna brama okuta żelazem i osłonięta daszkiem.

W chłodne dni w otwory okienne wstawiano ramy obciążone błonami z pęcherza; na noc zamykano drewniane okiennice. Od pierwszych dni pobytu w Garbowie Hanna prosiła męża o powiększenie okien w głównej izbie i zastąpienie błon szklanymi taflami, które można było sprowadzić z Krakowa. Poza obietnicami niewiele uzyskała. Z czasem przyzwyczała się do mroku niskich komnat o drewnianych, spękanych ze starości i poczeriałych od dymu ścianach.

Dom wypełniała woń goździków, a także majeranku, czarnuszki i innych ziół. Hanna upodobała sobie zapach róży. Latem, gdy kwiatów było pod dostatkiem, służące sporządzały aromatyczną wodę, by potem zimą, zawsze przed niedzielą, skrapiać nią wyszorowane do czysta podłogi. Kobieta czuła się tu bezpiecznie, bo ludzie we wsi miłowali swego pana i nieba by mu chętnie przychylili. Pokochali też jego piękną żonę.

Niedoszła dwórka królowej Jadwigi nosiła się teraz jak wieśniaczka i taki tryb życia prowadziła. Nauczyła się też zarządzać gospodarstwem. Pocięchę w troskach znajdowała w opiece nad synkiem Mikołajem, który wyrastał na zdrowego, ale bardzo delikatnego i wrażliwego chłopca. Chętniej sięgał po książki niż po mieczyk, który ojciec polecił wykuć miejscowemu kowalowi.

Drugie dziecko, dziewczynka, zmarło kilka dni po porodzie. Hanna długo chorowała w połogu. Rozpaczano już we wsi, że ich pani podzieli los świętej królowej Jadwigi. Hanna, dzięki Bogu, przeżyła. Coś jednak w niej pękło, tak jak przed laty w jej matce, i nie mogła mieć już więcej dzieci.

Ludzie w tych trudnych czasach, czy możni, czy biedni, nie poświęcali wiele uwagi niemowlętom. Starano się jedynie, by przeżyły. Jednym się udawało, innym nie, wedle boskiej

woli. Śmierć tak bardzo upodobała sobie dzieci, że nie przywiązywano się do nich zbyt.

Z Hanną było inaczej. Miała świadomość, że Mikołaj to jej jedyne dziecko, i świata poza nim nie widziała. Zwyczaj nakazywał, by chłopcy pozostawali pod opieką kobiet do siódmego roku życia, nie dłużej. Mikołaj zaczynał już rok ósmy. Najwyższy czas, by rozpocząć naukę rycerskiego rzemiosła pod okiem ojca. Tyle że ten więcej czasu spędzał na legacjach i wojennych wyprawach niż w rodzinnych włościach.

Hanna tak bardzo przyzwyczała się do tęsknoty, że przestała ją odczuwać. Chwilami cieszyła się w duchu, że Mikołaj tyle czasu spędza ze starszym bratem Zawiszy Kruczkim, który zastępował chłopcu ojca. Kruczek wiele lat temu został ciężko raniony w potyczce, ledwie uszedł z życiem. Bóg go ocalił i z rycerza przeobraził w rolnika. Ludzie gadali, że jest niespełna rozumu. Ale Hanna tak nie uważała. Patrzył na świat inaczej, dostrzegał rzeczy, których inni nie widzieli, a zwykle codzienne troski miał za nic. Hanna z ufnością zostawiała Mikołaja pod jego opieką. Dzięki temu chłopiec więcej wiedział o cieleniu się krów niż o budowie łuku. I oby tak zostało jak najdłużej.

Przed rokiem Mikołaj rozpoczął pod okiem matki naukę czytania i pisania. Szybko robił postępy. Miał do tego prawdziwy talent. Hanna nie sprzeciwiała się, gdyby jej syn wybrał karierę duchowną. Dość miała trosk z mężem.

Zawisza pojawiał się w Garbowie na kilka miesięcy w roku. We wsi nastawał wówczas czas świąteczny. Pan, sławny rycerz, najpierw pił wiele dni w karczmie z miejscową szlachtą i chłopami, dzieląc się nowinami ze świata, a potem zabierał Hannę na kilka tygodni do Krakowa. Przywdziewała wtedy dworskie suknie, bywała na Wawelu, kilka razy dostąpiła zaszczytu wspólnej wieczerzy z królem i królową. Ile potem było opowiadania w Garbowie!

W mieście czas odmierzało bicie kościelnych dzwonów, były zegary. Tu, na wsi, czas płynął niespiesznie, prawie niepostrzeżenie, jak nizinna rzeka. Rytm dnia wyznaczał brzask, następnie świt, i tak w jasności dzień płynął aż do zachodu słońca, potem zmierzchu, a na koniec przychodziła pora zapalania świec, kładzenia do snu Mikołaja, udawania się do szerokiego pustego małżeńskiego łóżka. O północy wszelkie życie zamierało. Pianie kogutów zwiastowało nowy dzień.

Tak minęło osiem lat: spokojnych, podobnych do siebie, odmierzanych porami roku i odświętymi wizytami w Krakowie.

Dopiero wiosną 1408 roku zasiała w ludzkich sercach niepokoje.

Najpierw w wigilię Świętego Mateusza, 23 lutego, po zmierzchu, pojawiła się na północnej części nieba krwawa zorza; otoczyła wkrótce cały nieboskłon, zamykając ludzi pod gorejącą ogniem kopułą. Ustąpiła tuż nad ranem wyparta przez wschodzące słońce. A pod koniec kwietnia, dokładniej w noc po Świętym Marku, na niebie rozbłysła kometa, która warkocz zwracała ku północy, a głowę kierowała ku wschodowi, ku Litwie. I jakoś nad Garbowem szczególnie złowieszczo zapłonęła. Jedni wróżyli z tego zjawiska morowe powietrze lub wojnę, inni zgon samego króla albo jakiegoś księcia, a na pewno klęskę nieurodzaju. Jeszcze inni, ponieważ wyraźnie zmierzała w stronę Litwy, tam najgorsze nieszczęścia przewidywali i to przed końcem roku.



Nadszedł pierwszy czwartek maja roku Pańskiego 1408. Dzień przepierek. Hanna wydała polecenia służkom i odprawiła je nad rzekę. Sama zaś, jak to miała w zwyczaju, poszła drogą wiodącą do pobliskiego lasu, przed którym rzeka skręcała nagle w bok, jakby bała się jego mroków.

Uszła kilkadziesiąt kroków leśną ścieżką, gdy usłyszała głośny szelest. Zaniepokojona odwróciła głowę. Tej wiosny, po srogiej zimie, nawiedziła te strony plaga wilków. Bestie porywały bydło i owce, podchodziły do wsi. Myśliwi je przegnali, od miesiąca się tu nie pokazywały, ale może znów zachciało im się łatwego żeru.

Kilkanaście kroków przed nią wyszedł nagle z podszytu jakiś mężczyzna, mieszczanin albo kupiec. Ubrany z cudzoziemska, w obcisłe spodnie z czerwonymi nogawicami i krótki kaftan z rękawami zaokrąglonymi ku górze. W pierwszej chwili odetchnęła z ulgą, ale zaraz potem ogarnął ją piekący wstyd, że wygląda jak wieśniaczka. Miała nieosłoniętą głowę, zarzuconą na giezło zgrzebną tunikę i buty domowej roboty ze skóry ściągniętej rzemieniem.

Nie czuła lęku; słyszała głosy bab robiących pranie w zakolu rzeki. Wystarczy, że głośniej krzyknie, a natychmiast przybiegną. Zresztą, kto ośmieliłby się ją tu napaść. Przez osiem lat nikt tu na nią nawet głosu nie podniósł.

Mężczyzna w czerwonych spodniach uniósł dłonie na znak przyjaznych zamiarów. I powoli zmierzał w jej stronę. Uspokoiłoby ją to całkowicie, gdyby nie to, że patrzył na nią wzrokiem myśliwego.



Dwaj mężczyźni opuścili Dortmund w marcu roku Pańskiego 1408. Jeden z nich pełnił funkcję komisarza śledczego, drugi notariusza. Obaj biegle pisali i czytali. Nosili się niezwykle starannie nawet na podrzędnych drogach czy śpiąc w najpodlejszych gospodach. Poruszali się konno. Cały ich bagaż podróżny – ubrania na zmianę, kilka zwojów sznura, zapas papieru, inkaust, prostokątna skrzynka zawierająca pięć mizerykordii – mieścił się w sakwach zarzuconych na trzeciego konia. Pisma z pieczęcią arcybiskupa Kolonii, które otwierały każde drzwi w chrześcijańskim świecie, oraz pieniądze trzymali przy sobie.

Za uzbrojenie mieli jedynie pugiwały – jelicowe z dwusieczną głownią ostro przechodzącą w sztych. Nosili je po rycersku, na pasie przy prawym biodrze. Posługiwali się nimi na tyle sprawnie, że innej broni nie potrzebowali.

Mężczyźni dotarli do Garbowa pod koniec kwietnia. Byli bardzo biegli w swoim fachu. Wykonywali go już od dwudziestu lat. Potrafili odszukać każdego, wszędzie.

Notariusz, drobniejszy, w obcisłych czerwonych spodniach, mówił płynnie po polsku. Komisarz, masywniejszy, z ciężkimi jakby odlanymi z brązu ramionami i potężnymi rękami, był z pochodzenia Węgrem i władał tym językiem równie sprawnie jak niemieckim.

Dlatego wybrano ich do tej misji.

Zadanie wydawało się trudne, męczące i czasochłonne. Spodziewali się, że spędzą poza Dortmundem co najmniej rok, jeśli nie dłużej.

Początkowo los im sprzyjał. Odnalezienie siedziby słynnego polskiego rycerza nie sprawiło im najmniejszej trudności. Dowiedzieli się też, iż pan Garbowa udał się na Węgry. Znakomicie.

Po dwóch tygodniach tkwienia w okolicy i obserwowania dworku znali już rozkład dnia Hanny Zawiszyny. Widzieli, że ludzie czują się tu bezpiecznie. Nikt z okolicznych łajdaków nie ośmieliłby się podnieść ręki na nikogo z otoczenia rycerza. A zwłaszcza na jego żonę. Ta chodziła beztrosko nad rzekę z jakimś brzdącem, pewno synem. Spokojnie więc czekali, aż pójdzie tam sama.

Ich cierpliwość została nagrodzona.

Mężczyzna w czerwonych spodniach posuwał się równo z nią lasem, skryty za gęstym podszytem. Komisarz trzymał się z tyłu. Gdy kobieta przeszła kilkadziesiąt kroków, mężczyzna

w czerwonych spodniach wyprzedził ją i wyszedł jej na spotkanie.

Hanna się zatrzymała. Przybysz był starannie odziany. Miał drobne dłonie, którymi nie mógłby wyrządzić krzywdy. Uniósł je na znak, że nie ukrywa broni i ma przyjazne zamiary. Zabłądził, jak to czasami kupcom się zdarza. Szedł lasem, najkrótszą drogą do wioski, zobaczył, że ktoś idzie ścieżką, więc zszedł, by zapytać. Nic nadzwyczajnego, prawda?

Kobieta patrzyła nieufnie. Była tak zaabsorbowana, że nie usłyszała cichych kroków drugiego mężczyzny. Notariusz szedł w jej stronę najpierw powoli, po kilku krokach przyspieszył. Hanna zachowała się tak, jak wcześniej przewidzieli obaj mężczyźni, jak zawsze zachowują się kobiety: niepokój wziął górę nad ciekawością. Odwróciła się, by uciec. I stanęła oko w oko z masywnym komisarzem.

Ten uderzył ją pięścią w usta. Ciężki, żelazny cios rozciął jej wargi, wyłamał górne zęby. Upadła na plecy bez przytomności.

Notariusz wziął ją pod ramiona i przeciągnął na drugą stronę ścieżki. Stał tam dąb z grubym konarem na odpowiedniej wysokości. Wybrali to miejsce już wcześniej. Gwoli ścisłości – wybrali kilka miejsc. W zależności od tego, w którą stronę udałaby się ich ofiara.

Komisarz wyjął z sakwy sznur. Sprawnie zawiązał pętlę, założył ją nieprzytomnej kobiecie na szyję. Notariusz przerzucił linę przez konar. Działali w ciszy, szybko, ale nie nerwowo. Jak fachowi rzemieślnicy, którymi w istocie byli.

Komisarz jako silniejszy zapał się nogami i zaczął ciągnąć sznur. Kobieta powoli unosiła się z ziemi. Najpierw głowa, potem ramiona, biodra. Buty przez chwilę szorowały piętami po trawie, potem też oderwały się od podłoża. Mężczyzna w czerwonych spodniach objął wisielca w kolanach, by zatrzymać upiorny wahadłowy ruch, który go przyprawiał o mdłości. Potem wspiął się na palce, objął ofiarę nieco powyżej bioder i ugiąwszy raptownie kolana, własnym ciężarem pociągnął ją w dół. Rozległ się wyraźny trzask pękających kręgów.

Zdjął kobiecie buty. Uważał, że wisielca musi pozostać boso, jeśli ma zrobić odpowiednie wrażenie. Ukazały się białe jak śnieg stopy. Zdziwiająco zadbane. Oprawca nie spodziewał się, że te uszyte z byle jakiej skóry chłopskie trzewiki kryją tak zadbane stopy. Kobieta musiała im poświęcać wiele uwagi. Chciałby zobaczyć miny wieśniaków, gdy znajdą swoją panią. Niestety, rozsądek nakazywał im opuścić to miejsce jak najszybciej.

Podeszwy butów owinęli wcześniej szmatami. Dzięki temu stąpali cicho, nie pozostawiając żadnych śladów. Teraz pozacierali wszystkie inne. Byli w tym mistrzami.

Notariusz wyjął z pudełka jedną z pięciu mizerykordii i pewnym ruchem wbił ją w drzewo. Sprawdzał, czy utkwiła w korze wystarczająco głęboko. To jedyny znak, jaki mieli po sobie zostawić.

Zazwyczaj o ich obecności świadczył wbity w drzewo zwykły sztylet. Tym razem jednak wyposażono ich w rycerskie mizerykordie. Wszystkie miały cienką i ostrą głównię, którą łatwo było precyzyjnie przecisnąć przez spojenia zbroi i zadać powalonemu rycerzowi śmiertelny cios. W okładzinach z rogu jelenia, którymi obłożono trzon rękojeści, widniały wygrawerowane litery „SSGG”.

Zamykając pudełko, notariusz westchnął. Zostały jeszcze cztery sztuki. Przeliczył je wzrokiem, choć nie spodziewał się, by po użyciu jednej z pięciu wynik mógł być inny.

Cztery mizerykordie. To oznacza jeszcze wiele miesięcy poszukiwań, śledzenia, wyczekiwania na dogodną okazję. Znali nazwiska i w przybliżeniu miejsca pobytu kolejnych ofiar. Mieli udać się teraz na północ, do Prus, potem na Węgry, potem do Krakowa, na koniec znów do Prus. Kolejność następnych egzekucji została im narzucona z góry. Gdyby nie to, zaoszczędziliby sobie włóczęgi po świecie tam i z powrotem.

Następne trzy zadania dotyczyły mężów. Na koniec, znów niewiasta. Mężczyzna

w czerwonych spodniach był przesądny i uważał to za złą wróżbę. Co druga baba to czarownica. Nigdy nie wiadomo, czy od wieszania takiej czort się jakiś do człowieka nie przyklei.

Niepołomice, jesień roku Pańskiego 1408

Jesienią roku Pańskiego 1408 nikt po obu stronach granicy polsko-krzyżackiej nie miał wątpliwości, że wybuch wielkiej wojny jest nieuchronny.

Na Wawelu zdawano sobie sprawę, że nowy mistrz zakonu Ulryk von Jungingen, który zastąpił swego zmarłego brata Konrada, dąży do zbrojnej konfrontacji, by rzucić na kolana południowych i wschodnich sąsiadów – Polskę i Litwę.

Polski wywiad donosił, że ludwisarnie w pruskich miastach podwajają produkcję dział; zbrojono w nie nadgraniczne zamki i szykowano do oblegania polskich twierdz lub użycia w polu. Agenci zauważyli też wzmożoną aktywność krzyżackich zwiadowców zapuszczających się coraz głębiej na ziemię Korony. Badali drogi, mosty, brody.

Znamienne było oddanie przez Krzyżaków Gotlandii. Wyspę przejął władca Danii, Szwecji i Norwegii – król Eryk pomorski. Dla polskiej dyplomacji stanowiło to czytelny znak, że wielki mistrz zamyka front północny, by móc wszystkie siły skierować przeciwko Polsce.

Zakon ani chybi szykował się do wojny.



Zawisza dotarł do myśliwskiej rezydencji królewskiej w poniedziałek, dwa dni po Świętym Marcinie. Minął bramę osadzoną w płocie z dranic, pilnowaną przez dwóch zbrojnych, i skierował się ku stajniom. To było ponure jesienne popołudnie. Wiał lodowaty, już zimowy wiatr.

Rezydencja w Niepołomicach, ulubione miejsce polowań i wypoczynku Jagiełły, składała się z kilku budynków mieszkalnych, drewnianych, parterowych, zbudowanych z dębowych bali, oraz zabudowań gospodarczych: szopy i dwóch stajni. Górowała nad wszystkim wieżyczka, która służyła strażom do obserwacji okolicy, a gościom do podziwiania wspaniałego widoku na niepołomiczkie lasy.

Zawisza odwiedził Niepołomice po raz ostatni dwanaście lat temu. Dokładnie o tej samej porze – po Świętym Marcinie. To wtedy zdemaskowano krzyżackiego szpiega Tomasza z Węgleszyna. To tu, kilka dni później, Zawisza został zaproszony na wieczerzę w towarzystwie króla, a potem na rozmowę z nim w cztery oczy. Tamto spotkanie odmieniło życie rycerza.

Teraz wokół zabudowań kręciło się niewielu ludzi. Dostrzegł ledwie kilku łowców i trochę czeladzi do obsługi dworku zajmowanego przez króla i jego gościa. Pozostałe chałupy miały zatrzęsnięte okiennice i wygaszone piece.

Zawisza przybył do Niepołomic z Budy, zatrzymawszy się po drodze w Krakowie dla załatwienia prywatnych spraw. Kilka dni wcześniej, również z Węgier, zjechał do myśliwskiego dworku pewien dostojny gość. Ale nie podróżował w towarzystwie polskiego rycerza. Nie powinni być widziani razem. Dostojnika do węgierskiej granicy odprowadzili jego ludzie, a po polskiej stronie szła z nim kiluosobowa eskorta, której przewodził Jarocho, półkrwi Litwin, najlepszy z łowców służących w polskim wywiadzie. Król wyznaczył Jarochowi rolę giermka

i – a może przede wszystkim – anioła stróża dla Zawiszy, odkąd ten objął funkcję posła na dwór węgierski.

– Rozmawiali już? – spytał Sulima, zsiadając z konia i oddając wodze w ręce Litwina.

Nie było tajemnicą, że ważne rozmowy Jagiełło najchętniej prowadzi podczas myśliwskich wypraw. Jeśli zapraszał kogoś do Niepołomic, znaczyło, iż przychylnie jest do niego nastawiony. I zazwyczaj dochodziło do porozumienia. Zawisza miał nadzieję, że tak będzie i tym razem.

Łowca skinął głową.

– Już dwa dni, od świtu do zmierzchu. Bez świadków. Tak się chylił nad stołem, że aż czołami biją.

– Jak na siebie patrzą?

Jaroch obdarzony myśliwskimi talentami rozumiał z ułożenia ciała, ruchów i mimiki twarzy więcej, niżby wysłuchał uszami albo wyczytał z papieru.

– Jak wilk na wilczycę...

– To dobrze. Może nie skoczą sobie do gardeł i się co z tego urodzi...

Zawisza rozejrzał się wokół.

– Mało tu ludzi. Co czeladź na to? A łowcy?

– Siedzą w lesie. Król kazał otoczyć Niepołomice. A czeladzi i zbrojnym powiedziano, że baron z Węgier przyjechał o jakimś ślubie rozprawiać. Ludzie raczej wierzą. I wszyscy mówią, że to znaczny musi być gość, bo się król hojnie wystawił.

Podobno stoły uginały się od jadła i najlepszych napitków, a na dziś zapowiedziano gonitwę za żubrem. Zawisza oglądał już kiedyś takie widowisko.

Urządzono je kilka lat temu w mazowszańskiej puszczy. Łowcy wytropili żubra, a wieśniacy, powalając drzewa, przekształcili pobliską polanę w rodzaj zagrody. Tam zapędzono zwierzę. Z bezpiecznej odległości, na zbitym z pni podwyższeniu, przypatrywali się krwawym scenom damy dworu i królewscy goście. Myśliwi uzbrojeni w oszczepy wbiegali do zagrody i kłuli żubra, by zaraz chować się za pozostawione specjalnie drzewa. Jeśli któryś nie zdążył się bezpiecznie schronić i zwierzę groźnie na niego nacierało, pozostali machali czerwonymi płachtami, bo to kolor, który najbardziej drażni żubra i ten zawsze za nim podąża. Gdy zwierzę było już umęczone i chwiało się na nogach od ran, główny myśliwy – jako że zaproszonym gościom zabrakło odwagi – wpadł na arenę na koniu i włócznią śmiertelnie je ugodził. A trzeba do tego nie lada sprawności i odwagi.

Podobny teatr Zawisza widział w Aragonii, gdzie pogoń za bykiem nazywają *corridą*. Tyle że tamtejsze byki nie są nawet w połowie tak potężne i groźne jak żubry.

Już w żadnym europejskim kraju nie ma tego potężnego zwierza. Ostał się tylko w puszczech Pomorza i polsko-litewskiej krainie. Jeśli król zamierzał zagranicznemu gościowi zaimponować, onieśmielić go, pokazać polską potęgę i nieugiętość, organizował gonitwy lub polowania na żubry.

Zawisza i Jaroch podeszli do ogrodzenia, za którym potężny samiec spokojnie skubał resztki przemarzniętej trawy. Sulima po raz pierwszy widział leśnego kolosa z bliska. Długość byka przekraczała sześć łokci, a w kłębie miał ponad cztery; skóra na nim kosmata, szorstka, sierść brunatna. Korpus na przodzie szeroki, uniesiony, jakby stworzony do taranowania. Podobno drzewa średniej wielkości mógł powalić z korzeniami. Z potężnego łba okolonego brodą wyrastały obronne rogi, z lekka zakrzywione do wewnątrz, tak szeroko rozstawione, że mogłoby pomiędzy nimi dwóch ludzi usiąść. Łowcy mówią, że na te rogi potrafi konia razem z jeźdźcem zabrać i w górę wyrzucić.

Głośno było o wypadku, jaki zdarzył się dwa lata temu, gdy jeden z Krzyżaków, którym

polowań zabrania zakonna reguła, ale się z tych zakazów wyłamują, towarzyszył królowi na łowach w litewskiej puszczy. Grupa naganiaczy wypłoszyła z legowiska olbrzymiego żubra. Myśliwi poczęli rzucać w niego oszczepami. Zwierzę, brocząc krwią, rozszalałe ze strachu atakowało na oślep myśliwych, a potem niespodziewanie ruszyło z impetem w stronę trzymającego się nieco z boku Krzyżaka. A ten, by nie wzięto go za tchórza, zamiast uciekać, zeskoczył z konia i wzięwszy potężny zamach, wycelował w żubra oszczepem. Chybił jednak i dopiero wówczas rzucił się do ucieczki. Potknął się wszakże o kamień i upadł. Żubr parokrotnie przybijał go do ziemi rogami, aż wreszcie, zarzuciwszy łbem, cisnął zakonnikiem pomiędzy drzewa. Okaleczony, broczący krwią Krzyżak wyzionął ducha, nim towarzysze polowania sprowadzili medyka.



Nazajutrz sypnęło śniegiem. Ciężkie mokre płaty szybko przykryły okolicę grubą kołdrą. Dwie postaci, pochylone, owinięte skórą dla osłony przed chłodem i wilgocią, przemierzyły niewielką polanę niedaleko niepołomickiego dworku i zagłębiły się w las, gdzie gęste korony drzew nie przepuszczały śniegu.

Mężczyzn ogarnęła mroczna cisza.

– Bodaj cię! Gdzież to mi każesz się po lasach włóczyć w taką porę – zawołał gość króla Jagiełły. – Powiniennem się bardziej szanować!

Ponieważ rozmawiali po węgiersku, nie musieli dbać o dyskrecję. Łowcy, którzy krążyli wokół nich dla zapewnienia bezpieczeństwa, nic z tej dziwnej mowy nie rozumieli.

– Nie mogą nas widzieć razem – odparł Zawisza. – Jeszcze nie teraz. Lepiej w lesie gadać.

– I tak przecież nikt tu nie wie, kim jestem.

– *Abundans cautela non nocet...*

– A ci, co idą za nami?

– Choćby ogniem przypiekani, nie pisną. Ale w obozie zawsze jakiś szczur może się zalęgnąć.

Możny się zatrzymał. Przyłożył dłoń do serca.

– Rycerzu... Powiedzieli mi wszystko... Serce krwawi na myśl o tym, co się stało. Ja i cały mój dwór otaczamy modlitwą duszę twojej żony. I ciebie, bo każdy, kto ma serce, czuje, jakie cierpienia musisz znosić.

Zawisza w podziękowaniu skłonił głowę.

Wiedziano też na Węgrzech, że zrobili to ludzie, nie demony, i zadali sobie trud, by pozacierać wszelkie ślady. Nie wiadomo, kto się tego potwornego mordu dopuścił, nie wiadomo dlaczego. Mijały miesiące, śledztwo nie przyniosło żadnych wyników. Nie było nadziei ani na zemstę, ani na przebaczenie. Przez to ta śmierć stawała się jeszcze straszniejsza.

Milczeli dłuższą chwilę, oddając w ten sposób cześć nieboszczce. W końcu możny westchnął na znak, że pora przejść do sprawy, dla której przybył do Niepołomic.

– Nie macie szans wygrać tej wojny – oznajmił spokojnym tonem. – Nie podejmujcie wyzwania.

– Za późno. Król już zdecydował.

– Na uratowanie się przed zagładą nigdy nie jest za późno. Ulryk prze do wojny, bo wie, że ją wygra.

– Bóg pysznym się sprzeciwia! – odparł Zawisza. Potem zapytał: – I to radziliście, panie, królowi?

– Wczoraj i dziś słuchałem uważnie jego słów. Jutro przemówię.

Dostojnik poprawił skórę na ramionach.

– Krzyżacy już jedzą z jednej miski z węgierskim królem i tym litewskim kniazem, Świdrygiełłą. On w wielką urósł siłę. To już niedźwiedź. Przetraści kark Witoldowi jednym machnięciem łapy. Krzyżacy obiecali temu zdrajcy koronę Litwy. – Rozłożył ręce w bezradnym geście. – Przechytrzyli was! I to właśnie zamierzam powiedzieć twojemu panu. I mam nadzieję, że wysłucha mnie równie uważnie jak ja jego.

Zawisza milczał. W otoczeniu polskiego króla zdawano sobie sprawę, że w sercu Świdrygiełły, najmłodszego brata Jagiełły, odżyło pragnienie przejęcia władzy na Litwie.

– Co drugi bojar chce buntu przeciw Witoldowi – ciągnął możny. – Wkrótce wojna domowa rozleje się na całą krainę. No, chyba o tym wiecie? Zamiast otrzymać pomoc ze wschodu, Jagiełło będzie tam musiał słać wojska. Jeśli nie pošle, Witolda na pal nadzieją i Litwini z sojuszników obrócą się we wrogów. A wiesz dobrze, że skóry na ich grzbietach cuchną gorzej niż wilcze.

Szli wolno, z pochylonymi głowami. Zawisza co jakiś czas spoglądał na boki. Nie widział łowców, ale czuł, że są blisko.

– A od południa też nadciąga morowe powietrze. – Zrobiło się tak cicho wokół, że przybysz zniżył głos niemal do szeptu. – Ruprecht, król rzymski, już maca jedną nogą grób. Zaczynają wszyscy wyciągać łapy po niemiecką koronę. Zygmunt co noc przymierza ją we śnie. To jego obsesja! – Możny pan przystanął. – A bez poparcia Krzyżaków Zygmunt nigdy jej nie dostanie.

– Wiem, panie, co się na węgierskim dworze mówi – oznajmił Zawisza.

– Nie wątpię! – zgodził się przybysz. – Wojna domowa na Litwie to koniec waszej unii. Król węgierski to widzi, ma wszędzie informatorów! Byłby durniem, gdyby nie zasiadł do stołu z Krzyżakami. Już mają na płótnie wasz kraj obrysowany. Przy następnej biesiadzie wezmą nożyce i zaczną się spierać, jak sobie to płótno skroić. Zygmunt wbije wam nóż w plecy, bo to w jego interesie. Wiesz, że zakon obiecuje mu pieniądze na zaciąg trzydziestu tysięcy zbrojnych? Byle na was uderzył?

– Wiem.

– No, ty nie musisz się martwić. – Dostojnik rzucił Zawiszy szybkie spojrzenie. – Jesteś nadwornym rycerzem węgierskiego króla. On cię miłuje jak syna. Zyskasz! Kto wie, ile ci tu ziemi nada...

Zawisza się uśmiechnął.

– Co zatem zamierzasz, panie, powiedzieć królowi?

Ponownie się zatrzymali. Gość przybył na spotkanie do Niepołomic na zaproszenie Jagiełły, ale to Zawisza namówił króla, by je wystosował i potem przyjął gościa w największej tajemnicy.

– Propozycje twojego króla brzmią kusząco. Zastawił stół prawdziwymi specjałami. Muszę to przyznać. – Możny zatarł dłonie, chuchnął w nie kilka razy, a potem rzekł: – Ale nie powinienem się kłaskać z trupem do jednego łoża. Moja odpowiedź powinna brzmieć: NIE.

– Powinna... A jaka będzie?

Zapadła cisza. Zawiszy zdawało się, że jakaś gałązka trzasnęła pod stopą nieuważnego łowcy. Dostojnik przemówił:

– Ratunek dla Polski jest jeden: zanim buntownik Świdrygiełło podniesie na Litwie krzyk, trzeba mu wyrwać język. Wtedy ja mogę próbować powstrzymać Zygmunta...

– Namówić węgierskiego króla, by zrezygnował z krzyżackiego złota?

– O nie! Nigdy! To się nie uda. – Możny się zaśmiał. – Gdy Luksemburczyk widzi

sakiewkę na stole, to zawsze ją zgarnia. Ale mogę się postarać, by w traktacie zapisano, że porę ataku na Polskę wybierze Zygmunt... a nie Krzyżacy. To by wszystko zmieniło...

– Tak, to by wszystko zmieniło – zgodził się Zawisza. Po chwili dodał: – O szykowanym buncie na Litwie wiemy. Ale na Wawelu nie ma pomysłu, jak go zdusić. Za Świdrygiełłą morze głów, a on sam przebiegły jak lis. Nawet Witold nie wie, jak i gdzie wnyki zastawić.

– Jest pewien sposób, żeby lisowi wyrwać ogon... Dość ryzykowny, zastrzegam...

Zawisza rozejrzał się wokół.

– Kiedy go wyjawicie, panie?

– Teraz.

– Tutaj?

– Nie macie dużo czasu. Świdrygiełło podniesie się na wiosnę. Twoja w tym głowa, by przekonać Jagiełłę jeszcze dziś. Wtedy może się dogadamy. Jutro musimy zdecydować.

– A zatem mówcie, panie, zamieniam się w słuch.

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1408

Ambicje komtura Johanna von Schönfelda sięgały wysoko. Pragnął sławy, zaszczytów i przede wszystkim pozycji: najwyższej w krzyżackim zakonie. Chciał być jak Winrych von Kniprode, gdański komtur sprzed pół wieku, który doszedł do godności wielkiego mistrza. Tak, miał takie marzenia. Teraz jednak musiał mierzyć się z dużymi kłopotami.

Teoretycznie w rękach Johanna von Schönfelda spoczywała niemal pełna władza nad Gdańskiem. Nazywano go burgrabią, najwyższym sędzią miasta. Krzyżacy panowali nad Gdańskiem, a on jako komtur winien czuć się jego właścicielem. Tyle że od jakiegoś czasu gdańszczanie podnosili coraz śmielsze bunty przeciwko zakonnej władzy, a dochody z komturstwa systematycznie spadały.

Oczywiście na te dochody składały się też czynsze pobierane z całego rozległego terytorium komturstwa, a także zyski z zakonnych folwarków – zbożowych i hodowlanych. Dokładała się też mennica, która pod zarządem Schönfelda wybijała dla całych Prus srebrne szelągi, a nawet złote dukaty pruskie, co stanowiło źródło niemałych sum płynących do zakonnego skarbcza. Ale i tak wołem, który najmocniej ciągnął pług, od którego zależała obfitość plonów i zamożność komturstwa, był Gdańsk, a zwłaszcza jego port.

Poprzedni komtur gładko ściągał tu wysoki czynsz od każdej parceli w mieście, pobierał opłaty od jatek i kramów oraz dwie trzecie opłat sądowych, wtrącał się w miejskie ustawodawstwo, wybierał rajców, ławników i burmistrzów, a nawet proboszcza kościoła Najświętszej Maryi Panny. Ale gdy nastał Johann von Schönfeld, mieszczanie poczęli się buntować. Podjudzani przez burmistrza Konrada Letzkaua coraz głośniejszy żądali ograniczenia opłat i zwiększenia samodzielności.

Czyżby wyczuli, że komtur jest słaby?

Tymczasem powolnym, ale miarowym krokiem nadchodziła wojna z Polską. Malbork nakładał na wszystkie komturstwa, w tym Gdańsk, coraz wyższe opłaty na wsparcie militarnych potrzeb zakonu. Johann von Schönfeld ledwie zdołał wywiązać się z poprzednich zobowiązań. Gdyby obciążenia zostały zwiększone, po prostu by ich nie udźwignął! Kasa komturstwa świeciła pustkami. Schönfeldowi na razie udawało się to ukryć. Na razie.

Głównym winowajcą finansowych kłopotów komtura był burmistrz Konrad Letzkau. Schönfeld go nienawidził, gardził tym parszywym plebejuszem, ale dotychczas z nim przegrywał. Sam przed sobą musiał to przyznać: burmistrz Konrad Letzkau był na najlepszej drodze do zwicnięcia jego kariery.

Choćby sprawa sprzed kilku miesięcy. Sekretarz komtura przywiózł z Malborka nowe pismo. Wielki mistrz w imieniu malborskich szafarzy skarżył się w nim na gdańskich kupców, że wchodzą im w drogę i że centralny skarbiec zakonu traci przez to dochody, których teraz potrzebuje jak nigdy w swojej historii. Krzyżacki handel koncentrował się głównie w porcie gdańskim. To dlatego taka odpowiedzialność spoczywała na barkach tutejszego komtura.

Krzyżacy kierowali potężną machiną handlową obejmującą całe Prusy, północną część Korony oraz liczne państwa zachodniej Europy, na czele z Flandrią. Przy pomocy swoich

komisantów, *liegerów*, prowadzili skup zboża i mąki, drewna, wosku, dziegciu, smoły, a także bursztynu. Większą część towarów wysyłano na Zachód, głównie do Flandrii i Lubeki. W drodze powrotnej ładownie statków wypełniano flamandzkim sukniem, francuską solą oraz korzeniami.

Podsycane przez burmistrza Konrada Letzkaua bunt gdańskich kupców i natrętna konkurencja z ich strony gnębiły Johanna von Schönfelda niczym dusząca zmora. Zakon musiał wygrać wojnę z Polską. W tym celu potrzebował zwiększonych dochodów. By to osiągnąć, należało wreszcie spacyfikować Gdańsk.

A komtur Johann von Schönfeld sobie z tym nie radził. Choć powinien.

Nie był wszak bezbronny. I nie chodziło bynajmniej o zamkową drużynę. Zakon miał w kieszeni wielu kupców. Tych, którzy brali od niego na kredyt towary: sukna, przyprawy korzenne, sól, drewno. Komtur dysponował pełną listą dłużników. Tylko w ubiegłym roku zalegali ze spłatą ponad trzynastu tysięcy grzywien! Ale nie tylko kupcy nie wywiązywali się ze swoich zobowiązań. Także wielu patrycjusza zaciągało pożyczki u szafarzy pod zastaw nieruchomości. Schönfeld próbował wobec nich gróźb, szantażu, przekupstwa. Efekt prawie żaden. Miasto wciąż mu się opierało.

Coś należało zrobić. Potrzebował wsparcia, pomocy. Nie mógł o nią poprosić w Malborku. Obnażyłby tym samym swoją bezsilność, naraziłby się na utratę zaufania ze strony wielkiego mistrza. Powierzono mu we władanie najważniejsze pruskie miasto. Musiał grać rolę komtura bez skazy i przede wszystkim – twardego, bezlitosnego. Do kogo zatem mógł się zwrócić?



Któregoś dnia Johann von Schönfeld otrzymał list zapowiadający wizytę dwóch osobistości z Dortmundu. Nie było daty, informacji o nadawcy ani pieczęci. Nic. Tajemniczy informator nie zadał sobie trudu, by zostawić jakikolwiek ślad. Nie była to też notatka wywiadowcza. Te zazwyczaj noszą precyzyjne daty. No i nie są zapisywane na tak dobrym gatunkowo papierze. Dortmund to hanzeatyckie miasto, siedziba związku kupców całej Westfalii. Pewno znów będzie musiał wysłuchać skarg na zakonnych szafarzy.

Po kilku dniach jeden z knechtów wprowadził do komnaty Schönfelda dwóch mężczyzn. Ubrani byli bardzo wytwornie, jak zamożni kupcy reprezentujący wpływową ligę kupiecką. Przedstawili kredytywę podpisaną przez samego arcybiskupa Kolonii. Uprzejmie się przywitali, ale nie podali imion. Jeden z nich, wyższy i masywniejszy, przedstawił się jako komisarz śledczy, drugi, drobniejszy, w krwistoczerwonych spodniach, jako notariusz.

Schönfeld zachowywał kamienny wyraz twarzy, w końcu był komturem, a oni mieszczuchami, ale pod obojętną maską skrywał niepokój, wyczuwając kłopoty.

Na wstępie przybysze wyrazili zdziwienie, że poprzedni komtur nie żyje, co Schönfeld odebrał jako zdumiewający brak rozeznania. Po chwili rozmowy okazało się też, że nie przywieźli kupieckich pozwów ani protestów. Nim Schönfeld zdążył odetchnąć z ulgą, padło zaskakujące pytanie: o miejsce pobytu Karola von Lichtensteina, byłego komtura Brodnicy.

Mężczyzna w czerwonych spodniach był wyraźnie rozczarowany informacją, że Karol von Lichtenstein tkwi w więzieniu. Oznajmił, że nie wolno im rozmawiać ze świadkiem (takiego słowa użyli – „świadek”!), jeśli ten został wcześniej uznany za winnego przez sądy niemieckie lub krzyżackie.

Zapadła chwila milczenia, po czym obaj przybysze wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wyszli bez słowa pożegnania.

Schönfeld został sam ze swoimi myślami. List uwierzytelniający wystawiony przez

biskupa Kolonii wyglądał na autentyczny i zrobił wielkie wrażenie, zwłaszcza słowa: „nie ukrywać niczego, udzielić wszelkiej pomocy”. Dlatego komtur potraktował gościa nadzwyczaj uprzejmie. Odpowiadał na ich pytania, mimo że ci, wbrew zasadom dobrego wychowania, ale też regułom *stricte* urzędowym, nie podali nawet swych imion. Najwyraźniej uznali, że papier z kancelarii biskupa zwalnia ich z wszelkich formalności. Schönfeld powinien był jednak coś z nich wyciągnąć. Arcybiskup Kolonii nie sprawował przecież nad nim żadnej władzy. Komtur uświadomił sobie z goryczą, że znów zachował się jak nierozgarnięty młokos.

Mimo że goście nie przynieśli żadnych kupieckich skarg, uczucie niepokoju go nie opuszczało. Schönfeld już dawno utracił pewność siebie. Był niczym płochliwa łania: każdy szelest liści, trzask łamanej gałązki napawał go lękiem, napędzał złe myśli, przyspieszał bicie serca. Ta tajemnicza wizyta wytrąciła go z równowagi na parę dni. Dlaczego ci dwaj zachowali się tak dziwnie? Albo inaczej: jak śmieli zachować się tak obcesowo wobec gdańskiego komtura? Czy to już powszechna opinia, że nie trzeba mu okazywać szacunku?

Czegóż oni mogli chcieć od dawnego komtura Brodnicy Karola von Lichtensteina?

Schönfeld dobrze znał jego burzliwą historię.

Równo siedem lat temu zakonem wstrząsnął finansowy skandal, w który zamieszani byli trzej komturowie: gdański, toruński i właśnie brodnicki. Handel na europejską skalę bez zgody i wiedzy zakonu; zyski lokowane w prywatnych majątkach; wreszcie potężne długi, które doprowadziły do ruiny brodnickie komturstwo. Z trójki współników tylko Karol von Lichtenstein trafił do lochów. Pozostali dwaj zachowali wolność i pozycje w zakonie. Malbork łaskawie im wybaczył. Co ciekawe, uniknęli wyroków doczesnych, ale nie boskich. Obaj zmarli nagle w pełni sił, w wyniku nieszczęśliwych wypadków. I nie były to bynajmniej skryte wyroki.

Lichtenstein za fałszowanie finansowych raportów i doprowadzenie komturii do ruiny trafił przed sąd i został uznany za winnego. Oprócz wykonywania obowiązków typowych dla komtura, czyli administrowania dobrami i dowodzenia podległym mu wojskiem, Karol von Lichtenstein pełnił w zakonie ważną funkcję: jako komtur przygranicznej Brodnicy nadzorował krzyżackich szpiegów działających na ziemiach polskiego królestwa. Podobno to właśnie ta część działalności komtura przyczyniła się do jego zguby. Mówiono, że zmówili się przeciwko niemu krakowscy Żydzi, bankierzy, w porozumieniu z polskim wywiadem. Czy tak było? Wiele na to wskazywało. Gdy czarne chmury zebrały się nad głową Lichtensteina, gdański komtur, współnik w brudnych interesach, udzielił mu gościny na swoim zamku, rozpiął nad nim dach swoich wpływów w Malborku. Dach szybko jednak przemókł. Prosto z gdańskiego zamku odstawiono Lichtensteina do Radzyna i wtrącono do lochów w tamtejszym zamku.

O komturze brodnickim Karolu von Lichtensteinie krążyły legendy. O majątku, jaki zgromadził, o niewiastach, które uwiódł. Ale przede wszystkim o jego... twardych pięściach i jeszcze twardszym sercu. Był skuteczny, bezwzględny, wszechwładny i – jako nadzorca armii szpiegów – wszechwiedzący. Umiał podporządkować sobie ludzi, doskonale znał się na handlu. Wiedziałby jak nikt inny, z której strony uderzyć w gdańskich kupców.

Johann von Schönfeld przez chwilę rozmyślał o losie brodnickiego komtura. Nagle przebiegła mu przez głowę pewna myśl. A gdyby...

A gdyby tak ściągnąć go do pomocy? Zdrady zakonu nigdy mu nie dowiedziono. Gromadzenie prywatnego majątku to odstępstwo od zakonnej reguły, ale przecież... na Boga! Któż w dzisiejszych czasach od niej nie odstępuje! Długi, cóż, nie ma ich tylko ten, kto nie handluje. Żydzi. To oni się na niego uwzięli. Podła nacja. Piją krew nawet tych, którzy im udzielili gościny. Polski król wysługuje się nimi do walki z zakonem tak samo jak dzikimi poganami z Litwy.

Ciekawe, czy Lichtenstein dalej tkwi w radzyńskim lochu. I czy w ogóle jeszcze żyje.

Wyrok wydał Malbork. Ale przecież Malbork nie musiałby się dowiedzieć. Przynajmniej nie od razu. Albo w ogóle. Tak, lepiej w ogóle. Po uporaniu się z gdańskimi kupcami i patrycjatem można by się Lichtensteina od razu pozbyć.

Ostatecznie jednak Johann von Schönfeld uznał, że to zły pomysł. Za duże ryzyko. Poza tym człowiek po latach spędzonych w podziemnych lochach ma już spleśniały od wilgoci umysł. Schönfeld uznał, że musi sobie poradzić jakoś inaczej.

Z rozmyślań wyrwało go kołatanie do drzwi.

– Wejść! – wrzasnął, przecierając twarz, jakby chciał z niej zmyć myśli sprzed chwili.

– Panie... – Na progu stał brat Peter, stary druh i zaufany kancelista odpowiedzialny za korespondencję. Ostatnimi czasy każde jego pojawienie się w drzwiach zwiastowało nieszczęście. Był niczym złowieszczą kometa.

– Jakie znów truchło odkopałeś? – mruknął Schönfeld. – Czego chcesz?

Kancelista podrapał się po policzku.

– Są nowe listy z Malborka.

– Kto pisze?

– Sam wielki mistrz.

Schönfeld syknął z wściekłości. Nie był w stanie się powstrzymać. Zresztą przed Peterem nie musiał udawać.

– Co w nich jest?

– Rada Gdańska, a konkretnie Arnold Hecht, Piotr Vorrath i oczywiście nasz burmistrz Konrad Letzkau... znów byli ze skargą w Malborku. Tym razem bezpośrednio na ciebie, panie.

Schönfeld zamarł. Do czego jeszcze posuną się te ścierwa!

– Skarżą się na bezprawne udzielanie zezwoleń na wywóz zboża, coraz ostrzejsze wymuszanie pierwszeństwa w transakcjach przez podległych ci, panie, zakonnych szafarzy... To tylko z ostatnich trzech miesięcy. Podobno wszystko mieli zapisane. Daty, towary, nazwiska kapitanów, wszystko!

Kancelista zawiesił głos, wodząc wzrokiem po liście.

– Jest jeszcze o ograniczeniu swobody sprzedaży wełny i innych towarów – dodał. – I że stoisz za wszystkim, co jest uciążliwe dla miasta, rujnujesz je i krzywdzisz, i...

– Dość! – przerwał mu Schönfeld. – Co za buta! Stracili umiar! Mają mnie za nic!

Stary kancelista uśmiechnął się ciepło, jakby wzruszyła go ta szczerość.

– Tak, panie. Robią z nami, co chcą.

Zapadła cisza.

– Coś jeszcze?

– Ulryk von Jungingen pyta... co zrobiłeś z jego poleceniem, by opanować miasto. Idzie wojna, pisze, i nie pora ani miejsce na takie fermenty.

– Coś jeszcze?

Kancelista chwilę zwlekał. Potem westchnął i rzekł, nie podnosząc wzroku znad kartki:

– Wielki mistrz pisze na końcu, że jest rozczarowany twoją postawą, panie...

Radzyń, jesień roku Pańskiego 1408

Obszerna cela Karola von Lichtensteina, dawnego brodnickiego komtura, mierzyła piętnaście kroków na osiem i miała co najmniej dziesięć stóp wysokości. Dużo jak na celę. Musiała być tu kiedyś sala tortur. Na podłodze walały się porzewiałe fragmenty łańcuchów, narzędzi, jakieś pręty. Nikt nie zadał sobie trudu, by to uprzątnąć. Im wyżej, tym bardziej ściany chyliły się ku sobie i zlewając się z żebrowym stropem wspartym na cienkim filarze, tworzyły rodzaj kamiennej kopuły.

Na wschodniej ścianie, na wysokości oczu, widniał okienny otwór. U podstawy szeroki wznosił się niewielkim skosem i zwężał. Na samym końcu był zbyt wąski, by miało sens mierzenie się z kratą, która go zamykała. Lichtenstein widział przez nią skrawek nieba i na zmianę – błotnistą ziemię, kępki trawy, śnieg.

Zimą marzył, uszczelniał wtedy szparę sianem. Latem, przy większych deszczach, wlewała się tamtędy woda.

Lokalny komtur litował się nad więźniem i raz na kilka dni pozwalał któremuś z knechtów przykucnąć przy małej kracie tuż nad ziemią.

Wtedy Lichtenstein mógł chwilę porozmawiać. To byli zwykli żołnierze, ale wystarczająco rozgarnięci, by przekazywać mu jakieś strzępy wieści ze świata. Więzień wiedział tyle, ile wiedzieli ci prości ludzie. Zawsze to coś. Nigdy nie widział ich twarzy, tylko cholewy butów.

Na południowej ścianie znajdowały się drewniane, okute blachą drzwi. Szerokie i niskie. Prawie kwadratowe. Otwarto je tylko raz. Gdy go tu wprowadzono. Musiał zgiąć się wpół, by przez nie przejść. Potem już zawsze pozostawały zamknięte. Jedzenie podawano mu przez otwór u dołu drzwi, zasłonięty ruchomą klapą. Nie widział twarzy człowieka od sześciu lat. Tylko karmiącą go dłoń, gdy podawała miskę ze strawą albo wodą.

Latem, gdy przez na wpół przysłonięte bujną trawą okienko wpadało więcej światła, mógł zobaczyć w lustrze wody swoją twarz. Co roku stawała się surowsza, brzydsza, oszpecona zbulwiałym od chorób nosem i starczą siwą brodą, spod której wyzierały spękane, pokryte strupami wargi. Tracił włosy, puchły mu nogi, drętwiały ręce. Zachował jeszcze zęby. To cud.

Zimą wystarczyło trochę mrozu i kilka dni opadów, by okienko zniknęło pod zaspą śniegu. Celę ogarniał wówczas całkowity mrok. Tylko raz dziennie, przy okazji posiłku, otrzymywał zapaloną pochodnię. Wtykał ją w którąś z obejm sterczących ze ścian i na kilka kwadransów pomieszczenie wypełniało się migotliwym światłem.

Czerwone plamy wykwiwały i gasły, tworzyły fantazyjne kształty, ożywiając kamienne sklepienie. Z czasem Karol von Lichtenstein zaczął coraz wyraźniej dostrzegać w nich ludzkie kształty. To musiały być cienie duchów. Zamordowanych tu ludzi? Chyba tak. Odgrywały przed nim sceny z życia swych cielesnych powłok, zanim trafiły pod ziemię do sali tortur, na śmierć. Przyglądał się, jak ogniste postaci urządzają polowania, walczą, zabijają się i kochają w namiętnych uściskach. Głowę komtura wypełniał szum rozmów i miłosnych westchnień. Migotały też sylwetki dzieci. Pełzały po ścianach. Ale nie tylko. Czasami wyczuwał delikatne

ruchy powietrza, gdy schodziły na klepisko celi. Niby nie chciały mu się pokazać, ale gdy szybko przekręcił głowę, to dawały się przechytryć. Wówczas na mgnienie oka stawały mu przed oczami małe powykrzywiane bólem twarze, zaropiałe oczy, usta toczone przez robaki. Sam torturował dzieci. Te tutejsze widocznie się o tym zwiedziały. Wykrzywiały szkaradne buźki, wysuwały czarne żmijowe języczki. Po co to robiły? Żeby strach pomieszał mu zmysły, pozbawił rozumu? Bardzo proszę! Szaleństwo jest ucieczką. Lichtenstein znał się na kaźni jak żaden inny oprawca, ale gdy dostrzegł, że jego więzień popada w obłęd, zaprzestawał tortur. Ogarniało go wielkie rozczarowanie. Traktował szaleńców na równi ze zbiegami.

– No, śmiało! Zbliźcie się! Chcecie, żebym oszalał? Mogę oszaleć! – krzyczał.

Anioły i demony walczyły o jego duszę. Cekał pokornie na wynik tych zmagañ. Podda się przeznaczeniu.

Gdy pochodnia z sykiem gasła, cela pogrążała się w mroku. I wtedy komtur zamieniał się w słuł. Budowniczy musiał popełnić jakiś błąd. Sala tortur powinna być lepiej izolowana. Może z tego powodu ją stąd przenieśli? Dochodziły do niego różne odgłosy. Wcześniej bywał w odwiedzinach u tutejszego komtura. Dobrze znał ten zamek. Wzniesiony około stu kroków na północ od ufortyfikowanego Radzyna składał się z czterech trzykondygnacyjnych skrzydeł. W ich narożach stały cztery wysokie kwadratowe wieże wysunięte poza lico. Dziedziniec otaczały krużganki. Na jego środku znajdowała się studnia. To na ten dziedziniec wychodziło okienko celi. Sale reprezentacyjne urządzono na pierwszym piętrze. Główna brama przechodziła przez skrzydło południowe. Po obu jej stronach znajdowały się pomieszczenia konwentu: po stronie zachodniej refektarz, a po wschodniej – kaplica. Po odgłosach, jakie przenikały przez mury, Lichtenstein rozpoznawał, co dzieje się w każdym pomieszczeniu. Przytykał ucho do gładkiego kamienia ściany i oczyma duszy widział wszystko jak na dłoni. Wędrował za głosami po całym zamku.

To, że nie oszalał, zawdzięczał oknu: widokowi nieba, krótkim rozmowom z knechtami i drobnym zajęciom związanym z porami roku. A także temu, że zadziwiająco dobrze go karmiono. Dostawał mięso, kaszę, warzywa. Karmił tym swoje ciało i narastającą w nim nienawiść. Ani razu nie podano mu nalewki, ani kropli wina czy choćby piwa. Umysł miał trzeźwy i wyostrzony. Nienawiść stawała się przejmująco wyraźna, namacalna, wręcz czuł, jak pęcznieje w jego wnętrzu niczym wrzodowa narośl.

Nienawiść do tych, którzy złamali mu życie. I do zakonu.

Zakonne ustawy nakazywały miłosierdzie, a potraktowano go jak psa.

Nałożona kara powinna być braterskim napomnieniem, wypływać z umiłowania bliźniego, a nie z żądzy zemsty. Karol się zgadzał: tak, jego wina należała do wysokiej, trzeciej kategorii. Niech będzie, że to była kradzież i zatajanie własności. Karą powinno być pozbawienie płaszcza na rok, może dłużej, do tego nakaz spożywania posiłków ze służącymi. Do tego wielotygodniowy post o chlebie i wodzie. Do tego odbieranie batów od kapłana w czasie niedzielnych mszy po czytaniu Ewangelii. Zniósłby wszystko. To sprawiedliwe kary za występki, których się dopuścił. Ale lochy? Tak straszne? Przez tyle lat? Kapituła skazała go na śmierć w męczarniach! Zakon odstąpił od swych zasad. Już nie jest jego zakonem. Stał się wrogiem takim samym jak pogańska Polska.

Któregoś dnia drzwi, których nikt nie otwierał przez sześć lat, zaskrzypiały.

– Chryste! Co za smród! – To były pierwsze słowa, jakie dotarły do uszu Lichtensteina. A potem w świetle pochodni zobaczył zakonnika.

Przybysz rozejrzał się po celi, odszukał wzrokiem więźnia i powiedział:

– Bracie, komtur gdański Johann von Schönfeld chciałby cię zobaczyć!

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1408

W myśl zakonnych przepisów, gdy któryś z braci zaniemógł, to na czas potrzebny do wyzdrowienia kierowano go do infirmerii, czyli wspólnej izby chorych. Otrzymywał tam lepsze, bardziej urozmaicone i częstsze posiłki. Opiekę medyczną nad nim przejmował specjalny urzędnik – *Firmariemeister*, który dostarczał lekarstw i ustalał częstotliwość kąpieli.

Ale co najważniejsze – pobyt w infirmerii uwalniał skazańca od wszystkich wymierzonych mu kar. Czyli traktowano go jak zwykłego członka zakonnej wspólnoty.

Pierwszym etapem planu gdańskiego komtura Johanna von Schönfelda było przeniesienie Lichtensteina do infirmerii w radzyńskim zamku. A na to potrzebował zgody władz zakonu. Na prośbę komtura w Radzynie, który był winny Schönfeldowi niejedną przysługę, Malbork taką zgodę wydał.

Etap drugi. Tak się szczęśliwie złożyło, że infirmeria w Radzynie nie dość, że cieszyła się złą sławą, to jeszcze – co skwapliwie poświadczył tutejszy komtur – była przepełniona. Na wolne miejsce czekało się tu miesiącami. A tak długiego czasu – to z kolei zawyrokował tutejszy *Firmariemeister* – Karol by nie przeżył. Wypadało, by zakon szpitalników dbał o zdrowie braci, nawet tych skazanych. Nie godziło się ich zostawiać na łasce losu. Schönfeld zaproponował więc łaskawie, że przyjmie chorego do cieszącej się wielką sławą infirmerii w Gdańsku.

Etap trzeci. W gdańskiej infirmerii ciężko chorych, a za takiego uznano Karola, można było izolować w oddzielnych pomieszczeniach; mogli tam spać i jeść posiłki. Karola von Lichtensteina umieszczono w takiej właśnie osobnej izbie. Dostęp do chorego mieli teraz tylko tutejszy *Firmariemeister* oraz gdański komtur.

Etap czwarty wybiegał w przyszłość. Jak odległą, tego jeszcze Schönfeld nie wiedział. Za rok, może za dwa, gdy sytuacja w Gdańsku zostanie opanowana, pozbędzie się Lichtensteina. Najważniejsze, że miał go w swoich rękach. Chyba najwłaściwiej i najprościej byłoby odesłać go z powrotem do lochów. Po prostu zostanie uznany za zdrowego i będzie mógł wrócić do Radzyna. Albo Schönfeld pozbędzie się go w inny sposób. Dowolny.



Lichtenstein szybko odzyskiwał siły w gdańskiej infirmerii. Sprawność ruchowa wróciła już po kilku tygodniach. Zagoiła się skóra, częste kąpiele zmyły skorupę brudu, przegnały więzienny odór. Pozostawały tylko bóle głowy. Ale te mogło ukoić jedynie wypełnienie zemsty.

Gdy gasło światło, słyszał głosy, podszepty. Widywał cienie. A może jednak oszalał? Przywoływał w pamięci obrazy z celi. Duchy to cienie istot, które wypełniają świat na równi z żywymi. Wzrok śmiertelników ich nie dosięga. Dlaczego on widział cienie? Żeby wydobyć cień, potrzebne jest światło, ogień. Ogień szaleństwa? A czemu nie płomień geniuszu, który podsyca w człowieku sam Bóg, by wybraniec mógł widzieć więcej?

Wewnętrzny głos rzadko go zawodził, ale nigdy nie brzmiał tak czysto, wyraźnie. Wręcz czuł w sobie obecność drugiej istoty – anioła stróża.

Lichtenstein gorliwie służył gdańskiemu komturowi. Wszystko działo się w całkowitej tajemnicy. Wymykał się z infirmerii i w szatach zakonnego skryby, prostego kancelisty, całe dni spędzał w jego izbie.

Była to niewielka i skromnie urządzona komnata. Sporą jej część zajmował ogromny kominek, w którym można by spalić kilka czarownic naraz. Schönfeld dbał, by w pomieszczeniu było zawsze ciepło i w kątach nie gnieździła się wilgoć. Światło zapewniały rozstawione w rogach wysokie świeczniki. Gdy do rozmów potrzebne były jakieś pisma albo mapy, służący dodatkowo ustawiał na stole ogromny kandelabr.

Bóg okazywał Lichtensteinowi łaskę. Stare wojenne nawyki wróciły. Niemal każda jego podpowiedź, rada czy ostrzeżenie okazywały się trafne. Gdański komtur coraz wyżej nosił głowę.

Dużo rozmawiali o bieżącej polityce. Lichtenstein szybko nadrabiał zaległości. Schönfeld objaśniał wydarzenia ostatnich lat, sytuację w zakonie, problemy związane z nadchodzącą wojną. Zadziwiała go przenikliwość umysłu dopiero co uwolnionego z celi brodnickiego komtura. I czuł przed nim coraz większy respekt. Wiedział, że nie ma wyjścia, że musi mu zaufać. Po trzech miesiącach wręczył Lichtensteinowi klucz do izby, w której przechowywano tajne dokumenty zgromadzone przez poprzedniego komtura. Zmusił go przy tym do złożenia przysięgi, że wszystko, co tam znajdzie, zachowa w ścisłej tajemnicy. Lichtenstein obruszył się w duchu, ale posłusznie podniósł palce, wypowiedział stosowne słowa i położył dłoń na krucyfiksie.

W sekretnej izbie, którą Lichtenstein dobrze znał, bywał w niej przecież do ostatnich chwil przed aresztowaniem, stały ława, pulpit, cztery szafy z dokumentami. Różne księgi, rachunki, spisy inwentarzowe, registranty, listy. Ponieważ gdański komtur zmarł nagle, nie zostawił wytycznych, jak się w nich poruszać. Dużo było raportów z podsłuchów. Lichtenstein uśmiechnął się po raz pierwszy od sześciu lat. Rozpoznał swoją szkołę.

Karol najczęściej przebywał w sekretnej izbie sam. Szukał dokumentów, które mogłyby pomóc w nałożeniu wędzideł krnąbrnym gdańszczanom. I najczęściej znajdował. Informacje o ważniejszych mieszczanach umieszczone były w ostatniej, czwartej szafie. Zostały ułożone w układzie alfabetycznym, przechowywano je w różnej wielkości szkatułach, sakwach, workach albo skórzanych tekach. W porządku godnym krzyżackiego komtura.

Czasami, ale rzadko, ktoś wchodził, by za zgodą komtura zapoznać się z jakimś dokumentem. Skryptorium, gdzie pracowali pisarze, sekretarze i kopiści, znajdowało się po drugiej stronie korytarza. Kapelanowi zarządzającemu kancelarią podlegało kilku duchownych, uczniowie, pisarze, sekretarze i jeden notariusz. Nikt nie zwracał uwagi na Lichtensteina, który uchodził za pisarza zatrudnionego do przepisywania ksiąg i dokumentów. Nikt nie rozpoznał w nim byłego brodnickiego komtura, jednego z najbardziej wpływowych dostojników zakonnych sprzed lat.

Schönfeld, by usprawiedliwić jego ciągłą obecność w archiwach, powierzył mu zadanie pilnowania zapasów pergaminu i arkuszy papieru. Rocznie zużywano tu bowiem kilkadziesiąt zwojów i prawie tysiąc arkuszy! Karol von Lichtenstein z zapałem oddał się temu zajęciu, skrupulatnie jak nikt przed nim notując wydawane materiały.

Pewnego wiosennego wieczoru, podczas wystawnej wieczerzy podlanej mocnym reńskim winem Schönfeld wspomniął o dziwnej wizycie dwóch osobników z Dortmundu. Opisał ich wygląd, zachowanie, przebieg rozmowy. Cień nadziei przemknął przez głowę Lichtensteina. Zaczął dopytywać o szczegóły. Usłyszał, że goście pytali o niego, nazywając go świadkiem, i że dysponowali kredytywą samego arcybiskupa Kolonii. Lichtenstein omal nie poderwał się na nogi. Robił, co mógł, by gdański komtur nie odczytał z jego twarzy nagłego wybuchu emocji. Ten jednak, zajęty figami, całą swą pijaną uwagę skupił na trafianiu dłonią do ust. W końcu głowa opadła mu na pierś.

Lichtenstein wezwał służącego i kazał odnieść komtura do jego izby. Sam błyskawicznie wytrzeźwiał, jakby dokonał się w nim odwrotny cud – przemiana wina w wodę. Ledwie zapanował nad sobą, by nie biec korytarzem.

Szybkim ruchem przekręcił klucz w zamku i mocno pchnął drzwi do tajnego archiwum. Cicho zamknął je za sobą. Zasuwał skobel. Dopóty stąd nie wyjdzie, dopóki nie przeszuka całego pomieszczenia. Piędź po piędzi.

Wydawało mu się, że już przejrzał tu wszystko. Wiedział, że poprzedni komtur miał nawyk sporządzania kopii. Każdy ważny dokument, który musiał wypuścić z rąk, kazał przepisywać.

Karol szukał całą noc. O świcie, gdy klęczał bezradnie na deskach podłogi, jego ręka, pod wpływem nagłego olśnienia, jakby wiedziona przez litościwego anioła stróża, skierowała się w stronę ławy. Uniosła ciężkie siedzisko, które zostało zamocowane na zawiasach, a nie przybite gwoździami. Lichtenstein pochylił głowę, by zajrzeć do środka.

Znajdowała się tam podłużna skrzynia. Na wieku widniały dwie pociągnięte smołą litery: „SS”. *Selter, Sinker* – odczytał bezwiednie komtur. Serce załomotało mu w piersi.

Lata w celi dały o sobie znać, nie panował już tak nad sobą jak dawniej. Zaczęły mu się trząść ręce. Z trudem uniósł skrzynię. Także spód opatrzony był dwiema literami. „GG”. *Grün, Gras* – wyszeptał znowu.

A więc jednak!

W skrzyni znajdowały się tylko trzy teczki. Lichtenstein szybko odrzucił dwie, które w żaden sposób nie mogły go dotyczyć. Przecież ci „dostojnicy” pytali o niego! Nazywali go „świadkiem”. Czyżby w sprawie...?

Wciąż drżącymi rękoma otworzył trzecią. Szybko przebiegał wzrokiem po kolejnych kartkach. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Udało się! Tak! Ziarno zasiane przed aresztowaniem wydało owoce!

Węgry, wiosna roku Pańskiego 1409

W roku 1400 elektorzy duchowni wynieśli na niemiecki tron palatyna reńskiego Ruprechta Wittelsbacha. Był to zły wybór. Pięć lat później zawiązała się antykrólewska konfederacja zrzeszająca siedemnaście miast królewskich oraz część książąt niemieckich. Ruprechtowi tylko cudem udało się uniknąć detronizacji, ale nadwątlonego prestiżu nie potrafił już odbudować. Teraz gruchnęła wieść, że złożyła go poważna choroba i śmierć zbliża się szybkimi krokami.

Luksemburgów ogarnęła gorączka walki o niemiecką koronę. Trzech z nich miało nadzieję po nią sięgnąć: Waclaw, król Czech, Jodok, margrabia brandenburski, i Zygmunt, król węgierski. Większość elektorów nie popierała Waclawa, co do Jodoka i Zygmunta ich głosy rozkładały się po połowie.

Zygmunt był dobrej myśli i z wielką energią przystąpił do zaskarbiania sobie łaski elektorów. Wszystko inne przestało się dla niego liczyć.

Na dwór króla Zygmunta Luksemburskiego przybył właśnie burgrabia Norymbergi Fryderyk I. Burgrabia wywodził się z frankońsko-norymberskiej linii szwabskiego rodu von Hohenzollernów. Dzięki małżeństwu swego brata Johanna III z siostrą króla węgierskiego Małgorzatą został powinowatym Zygmunta. Fryderyk przybył do Budy ze swojej frankońskiej rezydencji Cadolzburg, leżącej kilka mil na zachód od Norymbergi. Jako postać bardzo w Niemczech wpływowa był bezcennym sojusznikiem w walce o koronę Niemiec.

Zygmunt postanowił go olśnić przepychem dworu, codziennie upijać najdroższymi węgierskimi winami, podsunąć mu do łóża jakąś gładką dwórkę, nakarmić przysmakami, o jakich w ponurych niemieckich krainach nawet nie słyszano, pozwolić mu zwyciężyć w szrankach. Jednym słowem – przekonać go do swojej kandydatury.

Realizacja planu przebiegała pomyślnie. Buda na długo zapamięta niemieckiego sybarytę i rozpustnika. Pozostawał ostatni punkt programu – turniej.

Postanowiono, że odbędzie się w leżącej kilka mil na południowy zachód od Budy wsi Ors. Została wybrana z uwagi na bliskość stolicy i otaczający ją z trzech stron rozległy płaski teren, na którym już wielokrotnie obozowały wojska. Okolica nadawała się też znakomicie do urządzania bohurtów wymagających dużych przestrzeni. Od wschodniej strony do wsi przylegał gęsty las, w którym można było znaleźć cień, gdy doskwierała spiekota, lub schronienie przed deszczem, a także budulec do stawiania turniejowych zabudowań.

Cieśle ściągnięci z Budy urządzili na skraju lasu prowizoryczny tartak. I w Ors zabiło serce Węgier w rytm ciosów siekier, grzmotów upadających drzew i zgrzytów pił. Wznoszono drewniany amfiteatr otaczający turniejowe szranki, drewnianą makietę zamku, prowizoryczne stajnie i budynki do spożywania posiłków. Kramarze rozstawiali budy i namioty. Spodziewano się tysięcy gości. Wybierała się tu cała Buda i połowa Węgier.

Ponieważ w Ors stała tylko jedna gospoda, która z trudem zaspokajała pragnienie i głód kilkudziesięciu pracujących tu cieśli, drobni kupcy i kramarze z okolicy przyciągnęli na potrzeby gości dziesiątki wozów serwujących strawę i napitek. Sprzedawali wino, piwo, chleb, masło,

ryby, szynki, rozmaite pieczone mięsa, placki, a dla smakoszy nawet orzechy, figi i rodzynki. Wszyscy liczyli na suty zarobek.

Przez siedem dni osiemdziesięciu rycerzy miało walczyć od świtu do zmierzchu. Zapowiadano rycerzy z Włoch, Grecji, Czech, Austrii, Nadrenii, Francji, Rusi, Bośni, Bułgarii i Wołoszczyzny. Z polskich rycerzy mieli wystąpić jedynie ci, którzy przebywali na dworze Zygmunta: Janusz Brzozogłowy herbu Grzymała, Tomasz Kalski herbu Róża, Wojciech Malski herbu Naęcz, Dobiesław Puchała z Węgrów herbu Wieniawa, Jakub Skarbek z Góry herbu Awdaniec i Zawisza Czarny herbu Sulima.

Nagrodą dla zwycięskiego rycerza miał być bojowy wierzchowiec ze złotymi podkowami, a dla najlepszego giermka – rumak podkuty srebrem.



Zawisza Czarny miał wziąć udział dopiero w trzecim dniu turniejowych zabaw. Zjechał jednak na pola pod Ors wcześniej, by spotkać się z bratem Mikołajem, zakonnikiem pracującym dla polskiego wywiadu, który przybył do Budy wraz z królową Anną Cylejską i jej dworem. Kilka tygodni temu otrzymał list, w którym precyzyjnie określono czas i miejsce spotkania.

Zawisza od ostatniego pobytu w Niepołomicach zeszłej jesieni nie odwiedził ojczyzny, ale docierały do niego regularnie wieści z Krakowa. Zgodnie z przewidywaniami już trzęsła się ziemia. Rycerz miał nadzieję, że brat Mikołaj wiezie dla niego ważną decyzję. Decyzję, od której mogą zależeć losy Korony. Chyba została podjęta, skoro zakonnika włączono do delegacji.

Z Budy, gdzie jako nadworny rycerz króla Zygmunta miał swoją stałą kwaterę, Zawisza przybył do Ors konno. Udał się do stajni przy królewskich namiotach, zarezerwowanej dla wierzchowców samego monarchy i jego gości, a także najważniejszych rycerzy i węgierskich możnych. Tam zamienił kilka słów z Gaborem, stajennym z okolic Wyszehradu, który od pierwszych dni pobytu polskiego rycerza na węgierskim dworze opiekował się jego końmi.

Kilka lat temu Gabor zaprosił Zawiszę na swój ślub. Z pochyloną głową prosił o ten zaszczyt, a potem ze łzami w oczach przyjmował zgodę. Tak zaczęła się ich przyjaźń. A zeszłej zimy Zawisza został ojcem chrzestnym pierworodnego syna Gabora. Chrzcziny, z uwagi na obecność szlachetnego rycerza, wyprawiono z rozmachem, jakiego rodzinną wioska Gabora jeszcze nie widziała. Prosto od zastawionego stołu goście ruszyli konno do kościoła w Wyszehradzie. Całą drogę rozbrzmiewały śpiewy, które już w kościele przerodziły się w okrzyki i wiwaty, gdy Zawisza w najwystawniejszym węgierskim stroju, pochyliwszy nisko głowę, wjechał na wierzchowcu przez zdobne drzwi do wnętrza świątyni. Tam cisnął czapę na posadzkę i zawołał do zdumionego księdza, nie schodząc z siodła:

– Sam Wiekuisty scalił rycerza z koniem. Jeśli oddawać rycerską cześć nowo narodzonemu, to tylko tak!

Gabor szczyił się wejściem w tak bliską komitywę z rycerzem węgierskiego dworu. Często zachodzili razem do karczmy. Stajenny odpłacał za te dowody prawdziwej przyjaźni całkowitym oddaniem i wieloma informacjami, których Zawisza nigdy nie usłyszałby w dworskich komnatach.



Brat Mikołaj wyznaczył spotkanie na południe, przy mniejszej arenie, gdzie właśnie o tej porze rozpoczynały się pojedynki pieszych.

Zawisza, znając zwyczaj zakonnika, udał się tam pacierz wcześniej. Było, jak

przewidywał. Rycerz z daleka dostrzegł zwalistą sylwetkę. Mikołaj siedział sam na pustych jeszcze półkolistych trybunach wznoszących się trzema rzędami dla widowni.

Zawisza dosiadł się do zakonnika i objął go ramieniem.

– Kiedy się zacznie? – zapytał.

– Już niedługo. Nie martw się, bez ciebie nie zaczniemy.

Obaj przyglądali się, jak kilku pachołków zrasza wodą arenę, by kurz wzbijany stopami walczących nie drażnił oczu gości w łoży i bliżej siedzących widzów. Jako pierwszy w szranki miał stanąć Janusz Brzozogłowy, jeden z najstynniejszych polskich rycerzy na węgierskim dworze.

– Obstawiamy? – Zawisza uderzył otwartą dłonią w ławę.

– Hazard jest niemiły Bogu, rycerzu.

– Stawiam na Brzozogłowego.

– Ja też – odparł brat Mikołaj ze śmiechem. – Niech to będzie wróżba pomyślności dla nas wszystkich...

– Wróżby to zabobon, drogi bracie, jeszcze gorzej.

Zakonnik wzruszył ramionami.

– Jakie mi wieści przywozisz?

– Złe – mruknął brat Mikołaj. – Krzyżacy dopięli swego na Pomorzu. Ściskają się już z księciem Bogusławem słupskim i Świętoborem szczecińskim.

– Ile dali na stół?

– Cztery tysiące kop groszy praskich.

– No to przepłacili.

– Na Pomorzu bitne rycerstwo...

– Ale ich mało. I śmierdzą śledziami.

– I jeszcze Konrad Biały, książe oleśnicki... Król Czech też zwróci się przeciwko nam...

Przerwał, bo na wysoko wzniesionej łoży, zamykającej arenę od wschodniej strony, pojawili się właśnie król Zygmunt w towarzystwie niemieckiego elektora oraz kilku dam. Dopiero teraz widownia zaczęła wypełniać się hałaśliwą publicznością.

– Są też i dobre nowiny – ciągnął zakonnik. – Opowiedzą się po naszej stronie książe mazowiecki Janusz i płocki Siemowit, choć udaje, że nie będzie się angażował... Gospodarstwo mołdawskie... Inflanty też opanowane. Sposobią się do zawarcia układu pokojowego z Witoldem. Ta część krzyżackiej armii zostanie chyba w domu.

Gwar nagle ucichł. Wszyscy skierowali wzrok na filary podpierające łożę. Umieszczone między nimi podwoje bogato zdobione królewskimi herbami rozwarły się i stanął w nich herold, a za nim dwaj trębacze. Odegrano sygnał. Herold prowadzący zawody uniósł w górę tarczę z herbem Grzymały i wręczył ją polskiemu rycerzowi, a potem to samo uczynił z tarczą Niemca, którego Brzozogłowy wyzwiał na pojedynek.

Rycerze skłonili się królowi, elektorowi i pozostałym gościom w łoży, po czym weszli na środek areny. Znów podniósł się harmider.

– Szykowane są delegacje na wszystkie europejskie dwory. – Zakonnik mówił teraz głośniej. – Krzyżacy się wystroją i będą pięknie śpiewać swoje pieśni, my się też wystroimy i będziemy śpiewać nasze.

Zawisza podniósł rękę na znak, że przestaje słuchać. Był ciekaw tego pojedynku. Znał Brzozogłowego od lat, razem odbyli niejedną wojenną wyprawę. Zawisza miał go za bardzo dobrego szermierza, ale i okrutnika. I nie szło tu o bitewne pole, ale o szermiercze pojedynki, jakie nieustannie toczą ze sobą krewcy rycerze podczas przeciągających się w nieskończoność obłężeń. Ulubioną techniką Grzymalicy był atak na nadgarstki przeciwnika i odcięcie rąk.

Zawisza podziwiał maestrię, z jaką Brzozogłowy posługiwał się ciężkim mieczem, ale żal mu było zapalczywych młodzieńców, którzy opici winem wyzywali rycerza, nie wiedząc, z kim będą mieli sprawę, lub sami dawali się sprowokować. Potem okaleczeni, o ile przeżyli, musieli porzucić wojenne rzemiosło i ruszyć w świat z kijem żebraczym.

Oczywiście podczas walk turniejowych odcięcie rąk nie było możliwe. Zawodnicy otrzymali od sędziego miecze bojowe o stępionych krawędziach i zaokrąglonym sztychu. Takim mieczem trudno zranić przeciwnika, można go co najwyżej ogłuszyć.

Po kwadransie pojedynku Brzozogłowy odrzucił tarczę, podobnie postąpił niemiecki rycerz. Publiczność zareagowała owacjami i okrzykami w stronę wojowników. Teraz siłowe zmagania nabiorą bardziej wyrafinowanego charakteru. Obaj rycerze zmęczeni zadawaniem ciosów i przyjmowaniem ich na tarcze otworzyli przyłbice.

Brat Mikołaj obrócił się do Zawiszy i powiedział:

– Król spędził Boże Narodzenie w Nowogródku z Witoldem. Zamierzają wywołać powstanie na Żmudzi.

Zawisza spojrział przenikliwie na zakonnika.

– A jednak! Kiedy?

– Już, teraz – odparł Mikołaj. – A potem prowokować zakon i czekać na odpowiedni moment...

– Czyli wojna tej jesieni – zawyrokował Zawisza, przenosząc ponownie wzrok w kierunku areny.

W tej samej chwili Brzozogłowy chwycił miecz w połowie klingi i zamarkował sztych. Potem błyskawicznie natarł całym ciałem na Niemca, zatoczył szybki łuk mieczem i wbił jelec w usta przeciwnika. Przez trybuny przetoczył się jęk widzów. Niemiec zgiął się w pas, charczał i pluł krwią.

– To był wypadek. Zdarza się... W każdym razie pomyślna wróżba! – Zawisza położył dłoń na ramieniu towarzysza, by dodać mu otuchy.

Zakonnik miał przymknięte jedno oko i twarz skrzywioną w grymasie bólu, jakby to jemu wybito zęby.

– Co do wojny... – odezwał się po chwili – raczej dopiero na przyszłą wiosnę.

Potem dodał:

– No i jest zgoda króla i Tęczyńskiego na operację w Malborku. Wiem, że na to czekałeś...

Zawisza odwrócił się gwałtownie.

– Od tego miałeś zacząć, barani łbie! – zawołał.

– Król powiedział Tęczyńskiemu o twoim planie. – Zakonnik syknął z bólu i wyrwał ramię z uścisku. – I Tęczyński się zgodził. Masz się u niego stawić. Jak najszybciej. Ruszaj zaraz po turnieju.

Zawisza skinął głową.

– Chwała Najwyższemu! Wcześniej pchnę Jarocho. A jeszcze dziś rozmówię się z Ryksą.

Tymczasem na arenie pojawił się jakiś opierzony bosy stwór. Podbiegł do plującego krwią i ślaniającego się na nogach Niemca i udając, że pomaga, kilka razy zręcznie podciął mu nogi. Niemiec upadł w piach, ku uciesze widzów.

– Co to takiego? – zapytał Mikołaj zniesmaczony.

– W Aragonii nazywają ich *emplumados*. Tam to bezrobotni kuglarze. Za pieniądze dają się smarować smołą i oblepiać piórami. Zawsze kręcą się po festynach.

– A ten? Sprowadzili go tu z Aragonii?

– To mój stajenny. – Zawisza zaśmiał się. – Zapłacili mu za to pajacowanie więcej, niż

przy koniach zarabia przez miesiąc! Zygmunt nie pożałuje elektorowi żadnej atrakcji.

– I co on wyczynia?

– Nie wiem, bracie, masz oczy, to patrz. Udaje diabła!

Przez zdobne podwoje, przez które w końcu udało się wyprowadzić zalanego krwią i oblepionego piachem Niemca, wkroczył teraz na arenę rycerz w białej zbroi i szatach, z przymocowanymi do naplecznika olbrzymimi skrzydłami. Ów anioł – bo któż inny mógłby to być – ruszył z mieczem na pierzastego stwora. Diabeł wykonywał taniec wokół białego rycerza, przybliżając usta do jego ucha, jakby go do czegoś namawiając, a potem odskakiwał. Obaj przebierańcy odgrywali jakąś scenę, ale jej sens umykał widzom, co nie przeszkadzało im wycić i buczeć z zachwytem, gdy Zło w barwionych na czarno piórach padło nagle na kolana pod gradem markowanych ciosów anioła.

Mikołaj i Zawisza jeszcze chwilę przypatrywali się tej udawanej walce Dobra ze Złem, a potem zakonnik obrócił głowę w stronę rycerza.

– Przyjacielu, Tęczyński ci ufa. Przystał na twoją akcję w Malborku...

– Nie ja ją wymyśliłem!

– Ale ty przekonałeś do niej króla! A Tęczyński włożył dużo trudu w jej przygotowanie! I pragnie czegoś w zamian. Odwzajemnij jego gest przyjaźni i wykonaj rozkaz, który ci przywożę... Dla dobra Polski. Tu na turnieju. Jutro.

– Cóż to za rozkaz?

Zakonnik nie zdążył odpowiedzieć, bo na trybunach rozległy się krzyki. Na środku areny buchnął ogień. Pierzasty stwór stał cały w płomieniach, rozpaczliwie krzyczał i wymachiwał rękami, starając się zrzucić z siebie płonący kostium, ale ten najwyraźniej już przywarł do skóry. Wszyscy widzowie zerwali się na nogi. Zawisza przepchnął się do pierwszego rzędu, przeskoczył przez barierkę. Dopadł do węgierskiego barona, który stał bez ruchu koło herolda i anioła, równie jak oni oszołomiony widowiskiem. Zawisza przewrócił go i włókł przez chwilę po piachu, usiłując zerwać z niego płaszcz. W końcu mu się to udało. Okrył oszalałego z bólu Gabora i zduślił płomień. Widzowie zasłaniali oczy i zatykali nosy. Wokół areny niósł się smród palonego pierza i ludzkiego ciała.

Jakiś mężczyzna, kupiec, w ciasno opiętych czerwonych spodniach podał Zawiszy kawałek zwilżonego sukna, którym ten okrył twarz poparzonego. Chwila ulgi w ostatniej chwili życia. Mężczyzna w czerwonych spodniach z napięciem przypatrywał się tej scenie, z tym że znacznie większą ciekawość budził w nim miłosierny rycerz niż umierający komediant.

Gabor już nie jęczał, rył tylko szerniałymi palcami w piasku, a potem znieruchomiał.

Kraków, wiosna roku Pańskiego 1409

Padło już trzeci tydzień i nie zanosilo się na zmianę pogody. Poprzedni rok nie był lepszy. Wszyscy mówili, że jeśli będzie wojna, to przez te deszcze.

Zeszłej wiosny na niebie zapłonęła kometa. Długo się przyglądała krakowskiej ziemi, ale potem pognęła na wschód ku Litwie. Ludzie różne czynili z tego wroźby, ale ostatecznie rację mieli ci, co przewidywali ulewne deszcze, które miały zatopić uprawy i sprowadzić wielkie nieszczęście na litewskie ziemie. I powodzie rzeczywiście przyszły. Ci, co do Wilna na handel szli, opowiadali, że łatwiej tam teraz po polach i drogach żeglować, niż chodzić. Woda całkiem zniszczyła jesienne i wiosenne zasiewy zbóż. Ludziom w oczy zajrzała klęska głodu.

Podobno wysłannicy Witolda uzyskali u Jagiełły obietnicę pomocy i właśnie wysłano z Polski na Litwę statki ze zbożem, które miały płynąć Wisłą do Torunia, a potem Nogatem, Zalewem Wiślany i dalej drogą wodną aż do Kowna.

Zmęczony chłodną i nieprzespaną nocą wstałem wcześniej i zabrałem się do rozpalania w piecu w głównej izbie. Musiałem to robić sam. Służąca, którą przed laty nająłem, stała się moją nałożnicą, potem sprowadziła swoje dzieci i teraz nigdy nie wstawała przede mną, a w taką pogodę jak dziś wylegiwała się do południa. Nigdy nie umiałem właściwie postępować ani z niewolnicami, ani ze służącymi.

Obmyłem twarz zimną wodą. Dorota, bo tak miała na imię moja służąca, i jej dzieci jeszcze spały. Ponad szum deszczu wybijał się łoskot wody wypływanej z gargulców i uderzającej ciężko o ziemię.

Na Rynku powoli zaczynał się poranny ruch. Nie musiałem otwierać okien, by się o tym przekonać. Kazałem oprawić w ołów najlepsze szkło w Krakowie. Wydałem na nie fortunę, ale możliwość patrzenia na ulicę bez wystawiania głowy na zewnątrz była warta każdych pieniędzy. Zwłaszcza w tym kraju. Obserwowałem przez chwilę, jak w poświacie mglistego poranka krople wody wędrują po grubych szybkach. Uwijały się jak żywe.

Rynek już dawno zamienił się w bajoro. Pierwsi kupcy wędrowali po naprędcie ułożonych chodnikach do swoich kramów. Padło czy nie, miasto i tak za chwilę zapełni się ludźmi.

Ta nieprzespana noc to wina nie tylko hałaśliwego deszczu i chłodu. Do późna rozmawiałem z Adamem Rojkiem, teraz już rajcą miejskim. Dociekliwa natura i urzędowa funkcja w radzie miasta sprawiły, że to chyba najlepiej poinformowany człowiek w Krakowie. Miał dużo do powiedzenia i przyniósł same złe wieści. Najgorszą z nich była ta, że naprawdę nadciągała wojna.

Narzuciłem gruby koc na ramiona i udałem się do izby, gdzie urządziłem pracownię. Otworzyłem flakon z inkaustem, sięgnąłem po pióro. Tym razem nie zamierzałem sprawdzać rachunkowych ksiąg, choć powinienem. Kładąc się do łóżka, obiecałem sobie, że wrócę do pisania kroniki. Skoro idzie wojna, trzeba uzupełnić zapiski. A potem zamknąć kartki do skrzyni, skrzynię owinąć w skórę nasączoną woskiem i zakopać głęboko w ziemi, tam gdzie nie sięgnie wojenna pożoga.

Zaniechałem pisania pamiętnika dziewięć lat temu. Jesienią roku Pańskiego 1399. To był

przeklęty rok.

Przeklęty rok 1399 rozpoczął się w Polsce pogodnie: ogłoszono, że królowa Jadwiga jest przy nadziei. Nastąpił czas radosnego oczekiwania na dziedzica Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Radość nie trwała długo. 13 lipca, kilka tygodni po rozwiązaniu, zmarło dziecko, dziewczynka, a cztery dni później – matka, Jadwiga. Kraków i cała Polska pogrążyły się w żałobie. Królową wraz z córką pochowano w krakowskiej katedrze przy ołtarzu Świętego Erazma i Świętej Brygidy.

W połowie sierpnia w morderczej bitwie nad Worsklą wojska tatarskie rozniosły w pył armię dowodzoną przez Witolda. Poległo wielu polskich rycerzy, w tym księżę zachodniego Podola i wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna. Marzenia Jagiełły o zagarnięciu pod polsko-litewskie panowanie całej Rusi legły w gruzach.

Rojek rwał wówczas włosy z głowy na wieść o klęsce, największej, jaka spotkała ojczyznę za jego życia. Ruskie plemię, mówił, jeszcze wiele krzywd na Polskę sprowadzi. A tak, gdyby Witold zwyciężył nad Worsklą, zająłby ruski tron, potem razem z Jagiełłą Tatarów by na powrót wzięli i polska Korona jeszcze za naszego życia sięgnęłaby Chin.

Jagiełło, pochowawszy Jadwigę, zapowiedział, że zamierza wrócić na Litwę, bo nie przystoi mu przebywać w cudzym królestwie, skoro zmarła jego dziedziczka.

Tego samego lata porzuciła mnie Ayhe. Już wcześniej, gdy tylko dowiedziała się o śmierci Tidemana Stickera, zapowiedziała, że mnie porzuci. Nie mogła mi tego morderstwa wybaczyć. Miałem nadzieję, że z czasem ją przekonam o swojej niewinności, udowodnię, że nie miałem z tym zdarzeniem nic wspólnego. Nie udało się. Któregoś letniego popołudnia wróciłem do pustego domu. Zniknęła na dobre. Po trzech latach wspólnego życia jak mąż i żona! Zniknęła, a ja nie miałem sił jej szukać. Zawsze była jak dziki zwierz, odezwała się w niej saraceńska natura i nic na to nie mogłem poradzić. Domyślałem się, gdzie zamieszkała. Jakoś się z tym pogodziłem.

Tak zakończył się straszny rok 1399.

Ayhe już do mnie nie wróciła, Jagiełło natomiast na Wawelu pozostał. Panowie polscy nie chcieli nawet słyszeć o jego powrocie na Litwę i ponownie złożyli mu przysięgę na wierność.

Jego zasług dla Korony nikt nie ośmieliłby się podważyć. Polska była dzięki mądrej polityce króla zjednoczona wewnętrznie. Jagiełło przyłączył do Korony Ruś Halicką, a Ruś Włodzimierską i Podole otworzył dla polskiego osadnictwa. Układał się z mniejszym lub większym powodzeniem z pomorskimi książętami, by otworzyć dla polskiego handlu morskie szlaki na zachód. Z polskim królestwem zaczęto się liczyć w całej chrześcijańskiej Europie.

Rojek podejrzewał, że całe to straszenie porzuceniem polskiej Korony było tylko sprytną grą, sposobem króla na umocnienie swojej pozycji.

Jagiełło dwa lata po śmierci królowej Jadwigi wystąpił za namową swego otoczenia o rękę wnuczki Kazimierza Wielkiego, Anny, córki hrabiego cylejskiego.

– Baba tęga, z gęby szpetna i sypie jej się wąsik – mówił mi wtedy Rojek. – Widziałem na własne oczy.

– Ale słyszałem, że to dziedziczka królestwa, tak jak Najjaśniejsza Pani Jadwiga. – Szukałem jasnych stron mariażu.

– O tak! Dla Korony to bardzo dobre posunięcie – zgodził się Rojek. – Panowie dworzanie zadowoleni. Bo doradzili, załatwili. Podczas zaślubin gratulowali królowi i sobie politycznej roztropności. Ale spać poszli do swoich żon. A król musiał się zmierzyć z... nie lada wyzwaniem. Wielka musi być wola rządzenia!

Rojek, gdy osiemnaście lat temu zjawił się w domu Jordana, by dawać mi lekcje

polskiego, był ubogim nauczycielem w szkole parafialnej z marnym uposażeniem kilkuset groszy rocznie. Mimo to od pierwszego dnia stał się moim doradcą, źródłem wszelkiej wiedzy o kraju, w którym przyszło mi żyć, i przyjacielem.

W ostatnich latach zrobił niezwykłą karierę. Zawdzięczał ją sędziom, którzy uznali rajcę Andrzeja Wierzyńka za winnego kradzieży pieniędzy z kasy ratuszowej, oraz katu, który w sobotę 4 września 1406 roku jednym ciosem topora odrąbał malwersantowi głowę.

Rojek, choć nie wywodził się z żadnej patrycjuszowskiej ani nawet średniozamożnej rodziny krakowskiej, został najpierw ławnikiem, potem rajcą. Przyjęcie go do tego szacownego grona było jednym z ukłonów wykonanych przez krakowską radę w stronę gminu. Egzekucja Wierzyńka wywołała potężne wrzenie, wśród którego doszło nawet do antyżydowskich rozruchów. Władze robiły wszystko, by uspokoić nastroje, stąd pomysł powołania nowego składu rady miasta. Wprawdzie miało to być rozwiązanie tymczasowe, ale król nie zamierzał przeprowadzać nowych wyborów przed wielką wojną i tak zostało. Rojek kochał swoje miasto i swój kraj. Był pracowitym i dobrym rajcą. Szybko dorobił się kramu sukiennego, a potem murowanego domu na rogu ulicy Szewskiej i przecznicy prowadzącej do łaźni nieopodal kościoła Świętego Szczepana.

Dorota, wiejska dziewczka dorabiająca w Krakowie jako prostytutka, którą wynająłem kiedyś do politycznej intrygi, zwiedziona instynktem niczym wilczyca zapukała do moich drzwi kilka miesięcy po tym, jak opuściła mnie Ayhe.

Następnego dnia oznajmiła, że nienawidzi wsi i nie zamierza tam wracać, a potem zapytała, czy mam coś przeciwko temu, by ze mną zamieszkała. Nie miałem. Dorota nic nie straciła ze swej dziewczęcej urody, którą tak mnie urzekła przed laty. Poza tym, żyjąc samotnie, potrzebowałem pomocy w domu. Zgodziłem się więc ją zatrudnić jako służącą-nałożnicę. Wśród aragońskich Żydów mieliśmy na to specjalne określenie – *barragana*.

Zgodziłem się też, by sprowadziła swoje dzieci. Szybko je polubiłem. Obiecałem, że kiedy przyjdzie pora, pošlę chłopca, Józka, do szkoły.

A rok później się przechrzcilem.

Jordan, jedyny przyjaciel, jakiego miałem wśród krakowskich Żydów, przyjął to ze zrozumieniem. „Izrael, choć grzeszny, jest wciąż Izraelem”, oświadczył. I nadal traktował mnie jak brata z nadzieją, że kiedyś wrócę do religii przodków.

Formalności poszły sprawnie. Dzięki wpływom Zawiszy na królewskim dworze gmina żydowska nie wniosowała o przejęcie nawet części mojego majątku, choć zgodnie z prawem po mojej konwersji powinien on przejść na jej własność. Szybko też uzyskałem prawo obywatelskie i zwolniono mnie z wszelkich opłat, jakie nakłada się na przechrztów. Stałem się więc *Iudaeus baptisatus*. Otrzymałem na chrzcie nowe imię – Jakub. Ale nigdy go nie używałem.

W nagrodę za konwersję – znów za wstawiennictwem Zawiszy – król mianował mnie swym serwitorem. Niosło to za sobą wiele korzyści. Jak choćby tę, że jako serwitor byłem zwolniony z dziesięciny królewskiej, specjalnego podatku nakładanego na obrót drewnem. Dzięki temu mogłem oferować towar o dziesięć procent taniej niż konkurencja. Kto jednak myśli, że przechrzcilem się z wyrachowania, ten jest w błędzie. Choć nie przeczę, że niepomiernie usprawniło to moje interesy.

Lubiłem kościelną łacinę. Miałem dobre wspomnienia z lat szkolnych, z Saragossy. Mój przyjaciel z tamtych odległych czasów, Joshua, na lekcje łaciny przynosił w skórzanym woreczku kawałki cukru, a nauczyciel pozwalał nam je ssać podczas lekcji. Twierdził, że jeśli nauczymy się wyraźnie mówić z bryłkami cukru w ustach, to bez nich będziemy prawdziwymi oratorami. Do dziś łacina kojarzy mi się ze słodyczą. Zapewne dlatego z taką przyjemnością odwiedzam teraz chrześcijańskie kościoły i uczestniczę w mszach.

Moją matką chrzestną została ciotka Barbara. Byłem jej to winien. Tyle lat mnie do tego kroku namawiała. Niestety, zmarła biedaczka rok później.

Za namową Zawiszy przeprowadziłem się z mieszkania przy Grodzkiej do pustego po śmierci Barbary domu przy Rynku. Zapłaciłem uczciwą cenę za wynajem za kilka lat z góry. Odtąd mogłem siadywać na fotelu przed domem i z wysokości przedproża przyglądać się Rynkowi.

W interesach szło mi nieźle. Początkowo zająłem się handlem suknem, zdecydowanie bardziej lukratywny wydał mi się jednak obrót drewnem. Szybko nawiązałem kontakty z pruskimi kupcami.

Wprawdzie drewna i innych płodów leśnych dostarczały bliższe Prusom dzielnice Polski, zwłaszcza Mazowsze, ale ja skupiłem się na tym, czego na północy brakowało. Skupowałem drewno cisowe i drogą wodną – Dunajcem i Wisłą – spławiałem je do Torunia i Gdańska.

Polskie drewno szlachetne, głównie dęby i cisy, wędrowało dalej na zachód do krajów, gdzie już wcześniej przetrzebiono lasy i gdzie brak surowca mocno dawał się we znaki. Kupcy gdańscy wysyłali moje cisy głównie do wschodniej Anglii, z Londynem i Hull na czele; służyły do wyrobu strzał i łuków dla angielskiej piechoty. Jeśli Anglicy rozprawią się wreszcie z tymi francuskimi niezgułami, będę miał w tym spory udział.

Dorobiwszy się na drzewnym handlu, kupiłem kilka niewielkich tartaków. Wspecjalizowałem się w produkcji klepek, towaru, który zawsze miał zbyt. Klepki to trudny produkt, wytwarzany z najlepszej dębiny przez łupanie kłody, co wymagało od cieśli wysiłku i sprawności. Klepki musiały mieć starannie wygładzone i pozbawione sęków powierzchnie, dlatego wyrabiano je tylko z dolnych partii pni. Klepki najwyższej jakości wysyłałem do Gdańska. Część towaru zużywała tamtejsza stocznia Lastadia, w której budowano kogi i potężne holki, a część gdańscy kupcy ślali dalej w świat.

Tak więc powodziło mi się lepiej, niż na to zasługiwałem. Stałem się zamożnym człowiekiem. Czułem, że Bóg nadal nade mną czuwa, mimo że teraz podchodziłem do niego z innej strony.

Ors, wiosna roku Pańskiego 1409

Giermkowie poturbowanego przez Zawiszę barona pomogli mu się podnieść, otrzepywali go z piasku. Gdy tylko wyniesiono ciało Gabora, kilku z nich szybkim krokiem ruszyło w stronę Zawiszy. Widząc to, zasiadający na widowni polscy rycerze natychmiast wskoczyli na arenę. A w ślad za nimi ruszyli Węgrzy, już trudno było rozpoznać, czy szlachta, czy mieszczenie.

Brat Mikołaj z niepokojem obserwował gęstniejący tłum. Mężczyźni popychali się i pokrzykiwali na siebie. Bójka wisiała w powietrzu. Na czas turnieju nie zakazano noszenia broni, jak zazwyczaj czyniono, więc mogła polać się krew. Żołnierze wyznaczeni do pilnowania porządku otoczyli arenę, żeby rozruchy, jeśli wybuchną, nie przeniosły się na całe Ors. Kilku pobiegło w stronę namiotów po wsparcie.

Musieli coś tam wskórać, bo po chwili rozległ się tętent kopyt. Dwóch stróżów porządku rozsunało ciężkie bariery domykające arenę między trybuną a widownią i na plac, w szykujących się do bitki mężów, wbiło się klinem kilkunastu jeźdźców. Mieli doświadczenie i panowali nad końmi na tyle umiejętnie, że natychmiast rozdzielili tłum na kilka mniejszych grup. Bez dobywania broni, pokrzykując jedynie z wysokości rumaków, powoli studzili rozpalone głowy.

Zakonnik skrzywił się na ich widok. Zbrojni mieli zarzucone na kolczugi tuniki herbowe, na których widniał krzyż ćwiekowy pomiędzy dwoma półksiężycami. To byli ludzie Ścibora ze Ściborzyc, potężnego polskiego magnata, nazywanego królem Słowacji, prawej ręki Zygmunta Luksemburskiego. Znienawidzony na Węgrzech przez wszystkich baronów, w Polsce uchodził za zdrajcę i sprzedawczyka, który oszukał Jagiełłę przy sprzedaży Krzyżakom Nowej Marchii.

Tymczasem na trybunie honorowej też zapanowało poruszenie. Król Zygmunt, gwałtownie gestykulując, mówił coś do siedzących obok baronów i Fryderyka, elektora brandenburskiego. Na ich twarzach widać było podniecenie widowiskiem, ale i rozbawienie. Jakby wzięli śmierć przebierańca i tumult na arenie za część spektaklu.

Sytuacja szybko została opanowana. Herold na polecenie króla Zygmunta zarządził przerwę. Arena i trybuny w kilka minut opustoszały. Ludzie rozeszli się do kramów, głośno komentując zajścia sprzed kilku chwil.

Zawisza wrócił na widownię i ciężko opadł na ławę obok brata Mikołaja. Znów byli sami. Chmury zasłoniły słońce, zrobiło się chłodniej, lekkie podmuchy wiatru podrywały z piasku resztki nadpalonych piór.

– To ważny festyn dla Zygmunta... Ktoś najwyraźniej chciał mu go popsuć... – odezwał się brat Mikołaj.

– Tak sądzisz? – Zawisza przyglądał się poparzonym dłoniom. Otwierał je i zamykał.

– Bołą?

– Dopiero zaczną... – odparł rycerz. – Baronowie chcieli się królowi przypodobać. A on elektorowi. Spalili królowi dla uciechy stwora z piekła rodem. Fryderyk pochodzi ze szwabskiego rodu, oni tam lubią palić ludzi. To była część widowiska. Zwykły turniej wszystkim się opatrzył.

Zawisza oparł się plecami o poprzeczną belkę oddzielającą rzędy trybun i rozłożywszy

ramiona, ostrożnie położył na niej dłoń.

Kilka lat temu król Francji Karol VI otarł się o śmierć, gdy podczas balu na jego dworze zapaliły się kostiumy z pierza i smoły, które miał na sobie on i jeszcze kilku jego dworzan. Król ponoć popadł po tym wszystkim w obłąd. Cała sprawa odbiła się głośnym echem na wszystkich europejskich dworach, także w Budzie. Może ktoś tu chciał powtórzyć ów słynny *Bal des ardents*?

– Mówiłeś coś o rozkazie...

– Wiesz, po co tu przyjechałem? – Na nalanej, jowialnej twarzy brata Mikołaja odmalowało się napięcie. – Z kim mam się spotkać?

Zawisza spojrzał na niego pytająco.

– Z tym, którego przed chwilą włóczyłeś po ziemi. Z Janem Garą. Szykuje się małżeństwo Gary z Jadwigą, Piastówną, córką Siemowita – wyjaśnił zakonnik.

– Słyszałem. Dwór tu huczy od plotek...

– Pośredniczy osobiście królowa Barbara, żona Zygmunta – ciągnął brat Mikołaj. – Mariaż ma silne poparcie Jagiełły. Król liczy na poprawę stosunków z baronami, a przez to z Zygmuntem. Chce go odciągnąć od sojuszu z Krzyżakami. Gara ze wszystkich baronów najczęściej zasiada przy królewskim stole. – Mikołaj westchnął. – Musiałeś akurat z niego zrywać płaszcz?

– To pewno jego ludzie podpalili chłopaka. Stał tam, żeby wszystkiego dopilnować.

Brat Mikołaj potrząsnął głową.

– Wątpię. Ale nawet jeśli... to co z tego? To był zwykły stajenny! A ty zhańbiłeś barona na oczach dworu!

Zawisza uniół dłoń z oparcia i syknął z bólu.

– Jutro się z nim potykam – oznajmił.

– Wiem – odparł zakonnik.

– To on mnie wyzwał. Nie mogę się doczekać!

– Wiem. Ale masz poparzone dłonie. Jak utrzymasz kopię?

– Z Bożą pomocą...

Mikołaj obrzucił rycerza poważnym wzrokiem.

– Zygmunta potrzebuje poparcia Krzyżaków w starciu o niemiecką koronę. Zamierza ich wesprzeć w wojnie z nami. Jego wysłannicy i dyplomaci zakonu właśnie opracowali plany rozbioru Polski. Musimy coś zrobić, żeby tego nie podpisali.

– Znamy szczegóły? Co jest w tych planach?

– Krzyżakom ma przypaść cała Litwa, Żmudź, ziemia dobrzyńska i Kujawy. Zygmunta ma zagarnąć Ruś Czerwoną, Podole i Mołdawię. To tylko pierwszy krok. Potem chcą podzielić całą Polskę.

Kramarz serwujący z wozu gorące placki głośno szarpał się z jakimś mieszczuchem. Brat Mikołaj odwrócił się przez ramię. Na jakiś czas pogrążył się w milczeniu. Jego profil, poważny, strapiony, na tle piaszczystej panoramy Ors przypominał Zawiszy wizerunek świętego Tomasza z kościoła Macieja w Budzie.

– Krzyżacy oferują Zygmunтови pokrycie kosztów zaciągu trzydziestu tysięcy zbrojnych... – odezwał się w końcu.

– Nie uda mu się tylu wystawić – mruknął Zawisza.

– Niech zbierze połowę! Niech wystawi dziesięć tysięcy! Na dwa fronty nie podołamy.

Zawisza patrzył na swoje dłonie, nie odpowiadając.

– Powtarzam: Wawel rozpaczliwie szuka sposobu zablokowania porozumienia Zygmunta z Krzyżakami. I chce to zrobić przez baronów. Bo to oni mają decydujący głos. A najważniejsza

z baronów to Jan Gara.

– A jeśli Wawel myli się co do króla Węgier? – zapytał Zawisza. – Luksemburczykom nie na rękę tak silne Prusy.

– Do tej pory takie w Krakowie było myślenie. Że Zygmunt popiera Krzyżaków jedynie na papierze. A w polu już Krzyżacy nie mają co na niego liczyć. Że Węgrzy po klęsce pod Nikopolis mają na karku Turków i chcą z nami pokoju. Że Zygmunt bierze od sojuszników jak najwięcej, by w zamian dać jak najmniej – wyliczał Mikołaj. A potem dodał: – Jeszcze rok temu tak może i było. Ale odkąd rozpoczęło się polowanie na koronę Niemiec, Zygmunt zachowuje się jak obłąkany myśliwy. Ta korona to jego obsesja! A wie, że bez poparcia zakonu jej nie dostanie.

Z głosu zakonnika przebijała troska i Zawisza w nią uwierzył.

– Do tego w Malborku widzą – ciągnął brat Mikołaj – że Polska z roku na rok silniejsza. Gotowa wystawić potężne siły, kto wie, czy już nie potężniejsze od krzyżackich. Boją się tego. Zrobią wszystko, żeby zmusić Zygmunta do działania. Rozumiesz? Wszystko!

– A zatem? Co z tym rozkazem? – przypomniał Zawisza.

– Zdaniem Wawelu kluczem do sojuszu z Zygmuntem są baronowie.

– Już mówiłeś.

– Gara to arogancki pyszałek. Jeśli go jutro ośmieszysz przed całymi Węgrami, on też może się od nas odwrócić.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał w końcu Zawisza.

– Masz jutro przegrać z Garą!

Zawisza targnął głową z oburzenia.

– Czyje to rojenia? Przywiozłeś to z Wawelu?

– Od Tęczyńskiego...

Zakonnik zebrał w sobie resztki odwagi i dodał:

– Gara to chełpliwy, napuszony paw, niech będzie. Ale...

– Wszystko w jego rękach, tak?

– Cieszę się, że w tym jesteśmy zgodni.

Zakonnik pochylił się, splótł dłonie, oparł łokcie na kolanach i przemówił jak spowiednik do grzesznika:

– Jesteś mi jak syn. Dlatego mnie wysłali. Dużo jest do ciebie pretensji na Wawelu za samowolę. Rycerstwo cię miłuje, dlatego wiele ci się wybacza. Ale jesteś na służbie, na Chrystusa! Zrób, co ci każe Tęczyński! – Mikołaj coraz bardziej podnosił głos. – Do kroćset! Porzuć dumę i zrób to dla króla. Dla ojczyzny! Proszę!

Zawisza nic nie odpowiedział. Powoli podniósł się z ławy i bez słowa ruszył do wyjścia z trybun.

Ors, wiosna roku Pańskiego 1409

Brat Mikołaj również opuścił trybuny. Podeszedł do areny, oparł się łokciami o szranki. Myślami powrócił do rozmowy sprzed chwili. Wyrzucał sobie, że mimo starań, wcześniejszych wewnętrznych postanowień, przekazał rozkaz w formie prośby. Argumentował, zaklinał, ale prosił. A przecież powinien był mówić sucho, bez emocji.

Znał Zawiszę niemal od kołyski, a wystarczyło jedno jego surowe spojrzenie, by zakonnik przemienił się w rozdygotanego petenta. Trwa wojna, Zawisza jest żołnierzem winnym posłuszeństwo przełożonemu, którym król mianował Tęczyńskiego. Zawisza i starosta podolski patrzyli na siebie spode łba. Jak ich ze sobą pogodzić? Co zrobić, żeby nie poranili siebie i nie zaszkodzili Koronie?

W kwestiach dotyczących bezpieczeństwa kraju rycerz winien zwracać się do Tęczyńskiego, a dopiero ten miał prawo iść do króla, jeśli uznał to za stosowne. Tymczasem Zawisza korespondował i wiele spraw omawiał bezpośrednio z Jagiełłą, lekceważąc starostę, co doprowadzało tego ostatniego do rosnącej irytacji.

O ile rycerstwo widziało w Zawiszy bohatera, pogromcę Saracenów, wielkiego wojownika wiernego ojczyźnie, o tyle w szeregach wywiadu, którym kierował teraz Andrzej Tęczyński, Zawiszę postrzegano jako wichryciela, człowieka dwóch monarchów, kogoś z zewnątrz, komu nie można do końca zaufać.

Tęczyński zaczął już nawet publicznie rozgłaszać, że Zawisza jest całkowicie oddany węgierskiemu królowi i sowiec przez niego opłacany. Że bardziej nastawia ucha na rozkazy z Budy niż z Wawelu.

I rozpuszczał jeszcze jedną plotkę. O romansach Zawiszy z którąś z dwórek królowej Barbary węgierskiej, jakąś wpatrzoną w niego młodką. Wierzyć tym pogłoskom?

Zawisza miał zjednać dla Polski węgierski dwór. Sprawny poseł może wiele. Od kogoś takiego jak on – domownika obu monarchów – można oczekiwać czegoś więcej niż uwodzenie dwórek i konfliktowanie się przez to jeszcze bardziej z baronami. Otoczenie króla chciałoby go widzieć ustatkowanego... W Polsce winien szukać drugiej żony!

Nagle Mikołaj kątem oka dostrzegł błysk – migotliwe odbicie promieni słonecznych na kawałku stali. Dwa kroki na lewo zobaczył sztylet wbity od wewnątrz w jeden z pionowych słupków ogrodzenia. Zakonnik wyprostował się, rozejrzał wokół. Nikt nie interesował się ani nim, ani pustą jeszcze areną. Nikt też nie dostrzegł pobłyskującego ostrza. Zakonnik podeszedł do słupka, stanął na palcach, przewiesił się przez ogrodzenie, co nie było proste przy jego tuszy, i jednym szarpnięciem wyciągnął długi i cienki sztylet.

Brat Mikołaj od dwóch pacierzy błędził między kramami w poszukiwaniu Zawiszy. Pot strużkami spływał mu po plecach od wysiłku i emocji. Wreszcie dostrzegł Sulimę siedzącego przy jednym ze stołów. Z westchnieniem ulgi podniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę. Zawisza go dostrzegł i odpowiedział przyzywającym gestem.

– Myślałem, że mam cię z głowy na dziś. Czego jeszcze? – zapytał rycerz, gdy zasapany zakonnik ciężko opadł na ławę.

– Czy ten stwór w pierzu, ten przebieraniec, był ci bliski?
– Już ci mówiłem, to stajenny, opiekował się moimi końmi – odparł Zawisza.
– Tylko tyle?
– Był mi przyjacielem.
– Bliskim?
– Trzymałem do chrztu jego syna. Dlaczego pytasz? – Przesunął kufel po blacie w stronę zakonnika. – Piwa?

Mikołaj pokręcił głową. Wydobyl z kieszeni habitu zgrzebne płótno, rozwinął je, odsłaniając sztylet z długą, cienką głównią.

– To mizerykordia.
– Widzę. Mam się nią pokłuć? Teraz czy przed turniejem?
– Taką samą znaleziono wbity w drzewo... tam gdzie zamordowano Hannę.
Zawisza gwałtownie wstał od stołu, rozlewając piwo.
– Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, bracie...
– Taka sama toledańska stal – ciągnął Mikołaj ponurym głosem. – Prosty szlachetny kształt, ale to bardzo staranna robota.
– Każda mizerykordia...
– Te mają taką samą rękojeść, z rogu jelenia – przerwał mu zakonnik. – I ten sam napis: „SSGG”.

Zawisza wziął broń do ręki. Uważnie się jej przyglądał. Przesuwał palcami po wygrawerowanych literach.

– „SSGG”? Co to znaczy?
– Nie wiem.
Zawisza oddał mu sztylet.
– Zwykły przypadek...
Mikołaj zacisnął wargi, a potem powiedział:

– Jest jeszcze coś...
Zamilkł na dłuższą chwilę, jakby nie umiał znaleźć słów. Zawisza zmarszczył brwi i rzucił poirytowany:

– Mówże człowieku!
– Kurt von Ruden... Znaleźli go powieszzonego. – Zakonnik zadygotał jak galareta, nie umiał tego powstrzymać. – Znalazła go ta piwowarka, Marta...
– Jak to możliwe, jak to się stało? – spytał głucho Zawisza.
– Długo nie było go w Gdańsku...
– Był w Świdnicy! Pisał do mnie!
– Wrócił późną jesienią – powiedział cicho Mikołaj. – Na drugi dzień po powrocie...
Marta dowiedziała się od jego matki, że wrócił, i poszła do browaru Rudenów. Kurt już nie żył. Ktoś go powiesił. I zobaczyła...

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję! Czemu nic nie wiedziałem! Minęło...
– Ponad pół roku – dopowiedział Mikołaj. – Gdy ta wieść do mnie doszła, ty już wyjechałeś z Niepołomic. Nie chciałem ślać gońca aż na Węgry. Miałem nadzieję, że wpadniemy na jakiś trop... Wybacz. Wiem, ile on dla ciebie znaczył...

Zawisza opiekował się Kurtem po śmierci jego ojca. Czuł się za tę śmierć odpowiedzialny. Obiecał Bogu i sobie samemu, że odkupi winę, otaczając chłopaka opieką.

Marta zobaczyła mizerykordię wbity w beczkę, którą mu wysunęli spod nóg. Zanim przyszli strażnicy, schowała nóż... Pomyślała, że to może coś znaczyć. Chyba Bóg ją natchnął.

Zawisza nabrał głęboko powietrza w płuca, starał się nad sobą zapanować.

– Widziałeś ten nóż?

Mikołaj skinął głową.

– Taka sama mizerykordia. I te same litery „SSGG”. Wiem, że to straszne. Wtedy uważałem to za ponury zbieg okoliczności, ale teraz mam już pewność, że to nie był przypadek.

Rycerz postawił wywrócony dzban.

– Przejdźmy się – zaproponował.

Znaleźli się w tłumie ludzi chodzących od jednego kramu do drugiego. Kilka razy zaczepiły ich dziewczęta w kolorowych i podniszczonych sukniach. Dzieci z płaczem błagały matki o smakołyki albo wrywały się i wbiegały między rycerskie namioty, żeby przez uchylone płachty podejrzeć, co dzieje się w środku.

– Na Boga! Co to znaczy? – odezwał się Zawisza. – Ktoś się na mnie mści? Kto? Wywiad? Tęczyński?

Mikołaj potrząsnął głową z oburzenia.

– Oszalałeś!?

– No to kto? Krzyżacy? Węgierscy baronowie?

– Raczej nie Krzyżacy... Baronowie też nie. Nie posunęliby się do czegoś takiego.

– To musi mieć jakiś związek z wywiadem – upierał się Zawisza. – Tak samo ginęli kupcy... Pamiętasz? Też na początku nikt nie widział w tym logiki...

– Hanna, potem Kurt, teraz ten stajenny... Ktoś... bardzo dużo o tobie wie. Garbów, Gdańsk, Buda. Szmat drogi do pokonania. I te mizerykordie... Najprzedniejsza toledańska stal, wyrafinowana, kosztowna rzecz... Ktoś się starannie przygotował i zadaje sobie sporo trudu.

Ors, wiosna roku Pańskiego 1409

Konstancja wywodziła się z bogatego i wpływowego rodu Szafranców. W latach wczesnej młodości przebywała u boku królowej Jadwigi jako jej dwórka. Należała do najbardziej zaufanych szpiegów Jagiełły. Chyba tylko Zawisza cieszył się tak dużym zaufaniem króla.

W roku 1397, po spektakularnym sukcesie, jakim okazało się zdemaskowanie Tomasza z Węgleszyna jako krzyżackiego szpiega, a potem utworzenie w zakonnych Prusach propolskiego bractwa rycerskiego pod nazwą Towarzystwa Jaszczurczego, oba działa wywiadu: królewski i ten kierowany przez Jana Tęczyńskiego, zostały połączone oficjalnie w jeden organizm.

W tym samym roku kariera Konstancji w królewskich tajnych służbach dobiegła końca. Poślubiła Jakuba Koniecpola, palatyna sieradzkiego należącego do kręgu najbliższych doradców i stronników Władysława Jagiełły. Weszła w rolę wiernej żony i troskliwej matki.

Wychowała jednak godną następczynię.

Rykxa była najmłodszą córką kuchmistrza królowej Jadwigi, Jakusza z Boturzyna. Człowieka nisko urodzonego, posiadającego za to niepospolite talenty organizacyjne. Gdy na Wawel przybywały ważne osobistości, odpowiedzialność za kulinarną stronę przyjęcia brał na siebie Jakusz. Na dworze Jadwigi powierzano mu najróżniejsze zadania. Występował nawet w funkcji kanclerza królowej, gdyż sprawnie władał piórem, znał biegle łacinę, niemiecki i węgierski.

Wszystkie te umiejętności i talenty odziedziczyła po nim najmłodsza córka, Rykxa, ochrzczona tak na cześć polskiej księżniczki, wnuczki Bolesława Krzywoustego, która została hiszpańską cesarzową.

Jakusz cieszył się zaufaniem zarówno królowej, jak i króla. Ponieważ królowa posiadała przywilej dobierania sobie fraucymeru, Rykxa szybko znalazła się w gronie kilkunastu panien, które towarzyszyły młodej Jadwidze przy wykonywaniu różnych posług związanych z codziennym życiem monarchini. Uczyla się dworskich manier, z bliska obserwowała wawelskie koterie i intrygi.

Konstancja, poznawszy się na niezwykłych talentach dziewczyny, szybko wciągnęła ją do tajnej służby. Rykxa okazała się nader pojętną uczennicą. W wielu aspektach przerosła nawet swą mistrzynię. Choć Bóg obdarzył ją olśniewającą urodą, nie wyszła za mąż. Z pasją poświęciła się służbie dla Korony i... romansowaniu.

Rykxa, podobnie jak kiedyś Konstancja, zakochała się w Zawiszy. I tak samo jak jej mentorka dała asumpt do plotek.



W roku 1407 Klemens z Moskorzewa, były podkanclerzy Korony, ochmistrz dworu królowej, rozpętał na Wawelu piekło.

Oskarżył Annę Cylejską, drugą żonę Jagiełły, o niewierność. Jako jej kochanków wskazał

trzech rycerzy: Jakuba z Kobylan herbu Grzymała, Mikołaja z Chrzastowa herbu Strzegomia oraz Andrzeja z Tęczyna herbu Topór.

Ten ostatni był nawet widziany podczas sekretnego spotkania w jednej z prywatnych komnat królowej na wawelskim zamku.

Andrzej Tęczyński, od lat związany z dworem królowej, piastował w owym czasie urząd podstolego krakowskiego i starosty podolskiego. Po śmierci ojca, wielkiego Jana z Tęczyna, jednego z panów krakowskich, przejął po nim zwierzchnictwo nad tajnymi służbami Korony.

Oskarżenie o romans z królową odrzucił, ale na wszelki wypadek na jakiś czas usunął się z dworu. Mikołaj Chrzastowski nie był tak znaczącą osobistością, nie dysponował dość silnym politycznym orężem, by się bronić, i udał się na wygnanie. Do więziennej celi na czas rozstrzygnięcia sprawy trafił jedynie Jakub Kobylański.

Na Wawelu zgodnie uznano, że winą za wywołanie skandalu należy obarczyć krzyżackich dyplomatów i ich zauszników na polskim dworze. Dla zakonu rosnąca w siłę dynastia na krakowskim tronie stanowiła wielkie zagrożenie i Krzyżacy gotowi byli na wszystko, by ją osłabić. Nie ukrywali też wrogości do Anny Cylejskiej, wnuczki Piasta Kazimierza Wielkiego, najsławniejszego polskiego króla.

Oficjalnie więc zaprzeczono wiarołomstwu królowej i natychmiast zabrano się do ukręcenia łba sprawie. Zajął się tym sam Tęczyński. Użył swoich wpływów, a także siły, jaką dawał wywiad. Wyszedł z cienia, by sprawnie pokierować akcją. Szybko oczyścił z zarzutów siebie i pozostałych dwóch oskarżonych. Musiał tak postąpić, gdyż ród hrabiów cylejskich słynął z rozwiązłości. Krążyły niezwykle opowieści o tym, co wyczyniała Barbara, żona Zygmunta Luksemburskiego, kuzynka Anny, uważana za największą rozpustnicę, jaką widział węgierski dwór. Nie można było dopuścić do rozpowszechnienia się plotki, że Anna, królewska małżonka, również odziedziczyła tę skłonność.

Wszystko rozstrzygnęło się podczas zjazdu w Niepołomicach, gdzie w obronie królowej wystąpił Mikołaj Kurowski. Rozprawa sądowa, jaka odbyła się wkrótce potem, była już formalnością: królowa została całkowicie oczyszczona z zarzutów. Główny oskarżyciel, Klemens z Moskorzewa, musiał wyrokiem sądu wejść pod ławę i szcękając jak pies, odwołać rzucone oszczerstwa. Został ośmieszony, upokorzony, a wkrótce potem usunięty z tego świata. Sprawców zabójstwa Klemensa z Moskorzewa nigdy nie wykryto.

Tak więc najpierw uznano całą sprawę za polityczną, a potem z tych samych politycznych względów ją wyciszono. Cnota królowej musi być nieskalana.

Król chciał jednak poznać prawdę.

Rykxa z osobistego, objętego ścisłą tajemnicą polecenia Jagielly została wprowadzona na dwór królowej Anny w charakterze dwórki. Miała zdobyć dowody na niewinność lub winę królowej i mieć na nią baczenie.

Jagiello pod wpływem skandalu postanowił zatem złamać przyrzeczenie dane jeszcze Janowi z Tęczyna, ojcu Andrzeja, i wskrzesić do życia drugi wywiad, podległy tylko królewskim rozkazom. Powołał kilku ludzi ze swego najbliższego otoczenia, w tym Ryksę i Zawiszę, oraz najbardziej zaufanych łowców. Ta wąska grupa miała tak jak kiedyś realizować najważniejsze i najtrudniejsze zadania wywiadowcze, a także takie, o których król nie chciał informować ani Tęczyńskiego, ani swych najbliższych doradców.



Rozstawszy się z bratem Mikołajem, który musiał wracać do Budy, by tam, w królewskim pałacu, w towarzystwie jurystów, ustalać szczegóły ślubu Gary z Piastówną,

Zawisza przechadzał się wśród namiotów i kramów, wypatrując Ryksy. Wreszcie dostrzegł grupę polskich dwórek idących ocienioną ścieżką na skraju lasu okalającego turniejowe pola.

Ruszył szybkim krokiem w ich stronę.

Rykxa dostrzegła go, dała znak żołnierzom, którzy towarzyszyli damom dla ochrony, by nie zatrzymywali rycerza. Ten złożył ukłon dwórkom. Dwie niewiasty, których Zawisza jeszcze nie znał, zapewne nowe na dworze, dygnęły uprzejmie. W ich oczach rozbłysła ciekawość. Ruszyły przodem.

Rykxa i Zawisza odczekali, aż odeszły kilka kroków.

– Rykso, jakże się cieszę, że cię widzę!

– To ma być powitanie? Nic więcej?

– Nie widzisz w moich oczach zachwyty?

Chwilę uważnie mu się przyglądała.

– No, coś widzę. Ale bywało lepiej...

– Bywałaś młodsza...

– No coś takiego! – Rykxa udała oburzenie. – Miło, że podbiegłeś do nas, by mi to powiedzieć. Chyba jednak wezwę strażę.

Zawisza ujął jej dłoń i ucałował. Wyglądała czarująco.

– Jest zgoda na akcję w Malborku. Tak jak ci zapowiadałem. Jesteś gotowa?

Rykxa nabrała głęboko powietrza w płuca.

– A jednak... – odpowiedziała dopiero po chwili.

– Boisz się?

– Wysłałam w wprawy. Dawno tego nie robiłam...

– Pora sobie przypomnieć.

– ...i wiodę cnotliwy żywot dwórki.

– Akurat o tym różnie mawiają...

Potrząsnęła głową ze złości.

– Stajesz się plotkarzem. To żalosne! Martw się o królową. Bo to już nie żarty.

– Coś ciekawego się dzieje?

– O tak. Bardzo dużo plotek. Ale nie teraz o tym.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Kto przeprowadzi akcję w Malborku?

– Król wszystko Tęczyńskiemu wyjawiał i jemu zlecił przygotowania.

– Nie lubię, kiedy wie za dużo ludzi. Jakbym się nago kąpała na oczach chorągwi.

– Nic nie poradzę.

– Co teraz?

– Czekaj rozkazów. Jaroch odwiedzi cię w Krakowie i przekaże instrukcje.

Szli chwilę w milczeniu.

– Mów o królowej! – poprosił rycerz.

– Mówiłam, że wolę nie teraz. – Westchnęła. – Co chcesz wiedzieć?

– Jak się miewa.

– Znakomicie...

– Już coś masz dla króla?

– Jeszcze nic pewnego.

– Czego mu nie mówisz?

– Wygląda na to, że Tęczyński spotykał się z królową, potajemnie, na osobności... – zawiesiła głos. Potem dodała. – I robi to nadal. Ale nie na Wawelu, ale tu, w Budzie.

– Chryste Panie!

– Chrystusa Pana do kompanii nie wzywają.
– Jak to możliwe? Ona jest...
– Proszę cię! – wpadła mu w słowo. – Nie kończ. Nie znoszę tych wszystkich samców o gorącym oddechu, którzy liżą jej...

– Teraz ty przesadzasz!
– ...którzy płaszcą się przed nią na dworze, a za plecami wysmiewają! – syknęła wściekła.

Zawisza uniósł ręce w przeproszającym geście.

– To pewne?

– Mówiłam, że nie. Wciąż nie wykluczam krzyżackich szczurów.

– A twoim zdaniem?

– Coś jest na rzeczy.

Zawisza się skrzywił.

– Tęczyński nie robiłby tego pod twoim bokiem.

Chwilę szli w milczeniu.

– Na Wawelu zachowywali ostrożność, ale pod skrzydłami Cylejskiej węgierskiej czują się swobodniej. Wiem, kto to może potwierdzić! – Odwróciła głowę tak, by spotkać jego spojrzenie. – Domyślasz się?

– Mów!

– Pewna Węgierka. Dwórka królowej Barbary. Zna wszystkie sekrety swojej pani. Obie kuzynki Cylejskie podobno kryją siebie nawzajem. I tę dwórkę widują często u boku sławnego polskiego rycerza...

– Teraz ty rozsiewasz plotki!

– W każdym razie pochwalam.

– Co?

– Wybór kochanki. Wszystkie dwórki chcą cię mieć w swoim łożu. A ty wybrałeś tę jedną. Nie mogłeś celniej trafić... – Ujęła jego dłoń. Była szorstka i ciepła. – Pomóż mi, a będziemy mieć Tęczyńskiego w garści.

– Mówię ci, że to bzdury!

– Za to cię zawsze podziwiałam. Dbasz o reputację niewiast.

Zawisza prychnął zniecierpliwiony.

Znów szli w milczeniu. Dwórki co jakiś czas pod byle pretekstem zerkały za siebie. Sławny rycerz budził ciekawość. O tragicznej śmierci jego pięknej żony rozprawiano na polskim i węgierskim dworze. To przydało mu jeszcze powabu.

– Mówiłeś, że Tęczyński wie wszystko o akcji w Malborku. Czy to koniec naszej grupy? Krótko trwało...

– Nie. Mam do wykonania jeszcze jedną misję.

– Kiedy?

– Po Malborku.

– Tęczyński będzie się gniewał?

– Bardzo!

– Co to za misja?

– Ratowania ojczyzny. A cóż innego?

– Nie powiesz mi?

– Nie. Nie masz w niej żadnej roli do odegrania.

Doszli do końca zacienionej alejki. Dwórki przystanąły.

– Powodzenia na turnieju! Poświęcę ci dziś wieczorem kilka gorących modlitw. Jutro

wypatruj mnie na trybunach.

– Tęczyński obmyślił sobie, że mam przegrać z Garą. W ten sposób zjednamy sobie jego przychylność.

Ryksa się roześmiała.

– Naprawdę. To rozkaz... – dodał Zawisza.

– No, rycerzu, rozkaz to rozkaz. I tak rzucę ci jakąś chusteczkę. Nadziej ją zgrabnie na kopię.

Ors, wiosna roku Pańskiego 1409

Po rozmowie z Ryksą Zawisza poszedł do swego namiotu. Opadł na łożo zasłane baranicami. Powoli zapadł zmrok. Nie zapalił kaganka. Leżąc w ciemnościach, wrócił myślami do rozmowy z bratem Mikołajem. Ogarnął go lęk, że grzechy, od których nie był wolny, ściągnęły na niego boży gniew. Najwyraźniej jakiś zły duch kroczył jego śladami, wykuwając zawzięcie kolejne ogniwa łańcucha śmierci.

Zaczął się od zabójstwa Hanny. Rycerz miesiącami zadreślał się, że żona umarła z jego winy. Nie zapewnił jej ochrony, a potem nie potrafił dopaść zabójcy. Śmierć Gabora przyniosła mu nowy ból. Zżył się z tym prostym chłopakiem, umiłował go jak brata. Kurta z kolei traktował jak syna, stawał w roli jego mentora, nauczyciela życia, przewodnika, może nawet ojca. Trzy osoby. Trudno odmówić racji zakonnikowi, że ich śmierci są ze sobą powiązane. Kto je zadał? Dlaczego? Zawisza miał wielu wrogów. Tu, na Węgrzech, nienawidzili go baronowie, ale żaden nie posunąłby się do takich potworności. Krzyżacy? Mikołaj twierdził, że to niemożliwe. Od czasu, gdy osadzono w celi Karola von Lichtensteina, nie miał w zakonie zapiekłych wrogów. I jeszcze te sztylety... Krzyżacy nie zostawialiby po sobie takich śladów. Kto zatem?

Uniosła się zasłona i do namiotu wszedł Jaroch. Zawisza poczuł na twarzy orzeźwiający powiew. Nie znosił duchoty. Kazał rozbić swój namiot w kępie drzew, dzięki czemu słońce nie nagrzewało grubego płótna i nie przemieniało wnętrza w rozgrzany piec. Cóż z tego, że namiot stał nieco na uboczu. Sulima nie tęsknił za rycerską kompanią.

– Panie...

– Gdzieś się włóczył! – burknął Zawisza. – Blachy trzeba przygotować. Mamy jutro sprawę z panem Garą.

– Byłem w stajniach...

Jaroch kucnął przy podróżnych sakwach, wydobyl z nich hubkę i krzesiwo, po czym zapalił knot kaganka.

– Też powinienem się tam przejść... – Zawisza przetoczył się na bok i przez chwilę badawczo spoglądał na giermka. – Mów!

– Gara wynajął kilku Węgrów z okolicznych wiosek. Podobno niezłych rzemiechów. Kazał im cię obić, panie, dziś w nocy, za to, że go włóczyłeś po ziemi, upokorzyłeś na oczach króla i całego dworu.

– Kto ci to powiedział?

– Ci dwaj stajenni, co trzymali z Gaborem. Sami nie chcieli tu przyjść. Boją się barona.

– Skąd to wiedzą?

– Nie chcieli zdradzić. Ale upierali się, że to pewne i że są po twojej stronie...

– Wiem, że są po mojej stronie – przytaknął Zawisza. – I to ma się stać tej nocy? Tu w obozie?

– Najlepsze miejsce! Dziś Zygmunt wydaje wieczerzę dla rycerstwa. Od rana zwożą beczki z winem. Giermkowie też się opiją. Nikt tu przed świtem głowy od posłania nie oderwie. Nasz namiot wśród drzew...

– Bzdura z tym włóczęciem. – Rycerz wstał z posłania. – Gara się mnie boi. – Podeszedł do Jarocha. – Wiesz, że Tęczyński przesłał przez Mikołaja rozkazy, abym jutro podłożył się baronowi?

– Słodki Jezu! – jęknął Litwin.

– Podejrzewam, że sam Gara na to naciskał. A teraz opadł go strach, że nie posłucham.

Jaroch, karny żołnierz, znał wagę rozkazu. Ale ten wydał mu się sprzeczny z boskim prawem.

– Już miałem taką przygodę! – Zawisza skrzyżował ręce na piersiach. – W Aragonii. Też mi chcieli przed turniejem kości pogruchotać. Opowiadałem ci...

Tak, Jaroch znał i lubił tę historię. Bójka w karczmie w San Esteban, podczas której Zawisza żelaznym prętem porozbijał głowy kilku aragońskim najemnikom.

– No to poczekamy na nich – oznajmił rycerz po chwili milczenia.

– Narobię hałasu i...

– Nie! – Zawisza przerwał giermkowi. – To dar z niebios! Przyjmiemy ich godnie. Jak myślisz, ilu przyjdzie?

Jaroch długo nie odpowiadał, w końcu orzekł:

– Myślę, że pięciu. Dwóch wejdzie do środka. Trzech zostanie na zewnątrz do pilnowania.

Zawisza się uśmiechnął. Litwin potrafił odgadywać przyszłość. Już nieraz to udowodnił.

– Myślisz, że wejdzie nie więcej niż dwóch?

– Namiot nie jest duży – odparł Jaroch. – Muszą mieć miejsce, żeby wziąć zamach. Chcą nas zaskoczyć we śnie. Uderzą kilka razy, połamią ci ręce i pójdą.

– Myślisz, że ciebie oszczędzą?

Jaroch pokręcił głową.

– Nie będą ryzykować. Zasztyletują mnie.

– No to niech tak będzie... – zgodził się Zawisza. – Taki los giermków. Teraz chodźmy się napić i coś zjeść. Nie będziemy czekać na gości o pustym żołądku.



Zoltan przyjął zlecenie bez przekonania. Duże ryzyko. Wszystkich rycerzy przybyłych na turniej król uważał za swoich gości. Na samą myśl, że w razie wpadki dostanie się w łapy siepaczy Zygmunta, Zoltanowi cierpła skóra. Ale obiecano mu godziwą zapłatę; potrzebował tych pieniędzy.

Na szczęście namiot polskiego rycerza stał w pewnej odległości od głównego obozu. Zoltan dostał proste zadanie: tuż przed świtem ma wejść do środka, sługę zabić, rycerzowi połamać kości – ręce, nogi, żebra, co się tam nawinie pod kij. Będzie ciemno, więc trzeba tylko uważać, by nie rozłupać mu czaszki. Arpad, człowiek, który zlecił tę robotę, nie chce trupa.

No i trzeba coś z namiotu ukraść. Król na pewno zarządzi dochodzenie, więc to ma wyglądać jak napad rabunkowy. Zoltana to nie przekonywało, dziwił się zleceniodawcy. Arpad brał na siebie duże ryzyko. Król wpadnie we wściekłość. Wydał fortunę na turniej, bardzo mu zależy, aby wszystko wypadło jak najlepiej. Wszyscy wiedzieli, że baron Jan de Gara będzie walczył jutro z tym Polakiem. Napad wyda się podejrzany. Dziwił się Arpadowi, że nie wymyślił czegoś subtelniejszego. Młodszy brat Zoltana, który też szedł na akcję, uważał, że to zemsta za poniżenie Gary podczas wypadku z tym pierzastym stworem. Że to wcale nie Gara, ale jego otoczenie wymyśliło tę zemstę. Polaków panoszących się na Węgrzech nienawidzono. Baronowie poczuli się upokorzeni tym, jak Zawisza potraktował jednego z nich. Może to

i prawda. Ale i tak zrodzi się podejrzenie, że Gara stchórzył. Po co się pchać w coś takiego? Gdyby nie to, że Arpad przez wiele lat pomagał mu podobnymi zleceniami wydobyć z biedy siebie i rodzinę, Zoltan teraz by odmówił.

Węgier pomyślał, że gdyby to od niego zależało, posłałby kilku obwiesiów także na inne namioty. Najmocniejszych napuściłby na Polaka, ale dla zatarcia śladów i odsunięcia podejrzeń od otoczenia barona pozostałym kazałby lekko poturbować kilku innych rycerzy.

W obozie do północy trwała wieczerza. Przed wyruszeniem w drogę Zoltan otrzymał informację, że obaj – Zawisza i jego giermek – biesiadowali do późna i sporo wypili. „Będą spali jak zabici”, Zoltan uśmiechnął się do swoich myśli po raz pierwszy tego wieczoru. Odwrócił się nawet w stronę kompanów, by pochwalić się skleconym naprędce dowcipem, ale w ostatniej chwili tego zaniechał. Nie chciał rozpręgać bojowego nastroju.

Zoltan przyjął rolę dowódcy. Prowadził pięciu ludzi. Trzech zamierzał zostawić na zewnątrz namiotu. Do środka mieli wejść on i jego młodszy brat, biegły nożownik, zaprawiony w takiej robocie, który z pewnością błyskawicznie upora się z giermkim. W tym samym czasie Zoltan miał okładać rycerza masywnym drągiem obitym grubą blachą. Musieli sobie poradzić we dwójkę. Więcej ludzi w środku tylko by sobie przeszkadzało. Kilka sekund i będzie po wszystkim.

Arpad wyrysował na piasku ułożenie pryczy i siennika, zaznaczając, z której strony rycerz kładzie głowę. Po kilku uderzeniach Polak zaczął krzyczeć, mimo to mają nie przerywać, tylko młócić, aż usłyszą pękające kości. Trzech ludzi przed namiotem ma mieć baczenie na okolicę. I w razie czego odciągnąć uwagę ciekawskich. Potem wszyscy mieli jak najszybciej stamtąd uciekać.

Ludzie Zoltana w kwadrans przecięli pasmo lasu okalającego pole turniejowe. Arpad poinstruował ich, którzy mają przesmyknąć się przez ogrodzenie, by nie napotkać wartowników pilnujących obozu. Chwilę odczekali, aż większa chmura przesłoni księżyc. Wreszcie przeskoczyli ogrodzenie we wskazanym miejscu. Pochyleni przebiegli kilkadziesiąt kroków do kępy drzew skrywającej namiot rycerza. Chwilę nasłuchiwali. Z wnętrza dobiegały ciężkie oddechy.

Cały obóz pogrążony był w nocnej ciszy. Trzech ludzi uzbrojonych w kije i noże stanęło przy drzewach. Płachta zakrywająca wejście do namiotu zwisała luźno, niewiązana od środka. Zoltan wziął głęboki wdech i skinął głową w kierunku brata. Ten odpowiedział mu takim samym ruchem i bezszelestnie wślizgnął się do namiotu. Zoltan ruszył zaraz za nim.



Zawisza i Jaroch na jakąś godzinę przed brzaskiem usłyszeli ciche kroki tłumione przez bujną trawę. Zaraz potem w rozchylonej płachcie zasłaniającej wejście ukazały się jedna po drugiej dwie zwaliste postaci.

Plama księżycowego światła na moment rozjaśniła wnętrze namiotu: było widać, jak pierwszy z Węgrów dopada siennika. Zasłona zaraz jednak opadła i namiot pogrążył się w ciemnościach. Rozległ się dźwięk ostrza przebijającego kilka warstw grubej owczej skóry.

Jaroch, który stał przy ścianie namiotu, na prawo od wejścia, postąpił dwa kroki naprzód, wznosił maczugę nad głowę i z całej siły uderzył. Żelazo wprawione w ruch wywołało świst powietrza. Jaroch celował w głowę. I trafił. Rozległ się głuchy trzask pękającej kości. Jakby ktoś rozbił dzban z gęstą smołą.

Drugi napastnik zadał cios w stertę skór imitujących na posłaniu pod kocem leżącego człowieka. W tej samej chwili Zawisza ruszył z kąta namiotu. Nie miał broni. Jeden

z napastników musiał przeżyć. Rycerz wyprowadził cios, nie trafił jednak czysto. Pięść dosięgnęła głowy napastnika, ale przeszła wcześniej po ramieniu, co osłabiło siłę uderzenia.

Węgier zrozumiał, że wpadli w pułapkę. Nie wiedział, co stało się z jego kompanem, ale zapewne przeczuwał najgorsze, bo zamiast podjąć walkę, rzucił się w kierunku wyjścia. Zawisza wyczuł ruch powietrza i instynktownie podniósł nogę. Napastnik zahaczył o nią i całym ciężarem ciała runął na klepisko. Przez moment słychać było tylko sapanie. Żaden z walczących mężczyzn nie wydał z siebie głosu.

Na moment w namiocie znów pojaśniało. To Jaroch uzbrojony w krótki topór wybiegł na zewnątrz. Zawisza skoczył na plecy leżącego. Kolanami przygwoździł mu ramiona, wziął krótki zamach. Tym razem już się nie pomylił. Trafił w skroń i Węgier znieruchomiał. Rycerz syknął z bólu. Wyprowadzając cios, zahaczył knykami prawej ręki o twarde podłoże, zdzierając poparzoną skórę.

Ciężko dysząc, odszukał po omacku krzesiwo, by zapalić kaganek. Skrócił knot, tak by nikły płomień rozjaśnił nieco wnętrze, ale nie przebił się przez namiotowe płótno.

Uniosła się płachta, wrócił Jaroch. Skinął głową na znak, że wszystko załatwione. Odrzucił zakrwawioną broń w kąt namiotu. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach i przez chwilę głęboko oddychał.

Potem przewrócił nieprzytomnego napastnika na plecy, uniósł mu głowę i wlał do ust wina. Węgier zakrztusił się, po czym otworzył oczy.

– Ty ich przyprowadziłeś? – zapytał cicho Jaroch.

Mężczyzna zamrugnął oczami, patrzył przed siebie błędnym wzrokiem. Przez chwilę kiwał głową na boki, po czym znów stracił przytomność.

– Doprowadź go do porządku – polecił Zawisza, kładąc dłoń na ramieniu giermka. – Wyjdę na chwilę. Muszę zaczerpnąć powietrza.

Przed namiotem, pod jednym z drzew, dostrzegł dwa ciała z zakrwawionymi twarzami i rozłupanymi czaszkami. Leżąc obok siebie równo, z twarzami zwróconymi prosto w niebo, ze złożonymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersiach, wyglądali jak dwaj bliźniacy szykowani do pochówku przez kochającą rodzinę. Sulima zawsze podziwiał Jarocha za jego niezwykłą skrupulatność. Ale Litwin się pomylił: na zewnątrz zostało dwóch, a nie trzech napastników. Zawisza potarł twarz dłońmi. Czuł straszliwe zmęczenie. Z wiekiem coraz trudniej znosił nieprzespane noce. Do świtu pozostało kilka kwadransów.

Gdy wrócił do namiotu, Węgier siedział już na podłodze oparty plecami o brzeg łoża.

– Pomyliłeś się – powiedział Zawisza do Jarocha. – Na zewnątrz pilnowało tylko dwóch.

– Trzech tam stało! – zachnął się Litwin. – Ale jeden mi zwiął.

– To jeszcze gorzej! Znaczy, że się starzejesz...

– Nie inaczej, panie...

Zawisza przekroczył ciało napastnika powalonego przez Jarocha. Cios oderwał pół głowy. Posłanie ubrudzone było krwawymi strzępami skóry, kawałkami kości, kępkami włosów. I jeszcze czymś. Zawisza zatrzymał wzrok na kupie szarej galarety, która wylała się z rozbitej czaszki. Aż dziw, pomyślał, że medycy uważają to za siedlisko duszy i rozumu.

– Temu to wybiłeś z głowy zbójowanie na dobre – mruknął do giermka.

Potem kucnął przy Węgrze, który w niemym osłupieniu przyglądał się martwemu kompanowi. Zawiszy zdawało się przez chwilę, że w jego oczach pojawiły się łzy.

– Żał ci kompana? – spytał Zawisza.

Węgier nie odpowiedział.

– Za chwilę oddam cię w ręce mojego sługi – oznajmił rycerz. – On nie zna litości. Ale nie musisz skończyć jak twoi krajanie. Mój giermek... – brodą wskazał na Jarocha – potrafi też

rozmawiać. Chcę ci tylko zadać dwa pytania: jak się nazywasz – to na rozgrzewkę, żebyś nie marudził, że za trudne – i kto cię przysłał – żebyś nie narzekał, że za łatwe. I jeśli mogę ci coś doradzić, to nie kręć i nie przeciągaj tej rozmowy. Dla własnego zdrowia.

– Może od razu go wydamy strażom? – odezwał się Jaroch. – Za napad na turnieju organizowanym przez króla jest sznur.

– Nie, on się namyśli. – Zawisza wstał i zwrócił się do jeńca: – Zanim cię powiesz, sporo wycierpisz. Król wpadnie w szal, gdy się dowie, coś zamierzał. Twój los w twoich rękach. Odpowiedz na pytania, puszcę cię wolno. Zostawiam was.

Zawisza ponownie wyszedł przed namiot. Usiadł pod drzewem, oparł plecy o pień, wyciągnął nogi przed siebie. Zauważył, że jego podeszwy znalazły się w jednej linii z butami truposzy. Nie przeszkadzało mu to, nie był przesądny. Zamknął oczy, potrzebował snu, choćby kwadransa.

Zbudził go odgłos pękającej kości, który trudno pomylić z czymkolwiek innym. Zaraz potem z namiotu dobiegły go stłumione jęki. Nie trwały długo. W końcu ukazał się Jaroch. Usiadł ciężko obok Zawiszy. Obaj patrzyli przez chwilę na kontury obozowych namiotów wyłaniające się powoli z nocnych ciemności.

– Coś mu zrobił? Łamałeś mu kości?

– Tylko w lewej ręce. Prawą mu zostawiłem całą...

– To dobrze. Naucz się pisać, zostanie skrybą.

Jaroch parsknął śmiechem.

– Ten drań zwie się Zoltan. A nasłał go niejaki Arpad.

Zawisza skinął głową.

– Arpad to dworzanin barona.

– Czyli Gara jest skończonym durniem – skrzywił się z niesmakiem Jaroch.

– Powiedz teraz naszemu Zoltanowi, żeby zmykał do wioski i przyprowadził jakichś chłopów. Trzeba uprzątnąć trupy, zanim obóz się zbudzi. I przysypać ziemią krew przed namiotem. Już dnieje. Tylko przekaż mu, że jeśli będzie zwlekał, to straż znajdzie trupy i król każe powiesić całą jego wioskę.

– Wedle rozkazu. – Jaroch skinął głową. – A ty, panie?

– Złożę wizytę naszemu baronowi.

Gdy Zawisza wrócił, wokół namiotu panował porządek. Trupy zostały usunięte, a plamy krwi zamaskowane. W namiocie Jaroch kończył właśnie porządkować swoje posłanie.

– I co z baronem? – zapytał.

– Już wie, że zamierzam go ośmieszyć na oczach całego dworu. — Rycerz ciężko usiadł na posłaniu. — Zapowiedziałem, że za to co zrobił, wysadzę go z siodła. Pewno teraz szykuje dla mnie jakąś niespodziankę... Pędź zatem do tych kamratów Gabora. Niech mają oczy i uszy otwarte.

Jaroch skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Poczekaj! – Zawisza go zatrzymał. – Gdybym po turnieju... musiał tu jeszcze chwilę zabawić, ruszysz od razu do Krakowa. Powiesz królowi, że wszystko idzie zgodnie z planem. Potem udasz się do Aarona i zapowiesz, że się u niego zjawię. Niech nie opuszcza miasta. Nic więcej mu nie mów. Potem skoczysz do Gdańska i przygotujesz grunt. Tak jak było ustalone. Wrócisz i potwierdzisz wszystko Ryksie. Czeka na wskazówki.

Ors, wiosna roku Pańskiego 1409

Zygmunt Luksemburski wstąpił na węgierski tron w roku 1387. W pierwszym dziesięcioleciu panowania był całkowicie uzależniony od woli baronów, członków Rady Królewskiej. Jednym ze sposobów walki z magnacką oligarchią było zaproszenie na królewski dwór grupy cudzoziemców i mianowanie ich na ważne urzędy w kraju.

Wywołało to gwałtowny sprzeciw węgierskich baronów. Niepowodzenia Zygmunta w staraniach o korony czeską i niemiecką ośmieliły ich do podjęcia walki z królem. Magnaci zażądali od Zygmunta pozbycia się cudzoziemców z kraju i odebrania im urzędów, a gdy ten odmówił, został aresztowany i osadzony w więzieniu.

By ratować koronę, Zygmunt poszedł na ustępstwa. Zawarł sojusz z najpotężniejszymi baronami: Garą i von Cillim. W 1408 roku powołał do życia Związek Smoczy, organizację o charakterze bractwa religijnego lub zakonu rycerskiego, w którego skład, oprócz samego Zygmunta i jego żony Barbary, weszło dwudziestu czterech baronów pod przewodnictwem rodów Gara i von Cillich. Z cudzoziemców tylko Ścibor ze Ściborzyc dostąpił zaszczytu udziału w tym gronie.

Król jedynie tym najbardziej uprzywilejowanym dostojnikom mógł powierzać najwyższe stanowiska państwowe. Tylko pozornie wzmocnił swoją pozycję, w rzeczywistości bowiem decyzyjność spoczęła na dobre w rękach węgierskich baronów. Zygmunt zapewnił sobie jednak uspokojenie nastrojów w państwie, co było mu bardzo potrzebne, by móc realizować swoje dynastyczne zamierzenia w Europie. Pragnął tronu niemieckiego, a potem cesarskiego.

Zygmunt uchodził za naturalnego wroga polskiej Korony. Rywalizował z nią o Ruś Czerwoną, o wpływy w Mołdawii i na Wołoszczyźnie, lecz przede wszystkim – chciał odgrywać przywódczą rolę w tej części Europy. Polska wzmocniona unią z Litwą rosła w siłę i stawała się coraz poważniejszą przeszkodą w spełnieniu jego ambicji.

Konflikt zbrojny Polski z zakonem sprzyjał zamierzeniom węgierskiego monarchy. Nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z wojennej zawieruchy.



Od rana w Ors panowały gwar i ścisk. Tłumy ciekawskich wieśniaków i mieszczan mieszały się z kupcami, kramarzami, żonglerami, żebrakami, rzemieślnikami i prostytutkami. Z całych Węgier ścignęli różnej maści oszuści i złodzieje. W nadziei na zarobek przybyli też medycy, muzycy, skrybowie, kowale i wytwórcy kopii.

Mikołaj minął drewniane budynki, gdzie urządzono prowizoryczną jadalnię z dwoma długimi wysokimi stołami do jedzenia na stojąco, oraz budynek łaźni przeznaczony wyłącznie dla rycerzy biorących udział w turnieju. Potem wszedł pomiędzy rozstawione bezładnie namioty, nad którymi zatknięto rycerskie chorągwie. Bezwietrzna pogoda sprawiała, że trudno się było w tym gąszczu odnaleźć. Może jedynie jakiś biegły herold potrafiłby wyłowić herbowe detale spośród fałd oklapłych sztandarów. Do tego bez przerwy potracali go spieszący gdzieś

pachołkowie i stajenni. Ci drudzy prowadzili za uzdy wierzchowce – ogromne, masywne, jakby zeszyły prosto z pomników.

W końcu zakonnik dostrzegł namiot z jasnego płótna, na którym wyhaftowano powtarzający się motyw: obrys tarczy ciętej w pół, a w dolnej połowie trzy kamienie. Namiot znajdował się nieco na uboczu, wśród drzew, które dawały teraz zbawienny cień. Przed nim stała drewniana ława z siedziskiem obciągniętym surową skórą, a na nim leżał rycerski hełm przypominający głowę odrąbaną olbrzymiemu jaszczurowi. Hełm zdobiły czerwone ostrza albo kły odchodzące symetrycznie w górę i w dół od wąskiej szczeliny na oczy. Na hełmie tkwił wykonany z barwionej na czarno skóry połurzeł z rozpostartymi skrzydłami i zwróconą w prawy bok głową.

W namiocie rozjaśnionym bladym światłem sączącym się przez płótno Mikołaj ujrzał Zawiszę: siedział na takiej samej jak przed namiotem ławie, a pochylony nad nim Jaroch mocował kirys z czarnej jak smoła stali.

Rycerz i zakonnik powitali się skinieniem ręki. Jaroch nawet nie podniósł głowy.

Litwin zawsze napawał Mikołaja lękiem i fascynacją. Opowiadano o nim, że uprawia czary i leczy zaklęciami. Pogaństwo wysłał z mlekiem matki, Litwinki. Ale w szachy, choć był z chłopskiej rodziny, ogrywał każdego.

W rogu namiotu stała Ryksa. Oderwała wzrok od rycerza i podeszła do zakonnika, by ucałować go w policzek.

– Bracie Mikołaju, jakże się cieszę!

– Możesz mówić głośniej, niewiasto. Nie jesteśmy w kościele. A ten – wskazał Zawiszę – to nie żaden święty.

– Ubieranie i rozbieranie rycerzy to urzekający widok. Mam ściśnięte gardło, nie mogę mówić głośniej.

Obróciła twarz w stronę siedzącego Sulimy. Jaroch mocował teraz zarękawia i opachy. Potem narzucił na zbroję herbową tunikę. Nogi odziane były jedynie w sukienne nogawice i skórzane buty z przypiętymi już ostrogami. Nie były zbrojone, gdyż miał je chronić rozbudowany przedni łęk siodła.

– Ktoś przed namiotem nadsypał ziemi w kilku miejscach – odezwał się zakonnik. Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, dodał: – Jakby ktoś chciał zamaskować ślady krwi. Mam to drażnić?

– Nie, zostawcie bracie Mikołaju – odpowiedział Zawisza. – Trudny turniej nas czeka.

– W nocy były jakieś napaści na namioty... – Zakonnik nie ustępował. – Kilku rycerzy zostało poturbowanych i obrabowanych. W środku nocy. Straże szukają sprawców. Szykuje się wielki skandal.

– Przespaliśmy noc spokojnie – mruknął Jaroch.

Na zewnątrz rozległ się głos herolda przyzywający rycerzy przewidzianych do dzisiejszych potyczek. Już przed namiotem Jaroch nałożył Zawiszy skórzany czepiec i hełm, przypinając go do zbroi. Potem pomógł rycerzowi dosiąść konia podprowadzonego przez pachołka.

Na niewielkim placu okolonym rycerskimi namiotami zebrała się grupa konnych. Zawisza dołączył jako siódmy. To oni mieli się dziś potykać z grupą węgierskich przeciwników.

Rycerstwo stające na polu bitwy budzi grozę i podziw. Teraz jedynie Zawisza w czarnej tunice i hełmie z groźnie wyglądającym połurzem, na rumaku okrytym czarnym kropierzem, prezentował się godnie. Pozostali przypominali raczej pomyleńców. Emblematy, które poprzytwardzali sobie do hełmów, miały najróżniejsze formy: smok, naga niewiasta, może syrena, coś, co przypominało dzban na wino, jeden z niemieckich rycerzy dumnie prezentował

trzy kielbasy przekłute szpikulcem. Mikołaj pokręcił głową z wyrazem niedowierzania i niesmaku na twarzy. Rozejrzał się wokół, szukając w tłumie podobnych reakcji, ale ich nie dostrzegł. Gawiedź wydawała się oczarowana przepychem uzbrojenia i strojów.

Poczet rycerskich błaznów, poprzedzony dwoma doboszami, dwoma trębaczami i heroldem, ruszył ścieżką między wiwatującym tłumem w stronę turniejowego placu. Ryksa, zamiast zachować pozę statecznej niewiasty, pobiegła za nimi jak jakaś trzpiotka.

Szranki do konnych gonitw zajmowały obszerny plac w kształcie prostokąta liczący sto pięćdziesiąt na sześćdziesiąt kroków. Od południa i północy ograniczony był ogrodzeniem z ostro zakończonych pali, wbitych prosto, jeden przy drugim, ozdobionym malowidłami na barwnym suknie, chorągwiami i herbowymi tarczami.

Za palisadą znajdowała się wolna przestrzeń szerokości dwóch, trzech kroków przeznaczona dla sędziów, giermków, stajennych, herolda i kopijników, którzy już ukończyli zawody lub czekali na swoją kolej. Dopiero za tym pasem ziemi wznosiły się trybuny dla widzów. Nie zważano na status, zamożność, kraj pochodzenia, płeć czy wyznanie. Kto zapłacił – wchodził. Trybuny były wypełnione do ostatniego miejsca i aż trzeszczały pod ciężarem widzów.

Mikołaj wypatrzył w tym tłumie Ryksę i dosiadł się do niej. O ile za Jarochem nie przepadał, o tyle do tej młodej niewiasty żywił prawdziwie ojcowską miłość. Wiele razy zasłaniał ją własną piersią, ratując z opresji. Widząc zdumienie i dezorientację na jej twarzy, zaczął objaśniać poszczególne elementy turniejowej dekoracji.

Sam zamysł spektaklu do ostatniej chwili utrzymywano w tajemnicy. Mikołaj poznał go wcześniej dzięki nocy spędzonej w jednej z budańskich karczem w towarzystwie kilku rzemieślników, którym wydzierżawiono prawo do wzniesienia wszystkich elementów dekoracji oraz trybun w zamian za udział we wpływach z wejściówek. Byli pijani, hojni i rozmowni, bo widząc tłumy w Ors, oszacowali, że inwestycja zwróci się im przez te kilka dni wielokrotnie.

Tak więc po wschodniej stronie stanął drewniany zamek pomalowany na biało-niebiesko. W zasadzie jego fasada – imitacja bramy wjazdowej w kształcie ostrego łuku z dwoma półokrągłymi wieżami bramnymi po bokach; wieże te, niskie, szerokie, zwieńczone blankowaniem, służyły za łożę dla króla i jego gościa, ważniejszych dam dworu i wszystkich dwudziestu czterech baronów, członków Związku Smoczego. Najważniejszy z nich, Jana Gara, szykował się już do pojedynku z Zawiszą i nie zasiadł pośród widzów.

Na lewo od bramy na kamiennej (przynajmniej wyglądała jak z kamienia) kolumnie umieszczono drucianą klatkę, a w niej siedem czarnych wron. Te ponure ptaszyska to demony, czyli dusze rycerzy poległych w szrankach. Zdaniem Kościoła nie wędrowały do nieba, gdyż mężowie samym udziałem w turnieju popełnili wszystkie siedem grzechów głównych.

U podnóża drugiej wieży stała sosna ubrana w złote szyszki.

Od zachodu plac zamykała dziwna konstrukcja – wejście do skalnej groty ziejące czarną czeluścią. Po obu jej stronach płonęły pochodnie w kształcie maczug, jakby zatknięte tam przez olbrzymów. W blasku płomieni srebrzyły się litery ułożone łukiem nad wejściem w napis SALIGIA. Było to przejście do piekła. Z niego mieli się wyłonić rycerze uosabiający owe siedem grzechów głównych: S – *superbia*, czyli pycha; A – *avaritia*, czyli skąpstwo; L – *luxuria*, lubieżność; I – *invidia*, zazdrość; G – *gula*, obżarstwo; I – *ira*, gniew; A – *acedia*, lenistwo. Wszyscy zostali podobno starannie dobrani. Wyzwanie na piśmie doręczył im królewski herold na wiele tygodni przed turniejem. Wystąpią w odwrotnej kolejności, tak aby pokonanie najpodlejszego z grzechów – pychy – mogło uwieńczyć dzisiejszy spektakl.

Ich adwersarze, węgierscy rycerze przebrani w anielską biel, będą symbolizować rycerskie i chrześcijańskie cnoty: czystość, sprawiedliwość, łaskę, męstwo, dworność

i łaskawość. Jest ich sześciu. W siódmej, głównej gonitwie, wystąpi największy spośród węgierskich możnych, sam Jan Gara. Z królewskiej łoży rycerskiej wyczyny barona ma podziwiać jego narzeczona, Piastówna.

W grzech pychy ma się dziś wcielić Zawisza. Podobno nalegał na to sam Gara, który nie znosi Sulimczyka, jak zresztą wszystkich Polaków na Zygmuntowym dworze. Pokonanie Zawiszy ma zwiastować upadek polskiej buty panoszącej się w węgierskiej stolicy. Nawet ci prości stolarze mówili Mikołajowi, że o ile cały spektakl zapowiada się dość dziwnie, to pojedynek Gary i Zawiszy wzbudza zarówno w Ors, jak i w całych Węgrzech duże emocje.

Po zwycięstwie nad grzechem każdy biały rycerz będzie miał prawo uwolnić z klatki jedną wronę i zerwać złotą szyszkę, by podarować ją wybrance serca.

– Taki teatr tylko dzisiaj, na otwarcie – rzucił Mikołaj na koniec, widząc rozbawioną minę Ryksy. – Od jutra zaczyna się zwyczajny turniej.

W łoży rozsiadł się już Zygmunt. Jego żony, Barbary Cylejskiej, nie było. Została w Budzie ze swoją kuzynką, polską królową Anną. Podobno religijna otoczka turnieju zniechęciła ją do przyjazdu do Ors. Węgierska królowa uchodziła za heretyczkę, wyśmiewała wiarę w nieśmiertelną duszę, gardziła modlitwą. Korzystała za to z uroków życia doczesnego i nie ustawała w romansowaniu. Mówiono, że Zygmunt uległ jej złym wpływom i sam przeobraził się w bluźniercę i rozpustnika.

Herold – niski, korpulentny jegomość z siwą brodą, w krótkiej tunice w barwach węgierskiego króla i z ceremonialną laską – ogłosił zasady turnieju. Były bardzo proste: w pojedynku na tępe kopie rycerze mieli uderzać na siebie siedem razy. Zwycięzał ten, który skruszył więcej kopii lub pierwszy zrzucił przeciwnika z konia. Przemowa ciągnęła się w nieskończoność, bo wygłaszał ją aż w pięciu językach: łacińskim, niemieckim, francuskim, węgierskim i polskim.

Potem wykrzykiwał imiona rycerzy, którzy mieli się za chwilę pojawić na placu. Wreszcie trębacze podnieśli do ust trąbki z przywieszonymi do nich proporcami i zadęli w nie, dając sygnał do rozpoczęcia pierwszego pojedynku.

Zaczął się turniej.

Kolejni rycerze wykazywali się prawdziwym kunsztem. Ale to aniołowie, jeden po drugim wygrywali swoje pojedynki. Kruszyli kopie na zbrojach rycerzy grzeszników lub strącali ich z siodła, uwalniali wrony i wręczali złote szyszki swoim damom. Trybuny uginały się od tłumów, rozbrzmiewały wrzaskami, tupaniem, jękami zawodu i oklaskami.

Gdy runął z konia rycerz symbolizujący rozpustę, podnosząc gęsty tuman kurzu, zarządzono przerwę. Podobnie jak podczas pieszych pojedynków na arenę wyszło kilkunastu nosiwodów, ciągnąc na wózkach beczki z wodą do zroszenia podłoża, by pył wzbijany kopytami rumaków nie przeszkadzał rycerzom i widzom.

Rykxa spojrzała w stronę łoża królewskiej.

– Dziwne, że nie ma żony Zygmunta, prawda?

– Została z naszą Anną w Budzie... – odparł brat Mikołaj.

– Ciekawe, co tam robią?

– Wiesz, że Barbara nie znosi ceremonii religijnych – rzekł sucho zakonnik, po czym przyglądał się badawczo Ryksie. – Sprawa... naszej królowej jest już dawno wyjaśniona. Raz na zawsze.

Rykxa zrobiła zdziwioną minę, jakby nie była całkiem pewna, o co mu chodzi.

– Moja droga... Rozdrapywanie tego w nieskończoność szkodzi Koronie. To podła intryga Krzyżaków. Albo nawet samego Zygmunta.

Rykxa nic nie odpowiedziała.

– Wiemy, że Ścibor na polecenie Zygmunta już przygotowuje się do zaciągów. – Brat Mikołaj nagle zmienił temat. – Zgniotą nas, jeśli uderzą z dwóch stron. Sojusz z baronami to nasz ratunek. A Zawisza jakby tego nie dostrzegał.

– Dlaczego mi to mówisz? Powiedziałeś to Sulimie?

Mikołaj długo się w nią wpatrywał.

– Wiesz, że i dziewczkę już tu ma? – spytał w końcu.

– Trudno się dziwić. Więcej tu czasu spędza niż w ojczyźnie. A panny z fraucymeru, i nie tylko, wszędzie mu się pchają do łóża.

– Rykso! – oburzył się Mikołaj. – Jak możesz!

– Bo tak jest. Wolno mu. Żałobę odchorował, wiem, bo przy nim byłam.

– Która to? – spytał krótko brat Mikołaj.

Rykxa posłała mu kpiące spojrzenie.

– I tak się dowiem, córeczko. Oszczędź mi czasu.

Za przykładem żony Zygmunta na węgierskim dworze zapanowało rozpasanie. Ulegli mu również polscy rycerze. Romansowanie z węgierskimi dwórkami stało się modne.

– To bratanica Gary!

– Boże wszechmogący! – zawołał Mikołaj. – To coś więcej?

– Co masz na myśli, boży sługo?

– Miłowanie, czy tylko...

– Jego pytajcie!

– Tyś z nim bliżej.

Rykxa lekceważąco machnęła ręką.

– To było dawno... Już uleciało.

– I tak masz nade mną przewagę.

– Cóżes się mnie tak czepił, bezrozumny klecho? Ja się go o uczucia do nowych dziewczek pytać nie będę.

Mikołaj spojrział w kierunku łóża. Kilka ładnych dziewcząt zwracało uwagę.

– Dostał rozkazy z Wawelu – mruknął brat Mikołaj. – Dla dobra ojczyzny choć raz niech dumę do kieszeni schowa. – Ponownie spojrział na królewską łóżę. – I przed dziewczkami się nie popisuje.

Oboje obrócili głowy w stronę areny, bo królewski herold rozpoczął ogłaszanie gonitwy dnia. Przesławny baron Jan Gara ma rozprawić się z najpodlejszym grzechem trapiącym rycerstwo: pychą.

Na arenę wjechał węgierski moźny. W białej jak mleko zbroi, kropierzu i płaszczu oblamowanym barwionym na złoty kolor futrem. Z olbrzymimi anielskimi skrzydłami przymocowanymi do naplecznika.

– Popatrz na tego cudaka! – zawołała Rykxa.

– Zawiszą się zachwycałaś.

– Bo on jest wspaniały. Zawsze. W zbroi czy bez niej. O jest! Prowadzi go Jarocho.

Gdy Zawisza pojawił się na arenie, w czerni i hełmie pomalowanym w diabelskie znaki, po raz pierwszy tego dnia po widowni potoczył się okrzyk zachwyty i grozy. Było coś majestatycznego w jego mrocznej, pysznej postaci.

Widzowie się podzielili. Jedni wrzeszczeli z podziwu, drudzy z nienawiści. Zygmunt kręcił się w łóży, rozglądał na boki, zadowolony z wrzawy i emocji, jaką u widzów wywołał dzisiejszy turniej. Sześć grzechów pokonanych, sześć potępionych dusz zostało zbawionych i odfrunęło do nieba w postaci wron, a sześć szczęśliwych dam ścisnęło w dłoniach złote szyszki.

Rykxa poderwała się na nogi, by oklaskiwać Zawiszę.

– To podobno zbroja samego Czarnego Księcia. – Zakonnik mówił głośno prosto do jej ucha. – Przywiózł ją z Aragonii. Pokonał w niej tuziny Sara...

– Wiem! – odparła szybko. – Opowiadał mi to ze sto razy.

A potem przyłożyła dłonie do ust złożone w kształt tuby i krzyczała imię rycerza, wybijając się ponad tłum.

Zakonnik kątem oka dostrzegł młodą dwórkę, która w loży królewskiej klaskała jak oszalała, gdy zbliżał się do niej Zawisza. Ryksa nie musiała mu już jej wskazywać. Każdy dureń mógł się domyślić...

Damy z loży przerwały klaskanie, by rzucić w stronę pięknego barona chusteczki haftowane specjalnie na tę okoliczność. Pachołkowie podnosili je z ziemi i osadzali na czubku kopii swego pana. Ryksa nie znalazła chustki, więc mocnym szarpnięciem oderwała rękaw sukni i wzięwszy zamach, rzuciła wprost pod kopyta czarnego rumaka Zawiszy. Potem targana emocjami objęła nagim ramieniem brata Mikołaja i ucałowała go w skroń.

Rycerze stanęli naprzeciwko siebie.

Kraków, wiosna roku Pańskiego 1409

Abysus abyssum invocat, jak mawiał mój nauczyciel łaciny z Saragossy. Nieszczęście przyzywa nieszczęście. Najpierw przed południem doszła mnie wieść od zaprzyjaźnionego bankiera o odmowie udzielenia wysokiej pożyczki, która miała posłużyć do przejęcia zamku w Rożnowie, na czym tak bardzo zależało Zawiszy, mojemu przyjacielowi i zarazem klientowi, a wieczorem tego samego dnia zjawił się Jaroch i zapowiedział jego rychłą wizytę. Jak donosił, większość polskich rycerzy w służbie Zygmunta wraca do Polski. Na wojnę.

Nakazał mi równocześnie przygotować wszelką dokumentację księgową i sądową związaną ze sprawami majątkowymi Sulimy. W pierwszej chwili poczułem silne ukłucie lęku. Potem jednak przyszło opamiętanie. Zawisza od lat okazywał beztroskę w sprawach majątkowych mimo moich licznych apeli o rozsądek. Najwyższa pora, by mu powiedzieć, jak mają się sprawy. Niech pozna stan ksiąg i rozstrzygnie, co robić.

Kiedy poznałem Zawiszę – a może ściślej: gdy przybyłem wraz z nim do jego ojczyzny – zaliczał się raczej do ubogiej szlachty.

Dopiero z czasem, dzięki turniejowym trofeom, które on zdobywał, a ja rozsądnie lokowałem w różnych przedsięwzięciach, Zawisza stał się w miarę zamożnym człowiekiem. Zaczęły też płynąć środki od obu monarchów: Jagiełły oraz Zygmunta Luksemburskiego; odwdzięczali się mniej lub bardziej hojnie za udział rycerza w układaniu stosunków polsko-węgierskich.

Gdy wydawało się, że interesom Zawiszy nic złego przytrafić się nie może, zrodził się w jego głowie plan przejęcia pewnego majątku w powiecie pilzneńskim.

Powstał on w 1365 roku w wyniku podziału majątkowego pomiędzy synami niejakiego Piotra Klemensowica. Na jego mocy młodszy brat, Nawój, otrzymał trzy wsie: Zasów, Różę i Wiewiórkę. Dzięki małżeństwu przypadły mu w charakterze posagu sąsiadujące z Zasowem wsie Nagoszyn i Korzeniowo. Dodatkowo lokował na surowym korzeniu wieś Borową. Nawój zmarł w roku 1407. Klucz zasowski przypadł jego trzem synom: Janowi, Klemensowi i Mikołajowi, którzy postanowili stopniowo wyprzedawać majątek.

Nie wiem, jak Zawisza dowiedział się o ich planach. W każdym razie dwa lata temu doszło do pierwszej transakcji. Jako prokurator, czyli zastępca sądowy, uzyskałem od sędziego sandomierskiego dokument potwierdzający zamianę należących do Sulimy Szymunowic na wsie Nagoszyn i Zasów, należących do Jana. Za drobną dopłatą... tysiąca grzywien. Już na tę transakcję musiałem pożyczyć pieniądze. Potem za sześćset grzywien Zawisza nabył od Klemensa Borową. Na ten rok szykują się następne transakcje, na pewno trzeba będzie kupić Korzeniowo. Bóg jeden wie, skąd na to wezmę pieniądze.

Pomijam fakt, że jako prokurator Zawiszy zmuszony byłem poświęcać tym sprawom mnóstwo czasu, którego brakowało mi potem na prowadzenie własnych interesów. Nie dostawałem za tę pracę żadnego wynagrodzenia. Mój przyjaciel uważał zapewne, iż opieka, jaką nade mną roztoczył w mojej nowej ojczyźnie, stanowi wystarczającą gratyfikację.

Gotówka od Zawiszy napływała zbyt lichym strumieniem, aby finansować jego ambicje.

Pożyczanie pieniędzy skończy się tym, że będę musiał zastawić wszystkie swoje tartaki.

A jeszcze kilka miesięcy temu zamajaczyła na horyzoncie możliwość kupna Rożnowa. Dostałem pisemne polecenie, oczywiście przebrane w formę prośby, żeby KONIECZNIE tę sprawę podjąć. Otóż miesiąc temu pojawił się u mnie prokurator arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego i złożył wstępną propozycję zastawienia zamku w Rożnowie wraz ze wszystkimi jego przynależnościami, dziewięcioma wsiami, w zamian za pożyczkę w wysokości ośmiuset grzywien. Kurowski zastrzegł jednak, że gdyby nie był w stanie zwrócić pieniędzy do najbliższego Bożego Narodzenia, to wówczas, po dopłacie dwustu grzywien, posiadłość przejdzie w ręce Zawiszy.

Otrzymałem więc proste zadanie: znaleźć kolejne osiemset grzywien, aby pożyczyć je Kurowskiemu i w ten sposób zacząć się na ową wymarzoną okazję, czyli przejęcie zamku. Zawisza, znając aktualną sytuację Kurowskiego, którego interesy z Krzyżakami znacznie się skomplikowały z uwagi na nadciągającą zawieruchę, spodziewał się, że arcybiskup pieniędzy nie odda. Dochodziłoby więc kolejne dwieście grzywien do zdobycia. Jordan odmawia mi już kredytów. Do drzwi innych Żydów nie miałem zamiaru pukać. Zresztą Zawisza mi tego listownie zabronił. Pisał, iż jest to tak wysmienita okazja, że mogliby mnie (mnie!) podkupić.

Majątek leżał w ziemi krakowskiej, w powiecie sądeckim. Jego serce stanowił zamek rożnowski położony na prawym brzegu Dunajca, na cyplu uformowanym przez zakole rzeki. Twierdza trudna do zdobycia, chroniona z trzech stron wodą, a od strony lądu – głęboką fosą.

Posiadłość to rzeczywiście wspaniała, warta kilkakrotnie więcej niż pożyczki, o które występował Kurowski. Ale cóż z tego? Trzeba zamiary mierzyć wedle sił, a te już dawno się wyczerpały. Pożyczanie pieniędzy na okazyjne transakcje to najgroźniejszy dla zdrowia przejaw chciwości. By takie pokusy okiełznać, zapanować nad nimi i zaprząć dla własnego zysku, trzeba wielkiej kupieckiej roztropności. Gdzież i kiedy miał ją osiąść rycerz, który od dwudziestu lat nie zsiadał z konia?

Może zbyt surowo go oceniam. W każdym razie czeka nas niemiła rozmowa, podczas której oznajmię, że właśnie odmówiono mi pożyczki. Na samą myśl o tym czuję w żołądku kwaśny ciężar winy, jakbym to ja wymyślił Zasów i Rożnów, a potem zawiódł przyjaciela.

Dlaczego Zawiszy tak zależało na Rożnowie? Bo jak każdy szlachcic w tym kraju był próżny. A dopiero własna, otoczona licznymi wsiami posiadłość, najlepiej murowany zamek z przestronnymi budynkami i rodową kaplicą, stanowi prawdziwe świadectwo rycerskich talentów i Bożych łask.

Poza tym Rożnów leżał blisko Spiszu i Węgier, gdzie Zawisza posiadał majątki. Kiedyś wygadał mi się, że Zygmunt poczynił mu tak duże zapisy na Sebinie, że miasto praktycznie przeszło w jego ręce. Ale zabronił o tym rozpowiadać, bo i tak mu już w Polsce zarzucają, że go Zygmunt przeciągnął na swą stronę większą hojnością niż Jagiełło.

Zawisza służył jako poseł Jagiełły na węgierskim dworze. Tam zaś oddawał usługi Zygmuntowi jako nadworny rycerz, dowódca wojsk zaciężnych, a także rozjemca i mediator, gdy przyszło się węgierskiemu królowi dogadywać z Jagiełłą. Zawsze szedł pod rękę ze sławą. Już jako młodzian trafił na służbę do Tęczyńskich. Wyuczony w łacinie, co wśród rycerstwa było wielką rzadkością, został wysłany kilka razy na zagraniczne legacje. Najpierw jako dowódca eskorty, kurier, a potem już samodzielny poseł. Za wstawiennictwem samego Jana z Tęczyna w wieku dwudziestu lat otrzymał rycerski pas od króla Jagiełły. Na zachodzie Europy, gdzie Zawiszę wysyłano, inną wartość miały słowa i czyny rycerza pasowanego niż zwykłego posła.

Przygody w Aragonii, turniejowe pojedynki i walki z Saracenami, o których Zawisza głośno sam rozprawiał po powrocie, przysporzyły mu wielkiej sławy. Służbę dla Jana z Tęczyna zakończył w 1395 roku, po zdemaskowaniu Tomasza z Węgleszyna jako krzyżackiego szpiega.

Jagiello ściągnął wówczas Zawiszę na swój dwór. Dwa lata później został przedstawiony Zygmuntovi Luksemburskiemu podczas wizyty węgierskiego króla w Krakowie. Na turnieju, jaki wówczas ogłoszono, wielu polskich rycerzy wyzywało sławnego gościa ze względu na jego królewski majestat, ale także drogocenną zbroję, którą mógł zdobyć ten, kto jako pierwszy zrzuci go z konia. Udało się dopiero Zawiszy, który popisał się zręcznym pchnięciem. Król Zygmunt, mimo przegranej, zaprosił go do Budy. Także i tam, na Węgrzech, szybko zdobył sławę turniejowego zwycięzcy i wojennego dowódcy. Został włączony do elitarnego grona rycerzy dworu królewskiego. Brał udział w wojennych wyprawach węgierskiego króla przeciwko tureckim Saracenom. Prowadził dla Zygmunta zaciągi w Czechach, w Niemczech i w Polsce. Tak dalece zżył się z węgierskim monarchą, że wyjednał u niego zwolnienie z niewoli kilku polskich rycerzy z otoczenia wrogiemu Zygmuntovi margrabiego Prokopa.

W niektórych moźnych z otoczenia Jagielly taka bliska zażyłość z węgierskim władcą obudziła niepokój. Może podszyty zawiścią? Wszak dochodzące do kraju wieści (prawdziwe lub zmyślone) o kolejnych wojennych i turniejowych tryumfach nieprzerwanie podsycaly sławę Zawiszy.

Istniała też tajemna strona jego działalności. Rojek twierdził, że Sulima po przejściu na królewską służbę nadal odgrywał ważną rolę w strukturach polskiego wywiadu. Ciągła obecność Jarocho u jego boku mogła na to wskazywać. Rojek podejrzewał, że tragiczna śmierć jego żony, Hanny, miała z tym jakiś związek.

To już rok minął od tej tragedii. Nie dawałem wiary tym, którzy pierwsi przynieśli wieść do Krakowa. We wszystkich domach i karczmach nie rozprawiano o niczym innym. Hannę pobito, a potem nieprzytomną powieszono. Tak orzekł ściągnięty na miejsce medyk. Nie pohańbiono jej. Nie okradziono z drobnych kosztowności, które miała na sobie: pierścionka i łańcuszka z krzyżykiem.

Zbrodni dokonano w Garbowie, rodowej wsi Zawiszy, kilkadziesiąt kroków od zabudowań. Czubek dębu, na którym powieszono niewiastę, był widoczny z zakola rzeki, gdzie baby ze wsi robiły pranie. Któż porwał się na żonę rycerza, dokonał tak strasznej zbrodni niemal na oczach czeladzi?

Hannę znalazła jedna ze służących, która zaniepokojona tak długą nieobecnością pani wyszła na poszukiwania. Natychmiast zarządzono pościg. Bez żadnego skutku. Na miejscu nie odkryto żadnych śladów: ani człowieka, ani konia, ani diabła.

Posłano gońca na Węgry, ale Zawisza przebywał już na wyprawie w Bośni. Miesiące minęły, nim dotarła do niego wieść. Tymczasem brat Mikołaj postawił na nogi cały wywiad. Ale nawet wyszkoleni ludzie nie natrafili na żaden trop. Oczywiście Zawisza miał wielu wrogów. Towarzystką sławy jest zazdrość. Wielu jest zawistników z lubością zadających cierpienia tym, którzy nad nimi górują. Ale nikt ani wśród chłopstwa, ani mieszczaństwa, a tym bardziej rycerstwa nie posunąłby się do tak podłego czynu.



Zdawałem sobie sprawę, że łatwość, z jaką pozyskiwałem kontrahentów w tym obcym mi kraju, ich uczciwość wobec mnie, terminowe płatności *et cetera*, zawdzięczam dyskretnemu wsparciu, z którym było mi wygodnie i za które byłem Zawiszy w głębi ducha wdzięczny. Nigdy go o taką pomoc nie prosiłem, potem też o nic nie pytałem.

Po zdemaskowaniu krzyżackiego szpiega Tomasza z Węgleszyna, do czego wydatnie się przyczyniłem, a potem po śmierci Tidemana Stickera, najpewniej zamordowanego przez polskich agentów, nigdy więcej nie byłem ani przez Zawiszę, ani przez nikogo innego wciągany w sprawy

wywiadu. Ale wiedziałem, że to kwestia czasu, że przyjdzie taki moment, kiedy ci ludzie upomną się o zapłatę za wymoszczenie mi wygodnego gniazda. A ja nie odmówię, bo nie będę mógł tego zrobić.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Mijał ósmy miesiąc, od kiedy Karol von Lichtenstein opuścił więzienną celę. Mogli go tam zawlec z powrotem w każdej chwili. Jak psa za obrozę. Nie znał dnia ani godziny. Jedno słowo Johanna von Schönfelda albo jego odejście z gdańskiej komturii – wszystko mogło skończyć się dla Lichtensteina powrotem do radzyńskiego koszmaru.

Jeśli miał zasłużyć na wolność, samo przeglądanie dokumentów i doradzanie Schönfeldowi nie wystarczały. Nie chciał być uzależniony od niczyich kaprysów. Karol potrzebował ludzi, którzy przenosiliby jego pomysły poza mury gdańskiego zamku, byłiby jego orężem i zbroją.

Najpierw przywołał do siebie Guntera Salzę. Był on synem mieszczanina z Lubeki, Petera Salzy, który zapisał mu w testamencie majątek i udziały w handlowej spółce, pod warunkiem że odbędzie wyprawę przeciwko niewiernym i uzyska tym czynem odpust dla grzesznego ojca. Tacy plebejscy pokutnicy często przybywali do Prus. Stawali się żołnierzami, których nazywano tu knechtami, i służyli w oddziałach dowodzonych przez braci-rycerzy. Otrzymywali żołd, obowiązywały ich surowe reguły zakonnej dyscypliny, nawet włosy i brody utrzymywali w takiej długości jak Krzyżacy. Żyli w klasztorach, nie mogli bez pozwolenia oddalać się poza zamkowe mury ani odwiedzać gospód; składali przysięgę lojalności i posłuszeństwa wobec zakonu. Jeśli nie toczyła się żadna wojna, ochotników zatrudniano do różnych prac pomocniczych na zamku, dając im jednocześnie zapewnienie, że służą tym Bogu równie gorliwie jak na wyprawie przeciwko niewiernym.

Gunter Salza dostał przydział do Brodnicy. I tak los zetknął go z Lichtensteinem. Był rok 1394. Gunter miał dużo szczęścia. Już po paru miesiącach służby wziął udział w litewskiej rejsie. Zasmakował w wojennym życiu, bezkarnych mordach i rabunkach. Odpowiadała mu zakonna dyscyplina. Swą służbą zapewnił ojcu odpust za grzechy, ale nie zamierzał wracać do handlu. Przedłużył kontrakt. Umiał czytać i pisać, był człowiekiem światłym, błyskotliwym, ale pozbawionym jakichkolwiek ambicji.

Szybko wypatrzył go Karol von Lichtenstein. Gunter Salza został prawą ręką brodnickiego komtura, często z nim podróżował. Był nawet fizycznie do niego podobny. Wiele miesięcy spędzał w Gdańsku jako wysłannik do specjalnych poruczeń. Po aresztowaniu Lichtensteina porzucił służbę na zamku i ku zaskoczeniu wszystkich przeszedł do pracy w jednym z brodnickich folwarków; ożenił się tam z miejscową dziewczką, do której już wcześniej zachodził.

Posłaniec Lichtensteina odnalazł go bez trudu. Gunter nie wahał się ani chwili. Pożegnał żonę i dzieci i po kilku dniach stanął w Gdańsku.

Miał teraz dobrać sobie kilku współpracowników. Zajął się tym od razu. Ostatecznie zdecydował się na dwóch ludzi, za których ręczył. Lichtenstein ich zaakceptował.

Pierwszy z nich to Werner Brecht. Podobnie jak Gunter służył przed laty w randze knechta. Zaciągał się do krzyżackich wypraw jako przewodnik i tropiciel. Był prostym chłopem, a Stwórca obdarował go zwierzęcą naturą. Uczynił zeń prawdziwego leśnego drapieżnika –

cierpliwego, nieomylnego i bezwzględnego w tropieniu ofiary. Podczas walk na Żmudzi strzała przeszła mu udo, wdało się zakażenie, ledwie przeżył; ocalił nogę, ale do wojska już się nie nadawał. Teraz pracował jako karczmarz; łatwo wtopił się w środowisko marynarzy, dziwek i najróżniejszych portowych mętów. Chętnie przystał na propozycję Guntera Salzy.

Drugim był rodowity gdańszczanin o imieniu Jurgen. Kręcił się kiedyś przy handlu piwem. Łatwo zdobywał sympatię ludzi pozorną ogładą, postawnym, zawiadackim wyglądem i dowcipem. Należał do ludzi, którzy mają wszelkie cechy, by zdobyć majątek i pozycję; wszystkie poza pracowitością. Zawsze szukał łatwego pieniądza. Przehandlował jedyne, co miał na zbyciu, a na czym mu specjalnie nie zależało, czyli resztki godności i honoru. Został krzyżackim donosicielem. Poprzedni komtur gdański bardzo go sobie chwalił. To dzięki Jurgenowi zduszono w zarodku kilka buntów piwowarów, zawsze groźnych dla miasta. Gdy nastał nowy komtur, Jurgenowi wymówiono służbę.

Żył teraz z sutenerstwa, jakoś wyrobił sobie układy w nowym środowisku. Głównie dzięki silnym pięściom. Zauważył, że puszczanie ich w ruch sprawia mu wielką przyjemność. Posiadał szeroką wiedzę o ciemnych zaułkach miasta; każdy karczmarz w Gdańsku chętnie z nim przepijał, by mieć dostęp do dziewczek dla swoich gości. Propozycja Guntera Salzy, by wrócił do tajnej służby, spadła mu jak z nieba. W jego burdelowym interesie coraz bardziej doskwierał mu brak kontaktów na szczytach władzy. Uważał, że znakomicie pogodzi oba zajęcia.

Karol von Lichtenstein pogratulował sobie w duchu zatrudnienia Salzy. Te dwa typki, których przyprowadził, doskonale pasowały do jego planu. Lichtenstein pogardzał w duchu całą trójką, ale doceniał jej przydatność. Do tej pory służył gdańskiemu komturowi radą. Teraz miał swoich ludzi poza murami zamku i mógł przystąpić do samodzielnego działania.

Najpierw należało się uporać z radą miasta.

Wiosną tego roku władze zakonu po raz pierwszy odczuły potrzebę zwrócenia się o pomoc finansową do pruskich miast. W tym celu skierowały do stanów prośbę o uchwalenie nadzwyczajnego podatku na użytek malborskiego skarbu. Nie podano powodu, ale wszyscy domyślali się, że jest to związane z nadciągającą wojną z Polską. Dla Gdańska podatek miał wynieść dwa kwartniki od grzywny majątku. Na zjeździe stanów w Ostródzie przedstawiciele rady Gdańska – rajcy Piotr Vorrath i Herman Kleinemester – odmówili uiszczenia podatku.

Oburzony takim obrotem rzeczy wielki mistrz zwrócił się osobiście do gminu Głównego Miasta z apelem o przyjęcie uchwały podatkowej. Próba przeciągnięcia na swoją stronę gdańskiego pospólstwa nie powiodła się. Przedstawiciele gminu poparli tym razem stanowisko patrycjuszowskiej rady. Swą niechęć do przyjęcia nadzwyczajnego podatku argumentowali ciężarem wydatków, jakie i tak już ponosiło miasto w związku ze zbliżającą się wojną.

Wielki mistrz zapłonął gniewem. Bał się, że przykład Gdańska może źle wpłynąć na inne pruskie miasta. Nakazał gdańskiemu komturowi podjęcie negocjacji z radą.

Johann von Schönfeld wiedział, że teraz rozstrzygają się jego losy. Gra toczyła się o najwyższą stawkę. Jeśli zdusi bunt, zmaże tym swoje wcześniejsze potknięcia i wróci na drogę ku szczytom władzy. Ale jeśli sobie teraz nie poradzi, jest skończony. Będzie musiał układać swe życie na nowo, może nawet poza zakonem. A tego się bał.

Wezwał do siebie Lichtensteina.

Były więzień, który ledwie kilka miesięcy temu opuścił lochy, gdzie powinien był już dawno przegnić do kości i szczeznąć, wykazał się zadziwiającą znajomością realiów miasta. W ciągu jednej nocy przygotował plan działania, a Schönfeld przystąpił do jego realizacji, nie zmieniając w nim ani jednego kroku.

Dzień później wytoczono pierwsze działa przeciwko opornemu miastu.

Komtur nakazał zablokować drogi dojazdowe do Gdańska, a port na Motławie zamknąć

łańcuchem. Wszelkie dostawy morskie i lądowe zostały przeniesione do Elbląga. Na obszarze całych Prus wydano nakaz zatrzymywania gdańskich kupców i rekwirowania towarów.

Rada miejska postanowiła nie ulegać represjom. Szykowała się do wojny. Wzmocniono mury. Przejście przez bramę zamkową w przyziemiu potężnej baszty, która broniła dostępu do krzyżackiego zamku od strony Głównego Miasta, zostało zamurowane.

Lichtenstein przewidział rosnące napięcie. Poradził teraz gdańskiemu komturowi podjęcie rozmów z radą przy udziale pospólstwa. Potem miał poszukać pretekstu do generalnej rozprawy.

Johann von Schönfeld doprowadził do zawarcia rozejmu. Poleciał zdjąć łańcuch blokujący port. Wykonał jeszcze inne przyjazne gesty wobec mieszczan, a ci ponownie udroznili bramę zamkową.

Prowokacja udała się już za pierwszym podejściem. Mimo rozejmu krzyżacki wójt z Tczewa, odpowiednio poinstruowany przez Lichtensteina, zatrzymał gdańskich kupców i odebrał im towary. Dowiedziawszy się o tym następnego dnia, rajcy wysłali do Tczewa posła, który w nader ostrych słowach zagroził surowymi represjami wobec urzędników zakonu, jeśli zatrzymane towary nie zostaną zwrócone. Wójt natychmiast powiadomił o wszystkim Schönfelda. A ten – zgodnie z planem – rozgłosił na całe miasto, że tak agresywna reakcja gdańskich mieszczan na drobny przecież incydent, zwykłą pomyłkę, odsłania ich prawdziwe oblicze i stanowi pogwałcenie rozejmu.

Johann von Schönfeld wezwał do zamku dwóch gdańskich burmistrzów: znieawidzonego Konrada Letzkaua, którego już od dawna pragnął się pozbyć, i Arnolda Hechta. Ci przyprowadzili ze sobą rajców: Bartłomieja Grossa i Piotra Vorratha. Na rozkaz komtura wszystkich wtrącono do zamkowych lochów. Trzech poddano torturom, a potem na oczach czwartego, Piotra Vorratha, zamordowano. Jego samego zostawiono przy życiu, by opowiedział pozostałym rajcom, wszystkim patrycjuszom, kupcom, kramarzom, piwowarom, kurwom, żebrakom i całemu gdańskiemu motłochowi, co czeka buntowników, którzy grożą krzyżackim braciom, odtrącając wyciągniętą w geście przyjaźni rękę zakonu.

Lichtenstein radził utrzymać potrójne morderstwo w tajemnicy przez jakiś czas, by cały Gdańsk ogarnęła najpierw niepewność, a potem lęk o los uwięzionych. Żonom pozwalano przynosić pod bramę zamkową żywność dla zatrzymanych mężów, choć ci dawno już nie żyli. Dopiero po kilku dniach nakazano uwolnić Piotra Vorratha i wydać zwłoki jego kompanów.

Gdy miasto trwało zastygłe ze zgrozy i oburzenia na widok okaleczonych torturami ciał rajców, Schönfeld zarządził konfiskatę mienia ruchomego i nieruchomego wszystkich trzech zamordowanych. Bez sądowego przewodu, bez wyroku. Żeby pozbawić mieszczan resztek złudzeń.

Plan Lichtensteina osiągnął swój cel: gdańskich mieszczan ogarnął strach i przeświadczenie, że spokój miastu może zapewnić jedynie bezwzględne posłuszeństwo wobec zakonu. Kilka dni później rada miasta zgodziła się na zapłacenie podatku w wysokości żądanej przez Malbork.

Kiedy kilka tygodni później Ulryk von Jungingen przybył do Gdańska, Schönfeld stał z podniesionym czołem i z satysfakcją patrzył, jak rajcy przyjmują wielkiego mistrza z odkrytymi głowami, by w imieniu całego miasta złożyć mu hołd i przysięgać wierność.

Na mieszkańców została dodatkowo nałożona wysoka kara pieniężna, aby odechciało się im podobnych buntów. Schönfeld wykorzystał sytuację, zapewniając sobie większe wpływy w mieście na przyszłość. Odtąd wybór rajców znów miał się odbywać za akceptacją władz krzyżackich, czyli jego samego.

I tak oto gdański komtur w ciągu zaledwie dwóch miesięcy rozwiązał raz na zawsze swoje problemy z krnąbrnym mieszczaństwem. Malbork znów patrzył na niego łaskawym okiem.

Czekały go awanse. Rozpierała duma. W skrytości ducha przyznawał jednak, że sam nie byłby zdolny do stworzenia takiego planu, nie przewidziałby tak dokładnie reakcji mieszczan, nie miałby dość odwagi, by tak okrutnie obejść się z buntownikami. To wszystko zasługa Karola von Lichtensteina. Od pierwszego dnia wojny z miastem Schönfeld robił to, co podpowiadał mu Lichtenstein.

Co teraz?

Schönfeld uświadomił sobie, że wypuścił z lochów bezwzględnego wilka. Zbyt przebiegłego, by nie wiedzieć, że teraz Schönfeld, gdy już wstał z kolan, będzie chciał się go pozbyć. No bo cóż innego mógłby zrobić? Komtur musiał się go pozbyć, póki jeszcze trzymał zwierzę na łańcuchu.



Tymczasem Karol von Lichtenstein uważał, że ów spektakularny sukces, czyli ponowny hołd złożony wielkiemu mistrzowi i zgoda miasta na podatki, to za mało. Wytrząsnął wszy, teraz trzeba jeszcze wygnieść gnidy. Należało zająć się tymi, którzy stawiali jeszcze opór lub mogli go stawić.

Wszystkich rajców, na których padł choćby cień podejrzenia o sprzyjanie buntownikom, zmuszono do rezygnacji z urzędów, a ludzie Lichtensteina zadbali o to, by nikt nie protestował.

W kręgach kupieckich wcześniej posiany lęk zapuścił już korzenie, nie trzeba było szafować okrucieństwem. Najczęściej wystarczały groźby. Tam jednak, gdzie nie wystarczały, ważna była stanowcza konsekwencja. Nie wolno bowiem rzucać gróźb na wiatr. Zazwyczaj jest tak, że ten, kto poddaje się szantażowi, o tym nie rozpowiada. Ale jeśli się opiera – dyskretnie dzieli się tą informacją z zaufanymi osobami. Może nawet złożyć skargę do władz – jeszcze lepiej. Takie wieści rozchodzą się po mieście równie szybko jak plotki.

Kiedy więc Jurgen odwiedzał dom jakiegoś kłopotliwego kupca, oznajmiając, że daje mu dwa dni na zaniechanie oporu, a potem spali mu dom, to po dwóch dniach, jeśli mieszczuch trwał w błędzie, pożar musiał wybuchnąć. Najlepiej z ofiarami wśród krewnych. Broń Boże z kupcem! Ten musiał podkulić ogon, a potem dawać świadectwo rozsądnej uległości pozostałym.

Kilka niewiast, córek, siostr, żon opornych kupców, zostało zgwałconych i oszpeconych ostrzami sztyletów, kilku mieszczan dokończy żywota jako kaleki. To wystarczyło.

Lichtenstein zapewniał swoim egzekutorom, a także ludziom przez nich wynajętym, poczucie całkowitej bezkarności. Jeśli ktoś był na tyle uparty, żeby nie powiedzieć głupi, i szedł ze skargą do gdańskiego komtura, ten przyjmował petenta i umarzał śledztwo. Już następnego dnia. Żeby nie było wątpliwości. Żeby pozbyli się złudzeń.

Lichtenstein po dwóch kolejnych miesiącach stwierdził z satysfakcją, że Gdańsk stał się całkowicie bezwolny, posłuszny i gotowy spełnić każde finansowe żądanie władz zakonu.

Pozostawała sprawa Johanna von Schönfelda.

Tę gonitwę mógł wygrać jeden koń. Uczucie niepewności stawało się nie do zniesienia. Niczym Damokles czuł nad głową miecz wiszący na cienkim włosie. Jego los zależał od słabego, ale ambitnego komtura. Wystarczyłoby, aby ten uznał, iż doradca zbyt urósł w siłę! Lichtenstein zrozumiał, że im trafniej doradzał, tym bardziej zaciskał sobie pętlę na szyi. Powrotu do lochów by nie przeżył.

Zagnieździł się w nim uporczywy lęk, który go osłabiał, krępował umysł, chłodził krew. Sił dodawała mu za to nienawiść. To ona budziła go co rano, towarzyszyła mu przy pracy, nasyciała każdą chwilę dnia, w nocy jaśniała wraz z księżycową poświatą. Karmiona nadzieją zemsty stawała się coraz silniejsza, coraz ostrzejsza. Nienawiść do tych, którzy skazali go na taki

los. Te polskie szlachetki. Mimo upływu lat wciąż zachodził w głowę, jak to możliwe, że dał się tak wywieść w pole.

Selter, Sinker, Grün, Grass. Bezgłośnie, z lubością wymawiał te słowa. Przeglądał akta procesu. Ileż razy czytał już zeznania świadków! Byli wśród nich pruski rycerz Mikołaj Ryński, gdańszczanka Helena von Ruden, ta arabska dziewczka Ayhe... Co skłoniło mądrych sędziów z Dortmundu, by na świadków wybrać właśnie te osoby?

Kraków, lato roku Pańskiego 1409

W sierpniu roku 1398, równo rok po wielkim sukcesie, jakim było powołanie do życia przez polski wywiad Towarzystwa Jaszczurczego, Jan z Tęczyna uzyskał kasztelanię krakowską, najwyższy urząd świecki w Koronie. Rok później osiągnął jeszcze mocniejszą pozycję. Został awansowany do rangi *capitaneus generalis Regni Poloniae i locumtenens regis*, czyli namiestnika, wicekróla. Pozostał nim aż do dnia koronacji drugiej żony Jagiełły, Anny Cylejskiej, na początku 1403 roku. Dzięki temu małżeństwu możliwa była ponowna elekcja Jagiełły, tym razem na króla dziedzicznego.

Tęczyński uchodził za wybitnego prawnika i administratora, niezwykle biegłego w kancelaryjnych procedurach. Dzięki swym umiejętnościom jako wicekról poradził sobie z wewnętrznym kryzysem, jaki nawiedził Polskę po odejściu Jadwigi i utracie przez Jagiełłę uprawnień do tronu. Po śmierci królowej prawo dysponowania królestwem powracało do rąk tych, którzy doprowadzili do mariażu, czyli do panów rady, w której przewagę mieli Małopolanie z Tęczyńskim na czele. To on najpierw nakłonił króla do zarzucenia pomysłu powrotu na Litwę, a potem był architektem małżeństwa Jagiełły z wnuczką Kazimierza Wielkiego, Anną Cylejską. I to on jako pierwszy musiał wysłuchać gorzkich skarg Jagiełły na brzydotę małżonki.

Tym gorzej wyglądało oskarżenie jego syna Andrzeja o romans z królową.



Andrzej z Tęczyna nosił się równie strojnie jak ojciec, choć nie był tak postawny, głos brzmiał mniej donośnie, a spojrzenie szybko ześlizgiwało się z rozmówcy i uciekało na boki.

Po sławnym ojcu, który zmarł w 1405 roku, odziedziczył majątek, urzędy, pozycję u boku monarchy oraz nadzór nad tajnymi służbami królestwa.

Część królewskich doradców podnosiła, że młody Tęczyński nie ma wystarczającego doświadczenia politycznego i odpowiednio szerokiego oglądu spraw wojskowych, by unieść ciężar odpowiedzialności za tak skomplikowaną, ważną i wrażliwą na błędy strukturę jak wywiad i kontrwywiad.

Andrzej Tęczyński nie cieszył się wszakże taką samodzielnością jak jego ojciec. Z racji połączenia obu tajnych służb – tej szerokiej, nadzorowanej przez Tęczyńskiego, i wąskiej, niemal osobistej, podległej bezpośrednio królowi – musiał uzgadniać najważniejsze działania z Jagiełłą, albowiem to do króla należał ostateczny głos.

Król nie tylko w tej dziedzinie panował nad sytuacją. Po śmierci Jana z Tęczyna na wawelskim dworze przewagę zyskali ludzie, którzy zawdzięczali Jagielle urzędy, kariery, dostojęstwa kościelne i majątki. Do rangi najbliższych doradców monarchy urosli duchowni pochodzący ze średniej lub drobnej szlachty – arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Kurowski, podkanclerzy Korony Mikołaj Trąba, biskup poznański Wojciech Jastrzębiec – oraz wysocy urzędnicy świeccy: marszałek Korony Zbigniew z Brzezia, podkomorzy krakowski Piotr Szafraniec, wojewoda wielkopolski Sędziwój z Ostroroga, wojewoda sandomierski Krystyn

z Ostrowa. Do tego grona zaliczano również kasztelana sandomierskiego i starostę wielkopolskiego Tomasza z Węgleszyna.

Wiosną 1409 roku zmarł kasztelan Jan z Tarnowa, ostatni z tych wielkich panów krakowskich, którzy wynieśli Jagiełłę na polski tron w 1386 roku, równocześnie ciężko zachorował Piotr Kmita, wojewoda krakowski. Przed zbliżającą się nieuchronnie wielką wojną z zakonem spodziewano się więc poważnych zmian na małopolskich urządach.



Na nominacje na opuszczone urzędy trzeba było trochę poczekać. Może nawet do przyszłego roku. Młody Tęczyński przewidywał następujące ruchy króla: kasztelanię krakowską obejmie najprawdopodobniej bliski królowi Krystyn z Ostrowa, natomiast wojewodą krakowskim po zmarłym Tarnowskim zostanie zapewne jego syn Jan, teraz dziekan kapituły krakowskiej, ale mówi się, że dla nowej funkcji zrezygnuje z kariery duchownej. Na te urzędy Andrzej z Tęczyna nie mógł liczyć. Ale pozostawało do obsadzenia województwo sandomierskie, które po Krystynie z Ostrowa dostanie chyba Mikołaj z Michałowa, aktualny kasztelan wojnicki. I tu rysowała się przed Tęczyńskim możliwość pięknej kariery. Objęcie kasztelanii wojnickiej byłoby wspaniałym awansem w porównaniu z marnym urzędem podstolego krakowskiego, który teraz dzierżył.

Tęczyńskiemu bardzo na tym awansie zależało. I liczył na niego. Wiedział, że król szuka poparcia dla swoich posunięć, zwłaszcza w obliczu tak poważnego konfliktu z zakonem. Zabiegał o poparcie Tęczyńskich, jednego z najważniejszych rodów możnowładczych Korony. Andrzej jako jego głowa dysponował dużą siłą polityczną i ekonomiczną. Ponadto ród Toporów cieszył się w ojczyźnie estymą wśród braci szlacheckiej, co w obliczu wielkich mobilizacji wojennych, jakie czekały króla, miało ogromne znaczenie.

Ale wszystkie te plany, nadzieje na awanse mogły okazać się płonne. Wszystko zależało od tego, co odkryje drugie śledztwo w sprawie romansu Tęczyńskiego z królową Anną Cylejską. To pierwsze zakończyło się tak, jak powinien się zakończyć podobny skandal w kraju rządzonym przez odpowiedzialnych ludzi. Królową oczyszczono z zarzutów, rycerzy uniewinniono, a całą winę zrzucano na wiecznie spiskujących Krzyżaków. Tyle że króla ten polityczny werdykt nie zadowolił. Domagał się obiektywnej prawdy.

Tęczyn, lato roku Pańskiego 1409

Mikołaj wstrzymał konia. W oddali, spośród pagórków i padołów, wyłoniły się obwarowania z okrągłymi basztami zamku Tęczyn, siedziby rodowej Toporów, miejsca, gdzie biło serce polskich tajnych służb. Dwóch młodych giermków, którzy mu towarzyszyli od samego Ors, również ściągnęło wodze. Konie jak na komendę wstrząsnęły łbami i zajęły się skubaniem młodej trawy.

– Coś się stało, ojcie Mikołaju?

Mieli zmęczone twarze, byli głodni i spragnieni. Marzyli o grubych siennikach i zapachach zamkowej kuchni.

– Nie jestem ojcem, tylko bratem... Tyle razy już to mówiłem! – Zakonnik zwiesił głowę. Też był zmęczony. Spojrzał w kierunku zamku. – Tylko głupiec rwie się pierwszy, jeśli ma złe wieści... – mruknął.

Brat Mikołaj wyruszył z Ors już nazajutrz po pojedynku Zawiszy z Janem Garą. Reszta dworu pozostała do zakończenia turnieju. Miał więc nad wszystkimi przewagę kilku dni. Gnał, na ile starczało sił jemu i koniom. Z granicy polsko-węgierskiej pchnął przezornie gońca z krótką informacją o tym, co wydarzyło się w Ors, aby Tęczyński zdążył ochłonać.

Młodzieniec podjechał do zakonnika, również schylił głowę i obrócił twarz tak, by spojrzeć Mikołajowi w oczy.

– Na głupotę nie ma lekarstwa, ojcie. Sami to mówiliście... Więc jedźmy już...

Zakonnik westchnął, skinął głową i wyprostował się w siodle. Ruszyli powoli w stronę zamku. Za chwilę miną wysuniętą przed wieżę bramę chronioną żelazną broną. Potem na dziedzińcu oddadzą konie, giermkowie pójdą je oporządzić, a on minie studnię okoloną wysoką na dwa łokcie cembrowiną, wejdzie do wieży mieszkalnej i po kamiennych schodach uda się do komnat na drugim poziomie. Tam stanie twarzą w twarz z Andrzejem Tęczyńskim. I będzie musiał powiedzieć, co ma do powiedzenia.



Starosta na widok Mikołaja najpierw uciszył ruchem ręki dwóch urzędników, którzy stali przy nim, a potem ich odprawił. Gdy znikli za drzwiami, zawołał:

– Czytałem twój list. Pójdziecie pod sąd! Obaj!

Mikołaj pochylił głowę w geście powitania, szacunku, skruchy i co tam jeszcze Tęczyński mógłby z niego odczytać.

– Siadaj! – polecił starosta. Wskazał masywne krzesło stojące niebezpiecznie blisko kominka. Mimo że dzień był chłodny, płomienie pełgały po na pół zwęglonych bierwionach.

Zakonnik udał zawahanie.

– Panie, nie zasłużyłem na los heretyka – próbował żartować.

Tęczyński nawet się nie uśmiechnął. Stał naprzeciw gościa w wyczekującej pozycji, ze splecionymi na piersi ramionami i pochyloną głową.

– Opowiadaj. Jak to się stało. Byłeś na trybunach?
– Widziałem wszystko na własne oczy. Zawisza lepiej się złożył... Wyrzucił Garę z siodła przy pierwszym natarciu.

Tęczyński uniósł ramiona w niedowierzającym geście i zaraz gwałtownie je opuścił.

– Przy pierwszym!? – krzyknął. – Nawet nie zadał sobie trudu, by trochę poudawać? Przekazałeś moje polecenie?

– Co do słowa, panie.

Tęczyński chwilę milczał.

– Jakie panowały nastroje na trybunach? – spytał w końcu.

– Zawisza popsuł całe widowisko... Zygmunt inaczej to zaplanował. Król wprawdzie wyglądał na rozbawionego, ale baronowie zgrzytali zębami. Nie tego się spodziewali. Klęska Gary przysłoniła wszystkie poprzednie sześć zwycięstw.

– Jakie sześć zwycięstw?

Mikołaj wyjaśnił inscenizacyjny koncept turnieju. Tęczyński z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Co za komedia! – mruknął. – Tym bardziej porażka tam nie przyniosłaby mu ujmę. Zawisza nie wykonał rozkazu. To demonstracja. Za to czeka go surowa kara. Tym razem król mnie poprze!

Mikołaj wyjął z torby jakieś pismo i wręczył staroście.

– List od Zawiszy – oznajmił. – Taki sam mam dla króla. Pisze w nim, wiem, bo mi sam wyznał, że nie mógł dać się zrzucić.

– Co?

– Nie mógł wysłuchać twego rozkazu, panie – powtórzył z naciskiem zakonnik. – Gara chciał go ciężko poranić albo nawet zabić, a nie pokonać. Zaufany stajenny ostrzegł Zawiszę przed pułapką.

Tęczyński rozłożył list. Uderzył weń wierzchem dłoni, żeby rozprostować twardey papier. Tymczasem Mikołaj mówił dalej:

– Dowiedział się, ktoś mu doniósł, że Gara ma dostać inną kopię niż pozostali. Miała zostać podmieniona w ostatniej chwili, tuż przed pojedynkiem.

Topór podniósł wzrok znad kartki:

– Przecież to Zygmunt zawsze funduje kopie. Wszystkie są sygnowane jego herbem. Herold to sprawdza...

– Gara może wszystko, panie – odparł Mikołaj. – Chciał Zawiszę przebić kopią na wylot, powtórzyć wyczyn Jana Luksemburskiego...

– Nikt nie przekupi królewskiego herolda! Musiałby Zygmunt maczać w tym palce, a w to, jak mi Bóg miły, nie uwierzę!

– Po zwycięstwie Zawisza zrezygnował ze zbroi Gary, ale zażądał kopii jako zwycięskiego trofeum. Herold protestował, ale Zygmunt go uciszył i wyraził zgodę. To dowód, że nie brał udziału w spisku.

– Po co mu ta kopia?

– Zawisza wiezie ją, aby wykazać swą niewinność.

Tęczyński przyglądał się badawczo zakonnikowi, jakby ważył, czy może mu zaufać.

– Ty ją widziałeś?

– Tak. Miała ukryty stalowy trzpień, ostry na końcu jak zadra. Gdyby Zawisza dał się trafić... To przebiłoby każdy pancerz. Mógłby nie przeżyć, panie.

Starosta nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu zapytał:

– Ktoś o tym wie? Ktoś to widział?

– Nikt się nie przyzna. Ci, co wiedzą, będą milczeć, by chronić własne głowy.

Mikołaj z ulgą skonstatował, że Tęczyński nie wydawał się zakłopotany, lecz głęboko wstrząśnięty. Nie udawał. Po drodze różne myśli przemykały zakonnikowi przez głowę. Także i taka, że to wszystko działo się przy udziale albo przynajmniej za wiedzą starosty.

Tęczyński, jakby czytając w myślach zakonnika, oznajmił:

– Poleciałem Zawiszy przegrać, bo zażądał tego sam baron. – W przejawie złości uniósł zaciśnięte pięści. – Co za brak honoru, cóż za... prostak! Bydlę! Węgierski cham! Cóż on sobie wyobrażał? Że to by się nie wydało?

Mikołaj nie odpowiedział. Tęczyński szybko się opanował.

– Czegoś jeszcze się dowiedziałeś? – spytał.

– Ta Węgierka, ta dziewczka, panie – zakonnik mówił teraz cicho – którą kazałeś sprawdzić...

Tęczyński uniósł brwi.

– ...to bratanica Gary!

– Gara o tym wie? – zapytał starosta. Potem sam sobie odpowiedział: – Musi wiedzieć, skoro już my w Tęczynie o tym gadamy. – Pokręcił głową. – Gara nigdy się z tym nie pogodzi.

Zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem.

– Boże miłosierny! To czyste szaleństwo! Zawisza nie wróci już więcej na Węgry. Osobiście tego dopilnuję.

– Zawisza twierdzi, że sam z własnej woli i tak by się stawiał na rozkazy króla...

– Oczywiście! Wszyscy tam oni strasznie za ojczyznę stęsknieni. Król zagroził konfiskatą mienia, jeśli się nie stawiają na wezwanie. Ot co!

Mikołaj nie zaprotestował. Tak było w istocie. Większość Polaków służących na węgierskim dworze miała w kraju majątki. Żaden nie chciał ryzykować ich utraty przez konfiskatę. I stawili się wszyscy jak jeden mąż.

– No, ale niech będzie! Uznajmy, że to chwalebne zachowanie. – W głosie Tęczyńskiego pobrzmiwał drwiący ton. A potem machnął ręką na znak, że zmienia temat. Zapytał:

– Słyszałeś, że Krzyżacy zajęli nasze statki ze zbożem?

– Nie! – odparł żywo Mikołaj. – A jednak!

– Żmudź powstała! Właśnie doszły nas wieści, że Żmudzini uderzyli na Christmemel. Krzyżacy ledwie co odbudowali tę twierdzę. – Tęczyński zaśmiał się. – Zamek puścili z dymem, a krzyżacką załogę i czeladź wzięli do niewoli. Zagarnęli też bydło i konie.

– Czyli wszystko zgodnie z planem...

– Zgodnie z planem – przytaknął starosta. – Idzie wojna, przyjacielu. Wojna, jakiej świat nie widział. Tyle że... jeśli wszyscy będziemy ciągnąć za cugle w swoją stronę, przegramy.



Zawisza stawiał się na zamku Tęczyn w trzy tygodnie po węgierskim turnieju.

– Oto nasz wielki rycerz, lew turniejowy! – zawołał Tęczyński na widok Zawiszy wkraczającego do komnaty.

Ten przystanął i złożył głęboki ukłon.

– Niech będzie pochwalony!

– Dostałem twój list – powiedział starosta, nie odpowiadając na powitanie. – Wszystko wiem. Król również przyjmuje do wiadomości twoje wyjaśnienia.

– Rad jestem to słyszeć, panie...

– Akcja w Malborku jest już przygotowana. Ruszysz zgodnie z planem. Pojedziesz przy

okazji do Gdańska i spotkasz się z Ryńskim. Dostaniesz szczegółowe instrukcje.

– Wedle rozkazów.

– Skontaktowałeś się z Aaronem?

– Wedle rozkazów... Zapowiedziałem się u niego na jutro.

– Wedle rozkazów... – powtórzył kpiącym tonem Tęczyński. – To bardzo dobrze! Bo zdecydowałem, że będzie nam potrzebny. To jednak on wejdzie do Malborka.

– Zastrzegłem wcześniej, panie, że on już dla nas nie pracuje.

– No to znowu zacznij.

– Nie zmuszę go, jeśli odmówi.

– No to ja go zmuszę – odparł spokojnym głosem starosta. – Lepiej będzie dla wszystkich, zwłaszcza dla niego, jeśli ty go namówisz.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Pamiętaj, albo lepiej niech on pamięta, że bez nas nie sprzedałby ani jednej kłody.

– On tego nie wie...

– Na pewno się domyśla! Nie jest durniem. Żydzi utopiliby go w długach jak w Wiśle, gdyby nie my! Jest chyba nam winny drobną przysługę!

– Potraktowaliśmy go jak...

– Jak co? – przerwał Topór. – Jeśli dobrze pamiętam, jeszcze za życia mojego ojca pozbyliśmy się jakiegoś kupca...

– Tidemana Stickera – dopowiedział Zawisza.

– ...i on wtedy dostał tę dziewczkę. Zapomniałem, jak się nazywa...

– Ayhe, panie. Ma na imię Ayhe. Rzuciła go wiele lat temu.

– Wiem! Przecież ją też utrzymujemy! Dobry Boże! Mam na utrzymaniu Żyda i jego Arabkę, a ty mi mówisz, że ich źle potraktowaliśmy!

– To już oboje chrześcijanie...

Tęczyński machnął ręką zniecierpliwiony.

– Twój brat pisał z Aragonii. Aranda bardzo się postarał. Wszystko przygotowane. Tak zakręcimy Krzyżakami, że nie będą wiedzieli, kiedy im łby pourywa! Potrzebny nam jest do tego rodowity Aragończyk – dodał stanowczo.

Zawisza pochylił głowę na znak, że się zgadza.

– Co mogę powiedzieć Aaronowi?

– Niewiele. Za chwilę to omówimy. A teraz coś zjedzmy.

Kraków, lato roku Pańskiego 1409

Pewnego pogodnego poranka rozległo się kołatanie do drzwi mojego domu przy Rynku. Usłyszałem skrzypienie zawiasów, a potem miejski harmider wdarł się do środka. Ktoś wszedł. Dobiegło mnie z dołu głośne powitanie. To Zawisza. Zjawił się dzień wcześniej, niż zapowiedział przez gońca. Poderwałem się od stołu i zbiegłem po schodach.

Od dwóch tygodni mieszkałem sam. Dorota, po szarpanej kłótni, jaka się nam niespodziewanie przydarzyła, wyjechała na wieś, do siostry. Przynajmniej tak mi obwieściła. Nigdy nie chciała nająć służącej, a ja nie nalegałem, gdyż przecież to ona miała odgrywać w naszym domu tę rolę. Dzieci robiły to, co w każdy ciepły słoneczny dzień – włóczyły się z bandą rówieśników od jednego krańca miasta do drugiego. Gdyby to były moje dzieci, nigdy bym na to nie pozwolił, wciąż jak zadra tkwiło mi w głowie wspomnienie Zoe i tego wszystkiego, co ją spotkało. Dorota natomiast miejską ulicę uważała za najlepszą nauczycielkę życia. To, że jej dzieci uczyły się w przykościelnej szkole pisać i czytać, uważała za niebywałe dla nich wyróżnienie i szczęście, prawdziwe błogosławieństwo. Nie chciała ich jednak pozbawiać tych nauk, jakie dostarczały miejskie place, zaułki, kramy, bójki z rówieśnikami. Może miała rację.

Zawisza zbliżał się do czterdziestego roku życia, ale poruszał się jak młodzieniec.

Otworzył ramiona, a ja wyściskałem go jak brata.

– No i jak tam nasze interesy, Żydku – zapytał, gdy już uwolniliśmy się z objąć.

A potem się roześmiał.

– Jesteś już stary, ale dalej piszesz wszystko na gębie. Wyjdziemy z tego! Nie przejmuj się.

Gestem uprzejmego gospodarza wskazałem na schody. Weszliśmy na piętro.

– Gratuluję zwycięstwa w Ors... W Krakowie już w karczmach za to przepijają!

Zawisza tylko się skrzywił i nic nie powiedział.

– Jesteś sam? – zapytał, obracając się na pięcie i lustrując olbrzymią komnatę.

– Chwilowo... – odparłem.

– Jak Dorota? Jak dzieciaki? Coś nie tak?

– Nie, nie. Zdrowi, Bóg łaskaw...

– Tylko co?

– Zawsze ten sam błąd. Jestem za dobry dla służących i niewolnic. Nie umiem na nie krzyknąć. Więc to one wrzeszczą na mnie.

– Dorotka urządziła ci awanturę?

– A potem wyjechała na wieś.

– Parę dni spokoju.

– Zostawiła dzieci!

– O, sekutnica!

Rozejrzałem się po izbie, okazując bezradność porzuconego męża.

– Głodny? – spytałem. – Dorota przytomnie wynajęła jakąś babę, która przynosi nam raz

dziennie posiłki. Przynajmniej tyle. Może coś zostało.

Zawisza zaprzeczył ruchem ręki.

– Wynająłem pokój w gospodzie „Pod Turem”. Tam zjem.

– Jesteś sam?

– Z Jarochem i jeszcze dwoma łowcami. – Zawisza zatarł dłonie i zarządził: – Napijemy się czegoś! Mam dużo do opowiadania.

– Ja też... – mruknąłem.

Przyniosłem z piwnicy dzban wybornego węgryna sprowadzanego do Krakowa przez jednego z kramarzy z ulicy Mikołajskiej. Postawiłem na stole dwa kubki. Nalałem do pełna. Wypiliśmy w milczeniu.

– Ty pierwszy! – odezwał się Zawisza. – A wino wyborne!

– Z twoich stron.

Uzupełniłem naczynia. I opowiedziałem krok po kroku, grzywna po grzywnie, proces po procesie, zastaw po zastawie – wszystko, każde wiadro zaprawy, które musiałem wylać, by jego finanse nie rozsypały się jak zmurszały gmach.

Ciężko westchnął.

– Bóg ci to wynagrodzi. Bóg wynagradza dobrych i pracowitych ludzi.

Rozłożyłem ręce w geście udawanego wzruszenia.

– I to wszystkie zmartwienia? – spytał.

– Nie wystarczy ci? Potrzebujemy pieniędzy. Jak chleba!

Lekceważąco machnął ręką.

– Najbardziej podziwiają tego, który nie martwi się pieniędzmi!

– Najbardziej podziwiają tego, który nie martwi się pieniędzmi, bo je korcem odmierza! – dodałem z kwaśną miną.

– Nie bądź chciwy! Nad pieniądzem trzeba panować, a nie mu służyć.

– Toż panuję! Żeby kupić Kocmyrzowiec, zastawiłem swoje dwa tartaki!

– I dobrze zrobiłeś. Będziesz bogaty. Miej ufność w Bogu!

– Co masz na myśli, panie? Masz coś na myśli?

– Będziesz księgował duże sumy. I odejmował z tego trzy procent. Tylko zapisuj wszystko, żebyśmy się nie pogubili. Pieniądze będzie ci przekazywał Jordan. Nie dowiesz się, skąd pochodzą. Jeśli zapytasz, zasłoni się bankierską tajemnicą, więc nie pytaj. Szły dotąd poza nami, ale teraz dostałem zgodę na pobieranie z nich odsetek.

– Czy mogę wiedzieć...

– Jesteś kancelistą. – Słowom towarzyszyło twarde spojrzenie. – Masz pilnować zapisów w księgach, a nie dopytywać.

– W jakiej walucie? O to mogę zapytać?

Zawisza rozłożył ręce.

– To sprawa Jordana. Będzie ci dawał weksle. Należną nam część wypłaci w monecie. Twoja w tym głowa, by to przeliczyć, spłacać długi i co tam uznasz za najpilniejsze. Oczywiście wszystko musisz odnotowywać.

– Na Rożnów wystarczy?

– Rożnów na razie pozostaje u Kurowskiego – odparł. – Wycofał się z pożyczki.

– Chwała Panu!

– Rożnów będzie mój. – Zawisza wyciągnął rękę, wskazując na mnie palcem. – Wcześniej czy później. Ale na razie uzbieraj na Krzemieniec.

– Wedle rozkazów, panie.

– To mi się podoba. – Zawisza uderzył dłonią w stół. – A jak twoje interesy?

- Bywało lepiej...
- Łżesz! Wiem, że idzie ci świetnie.
- Oj, niedobrze. Jeśli dowiadywałeś się o moje tartaki, to źle wróży.
- Powiedzieli mi...
- To jeszcze gorzej!
- No, widzę, że nic nie straciłeś z bystrości umysłu.

Zawisza podszedł do okna. Długą chwilę patrzył na Rynek.

- Co się w Krakowie mówi o wojnie?

Opowiedziałem mu tyle, ile przekazał mi Rojek, co z miasta przynosiła Dorota i co sam widziałem na ulicach.

Nastroje były patriotyczne. Zdecydowana większość krakowskich mieszczan utrzymywała, że ziemia chełmińska, michałowska, ale też Pomorze należeć powinny do Korony. Że zakon posiadał je podstępem.

Nie wygasła pamięć o krzyżackich najazdach na Litwę. Wszyscy w Krakowie wiedzieli, ile niewinnej krwi tam przelano, że były to łupieżcze najazdy, niemające nic wspólnego z szerzeniem wiary, bo tę nieśli na Litwę sami Polacy, odkąd chrzest przyjął król Jagiełło.

Rojek twierdził też, że relacja króla z miastami się poprawia, choć nadal tu więcej słoty niż słońca. Mieszczanie czują, że z Wawelu patrzy się na nich ze wzgardą, ale i tak kochają swoją ojczyznę. O przywiązaniu do króla niech świadczy fakt, że jak wyznał mi w tajemnicy, rada miasta zgodziła się na wielki podatek na rzecz Korony. Tego roku, tytułem potrójnego szosu (półtora grosza od grzywny), Kraków miał przekazać Jagielle dwa tysiące czterysta grzywien. Nikt nie narzekał. Wprawdzie król obiecał miastu liczne *libertates* na sześć lat, ale konkretów tu jeszcze nie ogłoszono. Na pewno żaden to dla miasta interes.

– Tu wszyscy zdają sobie sprawę, ile zależy od tej wojny – powiedziałem. – Otwarcie na morze jest potrzebne handlowi. Sam spławiam cisy, to wiem, ile jest wart dostęp do portu. Krzyżacy nas duszą.

Zawisza słuchał mnie uważnie oparty o parapet, z rękami splecionymi na piersi.

- Będziesz mógł sam o to zawalczyć. Damy ci szansę.

Poczułem mrowienie w stopach. To nieomylny znak, że sprawy obierają niebezpieczny kurs.

- Walczyć? Litości...
- Błach nikt ci zakładać nie rozkaże.
- Tym gorzej!

Zawisza odepchnął się energicznie od parapetu i zaczął chodzić po izbie.

– A oto w czym rzecz: jeden z aragońskich hrabiów podjął rozmowy z Krzyżakami w sprawie najemników. Przez krzyżackich posłów na aragońskim dworze. Ów hrabia gotów jest przysłać do Prus nawet pięć tysięcy żołdaków. Świetnie uzbrojonych, zaprawionych w bojach. To głównie kawaleria, sporo łuczników i kuszników. Mogą się stawić w Malborku w ciągu tygodnia, dwóch. Potężne wzmocnienie dla Krzyżaków.

– Znów chcesz mnie wysłać do Aragonii? – W pierwszej chwili pomyślałem, że może to nie jest takie złe rozwiązanie. Mógłbym wziąć Dorotę i jej dzieci. Tam będzie bezpieczniej.

- Nie. Do Malborka.
- Do miasta?
- Do zamku.

Z zaskoczenia zastygłem z kubkiem w pół drogi do ust.

– Udasz się tam jako wysłannik tego hrabiego – ciągnął Zawisza. – Oczywiście fałszywy. Hrabia przyśle prawdziwego posła. Ty zostaniesz na niego podmieniony już w Prusach.

Przygotujemy wszystko.

– Który to hrabia?

– D' Aragó.

Alfons d' Aragó, hrabia Denii, markiz Villeny. Ród znany w całym chrześcijańskim świecie. Potężna politycznie figura.

– I miałbym zerwać te negocjacje?

– Wręcz przeciwnie: zawrzeć kontrakt. Ci najemnicy są tak naprawdę dwa razy drożsi niż Ślężacy albo Czesi. Żądają czterech marek za dzień, do tego różne koszty. Ty ich wystawisz Krzyżakom za jedną markę. Powiesz, że są od jakiegoś czasu bez zajęcia i sprawiają mnóstwo kłopotów. Do tego są już opłaceni przez twojego pana na rok z góry, tyle że wojna, do której zostali najęci, przedwcześnie wygasła. I hrabia chce odzyskać choć część pieniędzy. Jedna marka za dzień to o połowę taniej niż Krzyżacy werbują na Śląsku i w krajach niemieckich.

– Przecież to się wyda!

Rycerz podszedł, pochylił się nade mną, oparł dłonie na nogawicach.

– Tak! Ale dopiero za kilka miesięcy. Tyle nam wystarczy.

– Kto to prowadzi w Aragonii? Aranda?

Zawisza się wyprostował, odwrócił do mnie plecami.

– Ostatni raz nam pomaga. Grunt mu się pali pod nogami.

– On to wymyślił?

– Nie, mój brat Farurej. Jest teraz w Saragossie. Przygotowali to razem.

– To się wyda... – powtórzyłem. – Zakon ma swoich ludzi w Aragonii.

– Oczywiście, że ma! Tych trzech posłów. I to oni zrobili najlepszą robotę. Aranda rozgrywa partię na swoim terenie. Oszukał ich z łatwością. Ci dobrzy synowie zakonu są przekonani o wyjątkowej okazji. Dzięki ich listom Malbork zaprosił delegację na rozmowy.

– Niemożliwe, żeby byli tak naiwni... – upierałem się.

– Przecenisz brodaczy. Mówię ci, że miną miesiące, nim dojdą do ład. To dla nas bezcenny czas. Szukamy najemników w tych samych krajach. Czechy, Morawy, Śląsk i kraje niemieckie. Nasi werbownicy konkurują z krzyżackimi. Zakonnicy przywożą cięższe sakiewki i przekupują kapitanów zwerbowanych wcześniej przez nas. Krzyżacy potrzebują najemników. Bardziej niż my. Kiedy zakontraktują, tanio, pięć tysięcy zaciężnych, nie będą tak agresywni w werbunku. Rozumiesz?

Przytaknąłem ruchem głowy.

– Gdy okaże się, że to łgarstwo, będzie już za późno na nowy werbunek. To może przesądzić o losach wojny...

– I chcesz, żebym wszedł do krzyżackiego zamku? Już raz byłem... Nie chcę więcej! Ledwie się nam wtedy udało...

– Aaronie, zaufaj mi. Nie przeciągajmy tej rozmowy. Kiedy ostatni raz prosiłem cię o pomoc?

– No właśnie wtedy! Omal mnie tam nie zakatowali!

– Bo wtedy mierzyliśmy się z samym Lichtensteinem. On teraz gnije w lochach albo smaży się w piekle. – Zawisza się uśmiechnął. – Bez ciebie nie damy sobie rady, Aaronie. Odwiedzę cię pojutrze. Bądź gotów. I wierz mi, zyskasz na tym! Zresztą... nie masz wyboru.

– A więc to nie jest prośba?

– Dobrze wiesz, że nie!

Uściskał mnie na pożegnanie. Ruszył w dół schodami. Zatrzymał się nagle i odwrócił. Jego twarz nagle zszarzała, spoważniał.

– Wiesz, jak zginęła Hanna...

Skinąłem głową.

– Nie tylko ją tak zamordowano... Kurt von Ruden też został powieszony.

O tajemniczej śmierci Kurta wiedziałem już od dawna. Nie wykryto wówczas sprawców, a na temat motywów zbrodni snuto najróżniejsze domysły.

– A na turnieju w Ors ktoś podpalił Gabora... – dodał Zawisza.

– Jak to podpalił?

– Był w przebraniu z piór, spłonął jak pochodnia.

– Boże drogi!

Zawahałem się.

– Ale nie rozumiem... To ma coś wspólnego ze śmiercią Hanny?

– Ktoś zostawia w pobliżu znak, zawsze ten sam. Mizerykordię, z literami „SSGG”.

Pomyślałem, że mógłbyś wśród Żydów popytać. O te litery.

– A Mikołaj? Jego ludzie w Tyńcu? Łamią różne szyfry...

Zawisza pokręcił głową.

– Nie mają żadnego tropu.

– Dobrze, zapytam... Porozmawiam z Jordanem. Mogę powiedzieć, że to się łączy z Hanną, z tobą?

– Tak, ale tylko jemu. Bądź dyskretny.

Kraków, lato roku Pańskiego 1409

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Podróż do Prus, do Malborka, wizyta w zamku, ta naiwna próba oszukania kutyh na cztery nogi zakonników – to wszystko napawało mnie przerażeniem.

Co robić? Może pora stanąć na własnych nogach... Ucierpią moje interesy. Trudno. Dam sobie radę. Zdobędę się na odwagę, by odmówić? Pozwolą mi tak po prostu powiedzieć „nie”?

Przez lata wmawiałem sobie, że powodzenie w interesach w nowej ojczyźnie to zasługa niebios i mojej pracowitości. Pora porzucić tę naiwność. Ci ludzie czuwali, bym wiódł bezpieczny i dostatni żywot. Jako doświadczony kupiec wiedziałem, że taka opieka to towar jak każdy inny. Teraz przyszli, by upomnieć się o zapłatę.

Następnego dnia zwlokłem się z łóżka później niż zwykle. Wolnym krokiem udałem się do gospody „Pod Turem” z nadzieją, że zastanę tam jeszcze Zawiszę. Chciałem to mieć już za sobą.

Sulima siedział w głównej izbie w towarzystwie Jarocha i jeszcze jednego łowcy.

Zdziwił się na mój widok.

– Nie byliśmy umówieni na sobotę? – zapytał, po czym wskazał mi miejsce koło siebie, a do karczmarza zamachał po dodatkową stągiewkę.

Wtedy nabrałem głęboko powietrze do płuc i powiedziałem:

– Przemyslałem sprawę. Pomogę wam!

– Cóż to za uroczysty ton! – Zawisza przez chwilę przyglądał mi się badawczo, jakby sprawdzał, czy z niego nie kpię. – Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, Aaronie. Dobrze, przyjmuję twą zgodę. – Wskazał na siedzącego obok łowcę. – Jarocho będzie się wami opiekował.

– Wami?

– Aragoński poseł ma przybyć z żoną. Więc i ty dostaniesz niewiastę do towarzystwa.

– Kogo?

– Nie musisz jeszcze wiedzieć.

– Znam ją?

– Owszem – odparł Zawisza. – Przez te kilka tygodni będziesz ją miał tylko dla siebie.

– Co to znaczy?

– Przekonasz się. Wielu mężczyzn oddałoby za to życie.



Nazajutrz z samego rana posłałem za Dorotą gońca z informacją, że wyjeżdżam z Krakowa na kilka tygodni i że dzieci zostawiam pod opieką gosposi. Oby Bóg nad nimi czował. A późnym popołudniem z Zawiszą i Jarochem ruszyliśmy do Tęczyna, skąd mieliśmy się udać do Prus.

Na zamku doszły nas niepokojące wieści: Krzyżacy zatrzymali w Ragnecie polskie statki ze zbożem dla głodującej Litwy. Podobno znaleźli na nich broń i uznali, że to dla Żmudzinów. Głośno mówiono tu, że to kolejny powód do wojny. Wtajemniczeni wiedzieli jednak, że nie na

wszystkich statkach znajdowało się zboże, były też inne towary, w tym beczki z blachą na zbroje. Niewielki to przemyt, i żadna broń, ale Krzyżacy skrzętnie to wykorzystali jako pretekst. Byli wściekli, że Witold kupuje zboże od Polski. Przyzwyczaili się już do robienia świetnych interesów, czyli sprzedawania zboża po zawyżonych cenach, gdy na Litwę spadała klęska głodu.

Podobno na Wawel przybyło właśnie do króla poselstwo krzyżackie ze skargą na Witolda, który wbrew układom poparł powstanie na Żmudzi, słał wojsko i broń, czym przyczynił się do śmierci wielu zakonnych rycerzy. Ulryk pytał też przez posłów o stanowisko Jagiełły w przypadku, gdy zakon uderzy na Witolda, by pomścić swe krzywdy.

Król nie udzielił im żadnej odpowiedzi. Oznajmił jedynie, że na Świętego Aleksego, czyli na 17 lipca, zwoła walny zjazd do Łęczycy, gdzie zostanie podjęta decyzja w tej materii. I wówczas wysłał do wielkiego mistrza posłów z odpowiedzią.

Zaraz po zjeździe posłowie Jagiełły z arcybiskupem gnieźnieńskim Mikołajem Kurowskim na czele udali się do Malborka z pismem, w którym król godził się na oddanie spornych spraw pod sąd polubowny, ale jednocześnie zażądał, aby do czasu wyroku zakon zaprzestał wojny na Żmudzi.

Zawisza wiedział, iż Kurowskiego wyposażono w tajne instrukcje króla, który polecił tak kierować rozmową z wielkim mistrzem, aby pobudliwego Ulryka sprowokować do złamania pokojowych układów i zaatakowania Polski. W Łęczycy bowiem podjęto decyzję, że w wypadku ataku Krzyżaków na Litwę Polska stanie zbrojnie po stronie Witolda.

– Na przyszlą wiosnę wielka wojna! – zawyrokował Zawisza.

Tyniec–Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Po dwóch godzinach podróży jeździec zboczył z głównej drogi i skierował się w stronę skalistego wzgórza opasanego zębatym murem, za którym piętrzyły się klasztorne budynki tynieckiego opactwa. Zatrzymał się w przesklepionej bramie i nakazał wartownikowi przywołać brata Mikołaja.

Drugi z wartowników, rozpoznawszy w przybyśzu samego Andrzeja z Tęczyna, wprowadził gościa na niewielki dziedziniec zamknięty murem, za którym skała opadała stromo do Wisły, oraz dwoma zamkowymi skrzydłami. Wkrótce na drodze z klasztoru ukazał się brat Mikołaj.

– Niech będzie pochwalony! – zawołał. – Panie, jestem zaszczycony. Nie spodziewałem się wizyty...

– Prowadź do skryptorium – polecił Tęczyński. Zsunął się z konia i oddał wodze jednemu ze strażników. – Akcja w Malborku rozpoczęta – oznajmił, gdy znaleźli się w pomieszczeniu dla skrybów. – Wykonałem rozkaz Jagiełły i powierzyłem tę misję Zawiszy. Musiałem zaryzykować.

– Zaryzykować?

– Podejrzewam Zawiszę o zdradę.

– Zdradę? – zapytał kolejny raz zdumiony Mikołaj. – Nieposłuszeństwo! To można zrozumieć, ale zdradę?

Tęczyński chwilę rozglądał się po skryptorium. Dawno tu nie był. To jedno z pomieszczeń tynieckiego klasztoru dostępne jedynie dla mnichów pracujących za zgodą opata dla polskich tajnych służb. Tu łamano szyfry, fałszowano korespondencję, dokonywano analiz strzępków informacji, jakie docierały z różnych zakątków Prus i innych ościennych krajów. Izba zastawiona była regałami, szafami, skrzyniami. Stało w niej także kilka wygodnych, obudowanych pulpitów. Na ścianach wisiały płótna z wyrysowanymi konturami krain i różnymi znakami.

Tęczyński stanął pod jedną z map. Wpatrując się w nią, oznajmił:

– Moi ludzi wykryli przemyt miedzi. Organizują go ludzie z tajnych służb. Zarabiają oni i... Ścibor ze Ściborzyc. Ze stratą dla króla, bo oczywiście nie płacą podatków. Zawisza jest w to zamieszany.

Zamilkł, bo w skryptorium pojawił się młody braciszek z kagankiem do zapalania świec. Zrobiło się późno, za chwilę pomieszczenie spowilby mrok.

– Nie mam twardych dowodów – oświadczył Tęczyński, gdy znów zostali sami – ale zdobędę je.

– Panie, handel a zdrada...

– Jakikolwiek potajemne kontakty ze Ściborem to przejaw zdrady. Jeśli osłabia się królewski skarbiec tuż przed wojną, to jest to zdrada. Nie ma handlu miedzią bez polityki.

Oskarżenie brzmiało poważnie. Miedź to jeden z najbardziej pożądanых towarów. Była łatwa w obróbce i wyrabiano z niej wszystko: pokrycia dachowe, druty, płyty, okucia, części zbroi, dzwony, chrzcielnice, świeczniki, naczynia liturgiczne, naczynia kuchenne. Kraków był

jednym z największych ośrodków przeróbki miedzi. W Polsce jej nie wydobywano. Sprowadzano ją głównie z Banskiej Štiavnicy, Banskiej Bystricy i Kremnicy. Wszystkie te ośrodki leżały w granicach posiadłości Ścibora. Węgierska miedź to jeden z najważniejszych towarów dla krakowskich kupców i obfite źródło dochodów królewskiego skarbcza.

– Ktoś z węgierskiej strony na granicę dostarcza miedź. Ta przechodzi bez cła, potem bez żadnych opłat dociera do Pomorza Zachodniego! Następnie pakowana jest na statki. Holendrzy biorą każdą ilość. Zarabiają fortunę. Pamiętaj, Aranda właśnie tak brał od nas towary. To sprawdzony szlak. I dobrze wiesz, Mikołaju, kto go przecierał.

Tęczyński stanął pod kolejną mapą. Z obrysu krainy wynikało, że przedstawiała północną część Węgier ze Spiszem. Założył ręce za plecy i długo się jej przyglądał. Grubą linią wytyczono granicę z Polską.

– Zawiszę zżera ambicja – oświadczył.

Mikołaj wykonał gest oznaczający, że trudno się nie zgodzić.

– A król jest na to ślepy – ciągnął Tęczyński. – Nie wynagradza go urzędami, nie obsypuje złotem. Zawisza jest sławny, ale wciąż... ubogi. Z przemieszania ambicji i biedy często rodzi się zdrada.

– To straszne oskarżenie! – Zakonnik obejrzał się przez ramię w kierunku mapy ze Spiszem. – Żeby Zawisza handlował ze Ściborem? Trudno mi w to uwierzyć. Wbrew królowi?

– Cóż w tym takiego trudnego do uwierzenia! – uniósł się starosta. – Pomożesz mi zdobyć dowody. Wystarczy namierzyć tego Żydka. On prowadzi finanse Zawiszy. Każ swoim mnichom sprawdzać każdy list, wszystko, co dostaje. Może dostawać zaszyfrowane wiadomości. Miej to na uwadze. Niech zajrzą do ksiąg. Na pewno je starannie prowadzi.

– Panie... Nie możemy tak po prostu włamać się i...

– Co stoi na przeszkodzie?

– Rozpęta się piekło!

– Nie będzie go przez kilka tygodni. Masz ułatwione zadanie.

– Nie lepiej zasadzić się na transport? – spytał Mikołaj. – Wziąć ludzi na spytki, podpiec pięty...

– Próbowaliśmy... Ktoś z polskiej strony zabezpiecza całą drogę! Zna rozkład patroli, posterunków. Łatwiej będzie prześledzić obieg pieniądza. Ten Żydek na pewno nim obraca. Muszą być tego ślady...

Otoczenie króla znenawidziło Ścibora za operację sprzedaży Nowej Marchii. Było tak, że Nowa Marchia stanowiła naturalny pomost między krainami niemieckimi a posiadłościami krzyżackimi w Prusach, miała więc ogromne znaczenie strategiczne tak dla Polski, jak i dla zakonu. W granicach Nowej Marchii znajdowały się dwa ważne ośrodki handlowe i graniczne warownie: Santok i Drezdenko. W roku 1396 władza nad Nową Marchią przeszła w ręce Zygmunta Luksemburskiego. Najbardziej zadłużony król Europy zabiegał o sprzedaż tej ziemi. Król węgierski udzielił Ściborowi ze Ściborzyc pełnomocnictwa do jej sprzedaży lub zastawu. W obliczu niezdecydowania wielkiego mistrza Ścibor udał się na Wawel. W 1402 roku złożył Jagielle propozycję wzięcia Nowej Marchii w zastaw. Król przyjął ją życzliwie, jako okazję do odzyskania tych ziem przez Polskę, i powierzył prowadzenie negocjacji panom wielkopolskim: Sędziwojowi z Szubin, wojewodzie kaliskiemu oraz Mościcowi ze Stęszewa, kasztelanowi poznańskiemu. Ci wprawni w targach negocjatorzy szybko poznali się na Ściborze. I nie pomylili się. Zakon ubiegł Polskę i jeszcze w 1402 roku kupił Nową Marchię za ogromną sumę sześćdziesięciu trzech tysięcy florenów węgierskich. Wyszło na jaw, że Ścibor jedynie pozorował negocjacje z Polakami, zwodził Jagiełłę, by skłonić władzę zakonu do zaoferowania lepszych warunków transakcji.

Krażyły pogłoski, że tym razem to Ścibor nakłonił Zygmunta do porozumienia z Krzyżakami, by doprowadzić do upadku Polskę i przy okazji przejąć ziemie przylegające do jego Słowacji.

Mikołaj ciężko westchnął:

– Nie umiem uwierzyć w zdradę Zawiszy.

– Śmierć Hanny go odmieniła. To tragedia, ale nie może go usprawiedliwić. Podobno w zdradę Tomasza też nie mogłeś uwierzyć.

– Król ufa Zawiszy jak nikomu.

– I to mnie niepokoi – mruknął Tęczyński. – Jagiełło robi błąd, że nie docenia ambicji tego rycerza. Zawisza pragnie władzy, urzędów. W służbie Luksemburczykom prędzej je zdobędzie. Może zrobi karierę jak sam Ścibor. Sulima mierzy wysoko. Gdyby nie ślepe, bezgraniczne zaufanie Jagiełły... Inaczej potraktowałbym tego włódykę. Nie mogę iść na wojnę z nim bez jednoznacznych dowodów. I pewności, że ją wygram. Pomożesz mi?

– Zrobię co w mojej mocy, panie. – Mikołaj starał się, by jego słowa zabrzmiały wiarygodnie.



Lichtenstein znów sięgnął do skrzyni z literami „SSGG” i wyjął z niej skórzaną tekę opatrzoną od wewnętrznej strony napisem „Zawissius niger de Garbow de domo Sulima”. Od kiedy znalazł ją w tajnym archiwum, nie było dnia, żeby do niej nie zajrzał. Znajdowało się tu kilka zeszytów: papierowych kart złączonych z lewej strony cienkim sznurkiem. Można je było otwierać i czytać jak książki. Zapisano w nich zeznania nieżyjącego już gdańskiego komtura Jana von Rumpenheima oraz kilka rozmów z pruskimi rycerzami. To na pewno nie są wszystkie materiały. Rumpenheim skopiował tylko te akta, które powstały w Prusach pod jego nadzorem. Oryginały powędrowały zapewne do Dortmundu i tam dołączyły do innych sprawozdań. Sędziowie musieli przecież przesłuchać ludzi z Brugii, Węgier i Polski.

Karol odnalazł też tu swoje nazwisko: figurował w zeznaniach gdańskiego komtura jako świadek. Przytoczono między innymi jego słowa o Tidemanie Stickerze. Lichtenstein żałował, że nie mógł opowiedzieć o tym, jak Zawisza go szantażował, jak Polacy zrabowali mu statki i zmuszali do donoszenia na zakon... Tego oczywiście nie mógł wyjawić. Został skazany za malwersacje, ale nigdy nie dowiedziono mu zdrady.

Na wewnętrznej stronie teczki widniała adnotacja dopisana ręką Rumpenheima: „winien”. A obok data: jedenastego dnia marca roku Pańskiego 1407; to zapewne dzień, w którym informacja o werdykcie dotarła do komtura.

Najgrubszy, kilkunastoarkuszowy zeszyt zawierał zapis przesłuchania Heleny von Ruden. Pytanie, odpowiedź, pytanie odpowiedź. Baba chętnie opowiadała, a sędzia się najwyraźniej rozkręcał w miarę przesłuchania. Trudno się dziwić. Posadzili przed nim największą kumochę w Gdańsku. Co ciekawe, zapis nosił datę późniejszą o pół roku niż ta, która stała obok słowa „winien”. Wyglądało na to, że sędzia udał się do Gdańska tylko po to, by przesłuchać tę kobietę.

Dlaczego znów wypytyują o Zawiszę, zamiast wykonać na nim wyrok?

Helena von Ruden... Dobrze pamiętał jej męża, wielkiego gdańskiego kupca, polskiego szpiega zabitego przez krzyżackich agentów. Ona, ponętna zamożna wdowa. Zawsze miała wielu adoratorów. I dwie brzydkie córki, które jakoś szczęśliwie wydała za mąż. Tyle sobie przypominał.

Karol przebiegał wzrokiem po kartkach. Kobieta wymieniała mnóstwo różnych nazwisk! Zawsze się zastanawiał: po co? Czy sędziowie poszli za jej sugestiami i rozmawiali ze

wskazanymi przez nią osobami?

Zeznania Heleny von Ruden zaczynały się wstępem od pisarza:

Dnia 23 września roku Pańskiego tysiąc czterysta siódmego czcigodny ojciec Anzelm przybył do miasta Gdańsk, by uzyskać jak najwięcej informacji o rycerzu imieniem Zawisza z domu Sulima i w pełnym świetle prawdy ukazać jego postać oraz rzucić to światło na jego najbliższe otoczenie. Sędzia, czyli ojciec Anzelm, w towarzystwie moim, czyli brata Rudolfa, pisarza, zadawał pytania, a Pani Helena von Ruden posłusznie na nie odpowiadała. Uczyniłem, co w mej mocy, by swą pisarską sztuką nie zniekształcić rozmowy, która przebiegała następująco:

SEDZIA: Mów wszystko, co wiesz o rycerzu imieniem Zawisza. O jego dobrych i złych uczynkach. Masz mówić tylko szczerą prawdę, niczego przed nami nie zatajając.

NIEWIASTA: Tak będzie.

[...]

SEDZIA: Znasz go dobrze?

NIEWIASTA: Bardzo dobrze. Przez wiele lat często gościł w naszym domu. Mąż mój wiele o nim opowiadał. Potem mój syn.

SEDZIA: Jaki jest twój stosunek do niego?

NIEWIASTA: Teraz go nienawidzę.

SEDZIA: Dlaczego?

NIEWIASTA: Jest winny śmierci mego męża.

SEDZIA: Po co bywał w Gdańsku?

NIEWIASTA: Z polecenia króla. Tak myślę. Cieszył się wielką sławą, pruscy rycerze go szanowali. Nawet tak sławni i wierni słudzy zakonu jak Mikołaj Ryński. Krzyżacy też się z nim liczyli.

[...]

SEDZIA: Spotykałaś się z nim?

NIEWIASTA: Po śmierci męża już nigdy.

SEDZIA: Skąd więc o nim tyle wiesz?

NIEWIASTA: Nie wiem, czy aż tyle.

SEDZIA: Zwracamy się do ciebie z pytaniami, bo doniesiono nam, że...

NIEWIASTA: Wiem od ludzi. I od syna.

SEDZIA: Nigdy więcej nam nie przerywaj. Od twojego syna, powiadasz?

NIEWIASTA: Mój syn Kurt dużo o nim opowiadał. Zawisza wiele dla niego zrobił.

SEDZIA: Powiedziałaś synowi, jak się sprawy miały? Że stracił ojca wskutek czynów tego rycerza?

NIEWIASTA: Nie.

SEDZIA: Dlaczego?

NIEWIASTA: Zawisza nie miał złych zamiarów.

SEDZIA: Mówiłaś, że go nienawidzisz.

NIEWIASTA: Jestem zdenerwowana tą rozmową. Źle powiedziałam. Nigdy mu nie wybaczę, lecz nie ma we mnie nienawiści.

[...]

SEDZIA: Możesz nam podać imiona osób, na których zależy temu rycerzowi?

(niewiasta długo milczy)

SEDZIA: Słyszałaś nas, kobieto? Poza twoim synem. Już wiemy, że jest mu bliski. Jak rozumiemy, Zawisza chce zmasać swą winę za śmierć twego męża. To szlachetne z jego strony.

NIEWIASTA: Jest jeszcze jedna osoba, wobec której on czuje się winny. To kobieta o imieniu Ayhe.

SĘDZIA: Już nam o niej wspomniano.

NIEWIASTA: Zawisza często u niej bywał. Opiekował się nią.

SĘDZIA: Była jego kochanką?

NIEWIASTA: Nie wiem, ojczcie.

SĘDZIA: Skoro nie wiesz, to znaczy, że nie była. Inaczej byś wiedziała, prawda?

NIEWIASTA: Prawda.

SĘDZIA: Mimo to uważasz, że Zawiszy na niej zależało.

NIEWIASTA: Już mówiłam, że czuł się za nią odpowiedzialny.

SĘDZIA: Gdyby jej się coś stało, obeszloby go to?

NIEWIASTA: Myślę, że bardzo. Już mówiłam...

SĘDZIA: Przestań się tak do nas zwracać! Pamiętamy, co mówiłaś.

[...]

SĘDZIA: A niejaki Aaron Abnarrabí. Myślisz, że jest mu bliski?

NIEWIASTA: O, tak! Bardzo. To Żyd. Pamiętam dzień, kiedy się razem zjawili w Gdańsku. Przypłynęli z Aragonii. Zawisza miłuje go jak brata.

SĘDZIA: Kto jeszcze jest bliski jego sercu?

NIEWIASTA: Jego żona, Hanna.

SĘDZIA: To chyba oczywiste.

NIEWIASTA: Wcale nie oczywiste.

SĘDZIA: Ktoś jeszcze przychodzi ci do głowy?

NIEWIASTA: Kurt mi opowiadał, że Zawisza brata się z prostytutkami. Z chłopami, łowcami. A na Węgrzech za największego przyjaciela ma stajennego. Gabora.

Karol odłożył kartki. Dość na dzisiaj. Wstał z kolan. Ścierpły mu nogi. Teraz przez kilka minut będzie go kłuło od środka i nie będzie mógł postawić stopy na posadzce.

Po co ona tyle mówiła? I to o swoim synu? Relacje Kurta z Zawiszą najwidoczniej nie były tajemnicą. Może bała się, że węsząc wokół Zawiszy, zaczną się tą sprawą interesować, i chciała jakoś wytłumaczyć syna? A może zmylił ją krucyfiks na szyi sędziego? Przesłuchanie rozpoczynało się od przysięgi na święty krzyż. Niewiasty są na ogół łatwowierne i bogobojne. Stąd może ta szczerość. Przysięgała zachować tę rozmowę w tajemnicy, może myślała, że druga strona też jej dochowa. A może po prostu lubi gadać? Papple, nie myśląc, jakie przyniesie to konsekwencje. *Morbus loquendi*, choroba gadulstwa, dotyka większość kobiet, niezależnie od wieku.

Karol obiecał sobie, że jak tylko okrzepnie, postara się uzyskać dostęp do pełnych akt. W końcu ten proces przeciwko Zawiszy potoczył się za jego sprawą!

Część II

Polska–Prusy, lato roku Pańskiego 1409

Choć gorączkowe przygotowania do wojny trwały po obu stronach granicy już od dawna, wszyscy spodziewali się oficjalnych wojennych deklaracji najwcześniej jesienią, a wymarszu wojsk w pole – na wiosnę przyszłego roku.

Udawaliśmy się więc do Prus w szatach polskich kupców bez obaw o aresztowanie czy jakąś wojenną przygodę. Stałem na czele delegacji jako handlarz drewnem. Oficjalnie naszym celem był Gdańsk, a konkretnie Lastadia – stocznia, w której mieliśmy omówić przyszłoroczne kontrakty na dębinę oraz wynegocjować zaliczki. Przy okazji wieźliśmy ze sobą próbki leśnych towarów: beczkę dziegciu, trochę smoły, najwyższej jakości popiół i węgiel drzewny. Niczego nie musieliśmy wymyślać. To był mój chleb powszedni i żaden strażnik ani urzędnik nie mógł powziąć podejrzeń.

Wyprawą dowodził Zawisza, ale tylko do Gdańska. Plan zakładał, że tam się rozdzielimy. Ja przejdę pod rozkazy kobiety, agentki, której imienia wciąż nie chcieli mi zdradzić, a która na dwa tygodnie w Malborku przeobrazi się w moją żonę i będzie kierowała akcją na zamku. Nakazano mi ściśle wypełniać jej polecenia. Zawisza w tym czasie przeprowadzi ważne rozmowy w Gdańsku. Jego misja objęta była całkowitą tajemnicą. Po dwóch tygodniach mieliśmy się spotkać w porcie ponownie i razem powrócić do Krakowa.

Jak i kiedy Polacy zamierzali podmienić aragońską delegację? Gdzie przetrzymywać prawdziwych Aragończyków na czas naszej misji? Jak ich przekonać do milczenia? Pytań miałem wiele. Ale nikt z towarzyszących mi ludzi nie chciał na ten temat rozmawiać.

W delegację oprócz mnie wyruszyli Zawisza, Jaroch oraz dwóch łowców: Wolas i Sagan, który pochodził z północnej Polski, z ziemi dobrzyńskiej, dlatego go z nami wysłano.

Źle znosiłem podróż, odwykłem od spędzania tylu godzin w siodle. Bolało mnie całe ciało. Do tego nie umiałem się uwolnić od ponurych myśli. Jeśli coś pójdzie źle, skończę w lochach. Krzyżacy obdadzą mnie ze skóry, wyrwą paznokcie, połamią członki. A potem wrzucą do rzeki, jak zwykli czynić ze szpiegami. I król nie ogłosi żałoby, nikt z tych ludzi wokół mnie nie rozedrze szat. Oni mają wzrok utkwiony w przyszłości, w polu bitwy, która rozegra się gdzieś w tych stronach. Moja śmierć czy ich śmierć są już wliczone w koszty.

Zasypiałem tylko dzięki piwu i gorzałce, którą łowcy z wielką namiętnością poili się co wieczór. Wina nikt w drogę nie zabrał.

By zająć czymś głowę, przyglądałem się po drodze ziemiom i ludziom. Nic tak nie odpręża jak planowanie nowego interesu. Dowiedziałem się kiedyś, że Gdańsk sprzedaje około trzydziestu tysięcy sztuk wańczosu rocznie. Drewno zwożono głównie z Mazowsza. Stocznie flandryjskie, angielskie i niemieckie gotowe były kupować dwa razy tyle. Zgłaszano też nieograniczone zapotrzebowanie na smołę i dziegieć. Miałem kilka tartaków na południu. Dlaczego nie pójść z kapitałem bardziej na północ, tu, na Mazowsze? Jeśli tylko wyjdę cało z tej awantury, poważnie to przemyślę!

Północna Polska przypominała niezmacone najmniejszym wzniesieniem klepisko. Dnie, mimo słońca, wydawały się chłodniejsze niż w Małopolsce. Drogi szły tu na ogół wąskie,

z trudem mogły się na nich minąć dwa wozy, a te między mniejszymi osadami wytyczano ledwie na jeden wóz. Były przy tym źle utrzymane, pełne dziur i poorane głębokimi koleinami. Z trudem pokonywaliśmy dwie, trzy mile dziennie. Jedyne gościńce przy miastach i znaczących grodach wykładano szerokimi deskami lub bito kamieniem.

Oprócz wozów mijaliśmy też drobnych sprzedawców, którzy swój towar nosili na plecach, na zmyślnie skonstruowanych podporach, a także chłopów prowadzących obładowane dobytkiem juczne zwierzęta. Ludzie szli samotnie lub w grupach; znać było, że czują się na drogach bezpiecznie. Trakty publiczne podlegały władzy starosty, który surowo karał za wszelkie przestępstwa.

Sagan, najlepiej znający te krainy, służył nam za przewodnika. Opowiadał o bogactwie zwierzyny w tutejszych lasach. Widywał tu jelenie, dziki, sarny i niedźwiedzie. Łowcy z tajnych służb, z racji tego, że mieli pozwolenie na podróżowanie i polowania we wszystkich lasach w granicach polskiej Korony i jej wasali, często urządzali wielotygodniowe wyprawy w północne knieje po skóry zwierząt.

Mnie bardziej interesowały drzewa. Przeważały lasy mieszane. Piękne buki i dęby, gdzieniegdzie przebijały brzozy, olchy i sosny. W podszycie bujnie pleniły się leszczyna i jałowiec. Ze szczególną uwagą rozglądałem się za dębina, której potrzebowałem do wyrobu klepek. Rosło jej tu pod dostatkiem i na pierwszy rzut oka była bardzo dorodna.

Wszędzie napotykał się ślady wyrębu. Olbrzymie połacie ziemi dopiero co wydarto lasowi. Ciesle potrzebowali drewna do wznoszenia domostw, mostów, młynów, rycerskich dworców, kościołów i zamków. Na wzniesienie zwykłej wiejskiej chaty potrzeba od dwunastu do czternastu kubików drewna. Ile na każdą z takich budowanych właśnie osad, które mijaliśmy po drodze? Muszę to kiedyś policzyć. Wykonane z drewna umocnienia trzeba wymieniać co najmniej po pięćdziesięciu latach, tak samo drogi, groble – te nawet częściej, po dwudziestu latach. Zapotrzebowanie na drewno będzie tylko rosnąć. Jadąc przez mazowszańskie ziemie, zdałem sobie sprawę, że surowca tu nigdy nie zabraknie. I że powinienem zainwestować w tartaki bliżej północnych portów. Gdyby tak można było kontraktować bezpośrednio z kupcami holenderskimi albo angielskimi! Warto wygrać tę wojnę!

W piątkowy wieczór zatrzymaliśmy się w gospodzie w jednej z większych i bogatszych wsi. Moi towarzysze, oddawszy konie i wóz pod opiekę gospodarza, zażądali wieczerzy. Byłem zbyt zmęczony podróżą i nieprzespanymi nocami, by im towarzyszyć. Udałem się do izby na piętrze, gdzie przyszykowano dla nas nocleg.

Obudził mnie gospodarz. Stojąc w drzwiach, oznajmił, że wieczerza dobiegła końca, nic więcej już nie poda i że szlachetni panowie, jak się wyraził, mnie wskazali jako tego, który za wszystko zapłaci. Z dołu dochodziły podniesione wesołe głosy i salwy śmiechu.

Z racji mojej profesji zarządzałem funduszami w czasie podróży. Rozliczałem wszystkie koszty: noclegi, posiłki, wszelakie inne opłaty, jak choćby za naprawę wozu sprzed dwóch dni. Tęczyński przeznaczył na wyprawę czterdzieści grzywien i taką też sumę otrzymałem w monecie. Gdyby została przekroczona, a wydatki byłyby uzasadnione, miałem założyć z własnych pieniędzy, które zostaną mi zwrócone z odpowiednim procentem. Wszystko skrzętnie notowałem w specjalnie na ten cel zabranym kajecie.

Teraz z przerażeniem słuchałem gospodarza. Za ryby, olej do ich usmażenia, warzywa, chleb, nalewki i piwo zażądał aż sześćdziesięciu skojców. Najwięcej kosztowało piwo, bo aż dwadzieścia osiem. Od pierwszego dnia podróży niezmiennie najwyższą pozycję na rachunku stanowiło piwo. Moi towarzysze jadali suto, wystawnie, zamawiali najdroższe nalewki. A i tak piwo kosztowało najwięcej.

Tę beztróską w wydatkach ludzi tajnych służb objaśniał mi kiedyś Jaroch. Agenci

wywiadu, oczywiście ci wyżej w hierarchii, obarczeni specjalnymi zadaniami, podróżują zawsze na koszt króla, nie stawia się im żadnych ograniczeń, a koszty utajnia. Poza tym jest ich niewielu, żyją w przeświadczeniu, że to oni decydują o losach wojen, a żołdaków i rycerzy na polu bitwy mają za wędrownych aktorów odgrywających spektakl, który oni wcześniej wymyślili i rozstrzygnęli. Wreszcie – jak nikt inny narażają się na więzienie, najwymyślniejsze tortury, wróg rzadko wypuszcza ich z lochów. Nie są bohaterami, bo kronikarze nie opisują ich zasług, niewiasty nie wzdychają do nich jak do okutych w stal rycerzy. Psi los. Więc gdy tylko mogą, używają życia i nie ma co się czepiać.

Nie czepiałem się więc, grzecznie uregulowałem należność, po czym postanowiłem dołączyć do szlachetnych panów. Już na schodach powitały mnie wesołe okrzyki i brawa.

Po wypiciu beczki piwa wszyscy mieli dobrze w czubie.

– Czekaliśmy na ciebie! – zawołał Zawisza. A potem zwrócił się do jednego z łowców: – Idź po rybę dla Aarona. I przynieś mu piwa!

– Nie, dziękuję. – Podniosłem dłoń. – Nie mieszam ryby z piwem. Co to za ryba?

Zawisza złożył dłonie w tubę i krzyknął w kierunku kuchni:

– Przynieś gorzałki dla kancelisty!

Chciałem zaprotestować, ale Jarocho zręcznie zasłonił mi usta dłonią.

– I dowiedz się, jaka to ryba! – krzyknął jeszcze Zawisza. Odwrócił się. Głowę trzymał prosto, ale jego oczy straciły blask, a powieki zamykały się wolniej. – Chryste! Że też nikt wcześniej nie zapytał! Szlachta, a żrą, nawet nie wiedzą co!

Uderzył kubkiem o blat.

– Pora, byś się dowiedział, z kim... – urwał, bo z kuchni wrócił Wolas. – No i? – zwrócił się do niego. – Co to za ryba?

– Nie ma już nikogo w kuchni. Gorzałkę znalazłem. – Postawił na stole gliniany gąsiorek. Odkorkował. – Pachnie dobrze. Mocna bestia.

Dla mnie przyniósł szklany puchar, który do połowy wypełnił przezroczystym płynem. Pozostałym łowcom rozlał do kubków po piwie.

– Zaniosę trochę Saganowi.

– Nie – zaprotestował Jarocho. – Jeden z nas musi się trzymać na nogach. Jutro ja stoję, to nadrobi.

Zawisza przytaknął Jarochowi, a potem zwrócił się do mnie:

– No więc... drogi Aaronie, pora, abyś się dowiedział, z kim będziesz dzielił łożę.

Wszyscy ucichli. Uśmiezki błąkały się na twarzach.

– Myślicie, że ona się przed nim rozbierze? – spytał Wolas.

– Będzie musiała! Brodacze na pewno wezmą ich do komnat dla specjalnych gości. Gdzie można podsłuchiwać i podglądać. – Zawisza odwrócił do mnie twarz. – Nie wolno wam będzie gadać po polsku.

Czułem, jak w gorzałce powoli rozpuszczają się wszystkie lęki. Była jak oliwa rozlana na wzburzone wody: fale emocji ustały, morze myśli tchnęło spokojem.

– Kto to? – zapytałem niemal beztróskim tonem.

– Ryksa. – Zawisza wysunął rękę z kubkiem, reszta zrobiła to samo. Naczynia zwały się nad środkiem stołu z głośnym glinianym stukotem.

– Słodki Jezu! Jak ci wszyscy zazdrościmy! – Wolas rozmarzył się. Podniósł kubek ponad głowę. – Za Aarona! Żeby się nam sprawdził.

Wychyliłem do dna. Zapieкло w gardle znacznie mniej niż za pierwszym razem. Za drugą i każdą następną kolejką jest coraz łatwiej. To dobra cecha gorzałki.

Przypomniałem sobie tę dziewczynę o smukłej sylwetce, jędrnych piersiach i szczupłych

biodrach. Widziałem ją tylko raz, wiele lat temu w Krakowie. Zapadł mi w pamięć namiętny błysk w jej źrenicach, gdy spojrzała na mnie zza zasłony długich ciemnych rzęs. Była wtedy w towarzystwie Zawiszy; to on wyznał mi później, że Ryksa należy do najbardziej zaufanych szpiegów Jagiełły. Głośno rozprawiano jakiś czas temu w Krakowie o jej romansie z jednym z królewskich doradców.

– Mam nadzieję, że nie jest jeszcze zamężna...

– A co to ma do rzeczy, do cholery! – oburzył się Zawisza. – Jest na służbie. Wszystko, co robi, robi dla ojczyzny. Nie martw się, może nie będziesz musiał...

– Będzie musiał! – wtrącił Wolas. – Dla króla!

Ryknęli śmiechem.

– Poza tym Ryksa mu nie odpuści – ciągnął rozochocony Wolas. – Podobno jak widzi gładkiego męża, to nie daruje. Ma miękkie serce.

Zawisza podniósł się z ławy i sięgając przez stół, złapał łowcę za kaftan. Szarpnął nim ku sobie. Ten uniósł szybko ramiona na znak niewinności.

– Będziecie udawać małżeństwo – rzucił Zawisza w moją stronę, ciężko opadając na ławę. – Spać w jednym łóżu *et cetera*. Rozumiesz? *ET CETERA!*

Jaroch śmiał się bezgłośnie. Rzadko widywałem go pijanego. Teraz miałem jedną z nielicznych okazji.

– Dla własnego bezpieczeństwa. To rozkaz – ciągnął rycerz. – Brodaczki będą się wam przyglądać. W sypialni też, Aaronie.

– To piękna kobieta. – Jaroch mówił tak poważnym tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

– Nie ma rycerza w Polsce, który by nie chciał się z tobą zamienić.

– Nożem obraca lepiej od ciebie – dodał Wolas. – Obroni cię przed brodaczkami.

Jaroch uniósł ramiona ku górze w uroczystym geście.

– Przysięgam, gdybym znał aragoński, wziąłbym tę robotę!

– Ale to przecież Polka – zauważyłem. – Nie zna aragońskiego.

Zapadło milczenie. Jaroch rozparł się wygodnie na ławie i odwrócił głowę w stronę Zawiszy. Czekał, aż ten coś powie.

– Kiedy ostatnio widziałeś Ayhe? – zapytał w końcu Sulima.

– Dlaczego pytasz? Nie wiem, dawno, lata temu...

– Ja ją widziałem... niecały rok temu – oznajmił, a potem wskazał palcem na Jarocha. – On był u niej tej wiosny.

Znów zrobiło się cicho. Wypita gorzałka mąciła mi umysł, czułem w głowie pustkę.

– Czy chcesz powiedzieć, że...

– Pracuje dla nas – dokończył Zawisza. – Pomogliśmy jej, gdy od ciebie odeszła.

– To niemożliwe!

– A jednak się stało. Po jej ucieczce z Krakowa mieliśmy dwa wyjścia. Albo ją zabić, albo skłonić do współpracy. Za dużo wiedziała. Zdecydowaliśmy się na to drugie. A ona wzięła pieniądze. Tylko tyle. Przez wiele lat nie mieliśmy z niej wielkiego pożytku. Ale odkąd związała się z jednym z wysokich urzędników portowych, przekazuje wiele cennych informacji.

– Związała się... – powtórzyłem machinalnie.

Zawisza uderzył dłonią w stół i krzyknął:

– Patrzcie, kmioty, jak wygląda miłość! On ma w dupie, że Ayhe dla nas pracuje! Rąbnęło go to, że się z kimś związała! – Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. – Aaron, kurwa, chłopie, kiedy ci wreszcie przejdzie! No, związała się! Teraz z nim, a wcześniej z innymi!

– Dlaczego ode mnie odeszła? – zapytałem już całkiem pijany.

Wolas rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „a było tak miło”, osunął się na ławę

i burknął:

– Wieczór diabli wzięli. – Rozlał resztę gorzalki swoim kompanom. Zawisza odmówił, ja zostałem pominięty.

– Wiem tyle, co mi powiedziała – odparł Zawisza. – Obwiniła cię o śmierć Stickera. Nie mogła żyć z mordercą.

– Z mordercą?! – wybuchnąłem. – A z wami mogła?

– Ze mną łoża nie dzieliła! – zachnął się Zawisza. – To rozumna kobieta. Miała syna na utrzymaniu. Odeszła od ciebie bez niczego. Sam wiesz.

– Zobaczę się z nią?

– Nie! – Zawisza pokręcił głową. – Zabraniam. Będziesz w Gdańsku kilka dni. Musimy być bardzo ostrożni. Żadnych spotkań. Ty i Ayhe jesteście jak ziemia i chmura, zawsze lecą pioruny.



Nazajutrz, nim słońce uniosło się ponad linię drzew, byliśmy już w drodze. Łowcy jechali w milczeniu z pochylonymi głowami. Zapewne drzemali. Zawisza wstrzymał nieco konia i zrównał się ze mną. Jechaliśmy za wozem.

– Obiecałem, że na tej awanturze dobrze wyjdiesz – zaczął, a ja odetchnąłem z ulgą. Nie miałem ochoty wracać do wczorajszej rozmowy.

– Liczę na to!

– Tęczyński upoważnił mnie, abym w imieniu króla zaproponował ci pewien kontrakt.

– To zaszczyt – odparłem.

– Król nagradza wiernych. Poza tym jesteś królewskim serwitorem, nie zapominaj. Teraz trafisz do grona jego zaufanych kontrahentów.

– Znowu dzięki tobie?

– Sam zapracowałeś.

Ze słyszenia wiedziałem, że kontrakty z polskim dworem uchodzą za pewne. Jagiełło, zlecając jakieś roboty, zabezpieczał na to środki, a jeśli nie miał gotówki, czynił zapisy na królewskości lub oddawał jakąś intratną dzierżawę, co często było nawet bardziej opłacalne.

– A teraz uważaj.

To, co usłyszałem od Zawiszy, sprawiło mnie w osłupienie. Otóż król zamierzał zlecić budowę stu pięćdziesięciu łodzi, a właściwie barek o bardzo dziwnych parametrach. Wszystkie miały być jednakowe i w żaden sposób nie pasowały do moich wyobrażeń o tego typu konstrukcjach. Ale to bez znaczenia. Miałem tartaki, surowiec, robotników. Potrzebowałem pieniędzy. Kontrakt obwarowany był surowymi warunkami. Przede wszystkim obowiązywała ścisła tajemnica. Łodzie miały zostać wykonane w kilku różnych stoczniach, które nie powinny się ze sobą kontaktować. To samo dotyczyło dostaw klepek – kluczowego surowca do produkcji. Jeśli przystąpię do umowy, będę jedynym jego dostawcą. Przewoźnicy muszą być zaufani, starannie sprawdzeni. O deski, belki i pozostałe elementy potrzebne do budowy miałem się nie martwić. Nadzorcą całego przedsięwzięcia jest niejaki Dobrogost, starosta radomski. Zapłata w ogóle miałem sobie nie zaprzętać głowy. Choć, co ważne, koszty na początku musiałem pokryć sam. Co będzie, jeśli Polska przegra wojnę? Kto mi zapłaci? Nie odważyłem się o to zapytać.

Projekt łodzi przygotowuje mistrz ciesielski i szkutnik – Jarosław. On przedstawi wymiary klepek i dokładne zapotrzebowanie. Termin wykonania wszystkich łodzi to kwiecień przyszłego roku. Termin ostatniej dostawy klepek przypadnie na przełom stycznia i lutego. Ma być

nieprzekraczalny.

– Obowiązuje całkowita tajemnica – powtórzył Zawisza. – Pod karą gardła.

Na pytanie, po co królowi tyle barek, zbył mnie byle odpowiedzią.

– Po powrocie do Krakowa – oznajmił na koniec – odwiedzi cię albo sam mistrz Jarosław, albo ktoś przez niego wysłany. Ustalcie warunki. Także finansowe. Nie zwlekaj z decyzją.

Ziemia dobrzyńska, lato roku Pańskiego 1409

Granice Prus minęliśmy na wysokości Torunia. Wkroczyliśmy na ziemię chełmińską. W kupieckich szatach nie zwracaliśmy niczyjej uwagi. Mimo to zachowywaliśmy czujność. Omijaliśmy większe osady.

Nie zostaliśmy wyposażeni w handlowe glejty. Krzyżacy niechętnie je wystawiali, bo nie widzieli takiej potrzeby. W ich mniemaniu w Prusach panowała wolność podróżowania dla wszystkich. Przecież pokój wciąż jeszcze obowiązywał.

Pamiętałem ziemię chełmińską sprzed dwunastu lat, najeżoną zamkami srogą strażniczkę Prus. Teraz bardziej uwagę zwracała zamożność mijanych osad, zagród, miast. I kupiecki ruch na drogach. W większości mijanych gospód roiło się od gości. Widać, że czas był przedwojenny. Gęsto osadzone tu zamki robiły zimowe zapasy na wypadek wojny. Kupcy się uwijali, by zrealizować niezwykłe o tej porze zamówienia.

Wszystko, co mówiłem Zawiszy o patriotycznej atmosferze w Krakowie, było prawdą. Ale prawdą było też to, że wielu ludzi, krakowskich mieszczan, sprzeciwiało się wojnie z zakonem. Zakon był przeciwnikiem niezwykle potężnym nie tylko militarnie i gospodarczo, ale także duchowo.

Krakowskie domy zamieszkiwali ludzie pobożni, a Krzyżacy wciąż rozgłaszali po całej Europie, i znajdowali słuchaczy, że chrzest Litwy i samego Jagiełły to oszustwo, pozory i że Polacy, stając w wojnie u boku pogan i fałszywych chrześcijan, winni zostać uznani przez wszystkich prawdziwie wierzących za wrogów.

Wielu polskich kupców i szlachciców prowadziło z Krzyżakami zyskowne interesy. Zakonni szafarze skupowali towary na terenach nie tylko Prus, ale także i polskich krain, sięgając coraz dalej na południe. Brali zboże, drewno, futra, miód, wosk, popiół, smołę. Aby zagwarantować sobie dostawy, krzyżaccy urzędnicy wypłacali zaliczki pod zastaw przyszłych zbiorów czy produkcji i w ten sposób uzależniali od siebie dostawców ze wszystkich warstw: książąt, rycerzy, mieszczan, chłopów, a nawet duchowieństwo.

Ale i tak największy niepokój budziła krzyżacka potęga militarna. Uchodziła za niezwyciężoną. Krzyżacy, choć panowali na niewielkim w porównaniu z Polską terytorium, czterokrotnie mniej ludnym, dysponowali większymi środkami finansowymi i byli zdolni wystawić potężną armię.

Zawisza nie podzielał tych obaw. Jego zdaniem Malbork, gdy mocno napręży muskuły, wystawi nie więcej niż dwadzieścia tysięcy zbrojnych, przy czym sami Krzyżacy to ledwie ułamek armii. Do wojny z Polską ruszy pięciuset, może siedmiuset braci-rycerzy. To i tak dużo, bo w całym zakonie nie było ich więcej niż półtora tysiąca. Reszta to pospolite ruszenie, będzie tego około dziesięciu tysięcy, i zaciężni w takiej samej liczbie. Na gości z zachodniej Europy tym razem zakon nie miał co liczyć.



Trzy dni po przekroczeniu granicy, na wysokości Tczewa, coś się nagle odmieniło. Drogi opustoszały, jakby jakiś strach padł na ten kraj.

Jeszcze przed przekroczeniem Wisły Zawisza odesłał Jarocha pod Malbork, aby przygotował zapasy żywności, rozeznał drogi, miejsca na kryjówki i wszystko, co niezbędne na wypadek, gdyby doszło do nieprzewidzianych zdarzeń.

Po przeprawie przez rzekę, która przebiegła mozolnie, w strugach deszczu, ruszyliśmy gościńcem wiodącym do Gdańska. Szybko zapadły ciemności. Na szczęście przestało padać, chmury się rozsunęły i księżyc rozświetlił ziemię aż po horyzont. Zjechaliśmy do pierwszej większej wioski, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć gospodę.

Było widno jak o brzasku. Mieliśmy przed sobą typową zamożną pruską wieś: równe co do wielkości zagrody przycupnęły po obu stronach drogi; każda otoczona palisadą, składała się z chaty i budynków gospodarczych: stodoły, obory i spichlerza. Wszystkie domy pogrążone były we śnie. Za niewielkim kościółkiem droga rozwidlała się, obejmując owalny plac. Na drugim jego krańcu dostrzegliśmy gospodę. Tylko tam pobłyskiwały jakieś światła.

Wewnątrz w niewielkiej izbie z klepiskiem zamiast podłogi stały tylko dwa długie stoły zbite z grubych bali. W kamiennym palenisku w rogu tlił się wąty ogień. Łuczywa w żelaznych uchwytach przymocowanych wysoko na ścianach były wygaszone. Na szynkwasię pomiędzy glinianymi dzbanami i kubkami płonął świecznik.

Sagan zawołał na gospodarza. Po chwili na górze dał się słyszeć głos. Zatrzeszczały schody i pojawił się na nich potężny mąż o posturze pasującej bardziej do kowala niż do karczmarza. Z cienia zza szynkwasię wynurzył się jakiś młodzian. Bez wątpienia syn gospodarza, drobniejszy, niższy, ale o dłoniach i stopach zwiastujących przyszłego olbrzyma.

– Idź do koni i czekaj tam – zwrócił się do mnie Zawisza. – A Wolas niech tu przyjdzie, chcę ustalić czuwanie. I trzeba się z tym cyklopem domówić co do warunków.

Gospodarz skinął głową chłopakowi, by ruszył za mną. Wyszliśmy razem na podwórko tonące w błocie. Wolas splunął w kałużę i wszedł do izby. Przeczuwał, że dzisiaj na niego wypadnie.

– Musiało tu lać kilka dni – zagadnąłem chłopaka po niemiecku.

– Od wczoraj – odparł. I zabrał się do wyprzęgania wozu.

Stanąłem przy koniu i przywierając policzkiem do boku zwierzęcia, sięgnąłem głęboko do sakwy przytroczonej do siodła, by wydobyć mieszek z drobnymi monetami. Odruchowo podniosłem wzrok. Zobaczyłem w świetle lampy zawieszanej na ganku, że gówniarz gapi się na mnie, guzdrząc się przy dyszlu. Dostrzegłem w jego oczach błysk niechęci i dziwnego tryumfálnego wyzwania.

Nie podobały mi się ani ta gospoda, ani wioska pogrążona w ciemności i całkowitej ciszy. Nawet pies nie zaszczekał, gdy przejeżdżaliśmy. To chyba nie najlepszy pomysł, żeby tu zostawać. Dlaczego gospodarz i jego syn nie spali, gdy się zjawiliśmy? Dlaczego zostawili światło na ganku?

Mieszek wcisnąłem za pas. Nagle poczułem pod stopami drżenie ziemi. Zaraz potem rozległ się szybko narastający tętent kopyt i na plac przed gospodą wpadła grupa jeźdźców. Plac rozgorzał płomieniami pochodni. Kilku zbrojnych zręcznie zsunęło się z siodła i ruszyło ku drzwiom. Jeden z nich doskoczył do mnie i przystawił mi miecz do szyi. Nie dostrzegłem w jego twarzy zaciętości ani lęku. Ci żołnierze nie spodziewali się po nas oporu. To byli knechci odziani w zwykłe skórzane kaftany i kolczugi. Przyjechali aresztować kupców.

Dwóch ludzi podeszło do drzwi, ale ich nie otwierali.

Z odgłosów dochodzących ze wszystkich stron, końskiego parskania, nawoływań i blasku pochodni zrozumiałem, że gospoda została otoczona. Tymczasem Zawisza i łowcy mieli przy

pasach tylko krótkie kordy, a cała nasza broń spoczywała na wozie, w schowku.

Z konia zsiadł knecht, który jako jedyny ubrany był w krzyżacką tunikę. Zapewne dowódca. Mój stróż schował miecz do pochwy, szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę gospody. Otworzyły się drzwi, poczułem kopnięcie w plecy. Potykając się o próg, runąłem do środka. Za mną wpadło czterech zbrojnych. Na końcu wszedł dowódca i zawarł za sobą drzwi.

Prusy, lato roku Pańskiego 1409

Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem stojących pod ścianą Zawiszę, Wolasa i Sagana. Dwóch żołnierzy mierzyło do nich z kusz, dwóch stało z obnażonymi mieczami. Mnie także pchnięto pod ścianę. Jeden z knechtów kazał nam rozpiąć kaftany, potem wyciągał po kolei kordy z pochew i rzucał je na środek izby.

– Coście za jedni? – spytał dowódca.

– Kupcy – odparłem. Tak było uzgodnione. Na wszelkie pytania o handlowe sprawy ja miałem odpowiadać. – Z Krakowa. Wieziemy do Gdańska beczki z dziegiem i smołą oraz próbki klepek. Chcemy zawrzeć kontrakty na przyszły rok. Handlujemy z gdańską stoczną.

Zabrzmiało to wiarygodnie. Dowódca skinął głową.

– Wielki mistrz zakonu wypowiedział Polsce wojnę – oznajmił. – Trzy nasze armie idą ku waszym granicom. Zabieramy was na zamek w Sobowidzu. Tam sprawdzimy, czy nie jesteście szpiegami. Wszystko, co macie, przechodzi na własność zakonu. Wójt Tczewa jest miłosiernym chrześcijaninem, więc może nie dacie gardeł.

Tymczasem gospodarz rozniecił w palenisku ogień. Zapalił też wszystkie wygasłe łuczywa. Izba pojaśniała. Dowódca się uśmiechnął.

– Idziecie z Krakowa? Nie wiem, czy będziecie mieli do czego wrócić. Nasze wojsko będzie tam przed wami...

Jeśli na zamku przejrzą wóz i odkryją schowek, a nie będzie to trudne, bo to tylko podwójne dno, to raczej nie wrócimy do domów. Znajdą broń, przebrania, kilka płaskich skrzyń wypełnionych złotem i Bóg wie, co jeszcze wiezie tam Zawisza na swoją misję. Wtrąca nas do lochów albo od razu powieszą. Nie, nie powieszą. Utopią. Tak w tych stronach likwiduje się szpiegów, jeśli dobrze pamiętałem.

Dowódca powoli wodził po nas wzrokiem. Odwrócił się do karczmarza.

– Przewoźnik mówił, że było ich pięciu przy przeprawie.

– To wszyscy, panie. Chłopak siedział na drzewie i z góry ich widział. Jeden stał przy wozie. – Wskazał na mnie. – Reszta była w środku. To wszyscy.

Knecht obrzucił okiem naszą grupę. Ich było dwa razy tyle, byli uzbrojeni, gotowi do walki. Nie miał się czego obawiać. Uniósł dłoń w geście, który znali jego żołnierze, bo odłożyli kusze i wsunęli miecze do pochew.

– Mówisz, że idziecie do Gdańska kontrakty podpisywać? – zwrócił się do mnie. – Poślę tam kogoś, żeby sprawdził, czy cię znają.

– Ślij panie. Znają. Niech pytają w stoczni o mistrza Brunona, on odbiera towar.

– Jak cię zwą?

– Jakub.

– Tylko tyle?

– Falkowicz – dodałem.

– Dziwną masz gębę.

– Falkowicz to od sokoła, *falcón*, wielu Żydów zbiegłych z Hiszpanii przybiera to

nazwisko. To inaczej Sokołowski.

– Jesteś Żydem?

– Przechrztą, panie.

Niespodziewanie rozbrzmiał mocny głos Zawiszy:

– Mamy różne specjały na wozie. I dobre wino. Napijmy się przed drogą. Na zamku będziecie się musieli podzielić ze wszystkimi...

Zacięte twarze knechtów rozciągnęły się w uśmiechu. Nie wiem, czy bardziej rozbawiła, czy ucieszyła ich ta propozycja. Ale ich dowódca pozostawał niewzruszony.

– Co za hojność! – Obrócił twarz do Zawiszy – Jest wojna! Wszystko, co masz, należy do mnie. Nawet twoje życie. Ciesz się, że wam je daruję. Na razie.

Karczmarz i jego syn głupio się uśmiechali. Odezwał się stary:

– Po co ich przy życiu zostawiać? Tu miętka ziemia, panie. Chcieli wojny, to ją dostaną. My sobie ich szaty zostawimy.

Młody dowódca nawet na niego nie spojrział. Zwrócił się do jednego z knechtów:

– Przywołaj wszystkich. Niech zaprzęgają wóz. A Hans niech tu przyjdzie z powrozami. Powiążemy te ptaszki, żeby nam po drodze nie odfrunęły.

Żołnierz skinął głową, stanął w progu, uniósł wysoko pochodnię i wykrzyczał przyzywając kilka imion. Głos poniósł się po podwórzu, ale nie odpowiedział mu żaden ruch ani dźwięk. Nic, cisza. Tylko lekki szum liści. Zawołał jeszcze raz. Dopiero po długiej chwili w blasku płomienia ukazał się knecht.

Dowódca, początkowo poirytowany opieszałością swoich ludzi, teraz uspokojony odwrócił się w naszą stronę.

– Nie podobacie mi się. Macie gęby zbójów, a nie kupców.

Ale ja głowy nie odwróciłem. Coś w sylwetce tego żołnierza, kiedy szedł przez podwórze szybkim krokiem, z pochyloną głową, bacząc, by omijać kałuże, wydało mi się znajome.

Tuż przed progiem szybkim ruchem dobył z pochwy miecz. Podniósł głowę, dopiero gdy zbliżył się do stojącego w progu żołnierza na odległość kroku. Rozległ się chrapliwy jęk, z pleców wygiętego nagłym skurczem knechta wystrzeliło ostrze miecza, przebijając skórzany kaftan. Pochodnia upadła na klepisko, potoczyła się pod ścianę i skierowała na nią poczerńiałe od dymu jęzory ognia.

Stałem tuż przy kominku. Szybkim ruchem podniosłem z ognia płonąca kłodę i wrzeszcząc z bólu i strachu, cisnąłem nią w twarz dowódcy. Rozległ się krzyk, doszedł nas smród palonej skóry i włosów. Dostrzegłem kątem oka, jak Jaroch, bo to on nadszedł z podwórza, oparł stopę na piersi przebitego knechta i jednym szarpnięciem wydobył miecz. Ujął go oburącz za rękojeść i rzucił przed siebie. Miecz wykonał świszczący obrót i wbił się w brzuch jednego z knechtów, odrzucając go na kilka kroków do tyłu. Pozostali trzej żołnierze i karczmarz padli pod ciosami pięści, nim zdążyli dobyć broni. Łowcy porwali z ziemi porzucone kordy i dobili knechtów.

– Jeszcze ten gówniarz! – krzyknął Sagan i wypadł na zewnątrz. Wybiegłem za nim. W nocnej ciszy rozlegały się szybkie, mokre kroki uciekającego chłopca. Zobaczyłem w świetle księżycy, jak potężna, pochylona sylwetka łowcy nabiera prędkości, roztrzaskuje białe lustra kałuż, zbliża się do uciekiniera. Potem obaj upadli i sunęli w błocie kilka sążni. Chłopak uniósł się na chwilę, próbując się wyrwać prześladowcy, ale ten chwycił go w pól i znów powalił na ziemię. Potem zobaczyłem unoszące się ramię z zaciśniętą pięścią. Rozległo się głuche uderzenie. Na chwilę znieruchomieli. Sagan podniósł się najpierw na kolana, potem wstał, chwycił chłopaka za nogę i powłókł w naszą stronę.

Wieś nadal trwała pogrążona w całkowitej ciszy i ciemnościach.

Sagan zaciągnął utarzanego w błocie chłopaka na środek izby i tam cisnął jak rybę wywleczoną na brzeg.

Zawisza podszedł do uciekiniera i czubkiem buta obrócił go na wznak.

– Chłopaka trzeba było zostawić...

– Za mocno go trafiłem. Bałem się, że podniesie alarm – odparł Sagan.

– Chłopi i tak już pobudzeni. Boją się wyjść z chałup, ale za chwilę któryś z nich na zamek pobiegnie. Wynosimy się stąd – rozkazał Zawisza, po czym obrócił się do Jarocho.

– Bóg cię tu sprowadził! – Rycerz uścisnął ramię łowcy.

– Kilka mil dalej, jak was zostawiłem, stało wojsko – odrzekł Jarocho. – Cała armia. Mnóstwo chorągwi. Jakby wyszły spod ziemi. Jakiś kmiotek mi wygadał, że wojna. Że Krzyżacy będą przekraczać granicę! Mają iść na Kraków.

– Ten knecht mówił to samo! – powiedział Sagan.

Pochodnia leżąca pod ścianą dogasała, ale drewniane bale poczęły się już tlić.

– Trzeba się stąd wynosić – powtórzył Zawisza. A potem rzucił do Sagana: – Poszukaj oliwy do lamp. I jakiejś słomy. Puścimy to wszystko z dymem. Wziąć z wozu broń i pieniądze. Stodołę razem z wozem też spalić.

Rozejrzał się po izbie. Jego wzrok spoczął na trupach.

– To wszyscy? – spytał. – Trzeba ich policzyć.

– Koło fortuny! Ale się kręci! Skurwysyny liczyli nas, teraz my ich – mruknął Wolas.

Rozległ się nerwowy śmiech.

– Aaronie, pomóż mu – rozkazał Zawisza.

– Wydawało mi się, że czterech zostało na zewnątrz, może pięciu... – Powoli odtwarzałem w pamięci przebieg wypadków.

– Policz, kurwa, ich konie, to będzie szybciej! – wrzasnął Zawisza. Był wściekły. Zaskoczony wojną, upokorzony przez oddział knechtów, któremu tak łatwo dał się podejść.

Posłusznie wypadłem na zewnątrz. Koni było osiem.

– Zgadza się – potwierdził Jarocho. – Trzem poderżnąłem gardła wcześniej. Jeden leży przed progiem. Tu jest czterech.

Zawisza skinął głową.

– Trzeba się spieszyć. Wieść pójdzie do okolicznych zamków. Uprzedzą miasta.

– Wojna wszystko zmienia... – zwróciłem się do Sulimy. – Cała ta maskarada z kupcami przestała mieć sens. Gdańsk zamknie bramy. Trzeba chyba zawrócić...

– Nie. Musimy dotrzeć do Malborka – orzekł Zawisza. – Skoro wybuchła wojna, to nie możemy iść razem. Te trupy... – spojrzał na ciała knechtów – ściągną nam pościg na głowę. – Potem zwrócił się do łowców: – Ruszycie od razu pod Malbork, czyńcie tam przygotowania. Do Gdańska pojedziemy tylko ja i Aaron. Jakoś musimy się przedostać do miasta. A reszta w rękę Boga.

Wyszliśmy na zewnątrz. Łowcy wypakowali z wozu najważniejsze rzeczy. Zawisza wydobył ze schowka skrzynki i przesypał pieniądze do sakw.

– Wolas, podpalaj karczmę! Tylko sprawdź, czy który tam nie dycha jeszcze. Żebyśmy tu żywcem kogoś nie spalili jak jacyś barbarzyńcy!

Chwilę później płomienie gwałtownie wychynęły przez rozwarte okiennice. W blasku ognia łowcy osiodłali konie, wierzchowce knechtów wzięli za wodze, by odprowadzić je kawałek dalej i gdzieś uwiązać przy drodze.

Mijając stodołę, rzucili do wnętrza kilka rozpalonych żagwi.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

„Bogu niech będą dzięki!” , pomyślałem na widok dwupiętrowej kamienicy i znajomego szyldu: niezdarnie narysowanej maczugi nabijanej gwoździami. Tak, to tu, to w tej cholernej karczmie Zawisza pobił kiedyś ludzi gdańskiego komtura.

Miejskie dzwony jeszcze nie były dziesiątej. Udało się, zdążyłem! Błądziłem po Gdańsku kilka godzin. Jak można być takim durniem! Nie wiem, ile razy mijałem Dwór Artusa, by stamtąd próbować odtworzyć drogę, którą przed laty pokonaliśmy z Zawiszą.

Ledwie powłóczyłem nogami. Głód i pragnienie odbierały mi zdolność myślenia. Do Gdańska dotarliśmy po wielu dniach ukrywania się po lasach i stodołach. Poruszaliśmy się tylko nocami. Zawisza bał się, że całe zachodnie Prusy postawiono na nogi, by nas dopaść. Miasto nie wpuszczało kupców; na wszystkich bramach stały podwojone straże. Udało nam się przedostać tylko do Osieku. Tam Zawisza zdołał przekonać kilku rybaków opłacanych przez polski wywiad, by przemycili nas do Głównego Miasta. Ryzyko było ogromne, bo Krzyżacy zaostrzyli kontrolę także w porcie. Musieliśmy iść osobno. Pół dnia spędziłem zamknięty w beczce po śledziach.

Znalazłem się więc w Gdańsku sam. Jedyłą wskazówką, jaką otrzymałem, było stawienie się w karczmie „Pod Maczugą”. Tu miała czekać na mnie Ryksa. Co wieczór między godziną ósmą a dziesiątą. O ile nie było już po wszystkim. Dotarcie do Gdańska zajęło nam siedem dni zamiast dwóch, jak przewidywał plan. Nie wiedzieliśmy, kiedy statek, na którym przyплыnęli Aragończycy, zawiązał do portu.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Wnętrze chyba niewiele się zmieniło. Obszerna izba z ławami pod ścianą, czerwone beczki po piwie w rogach. Kilka głów podniosło się znad kufli, by obrzucić mnie obojętnym spojrzeniem. Nie wzbudziłem niczyjzego zainteresowania.

Karczmarz w szarym kitlu i ze ścierką przewieszoną przez ramię wyszedł mi naprzeciw.

– Ty tu czego? – warknął.

– Głodny jestem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Rozejrzałem się po izbie. Nie dostrzegłem żadnej kobiety.

Pociągnął nosem i skrzywił się.

– Wynoś się stąd, człowieku! Bo moi chłopcy połamią ci kości. Cuchniesz padliną.

Wypchnął mnie na zewnątrz i zatrzasnął drzwi. Przez małe okienko obok wejścia zobaczyłem, jak z wyrazem obrzydzenia na twarzy wyciera dłonie w szmatę.

Zabiły dzwony. Dziesiąta. Co teraz? Jutro znowu muszę tu przyjść. Gdzie spędzę noc? Chwilę zastanawiałem się, czy nie poszukać kamienicy Rudenów albo domu tych dwóch piwowarek, u których przed laty spędziliśmy z Zawiszą ostatnią noc przed ucieczką z Gdańska. Szybko jednak porzuciłem ten pomysł. Nie wiem, czybym odnalazł te adresy. Błądząc po mieście, prędzej czy później natknąłbym się na straże, które za chwilę wyruszą na ulice.

W nikłym świetle z okna karczmy dostrzegłem zarys kobiecej postaci po drugiej stronie ulicy. Zeszła z drewnianego podestu i ruszyła w moją stronę. Miała na sobie kolorową sukienkę z wstążkami. prostytutka. Stała tak blisko, że dotykała mnie biodrem.

– Jesteś sam, piękniszu? – zagadnęła mnie ciepłym głosem.

– Dziękuję pani, ale nie skorzystam – odparłem.

Kobieta była wysoka, prawie równa mi wzrostem. Ryksę sprzed lat zapamiętałem jako drobniejszą i niższą. Kolorowa suknia ulicznicy sięgała drewnianego podestu, nie widziałem, jak wysokie obcasy mają jej buty. Ujęła moją dłoń i nim zdążyłem ją wyrwać, podniosła do ust.

– Boże, jak ty cuchniesz! Jak się tu dostałeś? – zapytała.

Szkoda, że nikt nie pomyślał o hasle. Ale kto mógł przewidzieć, że tak potoczą się sprawy.

– Nie stój jak muł – syknęła. – Klepnij mnie w tyłek. Mocniej! Nigdy nie brałeś dziwki z ulicy?

– Nie.

– Uprzedzali mnie, żeś dziwak. – Pocałowała mnie w policzek. Skrzywiła się z obrzydzeniem. – A teraz chwyć mnie za podbródek.

Zrobiłem, jak kazała.

– Dobrze. Teraz obejmij mnie. Jakoś to wytrzymam. Idziemy, ja prowadzę.

Objąłem ją w pasie.

– Wszystkie karczmy są obstawione. Spodziewają się szpiegów i pilnują jak diabli. Słyszałeś, że wojna?

Skinąłem głową.

– Jak ci na imię? – spytałem.

– Ryksa. – Roześmiała się. – Boisz się, co? Powinni dać nam wcześniej jakieś hasła. Jesteś sam?

Skręciliśmy w wąską ulicę ograniczoną po bokach wysokimi, sięgającymi ramion przedprożami domów. Zatrzymaliśmy się przy czwartym, może piątym.

– Obejmij mnie. Tylko nie całuj, bo padnę trupem.

Mocno chwyciłem ją w pasie i przyciągnąłem do siebie.

– Szybko się uczysz – szepnęła i wzięła mnie za rękę.

Wdrapaliśmy się na pierwsze piętro po rozchwianych schodach. Zatrzymałem się i chwyciłem ją za rękę.

– Pamiętasz, gdzie się spotkaliśmy?

– W Krakowie, siedem lat temu.

– Gdzie dokładnie?

Kobieta pchnęła ramieniem jedno z drzwi na korytarzu i te cicho się otwarły.

– W twoim domu...

– Nieprawda! – syknąłem.

Prostytutka przekroczyła próg izby, potem nagle chwyciła mnie obiema rękami za nadgarstki i wciągnęła do środka. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że nie zdążyłem nawet zrobić wykroku. Runąłem na podłogę, boleśnie tłukąc łokcie. Usłyszałem, że drzwi za mną się zamykają, a potem ktoś zbiega po schodach.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Wnętrze trąciło stęchlizną. W bladym świetle księżycy sączącym się przez niewielkie okno zobaczyłem tylko dwa sienniki leżące obok siebie pod jedną ze ścian.

Jakaś postać zasłoniła kocem okno, potem po omacku roznieciła w piecu ogień i odpaliła od niego świeczkę. Postawiła ją na środku podłogi. Przynęła sobie siennik, drugi pchnęła nogą pod przeciwległą ścianę. Wskazała ręką, bym usiadł. Posłuchałem. Blask świecy wydobyl z ciemności delikatną kobiecą twarz, o pełnych, kształtnych ustach. Tym razem nie miałem wątpliwości.

– Ty, pani, jesteś... Ryksą?

– Co do cholery tak późno?! – odezwała się cicho.

Zapatrzyłem się w jej oczy. Coś się w niej zmieniło. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jej dziewczęca uroda to teraz tylko maska, spod której przygląda mi się ktoś zupełnie inny: surowy, przebiegły, bezwzględny. Ściągnęła delikatnie zarysowane brwi.

– Chyba mnie poznajesz? – Uśmiechnęła się, pochyliła głowę i odgarnęła na bok długie ciemne włosy. – Co? Teraz poznajesz?

Mimo okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy, zabiło mi serce. Tak, była ujmująco piękna.

– Poznaje – odparłem. – Tamta nie dorównuje ci, pani...

– Nie kończ! – przerwała mi, unosząc dłoń. – To prostytutka. Jedna z kilku, które opłacamy. Kazałam jej tam na was czekać.

– Przykro mi, że dałem się zwieść...

Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Przed nami kilka ciężkich tygodni. Wolałabym kogoś bystrzejszego...

Byłem zbyt zmęczony wydarzeniami ostatnich dni, by zdobyć się na ripostę.

– Dlaczego jesteś sam?

Opowiedziałem o wydarzeniach pod Tczewem, naszej wspólnej z Sulimą drodze do Gdańska i przeprawie do miasta.

– Źle, że nie ma Zawiszy. Mam mu dużo do przekazania.

– Podobno trzy armie idą na granice. Wiesz coś więcej?

Pokręciła głową.

– Ewa próbowała się czegoś dowiedzieć.

– Ewa?

– Ayhe. Na chrzcie przyjęła imię Ewa. Nie wiedziałeś?

– Nie, nigdy jej tak nie nazywałem.

– Nieważne. Zdążyłeś na ostatni dzień. Już straciłam nadzieję.

– Wiesz, pani, co ze statkiem?

– Nie musisz już tytułować mnie „panią”. Statek jest w porcie od wczoraj.

– I co dalej?

Wzrok powoli przyzwyczajał się do skąpego światła. Ryksa wydała mi się jeszcze

bardziej pociągająca.

– Kapitan, który przywiózł Aragończyków, to człowiek Tęczyńskiego. Niemiec. Kupiec i pośrednik. Nazywa się Heinrich Smet. Pływa regularnie do Brugii. Handluje miedzią.

– Co z Aragończykami? Zeszli z pokładu?

– Są już w Gdańsku. Śpią w gospodzie. Jutro rano ruszają do Malborka. Mamy kilka godzin. Przed świtem musimy przebrać się w ich szaty.

– Jak to zrobimy? – zapytałem. – Nie ma z nami łowców!

– Jesteśmy więc zdani tylko na siebie – odparła Ryksa.

– Przecież trzeba będzie ich... Nie wiem... związać, zakneblować... może ogłuszyć? I co dalej? Łowcy mieli wywieźć ich z miasta. A teraz zostaliśmy sami! Zwiążemy ich i co? I w ogóle po co mieszałeś w to Ayhe? Równie dobrze ja mogłem cię nauczyć kilku zdań po aragońsku!

– I tak potrzebne były informacje z portu. Ayhe łatwo je zdobywa...

– Wiem – powiedziałem głucho.

Ryksa dłuższy czas przyglądała mi się w milczeniu. Pochyliła się nade mną. Znowu zabiło mi serce.

– Będziesz musiał ją odwiedzić...

– Ayhe? Nie wolno mi!

– Śmierdzisz. Musimy cię wykapać. – Dotknęła dłonią moich włosów. Skrzywiła się. – W takim stanie jesteś nieprzydatny. A tu nie ma wody.

– Ayhe wie, że jestem w Gdańsku?

– Tak. – Ryksa wstała. – Mam dla ciebie ubrania, tylko najpierw musisz zmyć z siebie ten smród. Wszyscy tu cuchną rybami, ale nie aż tak.

– W Osieku zamknęli mnie w beczce po śledziach – usprawiedliwiłem się.

– Jesteś bardzo dzielny... Powiem ci, jak stąd dojść do domu Ayhe. Tylko uważaj! To silna kobieta. Nie jestem pewna, czy ma ochotę cię widzieć.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Początkowo zakładałem, że spędzę w Gdańsku kilka nocy, że będę miał czas wszystko przemyśleć tu, na miejscu. Ale nic z tego. Została ta jedna noc. A właściwie kilka godzin.

Ryksa dokładnie objaśniła mi drogę: miałem przejść ulicą Mariacką do kościoła, obejść go z lewej strony, potem ulicą Kramarską dojść do Długiego Targu; wylot Ławniczej, przy której mieszkała Ayhe, znajdował się po przeciwnej stronie. Wynikało z tego, że Ayhe odzyskała dom Tidemana Stickera.

Mimo ciemności spowijających miasto szedłem jak po sznurku. Droga zajęła mi pół pacierza. Poznałem szeroki dwuskrzydłowy portal z wąskimi drzwiami w prawym skrzydle. Piętnaście lat temu dom stał samotnie, teraz całą ulicę wypełniała zwarta zabudowa.

Wróciły wspomnienia; wychodzenie przez okno w Saragossie, pobicie, te straszne miesiące, gdy Ayhe była stręczona przez Stickera. Potem morska podróż do Gdańska, porwanie, kilka szczęśliwych lat spędzonych razem w Krakowie...

Wziąłem głęboki wdech. Jaroch nauczył mnie otwierać wszystkie drzwi zakrzywionym gwoździem. To jedyna przyteczna nauka, jaką wyniosłem z pracy w wywiadzie.

Wśliznąłem się do mrocznej i chłodnej sieni. Drzwi na podwórze po drugiej stronie były zamknięte. Po omacku dotarłem do schodów. Skrzypiały, gdy się po nich wspinałem. Wszedłem do głównej izby. Poczulem słodkawy zapach jakiejś potrawy z odległej przeszłości. Usłyszałem, jak drzwi same się za mną zamknęły. A potem głos:

– Aaron Abnarrabí włamał się do mojego domu!

Wzdrygnąłem się.

– Znów chcesz mnie porwać?

Odwróciłem się. Stała za mną kobieca postać. W mroku dostrzegałem tylko jej kontur. Ale głosu nie mogłem pomylić.

– Czekaaś na mnie! Skąd wiedziaaś?

– Zgadnij!

– Ryksę też musiałem witać w ciemnościach. Umówiłyście się?

Ayhe minęła mnie, otworzyła drzwiczki pieca i od tłącego się ognia zapaliła świecę. Potem jeszcze kilka. Z mroku wyłoniło się kolorowe wnętrze: sufit pomalowany ochrą, szafirowe narzuty, wszędzie barwne kobierce i kolorowe poduszki. Jakbym nagle przeniósł się do arabskiej dzielnicy Saragossy, na bazar przy placu de la Alfondiga. Brakowało tylko targowego gwaru.

– Co to za zapach?

– Przygotowałam dla ciebie *hamin*.

– Boże najświętszy! Już nie pamiętam, jak smakuje.

– Wszystko tu można kupić: baraninę, jarzyny, cebulę, fasolę. Nikt ci nie gotuje? – spytała. A gdy nie odpowiedziałem, zaproponowała: – Zjesz teraz?

Ochoczo przytaknąłem. Głód szarpał mi wnętrzności. Emocje związane ze spotkaniem z Ryksą pozwoliły mi o nim zapomnieć, ale teraz wrócił ze zdwojoną siłą. Usiadłem do stołu. Chwilę później pojawiła się na nim duża drewniana miska z parującą potrawą. Chwilę jadłem

w milczeniu. Ciepły czulent rozbudzał do życia całe ciało.

– Mieszkasz sama?

– Z Johanem. A od miesiąca z Ryksą.

– Ona nie mieszka tam, przy kościele?

– W tej norze? Tu się spotykałyśmy. – Ayhe złożyła na pół i wygładziła dłońmi lnianą chustę do wycierania ust, którą dla mnie przygotowała. – Potem zaczęła zostawać na noc. Było więcej czasu na naukę aragońskiego.

– A twój Johan?

– Pracuje w porcie i tam nocuje. Nie chciałam, żeby widział Ryksę w naszym domu.

– Jaki on jest? Nie widziałem go tyle lat.

– Johan jest piękny, delikatny, wrażliwy, nic nie ma z ojca, nawet skóry. To dobry chłopiec, choć przydałoby mu się trochę skorupy w tych czasach. Martwię się o niego.

Czułem, że uratowała mi tą strawą życie. Dopiero teraz uważnie się jej przyjrzałem. Ciepłe światło świecy jest wprawdzie zawsze łaskawe dla urody, ale nigdy nie wyglądała tak pięknie. Zaokrągliła się na twarzy, co tylko dodało jej powabu. Tej nocy spotkałem bez wątpienia dwie najpiękniejsze niewiasty w Gdańsku.

– Po co przyszedłeś?

Przełknąłem sporą porcję *haminu*.

– Wziąć kąpiel.

Parsknęła śmiechem.

– Naprawdę! – zawołałem. – Strasznie śmierdę.

– Czuję! Kapałam się dzisiaj, zostawiłam wodę... przeszkadza ci?

– Nie, Boże broń!

– Doleję wiadro gorącej.

Po kąpieli wyjąłem z worka rzeczy, które przyszykowała dla mnie Ryksa. Ayhe patrzyła, jak się ubieram.

– Ryksa już o ciebie dba...

– Będzie przez dwa tygodnie moją żoną.

– Wiem! Wypytywała mnie o ciebie.

– Jak?

– Po aragońsku.

– Ćwiczyłyście na mnie język?

Ayhe wzruszyła ramionami.

– O czymś trzeba było gadać. Ciekawe, jak się spiszesz...

– Ty uciekłaś.

– Dopiero po trzech latach.

Udaliśmy się do dużej izby. Wykąpany, w czystym ubraniu poczułem z ulgą, że wróciłem ze świata zwierząt do człowieczej skóry.

– Zachowałeś dom. To cud. Skąd masz pieniądze?

– Przecież wiesz.

Milczeliśmy dłuższą chwilę.

– Nie widzieliśmy się... dziesięć lat. – Westchnąłem. Wyszło to sztucznie. – Możemy rozmawiać o rzeczach małych albo o dużych. Co wybierasz? Została nam godzina.

– Mogą być duże – odparła. – Ale tylko jedna.

– Dlaczego uciekłaś?

– Bo cię znienawidziłam.

– Boże, Ayhe, tyle razy się zaklinałem...

– Pozwoliłeś, żeby zabili Stickera. Żeby zabili Johanowi ojca, żeby uczynili mojego syna sierotą.

– Dowiedziałem się, jak już było po wszystkim. I uwierzyłaś wtedy... Co więc się stało?

– Tak! Uwierzyłam ci – mówiła cicho. – Ale nie mogłam wybaczyć, że po tym wszystkim... jesz im z ręki, pozwalasz, żeby ci sami ludzie kierowali twoim życiem.

– Przecież to ty bierzesz od nich pieniądze!

– To co innego! Oni walczą o swój kraj. Co ich obchodzi jakaś Arabka, jej dzieciak? Co ich to obchodzi?! Gdy uciekłam, nawet nie wyjechałeś poza Kraków, żeby mnie szukać. Oni znaleźli mnie w Gdańsku w kilka dni.

– Żeby cię zabić.

– Tak! Ale zamiast poderżnąć mi gardło, dali pieniądze. Nie musiałam iść na ulicę, mogłam zająć się Johanem, odzyskałam dom. I nie mam do nich żalu. Są mi obojętni, tak jak nie dbam o to, kto panuje na tych ziemiach. Krzyżacy czy Polacy. Jest mi to obojętne!

– Nigdy cię nie zrozumie.

– Nie warto się wysilać. Idź już.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Karol von Lichtenstein o decyzji napaści na Polskę dowiedział się od gdańskiego komtura w piątek 10 sierpnia 1409 roku, dzień po tym, jak wielki mistrz wysłał kuriera do polskiego króla z listem wypowiednim. W pierwszej chwili jego serce przepełniła głęboka radość.

W to, że wojna wybuchnie, nikt nie wątpił, jednakże spodziewano się jej dopiero późną jesienią, a nawet wiosną przyszłego roku. Jagiełło był gotów jeszcze zwlekać latami, bo czas grał na jego korzyść. Dobrze więc, że podjęto taką decyzję. Mówiono, że Ulryk von Jungingen lepiej rozumie politykę niż jego poprzednik, Konrad. Wszyscy w zakonie podzielali przekonanie o pewnym zwycięstwie.

Karol von Lichtenstein upił się tego ciepłego letniego wieczoru do nieprzytomności.

Następnego dnia rano ból głowy i trzeźwe spojrzenie na sytuację stonowały radosny nastrój. A na wieść o bezmyślnej masakrze dokonanej kilka dni później przez krzyżackie wojska na ludności Dobrzynia Lichtenstein się zasępił. Zakon popełnił niewybaczalny błąd. Po wzięciu murów szturmem splądrowano miasto i wymordowano większość mieszkańców. Zabijano dzieci, gwałcono i mordowano kobiety.

Lichtenstein po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że władza nad zakonem spoczęła w rękach durnia. Wiedział, że Ulryk von Jungingen przegra tę wojnę, jeśli nie zmieni polityki. Na takie okrucieństwa można sobie pozwolić przy tłumieniu buntu w mieście. Kupcy to bezzębne stare baby, potrafią tylko wznosić lament. Ale rozsierdzać taki mnogi i bitny lud jak Polacy? Na Boga! Przecież siła ich armii to pospolite ruszenie. Wściekli stawiają się ludnie, wezmą na wozy dwa razy więcej oręża, będą szukać w polu zemsty zamiast rozejmu. Krzyżacki wywiad przez lata budował siatkę wpływów, ludzi, którzy w chwili wojny mieli mącić Polakom w głowach. Teraz prędzej wyrzną im języki, niż posłuchają. W wojnie z silnym wrogiem karą dla niego jest litość, a okrucieństwo łaską. Ulryk najwyraźniej nie rozumie, że mordowanie bezbronnej ludności to przywilej zwycięzców. A zakon od zwycięstwa dzieli długa droga.

Zakon prowadził też nierozważną politykę zagraniczną. Było oczywiste, że Krzyżacy nie powinni rozpoczynać wojny z Polską bez wybicia wpierw zębów Litwinom. Ulryk chciał to osiągnąć, wywołując wojnę domową na Litwie. Miał ją wszcząć Świdrygiełło, przywódca silnej opozycji wobec Witolda, która tylko czekała na sygnał do buntu. To w najgorszym razie zatrzymałoby litewskie posiłki dla Jagiełły, a w najlepszym uczyniłoby z Litwy sojusznika Krzyżaków.

Tyle że wywołanie buntu... trudna gra. Ulryk doskonale znał jej zasady, ale czy był wystarczająco umiejętnym graczem?

Bunt Świdrygiełły rozwijał się zaskakująco szybko. Widać było, że Witold sobie z nim nie radził. Był sprytny, ale w gruncie rzeczy to prostak. Jak każdy Litwin trącił kożuchem, nie dostawało mu polotu. Jagiełło wszakże już się na Wawelu ucywilizował. To teraz znacznie groźniejszy przeciwnik. Dlaczego nic jeszcze nie zrobił, by się z tym buntem zmierzyć? Dziwne i... niepokojące. Co szykował? Coś musiał! Przecież od buntu na Litwie zależały losy wojny! Jego korony, dynastii. Na pewno był tego świadomy!

Czy nie prostsza i dużo mniej ryzykowna byłaby droga ustępstw wobec Litwy? Dlaczego nie doprowadzić do rozbicia unii polsko-litewskiej, a potem rozprawienia się z każdym z krajów osobno? Przecież to takie proste. Tymczasem Krzyżacy pustoszyli Żmudź, najeżdżali Litwę, knuli spiski, starając się skonfliktować najpierw Witolda z Jagiełłą, a teraz Świdrygiełłę z Witoldem. To wszystko przynosiło efekt odwrotny do zamierzonego: zamiast osłabić, tylko umacniało polsko-litewską unię.

A Mazowsze? Kiedy już w najbardziej zapadłej dziurze w Prusach gadało się przy gorzałce o wojnie, zakon winien był utrzymywać jak najlepsze stosunki z jego udzielnymi książętami, zapewnić sobie neutralność Mazowsza, a nie kasać ciągłymi podjazdami księcia Janusza. I to w czasie pokoju! Albo palić wsie nad Biebrzą, bo uchodziły za sporne.

A ślepa wiara w sojusz z Zygmuntem? Krzyżacy wierzyli, że przekupią go czterdziestoma tysiącami guldenów... Zygmunt to szczywany lis, znacznie bardziej przebiegły niż Ulryk. Kto wie, co szykuje.

W węgierskiej rozgrywce prędzej należałoby postawić na Ścibora ze Ściborzyc. To zapiekły wróg Jagiełły. Lichtenstein miał okazję go dobrze poznać. Wychylili razem niejedną toast podczas wspólnych wieczerzy. Kiedy tylko mogli, siadali koło siebie i dobrze im się rozprawiało. Dawny brodnicki komtur wiele się od Ścibora ze Ściborzyc dowiedział o węgierskiej polityce.



Kilka dni później Johann von Schönfeld wspomniał po porannej mszy o delegacji Aragończyków przybywającej do Malborka. Z kancelarii wielkiego mistrza przyszło pismo z prośbą o odebranie gości i zapewnienie im eskorty do zamku. Pismo nie podawało celu wizyty, ale Schönfeld zdążył się już dowiedzieć, że chodzi o zakontraktowanie kilkutyśięcnej armii najemników przebywających aktualnie bez zajęcia w obozach pod Perpignan.

Obudziło to czujność Lichtensteina. To mało powiedziane: w jego głowie rozdzwoniły się najpotężniejsze dzwony! Jeszcze tej samej nocy przywołał do siebie Guntera Salzę i opowiedział mu o prośbie Malborka.

– Ilu ich będzie? – spytał knecht.

– Dwoje – odparł Lichtenstein. – Mężczyzna i niewiasta. Jeśli dobrze zrozumiałem, poseł przyjeżdża z żoną.

– Z żoną?

– Głupie, prawda?

– Niespotykane...

– Co najmniej dziwne – orzekł Lichtenstein. – Żony zabiera się w podróż, ale nie morzem i nie do kraju, który prowadzi wojnę.

– Zła wróżba – mruknął knecht. – *Ignis, mare, mulier – tria mala.*

– Dobrześ to ujął! – Lichtenstein się roześmiał. A potem mówił już poważnym tonem: – Polski wywiad miał kiedyś swojego agenta w Aragonii. Ryzyko, że tu Polacy coś paskudzą, jest niewielkie, ale czujność nie zaszkodzi. Namówię Schönfelda, żebyś to ty poprowadził eskortę. Cokolwiek cię zaniepokoi, pchniesz do mnie gońca. O każdej porze.

Gdański komtur w związku z wojną dysponował uszczuploną załogą, zgodził się więc od razu, aby wysłać kłopotliwych gości pod nadzorem nowo zaciągniętego do służby knechta. Gunter Salza otrzymał polecenie podjęcia gości w porcie, zapewnienia im wszelkiej pomocy, spełnienia prośb, jeśli takowe wyrażą, i odprowadzenia ich do Malborka w możliwie najkrótszym czasie. Dostał do pomocy tylko dwóch ludzi, ale na drogach było bezpiecznie. Większa eskorta

była zbyt duża.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Gunter Salza otrzymał wiadomość o przyplłynięciu statku, gdy trwał już jego rozładunek.

Wziął ze sobą jednego ze skrybów władających biegle łaciną i ruszyli portową przystanią ciągnącą się wzdłuż brzegu Motławy od krzyżackiego zamku aż do Bramy Kogi. W połowie przystani, u wylotu ulicy Szerokiej, dostrzegł parę podróżnych ubranych z cudzoziemska. Stali z zadartymi głowami, pośród beczek wyładowanych właśnie ze statku, obserwując, jak potężny żuraw z łatwością przenosi wielkie skrzynie z ładowni na nabrzeże.

Po powitaniu i krótkiej rozmowie skryba zwrócił się do Guntera:

– Oni nie są gotowi na dalszą podróż. Pani źle się czuje. Podobno... wymiotowała całą drogę. Potrzebują kąpieli, odpoczynku i ciepłej strawy. Chcą na noc zostać w mieście. Do tego oboje skarżą się na wszy, które ich oblażyły na pokładzie.

– Niech będzie – zgodził się Gunter i uśmiechnął do podróżnych. Przeszło mu przez głowę, że to dziwne, iż ta rozmiłowana w podróżach niewiasta tak ciężko znosi morskie kołysanie.

Ponieważ gdański zamek to nie Malbork i nie miał odpowiednich komnat dla niewiast, nie wspominając o łaźniach, Salza posłał gońca do najbliższego domu gościnnego, opłacanego w części przez zakon, czyli na róg Mieszcząskiej i Długiego Targu, z prośbą o przygotowanie odpowiedniego pokoju oraz gorącej kąpieli.

Podróżni rzeczywiście wyglądali nie najlepiej. Knecht dyskretnie się im przyjrzał. Kobieta była drobna, ale smukła, okryta luźnym płaszczykiem z wysokim kołnierzem. Jej głowę zakrywała obszerna chusta z falbankami. Nic dziwnego, że skrywała twarz, skoro przez ostatnie dni wymiotowała. Bił od nich ostry... zapach. Mężczyzna, z gęstym zarostem, długimi jasnymi włosami, o czarnych jak węgiel oczach, w obcisłym kaftanie z kołnierzem sięgającym uszu, wydawał się niewiele od niej wyższy. Wykrzykiwał coś na kobietę w języku podobnym do łaciny. To musiał być aragoński. Knecht rozumiał co nieco z łaciny, ale rozmawiać w tym języku nie potrafił.



Przez kilka godzin, jakie pozostawały do świtu, nie zmrzyłem oka. Co stanie się z tymi Aragończykami? Na Boga! Przecież ktoś musi nam pomóc!

Pierwotny plan (pознаłem go, kiedy był już nieaktualny) zakładał, że łowcy wywiozą Aragończyków z miasta i odstawią do Krakowa. Tam posłowie mieli być goszczeni tak długo, jak będzie to potrzebne. W tym samym czasie grupa kierowana przez brata Mikołaja miała słać sfalszowane listy do hrabiego d’Aragó, zapewniając go o pomyślnym przebiegu rozmów. Przy odrobinie szczęścia można było prowadzić taką zabawę w durnia wiele miesięcy.

Ale co teraz? Ryksa musiała mieć jakiś plan. Spała teraz spokojnie. Jak wojak: w spodniach, kaftanie, owinięta w pled, spod którego wystawały bosc stopy. Obok siennika stały ciężkie, wysokie buty do konnej jazdy.

Noc powoli przechodziła w świt. Szarzało. Z ulicy dochodziły pierwsze odgłosy budzącego się miasta. To pora, kiedy rozum kryje się jeszcze głęboko w odmętach nocy i żadna myśl nie ma do niego przystępu. Ryksa podniosła się z posłania.

– Gotowy? – zapytała całkiem przytomnym głosem. – Pora ruszać.

Wedle informacji uzyskanych od Ayhe Aragończycy nocowali w domu gościnnym na rogu Mieszcząńskiej i Długiego Targu. Ryksa szła pierwsza, ja za nią. Miała na sobie męskie ubranie, więc gdybyśmy się natknęli na strażę, o żadnej kokieterii z jej strony nie mogło być mowy.

Wszystkie domy w południowej pierzei Długiego Targu miały niemal identyczne fasady z czerwonej surowej cegły i przedproża równej wysokości. Tylko nad bramą jednego z nich, narożnego, widniał szyld: deska z namalowanym białą farbą łóżem zawieszona na łańcuchu rozciągniętym między dwoma prętami. Nigdzie nie dostrzegliśmy straży, mimo to postanowiliśmy nadłożyć drogi, tak by wyjść na dom od południowej strony. Znaleźliśmy się na wyludnionym Długim Targu. Zadudniliśmy obcasami o bruk jak podkute konie. Serce waliło mi w piersi. Mimo chłodu na dłoniach czułem wilgoć.

Kluczyliśmy jakiś czas. W końcu Ryksa zatrzymała się przy murku okalającym właściwe podwórze. Ujęła mnie za rękę i poczuła mokrą dłoń. Uśmiechnęła się pocieszająco.

– Człowieku małego ducha! – wyszeptwała. – Spędziłam tu miesiąc, żeby wszystko przygotować. Poradzimy sobie. Ja poderżnę gardło kobiecie, ty mężczyźnie. Albo odwrotnie. Jak wolisz.

Nie było mi do śmiechu.

Tył domu od podwórza też był niepilnowany. Tyle że mur miał co najmniej pięć, a może nawet sześć łokci. Nigdzie nie dostrzegłem furtki.

– Jak się tam dostaniemy? – spytałem.

Ryksa palcem oczyściła jakąś szczelinę w murze na wysokości biodra. Wsunęła dłoń i wyjęła z muru płaski kamień szeroki na stopę. Potem drugi, bardziej na prawo, na wysokości ramion.

– Mówiłam ci, że wszystko przygotowałam. Więcej wiary!

– Skąd wiedziałas, że tu będą nocować?

– Krzyżacy mają w Gdańsku tylko trzy domy gościnne. Przygotowałam się na każdy wybór.

Ryksa zrobiła krok wstecz, potem szybko wsunęła lewą stopę w pierwszy otwór, uniosła się do góry, lewą dłonią uchwyciła zwieńczenie muru, równocześnie włożyła w drugi otwór prawą nogę, przeniosła na nią ciężar ciała, mocno wypchnęła się do góry i... zniknęła mi z oczu.

Poszedłem w jej ślady. Po chwili oboje staliśmy po drugiej stronie ogrodzenia na pograżonym w półmroku obszernym i pustym dziedzińcu.

– Mam nadzieję, że śpią na parterze – szepnąłem jej do ucha.

– Nie, tu są łaźnie i kuchnia. Umieścili ich na pierwszym piętrze.

Nie zapytałem, jak się tam dostaniemy.

Ryksa podeszła do ściany domu. Dopiero teraz dostrzegłem grubą linę tuż przy murze. Pobiegnę za nią wzrokiem. Ginęła w otworze okiennym na pierwszym piętrze.

Moja towarzyszka chwyciła linę ponad głową, sprawdziła szarpnięciem, czy jest dobrze umocowana. Potem podskoczyła, oparła nogi o ścianę i kroczyła po niej, podciągając się na linie szybkimi ruchami ramion. Zwinnością przypominała jaszczurkę. Zacerpnałem głęboko powietrza i ruszyłem za nią. Zajęło mi to więcej czasu, ale w końcu przeczołgałem się przez kamienny parapet; wciągnąłem za sobą linę. Dysząc po wysiłku, do którego nie przywykłem, stanąłem na środku pokoju.

Poza Ryksą nie było w nim nikogo.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Późnym rankiem, kiedy słońce rozświetliło już na dobre bruk Długiego Targu, aragońska para zeszła na śniadanie przygotowane przez służbę w kuchni.

Mężczyzna mówił coś do gospodarza, wydaje się, że chwalił jedzenie. Najwyraźniej nie mogli się porozumieć. Gunter Salza przyznał w duchu, że odświeżeni i w nowych szatach wyglądają dużo lepiej. Kobieta wreszcie odsłoniła twarz. Jej uroda przyciągała wzrok. Mężczyzna o oliwkowej cerze, jasnych włosach, teraz z ogoloną twarzą, prezentował się wytwornie i cudzoziemsko.

Gunter wysłał gońca do Lichtensteina z informacją, że Aragończycy, zdrowi i wypoczęci, wyruszają do Malborka.

Skryba, przedstawivszy Guntera Salzę jako dowódcę skromnej eskorty, a siebie jako tłumacza, nie odstępował gości na krok, zabawiając ich rozmową.

Salza podczas drogi zerkał ukradkiem na Aragonkę. Została mu przedstawiona jako doña Isabela. Świetnie trzymała się w siodle. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to ona przyjechała negocjować, a nie jej mąż. Don Carlos de Urrea, bo tak się przedstawił, wyglądał za pocziwie jak na posła w sprawie najemników. Ale pozory mylą. W tym mogła tkwić jego siła. Budząca zaufanie powierzchowność, a w rękawie ukryty sztylet.

Kilka razy, gdy kobieta nie wiedziała, że jest obserwowana, zdołał uchwycić spojrzenie, jakim obdarzyła swego męża. Salza przysięgłby, że patrzyła na niego... zalotnie, z błyskiem pożądania w oczach. Czy to możliwe, żeby byli małżeństwem? Nie są już młodzi... Może pobrali się niedawno? Tak, to możliwe, dlatego wszędzie ją ze sobą zabiera.

Gunter Salza z pewnością nie zaprzętałby sobie tym głowy, gdyby nie Lichtenstein, który natarł go podejrzliwością jak czosnkiem.

Coś jednak niepokoiło go w tym Aragończyku. Od chwili, gdy zobaczył go dziś rano. Coś się nie zgadzało, jakiś drobiazg. Salza zamknął oczy. Rytmiczny, kołyszący chód konia sprzyjał skupieniu. Wrócił myślami do pierwszego spotkania. Aragończyk pochyla głowę w niskim, przyjaznym ukłonie, uderza kontrast między czarnym zarostem a puklami jasnych włosów, łagodne spojrzenie...

Knecht gwałtownie szarpnął wodze, osadził konia w miejscu. Ruchem głowy przywołał skrybę, a gdy ten zbliżył się posłusznie, spytał:

– Jak oni ze sobą rozmawiają?

– Po aragońsku.

– Domyślam się, ale jak? Jak... przyjaciele? Małżonkowie? Kochankowie?

Skryba wzruszył ramionami.

– Nie wiem, żołnierzu. Zachowują się zwyczajnie, jak mąż i żona.

Gunter Salza zamyślił się przez chwilę. Zwyczajnie, jak mąż i żona... Przecież, u diabła, ten braciszek nie ma o tym pojęcia.

– Dobrze jeździsz konno?

Skryba skinął głową.

– Nadłożę trochę drogi, żeby stanąć na przeprawie w Kiezmarku odpowiednio późno. Przenocujemy w gospodzie. Aragończykom nic nie mów. Zresztą, nie sędzę, żeby ich to obeszło.

– Jak rozkażesz, żołnierzu.

– Ruszysz co koń wyskoczy do Gdańska. Przekażesz temu staremu zakonnikowi, temu, co przesiaduje w archiwach...

– Bratu Rudolfowi...

Salza się zawahał, nie wiedział, jak na zamku zwracają się do Lichtensteina.

– Temu od liczenia papieru.

– Bratu Rudolfowi – potwierdził skryba.

– Właśnie! Powiesz mu, że chcę go widzieć dziś wieczorem w Kiezmarku przy przeprawie.

– A komturowi? – Skryba podrapał się po policzku. – Mam nic nie mówić?

– Wystarczy, jak powiesz bratu Rudolfowi, on już zajmie się resztą.

– To szmat drogi, jak taki stary...

– Rób, co ci każe!

Młody skryba skinął głową, ściągnął wodze i skierował się ku Aragończykom, by się pożegnać.

Niespodziewanie dla wszystkich dowódca zarządził postój we wsi Kiezmark, mimo że mogli jeszcze ujechać kilkanaście mil i stanąć przed nocą w Malborku. Zatrzymali się w gospodzie flisackiej nad rzeką, pełniącej również funkcję zajazdu z osobną izbą do spania i stajnią. Był tu niewielki port flisacki i pomost do przeprawy przez wodę.

Gunter Salza podjechał do Aragończyków, którzy, odkąd opuścił ich skryba, nie zamienili z nikim ani słowa.

– Tu jest wygodna gospoda, rano się przeprawimy – mówił powoli, jak najwyraźniej, trochę po łacinie, trochę po niemiecku, pomagając sobie przy tym rękoma. – Nie chcę ryzykować marszu o zmroku. Jutro na południe staniemy w Malborku.

Aragończycy chyba wszystko zrozumieli. Gunter odniósł wrażenie, że komunikat o dłuższym postoju przyjęli z ulgą.



Mimo późnej pory wciąż było widno. Gospoda powoli zapełniała się ludźmi. Gunter pozwolił żołnierzom wejść do środka. Aragońska para siedziała przy jednym ze stołów w rogu dużej izby. Knecht przyglądał się im przez uchylone okiennice.

Tymczasem z wioski nadchodzili kolejni goście. Gunter szybko domyślił się przyczyny niezwyklej jak na tę porę ciżby. Szykowała się uroczystość przyjmowania adeptów do bractwa flisaków. Knecht dobrze znał zwyczaje tych pijusów. Wszyscy za chwilę będą otumanieni żytnią wódką, którą nazywano kornusem, i piwem. Zdaje się, że nasi goście z Aragonii nie wykręcą się od wznoszenia toastów. To dobrze, nikt nie zwróci uwagi na Lichtensteina. O ile przyjedzie.

W środku umieszczono już figurkę Bachusa siedzącego na beczce z kielichem w prawej dłoni i dzbanem w lewej. Każdy nowo pasowany flisak musiał ukorzyć się przed Bachusem, padając na kolana i całując palec u jego prawej stopy. Knecht policzył, że zrobiło tak pięciu młodzieńców, co zapowiadało długą i huczną biesiadę. Zgodnie z tradycją każdy nowo pasowany musiał przejeść i przepić tej nocy pierwszą wypłatę.

Zabawa powoli nabierała rozpędu. Aragończycy nie wzbraniali się przed wznoszeniem szklanic. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta z ochotą wypijali kolejne porcje gorzałki.

Wreszcie zapadł zmrok. Przez otwarte okiennice Gunter dostrzegł, że doña Isabela wyszła

na środek izby i pokazywała flisakom kroki jakiegoś dziwnego tańca.

Tuż przed północą rozległ się wyczekiwany tętent kopyt. Karol von Lichtenstein przybył sam.

– Co jest? – zapytał zdyszany, zsunawszy się z siodła.

Żołnierz, któremu Salza kazał warować przy stajni, teraz zerwał się na nogi i podbiegł usłuźnie. Zakonnik rzucił mu wodze.

– Ten Aragończyk mi się nie podoba – mruknął Gunter.

Podprowadził Lichtensteina bliżej gospody. Okiennice były otwarte, z wnętrza dobiegały okrzyki, zapach potu i porozlewanych wszędzie napitków.

– Co z nim nie tak? – zapytał komtur.

– Oczy – odparł knecht. – Ten, którego widziałem wczoraj, miał oczy jak krople smoły.

A ten ma niebieskie...

Aragończyk długą chwilę stał odwrócony do nich plecami, coś zawzięcie tłumaczył na migi stojącemu przed nim i chwiejącemu się na nogach flisakowi.

A potem się odwrócił.

Lichtenstein w pierwszej chwili nie zrozumiał tego, co zobaczył. Runęła na niego tak silna fala wspomnień, że utonęła w niej wszelka myśl. Szybko jednak wrócił do przytomności. Różne zamysły, gwałtowne jak błyskawice, rozświetliły przyszłość w krótkich rozblysłkach. Już wiedział, jak ma postąpić.

Gunter Salza czekał w napięciu. W końcu Lichtenstein się odezwał:

– To wszystko?

– Kazałeś, panie, informować o najdrobniejszej sprawie...

– A niewiasta?

– Niczego niepokojącego nie zauważyłem... – odparł knecht nieco speszony. – Może wejdź tam, panie, wtedy...

– Nie – uciął stanowczo Lichtenstein. – To ci sami ludzie. Nie mam wątpliwości.

Odwrócił się do Guntera i napotkał jego pytające spojrzenie.

– Poszedłem na Długi Targ, gdy odprowadzałeś ich z portu. Przyjrzałem im się...

– Wybacz, panie...

– Słusznie zrobiłeś, że mnie wezwałeś. Na wszelki wypadek nie spuszczaaj ich z oka.

Zostaniesz z nimi w Malborku na zamku.

– Nie wiem, czy dostanę pozwolenie...

Lichtenstein wykonał uspokajający gest.

– Większość dostojników ruszyła w pole. Nie wiem, kto tam teraz zarządza, nieważne.

Powiesz, że komtur gdański nakazał ci pozostać przy Aragończykach, żeby w razie konieczności być do ich dyspozycji. Zrozumiałeś?

– Tak jest! – przytaknął Gunter.

– Chcę codziennie kuriera z raportem. Chcę wiedzieć, jak przebiegają rozmowy.

Knecht ponownie skinął głową.

– A ten skryba? Coś mu powiedziałaś? Aż się palił z ciekawości... – drążył Lichtenstein.

– Nic, broń Panie Boże! Kazałem mu tylko gnać na zamek.

Lichtenstein pokiwał głową, zadowolony z rozsądku knechta.

– Słusznie! Nikomu ani słowa. Nic. O tych oczach tak samo... Rozumiesz? Musiało ci się przewidzieć. Nie ma potrzeby bić w dzwony, skoro nie ma pożaru.

– Wedle rozkazu, panie!



Karol zanurzył się z ulgą w ciemną noc, zostawiając za sobą światła i gwar gospody. Pogrzyżył się w myślach. Aaron Abnarrabí... Przeklęty Żyd! Podmienili go! Jak? Po co? Łatwiej chyba odpowiedzieć na to drugie pytanie. To oczywiste. Chcą wziąć Malbork na plewy, zwieść wielkiego mistrza obietnicą zaciągu. Odważne. Pewno zaproponują niską cenę, wymyślą powód, a ci durnie w Malborku się na to połakomią. Podmienili tylko męża. Aragonka jest prawdziwa, choć pewno bierze udział w spisku. Oczywiście, jakżeby inaczej. To musiało się stać w Gdańsku. Gunter, idiota, nie postawił na noc straży przed ich kwaterą. Co zrobili z prawdziwym posłem? Przecież wysiadł ze statku! Gunter się nie myli. Było ich dwóch. Ktoś, kto to przygotowywał, zapomniał o kolorze oczu... Ale to dobrze... Dzięki temu on, Karol von Lichtenstein, dostał szansę rozegrania swojej partii! Przecież po to Bóg wydobył go z piekła lochów. Czyż nie?

„Wizyta jest zaplanowana na dwa tygodnie. Dajmy im czas. Uderzymy w odpowiednim momencie. Muszę to omówić z Schönfeldem”, postanowił w duchu. Jechał pustą drogą, rozświetloną teraz silnym blaskiem księżyca. Wszystko wokół przybrało jednolitą stalowoszarą barwę. „Muszę mieć w Schönfeldzie współnika. Trzeba się dobrze zastanowić, co i jak mu powiedzieć”.

Kiedy Lichtenstein dotarł o świcie do gdańskiego zamku, miał w głowie gotowy plan.

Kieźmark–Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Byliśmy wyczerpani tą flisacką zabawą. Ryksa upiła się i tańczyła, z kim popadnie. Trzeba przyznać, że umiejętnie udawała aragońską szlachciankę. Wszyscy się nią zachwycali. Dopiero gdy pewien postawny i urodziwy flisak zaczął coraz śmieiej sobie poczynać, postanowiłem wyprowadzić ją z sali biesiadnej i zaprowadzić do izby na piętrze, odstąpionej nam wspaniałomyślnie przez gospodarza.

Dopiero tu odetchnąłem z ulgą. Ryksa zrzuciła z siebie aragońskie szaty i bosa, w koszuli do połowy łydek, opadła na posłanie. Ja położyłem się w ubraniu na twardej ławie. Mimo duchoty wołałem nie otwierać okiennic.

Na razie wszystko szło jak z płatka.

W Gdańsku nie musieliśmy nikogo krępować, kneblować ani mordować. Aragończycy gdzieś zniknęli. Gdzie się podziali? Nie było dotąd okazji, aby zapytać o to Ryksę. Odniosłem wrażenie, że tego właśnie się spodziewała. Kazała mi się tylko przebrać w aragońskie szaty, które leżały przygotowane w skrzyni, i pociągnąć kilka razy brzytwą po twarzy, aż do zaczerwienienia, abym wyglądał na świeżo ogolonego.

Po drodze też nie działo się nic niezwykłego. Jeden z knechtów, dowódca, często zerkał na Ryksę. Nie zauważyłem najmniejszych oznak podejrzliwości. Najwyraźniej był nią zauroczony. Doprawdy, w siodle prezentowała się wspaniale.

– Twój Aranda pokpił sprawę – odezwała się ze swojego kąta. – Dostał dokładny opis nas obojga. Zresztą, ciebie powinien dobrze pamiętać. A przysłał mężczyznę o oczach czarnych jak moje sumienie. Ty masz jasne...

– Skąd wiesz, jakie tamten miał oczy?

– Przyjrzałam się im, jak szli do karczmy.

– Nie przesadzaj! Myślisz, że ktoś zwrócił uwagę na moje oczy?

Przekręciła się na bok i uśmiechnęła zalotnie:

– Na takie oczy? Oj, chyba tak...

Głowę podparła na ramieniu, ale ta prosta konstrukcja co chwila chwiała się na boki. Ryksa wciąż była pijana. Mnie też kręciło się w głowie.

– Jak to się stało, że Aragończyków nie było w pokoju? – spytałem.

– To byli agenci Arandy. Są już na statku w drodze powrotnej.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

Położyła głowę na poduszce, dłoń ustawiona na kształt podpórki sterczała na razie w górze.

– Jesteś taki... trochę gapowaty. – Rozległ się krótki śmiech tłumiony pościelą. – I pewnie zacząłbyś dopytywać...

– Skoro to byli agenci Arandy...

– O! No właśnie!

– Agenci Arandy niczego nie ryzykowali! Mogli sami iść do Malborka! Po co ta maskarada? Po co się tam pchamy?

– Nie musisz wiedzieć.
– Co?
– Jesteś zbyt dociekliwy.
Uniosłem się na ławie.
– Nadstawiam karku! Jak mam nie być dociekliwy!
– Robisz to za pieniądze.
– Szantażowali mnie!
– Dostałeś kontrakt na barki. Zarobisz fortunę.
Znów podparła głowę na ręce i wpatrywała się we mnie.
– Czy hrabia d’Aragó... – zacząłem.
– Czy istnieje? – dokończyła za mnie.
– Wiem, do cholery, że istnieje! Czy on wie?
– Oczywiście, że wie!
– Chwała Bogu... – jęknąłem. – A ta armia?...
– Stoi na baczność i oczekuje na rozkazy. – Ryksa się roześmiała. – Czego ty się spodziewałeś?

Nie odpowiedziałem. Wódka dopiero teraz zabrała się do moich wnętrzności. Zakręciło mi się w głowie, poczułem znajomy ucisk. Zdążyłem podejść do okna. Uderzeniem dłoni rozwarłem okiennice i zwymiotowałem. Gęsta ciecz spadła ciężko na chropowate dachówki i powoli sunęła w dół.

– A jeśli Krzyżacy się domyślą? – Zebrałem jak najwięcej śliny i splunąłem na podłogę. – Mam tych najemników wystawić w cenie drobiu. – Otarłem usta rękawem. Boże, jak mi było niedobrze! Tyle razy sobie obiecywałem... Cholerna gorzała!

– Uspokój się! Miną miesiące, zanim się wyda.
– Co ty powiesz?
– Ciszej! – syknęła. – I mów po aragońsku!
– Po aragońsku? Do ciebie? Nie umiesz wydukać jednego zdania! Słyszałem, jak zagadywałaś do tego skryby!

Nie zmieszła się, nie splonęła rumieńcem. Wyglądała na poirytowaną.
– Nikt w Malborku nie mówi po aragońsku.
– Mam w to wierzyć? Twoich spryciarzy z wywiadu zaskoczył wybuch wojny, którą sami zaplanowali! Igrają moim życiem! – Nie mogłem się opanować. – Po diabła ty tu jesteś, co? Aranda mógł przysłać dwóch mężów. Po cholere wlec babę?

– Tak jest wiarygodniej...
– Wiarygodniej? Udawać małżeństwo?
– Będziesz się musiał postarać.
– Nie zamierzam!
– Będziesz musiał...

Podniosła się z pryczy. Podeszła do miski, zaczerpnęła wody w złożone dłonie i obmyła twarz. Czuję, że powinienem zrobić to samo. Miałem nadzieję, że nikt nas nie usłyszał. Wszystko przez to pijaństwo.



Karol dotarł do zamku, gdy już świtało. Od razu posłał strażnika po Wenera Brechta.
– Bramy są zamknięte dla Polaków – powiedział, gdy ten zjawił się z zapuchniętymi oczami i cuchnącym oddechem – a jednak ktoś dostał się do miasta. Sprawdź u naszych

informatorów. Może coś wiedzą.

– Dziś się tym zajmę!

– Idź od razu. Budź, wywlekaj z pryczy i każ gadać.

Brecht potrząsnął głową, jakby się chciał rozbudzić.

– Jesteś pijany? Cuchniesz gorzałką.

– Już prawie trzeźwy, panie. To prosta robota. Dam radę.

– Idź!

Lichtenstein wymógł swego czasu na Schönfeldzie, by rozesłał do każdej oberży, do każdego domu, gdzie właściciel zarabiał na wynajmowaniu pokoi, polecenie natychmiastowego zgłoszenia do zamku każdego przyjeźdnego. Nikt nie odważyłby się złamać tego rozporządzenia. Zwłaszcza po wybuchu wojny. Na ulice wysłano więcej patroli, podwojono strażę przy bramach. Nawet w portach agenci zagościli na stałe; znaleźli się wśród tragarzy, rybaków z Osieku, urzędników.

Schönfeld rozprawił się też z nielicznymi Polakami na stałe mieszkającymi w Gdańsku. Każdego odwiedzili krzyżaccy żołnierze. Grożono im i zabroniono przyjmować w gościnę kogokolwiek z Polski. Nawet rodziny. Wszystkich, na których padł choćby cień podejrzenia o współpracę z polskim wywiadem, aresztowano lub zlikwidowano. A jednak ten Żydek się przedostał.

Z informacji, jakie powoli docierały do Lichtensteina, wyłaniał się ponury obraz krzyżackiego wywiadu. Brodnica już nie była jego mózgiem. Najważniejszą rolę w prowadzeniu działań wywiadowczych odgrywał teraz komtur toruński.

Wedle Schönfelda Toruń dostawał pieniądze na utrzymywanie szpiegów w całej Koronie. W Krakowie, Lwowie, Warszawie, Łucku, Brześciu, Poznaniu, Kaliszu. Do tego dochodziły watahy wywiadowców w terenie. Ale rezultaty okazywały się mizerne. Nie było porównania z dawnymi czasami. Płynęła za to do Torunia rzeka pieniędzy. Na zmarnowanie. Rosły wymagania szpiegów, a zakon zaspokajał je bez mrugnięcia okiem. Schönfeld opowiadał głosem pełnym oburzenia, że jeden z Rusinów z otoczenia Jagiełły i Witolda zażądał nadania ziemskiego w Prusach wielkości dwudziestu łanów. I przyjęto jego ofertę! A ostatnio do Malborka przybył podobno Mazowszanin, który zobowiązał się przeniknąć do dworu Jagiełły i wykraść wojenne plany. Oszust jak nic. Ale Ulryk von Jungingen za samą obietnicę zdrady wręczył mu konia, dziesięć grzywien za usługi i trzy kopy groszy na pokrycie wydatków.



Werner Brecht wrócił do zamku wczesnym popołudniem. W nowej koszuli, ogolony, wyglądał świeżo i trzeźwo. Gdy stanął wyprostowany w skryptorium, prawie dotykał głową powały.

Lichtenstein ruchem głowy kazał mu mówić.

– Dwóch Polaków przedostało się do Głównego Miasta przez Osiek. Jeden dwa dni temu, drugi dziś w nocy.

– Skąd wiadomość?

– Od polskich rybaków.

– Dlaczego sami z tym nie przyszli?

Schönfeld odziedziczył po poprzednim komturze kilku szpiegów w polskim Osieku, ale najwyraźniej źle ich prowadził.

Werner chwilę milczał.

– Mam im przypalić pięty? – spytał usłużnie.

– Którzy to?
– Ten stary Adam i jego kudłaty syn.
– A, tak, pamiętam... Każ obić mordę synowi. Albo nie, staremu. Tylko go nie zabijcie!
A młodemu powiedz, że następnym razem oskarżymy go o zdradę i sprzyjanie Polakom.

– Tyle że... oni to zgłosili...
– Dopiero, gdy ich przycisnąłeś! Mam co godzina robić obchód po tych wszystkich durniach i pytać, co tam słyhać!? – Lichtenstein uderzył dłońmi o oparcie fotela i wstał. – Idź do Jurgena. Niech zajdzie do wszystkich karczem! Obudźcie wszystkie szczury, jakie macie w mieście. I łeb w studnię. Nikomu ani słowa!

Wieczorem już obaj stawili się na zamku. Pierwszy odezwał się Jurgen:

– Z podejrzanych rzeczy: tylko dwóch polskich kupców, ale są znani w Gdańsku... Wjechali do miasta przed zamknięciem bram... Tak samo jacyś węgierscy winiarze. Też są tu od wielu dni. I tak jak tamci większość czasu spędzają w gospodzie. Na razie nic nie robiłem, bo nie było rozkazów.

– Każ obserwować obie gospody!

– Po co?

– Bo ci każę, idioto!

Lichtenstein po raz pierwszy stracił nad sobą panowanie. Ale szybko się opamiętał. W obliczu planu, który powstawał w jego głowie w ciągu ostatnich dni, nie powinien sobie zrażać tych ludzi. Będą mu potrzebni wierni i całkowicie oddani słudzy.

– Chyba, że macie inny pomysł – dodał pojednawczym tonem.

Nie mieli.



Lichtenstein krążył po skryptorium. To pomagało w myśleniu, choć w tej klitce mógł zrobić porządnie ledwie parę kroków. Czuł, że niepotrzebnie kazał pilnować tych kupców. Usiłował skupić myśli. Przez Osiek dostało się dwóch mężczyzn... Pierwszy to Aaron Abnarrabí, to już wiedział. Ale kim jest ten drugi?

Nagle mocniej zabiło mu serce. A jeśli tym drugim był... Zawisza? W pierwszej chwili odrzucił ten pomysł. Zawisza to rycerz w kwiecie wieku. Zrobił wspaniałą karierę na węgierskim dworze, u boku samego Zygmunta Luksemburskiego. Nie zniżałby się do czegoś takiego.

Ale anioł stróż nie ustępował, szept w głowie byłego komtura przeszedł w stanowczy ton. Co mu szkodzi sprawdzić? Przypomniał sobie listę świadków, którą znalazł w skrzyni ukrytej w ławie. Ilu z nich mieszkało w Gdańsku? Wyjął teczki i ponownie je przejrzał. Po czym wybiegł na korytarz. Posłał gońca, by odszukał Wernera Brechta. Gdy ten się zjawił, Lichtenstein powiedział:

– Zmiana planów. Poślesz jakichś zmyślnych ludzi pod dom Rudenów, ten przy kościele Świętego Jana.

Jurgen uniósł brwi ze zdziwienia, ale tym razem nic nie powiedział, tylko posłusznie skinął głową.

– A ty... – Lichtenstein wycelował palcem w pierś Wernera – ...staniesz pod domem Ryńskiego.

Werner uniósł obie dłonie.

– Tego rycerza?

Nawet Lichtenstein się zawahał. Mikołaj Ryński to jeden z najslawniejszych i najwierniejszych rycerzy w służbie zakonu. Wszyscy wiedzieli o jego zażyłych relacjach

z wielkim mistrzem.

– Tak – odrzekł po chwili. – Ale dyskretnie. Nie chcę kłopotów.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Mikołaj Ryński pochodził z polskiej rodziny herbu Rogala z Kujaw. Na początku czternastego wieku kilku członków rodu przeniosło się na ziemię chełmińską, gdzie nabyli wieś Ryńsk pod Wąbrzeźnem. Mikołaj zgromadził spory majątek i był zaliczany do najzamożniejszych i najslawniejszych chełmińskich rycerzy.

W Dzień Świętego Macieja roku Pańskiego 1397 bracia Mikołaj i Jan z Ryńska oraz Fryderyk i Mikołaj z Kitnowa powołali do życia Towarzystwo Jaszczurcze. W dokumencie założycielskim zapisano, że jego członkowie będą sobie nieść wzajemnie pomoc, jeśli zostaną pokrzywdzeni „czy to na ciele, na honorze, czy na imieniu”. Ta pomoc nie zostanie udzielona jedynie w wypadku, gdy krzywda nadejdzie ze strony braci zakonnych lub krewnych po mieczu członków towarzystwa. W takiej sytuacji wszelkie spory winny być rozwiązywane polubownie.

Bracia założyciele objęli funkcję starszyny towarzystwa. Ich decyzjom mieli się podporządkować wszyscy członkowie. Do aktu założycielskiego przywieszono pieczęcie czterech starszych towarzystwa. Każdy nowy członek dodawał do dokumentu własną.

Znakiem towarzystwa stała się jaszczurka: zwierzę szybkie, zwinne, łatwo znajdujące kryjówkę w chwili zagrożenia. Dla Ryńskiego była symbolem tajnego aspektu działalności: podobnie jak jaszczurka, która ukrywa się w skałach przed wrogami, członkowie towarzystwa we własnym kraju, we własnym domu, musieli ukrywać się przed przemocą zakonnych rycerzy.

Wobec władz zakonu podkreślano jednak, że jaszczurka jako zwierzę lubiące przebywać na słońcu i grzać się w jego promieniach symbolizuje rycerza zwracającego twarz ku Chrystusowi, ku Wschodzącemu Słońcu, jak nazywał Chrystusa Zachariasz w Ewangelii. Jaszczurka nie budziła podejrzeń zakonników. Widywali jej wizerunek na kościelnych lampach, świecznikach czy kadzielnicach. Wielki mistrz Konrad von Jungingen nie dostrzegł zagrożenia w powstałym towarzystwie, uznając je wręcz za pożyteczne.

Pomysł wykorzystania szerokiej rzeszy niezadowolonego z krzyżackich rządów pruskiego rycerstwa zrodził się w głowie Jana z Tęczyna. Jako szef tajnych służb uzyskał od króla zgodę na operację, która pochłonawszy wiele ofiar i złota, doprowadziła do narodzin Towarzystwa Jaszczurczego.

Przez kolejnych dziesięć lat organizacja pracowała wytrwale, budując silne zaplecze w całych Prusach, a zwłaszcza na ziemi chełmińskiej. Zrzeszała zarówno rycerzy polskiego pochodzenia, jak i Niemców oraz rdzennych Prusów o rycerskim statusie.

Teraz nadszedł czas działania – jaszczurkowcy mieli się włączyć do wojny.

Na razie jednak rycerze z ziemi chełmińskiej, w tym także założyciele towarzystwa z Mikołajem Ryńskim na czele, stanęli w szeregach armii zakonnej, która ogniem i mieczem pustoszyła ziemię dobrzyńską. Nie mieli wyboru. Odmowa byłaby uznana za zdradę i rzuciłaby na towarzystwo cień podejrzeń.

Już w pierwszych dniach wojny Ryński sprowokował wypadek, w którym raniono mu konia. Pod pretekstem konieczności odbioru dziesięciu grzywien odszkodowania udał się do krzyżackiego skarbnika w Gdańsku.

W rzeczywistości przybył do miasta, by spotkać się z Zawiszą i odebrać rozkazy.



Mikołaj Ryński posiadał w Gdańsku okazały dom na rogu ulic Koziej i Piwnej. Prowadziła go prosta stara kobiecina, która zamieszkała na pierwszym piętrze z wnukami w zamian za utrzymywanie domu i otoczenia w czystości oraz gotowanie stawy Ryńskiemu, kiedy tylko sławny rycerz zjeżdżał do miasta ze swych wiejskich posiadłości.

Tak było i tym razem. Ryński, załatwiwszy sprawę ze skarbnikiem, zasiadł samotnie do obiadu. Od kilku godzin zastanawiał się, jak bezpiecznie przeprowadzić spotkanie z Zawiszą.

Członkowie towarzystwa wyczekiwali instrukcji z Wawelu. Atmosfera w Prusach była rozpalona niczym wnętrze hutniczego pieca. Wybuch wojny zaskoczył wszystkich. Krzyżacy zyskali ogromną przewagę. Trzeba było działać! Jak? Ryński miał nadzieję, że przyjazd do Prus samego Zawiszy oznaczał, iż podjęto jakieś ważne decyzje.

Widział, co się dzieje w mieście. Został uprzedzony przez swoich ludzi o całkowitym zamknięciu bram, o patrolowanych w dzień i w nocy ulicach, rozkazach wydanych karczmarzom i hotelarzom. Sam niczego się nie obawiał, był zaufanym rycerzem zakonu. Wykluczone, by jego dom trafił pod obserwację krzyżackich szpiegów. Ale miejsce, gdzie miał oczekiwać go Zawisza, czyli karczma „Pod Kapturem” – już tak. Planując spotkanie wiele miesięcy temu, nie spodziewali się tak nagłego wybuchu wojny. Teraz trzeba je było przenieść w bezpieczniejsze okolice. Swoje dom Ryński oczywiście wykluczył. Nie mógł ryzykować. Tu odbywały się narady jaszczurkowców, nie chciał, by przypadkiem ktoś nabrał podejrzeń.

Ryński posłał wnuczka gosposi na ulicę Korzenną po czeladnika kowalskiego Hensila, który od lat zajmował się reperowaniem zbroi rycerza, a przy okazji należał do grona jego zaufanych informatorów.

Czeladnik zjawił się po godzinie. Służbę dla Ryńskiego traktował jako wielki zaszczyt. Jego zakład kowalski dużo zyskał na reputacji, mając za klienta tak sławnego wojownika. Dzięki temu korzystało z jego usług także wielu braci zakonnych. Hensil na każde wezwanie Ryńskiego rzucał wszystko i stawiał się najszybciej jak mógł.

– Do usług, panie! – rzucił od progu i uklonił się zamaszyście.

Ryński kazał mu zamknąć za sobą drzwi.

– Co tam u naszych braci zakonnych? Dużo masz roboty?

– Wojsko jeszcze nie wróciło, panie, więc spokój. Mówią, że straty żadne, łatwa wojna. To straszne – dodał. – Co będzie, panie? Brodacze zajmą Polskę?

– Ryś żubra nie położy. Nawet jak go trochę pokąsa. Ale nie o tym będziemy gadać. Słuchaj, dzisiaj w karczmie „Pod Kapturem” stawi się Zawisza.

– Boże, dzięki! Czyli ruszają się!

– Ja do karczmy pójść nie mogę, bo więcej na mieście szpicli niż psów.

– Pójdę!

– Ty też nie. Za duże ryzyko. Zresztą Zawisza ma dość oleju w głowie, by do karczmy nie włązić. Poślę moją służącą.

– Babę?

– Zawisza powinien ją pamiętać. Ona jego, mam nadzieję, nie. Pójdzie pod karczmę, nie będzie wchodzić, tylko przysiądzie gdzieś obok na progu, że niby jej się słabo zrobiło. Stara coś wymyśli. Chwilę poczeka. Zawisza na pewno będzie się tam kręcił, wypatrywał jakiegoś znaku ode mnie. Chyba się domyśli, co?

– Jakżeby nie!

– Na to liczę. Podejdzie do niej, a ona da mu kartkę z nowym adresem.
– A jak kto inny podejdzie?
– To już twoje zadanie. Baba będzie miała przykazane dać kartkę dopiero po chwili, żebyś miał czas. Poznasz Zawiszę, nie ruszysz się, podejdzie kto inny, skoczysz i powiesz, że to twoja babka, i go przegonisz. Wtedy trudno, wymyślimy co innego.
– A jak baba się komu wygada?..
– Boi się mnie. Rok temu nakryłem ją na szmuglowaniu bursztynu. Z mojej piwnicy zrobiła sobie magazyn. Wyobrażasz sobie? Jakby się Krzyżacy dowiedzieli, wytargaliby ją za te siwe kudły. Dlatego słowa nie piśnie.
– A ja?
– Pójdiesz za nią, dyskretnie. Będziesz patrzył, czy Zawisza się połapie i podejdzie do starej. Potem wrócisz i dasz mi znać. Ale przyjdź jeszcze do mnie wcześniej. Bądź tu o czwartej.
– Będę! – zapewnił Hensil i ruszył do wyjścia.
– Czekaj! – zawołał Ryński. – Weź od chłopaka naramiennik. Powyginany trochę. Zrób z tym co trzeba.
– Będzie gotowy na czwartą!



– Witaj, przyjacielu! – Ryński otworzył ramiona i uściskał Zawiszę, gdy się spotkali w suterenie starego domu w zachodniej części miasta. Pokruszone cegły chrzęściły pod stopami. Wszędzie wały się kawałki drewna, resztki futryn, okiennic. Piwnica służyła komuś za rupieciarnię. – Podła dziura, ale bezpieczna. Lepiej, żebyś tu przenocował. Jak się ściemni, możesz wejść na piętro, tam znajdziesz sobie jakiś kąt do spania. Dom jest świeżo opuszczony, jeszcze się męty miejskie nie zwiedziały. Będą go burzyć, bo kruszą się ściany. Może dziś w nocy się nie zawali... Masz coś do jedzenia?

– Nie – odparł Zawisza. – Przyślij mi tu kogoś. W mieście gęsto od agentów i strażników. To tylko sprawa wojny? Johann von Schönfeld nigdy nie był taki gorliwy.

– Podobno ściągnął do Gdańska jakiegoś mnicha, nie wiadomo skąd, i ten wziął wszystko w swoje ręce...

– Bzdura!

– Też tak myślę. Schönfeld walczy o swoją głowę i za bardzo go chyba poniosło...

Zawisza pokręcił głową.

– Co to za pomysł z tą gosposią? Ufasz jej? Mogli ją śledzić...

– Przecież nie stoją pod moim domem! I jeszcze posłałem za nią zaufanego człowieka. Miał baczenie na wszystko. Ona ci jakąś strawę przyniesie. Nie wie, ktoś zacz. Postawi garnek i sobie pójdzie.

– Niech tak będzie – zgodził się Zawisza. – Wojna zastała nas w drodze. Mów, co się tu dzieje. Od miesiąca tylko plotkami się karmię. Wiem jedynie, że Mikołaj z Kurowa, Maciej Pałuka z Wąsoczy i Wincenty z Granowa wyszli z Krakowa, żeby się z wielkim mistrzem widzieć w sprawie Żmudzi. Cóż się stało, że od razu wojna z tego wynikła?

– I spotkali się w Malborku z Ulrykiem. – Ryński przysiadł na stercie cegieł. Zawisza stał nad nim z rękami założonymi za plecy, pochylony, skupiony, spragniony szczegółów. – Na początku sierpnia. Kurowski podobno zagroził Ulrykowi wojną, jeśli pociągnie na Żmudź bez czekania na wyrok sądu polubownego, który dopiero chcieli powoływać. Kurowski ostro się do Ulryka odzywał. To przesądziło o wojnie. Wśród Krzyżaków, a szczerze mówią, bo mnie mają za brata, jest przekonanie, że Kurowski celowo Ulryka rozsierdził, a ten niepotrzebnie dał się

sprovokować, bo teraz Krzyżacy są w roli agresorów.

– Ha! Ruszyliśmy z Krakowa dzień później! Wieści jeszcze nie dotarły. – Zawisza pokręcił głową. – Dziwne tylko, że Tęczyński nie puścił za nami gońca, żeby nas ostrzec. Po drodze unikaliśmy ludzi, to i żadnych nowin nie łapaliśmy.

Z relacji Ryńskiego wynikało, że 9 sierpnia 1409 roku na toruńskim rynku ogłoszono publicznie króla polskiego wrogiem zakonu. Jaszczurkowcy, którzy mieli kontakty na ziemi dobrzyńskiej, donosili, że dopiero wtedy po polskiej stronie zaczęto jakieś przygotowania czynić. Tak samo na Kujawach i Krajnie. Przede wszystkim zabezpieczano tamtejsze zamki. Szykowano się niemrawo, bo nikt nie spodziewał się poważnego ataku przed zimą.

A Ulryk von Jungingen nie zamierzał się zatrzymywać. Już 10 sierpnia zarządził koncentrację większości sił w nadgranicznej ziemi chełmińskiej, niedaleko miasta i zamku Brodnicy. Tam też już w połowie sierpnia zebrały się znaczne wojska zakonne wyposażone w potężną artylerię. Naczelne dowództwo objęli sam Ulryk von Jungingen i wielki marszałek Fryderyk von Wallenrode. Jednocześnie na obszarze południowego Pomorza Gdańskiego, w rejonie Człuchowa i Tucholi, zebrano drugą, większą armię pod dowództwem komturów z tych dwóch ośrodków.

Z relacji świadków wynikało, że już po 9 sierpnia doszło do wypadów krzyżackich oddziałów na nadgraniczne tereny polskie. A więc zanim list wypowiedni zakonu dotarł do rąk Jagiełły.

Główne uderzenie, pod dowództwem samego wielkiego mistrza, nastąpiło tydzień później z ziemi chełmińskiej, okolic Brodnicy, na ziemię dobrzyńską. Wojska zakonu, dokonując gwałtów i okrucieństw na bezbronnej ludności, w ciągu dwóch tygodni zajęły dwa ważne ośrodki: Dobrzyń nad Wisłą i Bobrowniki. Propozycja Jagiełły zawarcia rozejmu została przez wielkiego mistrza odrzucona.

– Straszne rzeczy działy się w Dobrzyniu – ciągnął Ryński. – Knechci mordowali i palili żywcem jak opętani. Gwałty na kobietach. Kazałem mojej chorągwi, jak się da, ochraniać niewinnych ludzi, ale niewiele mogłem. Krzyżacy bili w mury z wielkich dział. Żaden zamek by tego nie wytrzymał.

W drugiej połowie sierpnia walki toczyły się także na Krajnie i na Kujawach, ale o tym Ryński wiedział z niepotwierdzonych jeszcze relacji. Wojska z okręgów człuchowskiego i tucholskiego wspomagane najemnikami wdarły się na Krajnę i doszły aż do Noteci. Przez osiem dni palono wsie i miasta, mordowano ludzi. A potem, 28 sierpnia, ta sama armia zajęła Bydgoszcz.

Zawisza targnął głową.

– To niemożliwe!

– Dwa dni! Tyle to trwało! Zdradził tamtejszy burgrabia, poddał miasto. Podobno został przekupiony.

– A Tomasz?

– Nie było go w Bydgoszczy. Ale to się nie mogło stać bez jego udziału. Musicie go wreszcie uciszyć. I odzyskać Bydgoszcz.

– Co się mówi o Witoldzie?

– Krzyżacy... Sami nie wiedzą. Witold śliski dla nich jak piskorz. Ale nie wycofali chorągwi ze wschodu.

– A jakie nastroje w Prusach? – pytał Zawisza.

– Stany są gotowe poprzeć Jagiełłę i uznać w nim króla. Za odpowiednie przywileje miasta złożą mu przysięgę wierności. Potrzebna tylko duża wiktoria. I trzeba tu wejść z armią. Wygnanie Krzyżaków i poddanie Prus władzy Polski jest możliwe!

– Pewnyś tego?
– Kto ma oczy, to widzi, co się w Gdańsku dzieje! I ta krwawa pacyfikacja teraz! – Ryński przerwał. Wsłuchał się w odgłosy dochodzące z ulicy. Na długą chwilę pogrążył się w milczeniu. Potem dodał ściszym głosem: – To miasto nie oddycha. Zakon pod rządami Ulryka jest coraz surowszy wobec kupców. Wszystkie miasta, nie tylko Gdańsk, chcą wolności, samorządu i przywilejów. To może dać jedynie nowa władza.
– Tak się stanie! – zapewnił Zawisza.
– Krzyżacy są pewni siebie. Szybka wiktoria dodała im animuszu. Łatwo nie odstąpią. Poleje się morze krwi. Mam poufne wieści z Malborka, że do tej wojny zbierają siły z całych Prus. Wystawią armię, jakiej nikt tu wcześniej nie widział. Jeszcze przed zimą wydadzą na zaciężnych pięćdziesiąt tysięcy grzywien!
– Dużo! Ale na generalną rozprawę nie wystarczy. Czyli szykują się na przyszły rok.
Ryński rozłożył ręce.
– Taka twoja ocena. Krzyżacy chcą uniknąć rozgłosu, werbują w tajemnicy, więc nie o wszystkim wiem.
– Mamy swoje źródła. Sami werbujemy.
– Wiem też – ciągnął dalej Ryński – że Ulryk wysłał swoich *dienerów* na Pomorze Zachodnie, do Miśni, Turynгии oraz Brunszwiku, by przy pomocy tamtejszych książąt zwerbowali zaciężnych.
– Ilu?
– Dwieście kopii.
– Na długo?
– Na sześć miesięcy...
– Będą ich trzymać przez zimę? Jakie są warunki?
– Kopia ma składać się z rycerza, łucznika i giermka. Każdy ma się stawić konno i dobrze uzbrojony.
– Żołd?
– Dwadzieścia cztery dukaty węgierskie. Ale bez gwarancji zwrotu utraconych w bitwie koni czy oręża.
– Jedenaście marek – mruknął Zawisza. – Dużo!
– Krzyżacy werbowali też genueńskich kuszników. Ale nie wiem ilu.
– Może się czegoś dowiem od Ayhe... – W głosie Zawiszy zabrzmiał niepokój. – To ważne. Genueńczycy to zaraza.
Zawisza podszedł do podróżnego worka, który rzucił wcześniej pod ścianę.
– Są dla was konkretne zadania. Trzeba przygotować miasta, przekonać załogi, żeby otwierały przed Jagiełłą bramy, kiedy przyjdzie pora. – Podał Ryńskiemu opieczętowany zwój papieru. – Tu masz listę warowni. Zatwierdził ją sam król.
Ryński wziął dokumenty i schował do wewnętrznej kieszeni kaftana.
– I będziecie siać fałszywe wieści. W listach znajdziesz instrukcje. Szykujcie już ludzi.
Sięgnął jeszcze raz do worka.
– I pieniądze. W złocie. – Wręczył Ryńskiemu ciężką sakwę. – Tyle, ile prosiłeś na dodatkowe zaciągi. Rozliczenie wyślesz do Tyńca, jak się uspokoi.
Ryński skinął głową.
– Jeśli to bezpieczne miejsce, umów mnie tu z Ayhe – poprosił Zawisza. – Jak najpilniej. Niech się zjawi jutro skoro świt.

Malbork, lato roku Pańskiego 1409

Po drodze niewiele rozmawialiśmy. Wprawdzie odezwałem się kilka razy łamaną niemieczyzną do dowódcy eskorty, ale nie odniosło to żadnego skutku. Nasz opiekun sprawiał wrażenie żołnierza rozumnego, obytego w świecie, o gładkich manierach, widać, że nie całe życie zarabiał mieczem. Skąpił jednak słów, jakby miał ich mało i oszczędzał na starość.

Do Malborka dotarliśmy wczesnym popołudniem 27 sierpnia, w poniedziałek. Już z daleka widać było jaśniejącą w ciepłych promieniach słońca ogromną fortecę – miasto i zamek połączone wspólnymi murami. To doprawdy niezwykle, by zamek, do tego tak bogaty w strzeliste budowle, zajmował większą powierzchnię niż miasto.

Dowódca poinformował nas, i zużył na to sporo słów!, że z powodu wojny z Polską przez główne bramy zamku odbywa się dziś ruch wojskowych taborów, postanowiono w związku z tym, iż najbliższą noc spędzimy w mieście. Ryksa nie ukrywała zaskoczenia. Zgodnie z listownymi ustaleniami mieliśmy otrzymać kwaterę na zamku. To prawda, że na ogół delegacje w randze posłów i różnej maści dyplomatów są umieszczane w miejskich domach noclegowych czy gospodach. Jednakże goście negocjujący ważne dla zakonu wojenne i tajne sprawy zawsze otrzymują zakwaterowanie na zamku. Tym razem chodziło nie tylko o poufność rozmów, ale i o nasze, czyli aragońskich posłów, bezpieczeństwo. Krzyżacy nie chcieli, by polscy szpiedzy, zapewne obecni w Malborku, mieli do nas dostęp.

Wjechaliśmy do miasta chyba tą samą drogą, którą przed laty pokonałem z Zawiszą. Rozpoznałem rynek i ulicę, przy której wówczas zamieszkaliśmy.

Na ulicach panowały tłok i gwar. Dało się wyczuć wojenne podniecenie. Słysząc było tylko język niemiecki. Nasza kwatera mieściła się w murowanej trzypiętrowej kamienicy naprzeciwko urokliwego murowanego kościoła, który, jak się później dowiedziałem, miał za patrona świętego Jana.

Z wozu wyładowano nasze łuby. Knechci wnieśli je do izby, którą dla nas przyszykowano. Kolejny dom gościnny dla krzyżackich gości. Obchodzono się z nami sprawnie, uprzejmie, nie zadając pytań. Wszyscy ważni goście zakonu mają te same potrzeby, toteż wymoszczono nam łóże, urządzono kąpiel, przygotowano obfitą kolację. Okna pokoju wychodziły na podwójny ciąg murów, za nimi wznosiły się bryły krzyżackiego zamku.

Ryksa, udając nieznaną niemieckiego, uprosiła służącą o zrobienie prania. Potem oznajmiła mi, że małżeństwo będziemy udawać na zamku. Zniknęła za parawanem, skąd wyszła bosą, ubrana w lnianą koszulę nocną. Weszła pod wielką wspólną kłodę, obróciła się do mnie plecami i zasnęła.

Następnego dnia po obiedzie usługująca nam dziewczka zapowiedziała, że przybył ktoś z malborskiego zamku.

Do izby jadalnej wszedł wysoki zakonnik o miłej powierzchowności; oliwkowa cera, ciemnobrązowe oczy, kształtne usta wskazywały raczej na kogoś z dalekiego południa niż Niemca.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – odezwał się płynnie po aragońsku,

z lekkim francuskim akcentem. – Panie, pani! Nazywają mnie Martinem. Będę waszym przewodnikiem, tłumaczem i opiekunem. Przyszedłem, by zaprowadzić was na zamek.

Zamarliśmy. Ryksa oddała mu pokłon i długo nie podnosiła głowy. Chyba pierwszy raz się przestraszyła. A przynajmniej zmieszła. Mimo iż ta nieoczekiwana przeszkoda mogła obrócić się przeciwko mnie, poczułem drobną satysfakcję, że przewidziałem to zaniedbanie.

– Jestem *dienerem*, czyli pomocnikiem, na służbie u wielkiego mistrza Ulryka von Jungingena. Pochodzę z francuskiej rodziny de Villaines. Znam wasz język. Przez wiele lat mieszkałem w Calatayud. Mój ojciec ma tam majątki.

Ryksa знаła kilka zdań po aragońsku, ale zdradzi ją akcent, gdy tylko otworzy usta. Ja z kolei nie byłem w Saragossie od prawie dziesięciu lat. Najbardziej banalne pytanie mogło mnie zdemaskować. Źle to wyglądało.

Szybko przeszedłem do ofensywy. Zadałem kilka pytań o zamek: liczbę pokoi, grubość murów, wysokość najwyższej wieży *et cetera*. Martin roześmiał się i powiedział, że sam nie wie jeszcze wszystkiego. To zbyt potężna twierdza, by w ciągu krótkiej służby poznać wszystkie jej sekrety. Chętnie wyjaśnił mi natomiast, na czym polega funkcja, którą tu sprawuje.

Otóż *dienerami* określa się młodzianów ze szlacheckich rodzin, pruskich lub cudzoziemskich, którzy służą u zakonnych dostojników. W trakcie trwania służby przebywają w Malborku w otoczeniu dostojnika, uczą się polityki i dworskich manier. Nie wstępują jednak do zakonu, pozostając w stanie świeckim.

– Niektórzy pragną w ten sposób uzyskać rycerski pas. Ja po prostu chciałem poznać świat i nauczyć się niemieckiego – oświadczył nasz przewodnik.

Młodzieńcy przybywali do Malborka z Niemiec, Czech, Moraw, Burgundii i Francji. Na okres od pół roku do dwóch lat. Martin spędził już w zamku półtora roku i są to jego ostatnie miesiące. Za służbę *dienerów* hojnie wynagradzano; pieniądze otrzymywali w ostatnim dniu przed opuszczeniem Malborka. Martin liczył na sześćdziesiąt florenów węgierskich (trzydzieści dwie i pół grzywny), bo tyle dostawali *dienerzy* spoza Prus.

Dienerów z innych krajów, którzy nauczyli się już języka, przydzielano do obsługi obcych poselstw przybywających do Malborka. Na służbie u Ulryka von Jungingena przebywało ich kilkunastu. W czasach wojennych wchodził w skład orszaku wielkiego mistrza, dlatego teraz wszyscy wyruszyli w pole. Na zamku pozostał jedynie Martin z racji znajomości aragońskiego i roli tłumacza, jaką mu wyznaczono.

I jeszcze jedno zaskoczenie: ponieważ wielki mistrz i najważniejsi zakonnicy udali się na wojenną wyprawę przeciwko Polakom, zamek przeszedł pod rozkazy mistrza dzwonowego Petera von Steina. Jako osoba duchowna nie podlegał obowiązkowi udziału w wojennej kampanii, jednocześnie piastował trzeci pod względem ważności – po podskarbinie i komturze zamkowym – urząd w zakonnej hierarchii. Malborski *Glockenmeister* przejął nadzór nad centralną kasą. Wielki mistrz przed opuszczeniem Malborka zadbał o wszelkie niezbędne uprawnienia dla mistrza dzwonowego do zawarcia kontraktu w sprawie najemników. Określono mu również wyraźnie ramy negocjacji.

Martin wyjawiał, uśmiechając się przy tym, że to dla nas pomyślna okoliczność. Wyjazd wielkiego mistrza oznaczał poluzowanie dyscypliny, możliwość swobodniejszego poruszania się po zamku, odwiedzania miasta bez każdorazowego pytania o zgodę i wiele innych dogodności.

Za kościołem Świętego Jana skręciliśmy w lewo ku Bramie Mostowej. Potem szliśmy wzdłuż rzeki aż do potężnej bramy prowadzącej do podzamcza, zwanego też dolnym zamkiem.

Zdziwił mnie widok niewiast kręcących się wokół zabudowań.

– To dziewczki pracujące przy udoju krów – wyjaśnił nasz przewodnik. – Musicie wiedzieć, że Malbork to stolica, panują tu trochę inne zwyczaje niż w zwykłych konwentach. Kobiety mają

wstęp nawet na wysoki zamek, oczywiście jeśli to wizyta polityczna. Do waszych komnat, pani... – spojrzał na Ryksę i lekko skłonił głowę – także będą przychodzić służki.

Przy bramie wiodącej do średniego zamku Martin zatrzymał się przed strażnikiem i zamienił z nim kilka słów po niemiecku, parszając przy tym śmiechem. Knecht z zainteresowaniem spojrzał najpierw na mnie, a potem na długo zatrzymał wzrok na Ryksie. Rzeczywiście, rozluźnienie dyscypliny było aż nadto widoczne.

Prowadzeni przez Martina minęliśmy w długim tunelu bramnym kilka potężnych wrót z dębowych bali, gęsto obitych żelazem. Znaleźliśmy się na podwórzu zamkniętym z trzech stron ceglаныmi fasadami zabudowań, okalającymi go niby olbrzymia podkowa.

– To dziedziniec zamku średniego – oznajmił Martin.

Południowa strona, niezabudowana, wychodziła na północne skrzydło górnego zamku, który widzieliśmy wczoraj z okien kwatery. Oba zamki oddzielał głęboki rów, przez który można było przejść zwodzonym mostem.

– Na czas waszego pobytu zamieszkacie w tym skrzydle. – Wskazał wschodnie ramię ceglanej podkowy. – W izbie, w której mieszkała księżna Anna, małżonka Witolda. Wiecie, panie, kim jest książę Witold?

– Tak – odparłem żywo. – Przed udaniem się w podróż odebraliśmy kilka lekcji... – A potem dodałem: – Jesteśmy zaszczytzeni tak wspaniałą gością.

Tak jak się spodziewałem, *diener* Martin, podniecony możliwością rozmowy z rodowitym Aragończykiem, zaczął wypytywać mnie o najświeższe nowiny z saragoskiego dworu. Kilka razy stanąłem na krawędzi kompromitacji. Na większość pytań nie znałem odpowiedzi. Fantazjowałem, wyrzucając z siebie kompletne bzdury. Na szczęście, gdy młodzieniec się o tym przekona, mnie już w Malborku nie będzie.

Martin był dobrodusznym i dość naiwnym młodzieńcem. Tylko dlatego nie nabrał podejrzeń. Kilka razy ośmielił się zadać jakieś pytanie Ryksie, a ja musiałem ratować sytuację, bzdurząc, że żona źle zniosła morską podróż i wciąż nie może dojść do siebie.

Z każdą minutą narastała we mnie złość na Zawiszę i wszystkich ludzi wywiadu, którzy mnie tu wysłali. Jak można było nie wziąć pod uwagę takiego ryzyka! Przecież musieli wiedzieć o istnieniu *dienerów* z różnych stron świata. Wystarczyło sprawdzić, czy nie ma wśród nich kogoś ze znajomością aragońskiego. Mieli na to dość czasu. Godząc się na tę misję, naiwnie uwierzyłem, że wszystko zostało starannie przygotowane, że przewidziano każdą ewentualność. Tymczasem od samego początku wszystko szło jak po grudzie.

Malbork, lato roku Pańskiego 1409

Wieczera odbywała się na piętrze pałacu wielkich mistrzów, w jego skrajnie zachodniej części, w pięknej reprezentacyjnej sali o gwiaździstym sklepieniu wspartym na jednym granitowym filarze, z wielkimi oknami wychodzącymi na strony południową i zachodnią. Była to letnia sala wielkiego mistrza, służąca zwierzchnikom zakonu do spożywania posiłków z zaproszonymi gośćmi. Stał tu ogromny kredens zastawiony szeregami szklanek. Najwyraźniej sala ta musiała służyć do długich narad i rozmów, podczas których raczono się chłodnymi napojami

Jak wyjaśnił nam Martin, w dni, kiedy nie obowiązywał post, zakonnicy jedli dwa razy dziennie: około południa pierwszy posiłek i około szóstej po południu posiłek drugi, złożony z dwóch dań. Trzy dni w tygodniu – we wtorek, czwartek i niedzielę – zakonnicy jedli mięso. W pozostałe trzy dni na stół trafiały ser i jaja. W piątki przestrzegano postu. Krzyżacy jadalі wówczas raz dziennie do syta wieczorem, przed ostatnią dzienną modlitwą, zwaną kompletą.

Przed wejściem na salę obmyliśmy ręce i podano nam płócienne ręczniki. Zajęliśmy miejsca przy stole ustawionym w kwadrat. Łącznie do wieczerzy zasiadło kilkanaście osób. Martin zdradził nam, że wielki mistrz polecił Peterowi von Steinowi przyjąć nas godnie, znacznie godniej, niżby wskazywała ranga wizyty, aby wynagrodzić nieobecność najważniejszych dostojników i podkreślić wagę, jaką do kontraktu przywiązują Krzyżacy.

Półmiski i misy wypełnione potrawami spoczywały na szerokiej ladzie pod oknami, skąd słudzy przynosili je do stołów. Te nakryto jedwabnymi obrusami haftowanymi złotą nicią; lśniła porcelanowa zastawa, do tego noże i łyżki w złożonych oprawach.

Podano kurę upieczoną w cieście jajecznym i gotowane warzywa. Na deser pieczone jabłka nadziewane konfiturami oraz inne słodkości: kandyzowane owoce, pokryte cukrem nasiona anyżu, owoce kolendry, nasiona kardamonu i kawałki kory cynamonowej. Serwowano wino reńskie z baliwatu w Koblencji, ulubiony trunek mistrza dzwonnego.

Lęk przed dekonspiracją nie pozwolił mi cieszyć się bogactwem stołu. Całą uwagę skupiałem na odgradzaniu Ryksy od Martina. Na razie mi się to udawało. *Diener* zajął miejsce między mną a mistrzem, by pełnić funkcję tłumacza. Peter von Stein znał biegle łacinę, ja udawałem, że radzę sobie w tym języku na tyle słabo, że obecność między nami młodego Francuza jest niezbędna. To moja strategia na dziś i może na najbliższą wieczerzę. Ale co dalej? Mamy tu spędzić prawie dwa tygodnie!

Jakby tego było mało, Ryksa wyglądała dziś zachwycająco. Wydekoltowana suknia, obcisła u góry, z wydłużonym trenem, podkreślała jej smukłą sylwetkę, krągłe biodra i jędrne piersi; w żadnym elemencie nie licowała z powagą klasztornej refektarza.

Peter von Stein robił wrażenie człowieka oschłego, rzeczowego, wyważonego, niepoddającego się emocjom. Patrzył na mnie życzliwie, gdy naprędce zmyślałem swój aragoński życiorys, ale też ani razu nawet się nie uśmiechnął, gdy wydusiłem z siebie jakiś żart. Traktował mnie protekcjonalnie. Najwyraźniej nie mógł się pogodzić z faktem, że człowiek tej rangi zasiada z nim do wieczerzy w tej pięknej sali i do tak suto zastawionego stołu. Ale jako sumienny

urzędnik wypełniał polecenia zwierzchnika, prowadząc ze mną uprzejmą rozmowę. Zamierzał doprowadzić do podpisania kontraktu, takie dostał polecenie.

Wśród zakonników obecnych przy wieczerzy, zapewne skrybów albo kancelistów odpowiedzialnych za rachunki, uwagę przykuwał cherubin z długimi jak u panny włosami puszczonymi na plecy. Młodzieniec miał jasną cerę, pszeniczny kolor włosów, pociągłą, nadzwyczaj urodziwą twarz. Wyglądem przypominał mi słowiańskich niewolników, jakich można było zobaczyć na saragoskim targu.

Dostrzegłem, że Ryksa również zwróciła na niego uwagę. Oboje nie przystawali do szarych postaci, jakie ich tu otaczały. Wyglądali jak dwa egzotyczne ptaki.

Pod koniec wieczerzy jasnowłosy młodzian skierował wzrok w naszą stronę. Miałem wrażenie, że przez chwilę wpatruje się w oczy Ryksy, a ona w niego. Gdy obróciłem się do niej pod byle pretekstem, opuściła wzrok.

Staralem się odsunąć rozmowę od aragońskich spraw, udając zainteresowanie lokalną polityką i przede wszystkim wojną z Polską. Jakoś przetrwaliśmy tę pierwszą wieczerzę. Peter von Stein zapowiedział na koniec, że od następnego dnia przystępujemy do rozmów o kontrakcie.

Po posiłku Martin odprowadził nas do kwatery. Byłem rozluźniony, żeby nie powiedzieć pijany. Uspokoiła mnie przyjacielska atmosfera, którą starał się stworzyć Martin. Znów wypilem zdecydowanie za dużo. To nieco uśmierzyło trapiące mnie lęki. Ryksa też rozochociła się winem. Z każdym kolejnym pucharem coraz śmieiej odpowiadała na spojrzenia Złotowłosego, jak go w myślach nazwałem.

Izba, w której nas umieszczono, była rzeczywiście wygodna i obszerna. Podzielona drewnianą przegrodą na część sypialną, z wygodnym szerokim łóżem, i na część łazienką.

Ryksa rozebrała się do naga. Przyglądałem się jej bezwstydnie. Wino krążące w żyłach ośmieliło mnie. Od odejścia Ayhe, od dziesięciu lat, oglądałem tylko nagie ciało Doroty. Ryksa weszła do łóżka. Teraz moja kolej. Mimo wypitego wina nie zdobyłem się na odwagę i rozebrałem się za parawanem.

Gdy wsunąłem się pod kołdrę, Ryksa szepnęła mi do ucha:

– Musimy sprawiać naturalne wrażenie. Dam głowę, że jesteście podsłuchiwanie.

Nie poruszyłem się.

– Wiesz, że reguła zabrania zakonnikom rozmów z kobietami? Nie mogą ich też dotykać, nawet matek czy siostr. Nie mówią o całowaniu.

Po chwili dodała:

– Ayhe to wspaniała dziewczyna. Chwaliła cię. Mówiła, że ze wszystkich kochanków...

Odwrociłem się na bok i zdmuchnąłem świecę. Izba pograżyła się w ciemności. Zaśmiała się głośno.

– To był żart! – szepnęła.

Bez słowa ponownie zapaliłem świecę, używając *mechero*.

– Co to jest? – zainteresowała się Ryksa.

– Aragońskie narzędzie do rozpalania ognia. Było na dnie skrzyni.

– Jak to działa?

Podniosłem *mechero* nad głowę i zademonstrowałem.

– Kciukiem mocno naciskasz na to kółeczko, które przekręcając się, pociera o ten mały kamień i lecą iskry na knot. Można rozniecić ogień nawet przy silnym wietrze.

– To prezent od Arandy?

– Mam nadzieję, że od jakiejś niewiasty... Poprzednie *mechero* dostałem od pewnej karczmarki, bardzo pońtej. Mówiła, że w jej stronach, na północy Aragonii, wyrabia się najlepsze *mechero*. Kobiety czasami obdarowują nimi mężów, których pożądamy. Im krótszy

knot, tym krótsza ma być rozłąka.

– I?

– I nic. Tak powiedziała. Dobrze jej zapłaciłem za gościnę. Nic więcej. Może żartowała.

– Czyli to od niej?

– Nie, na pewno nie. Ale z pewnością od jakiejś kobiety, która tam na mnie czeka.

Wyjęła mi *mechero* z rąk.

– Strasznie długi knot! Nie tęskni aż tak bardzo.

– Wie, że musi mi starczyć na podróż...

Rykxa znów przysunęła usta do mojego ucha.

– Opowiedz mi o Zawiszy. Jak mu tam było w Aragonii. Tylko nie o turniejach!

– To co chcesz wiedzieć? – spytałem.

– Ile miał kochanek.

– Nic nie powiem bez jego zgody.

Uniosła się na łokciu.

– Bo co? Taka tajemnica?

Ociągałem się z odpowiedzią, ale Rykxa nie zamierzała mi odpuścić.

– Znałem jedną – powiedziałem w końcu. – Miała na imię Jamila. O resztę pytaj jego!

Opadła z westchnieniem na poduszki.

– Wiesz, że król go miłuje? Miłuje jak syna i poważa jak marszałka – szepnęła. – Piszą do siebie listy. Naprawdę. Tak samo Zygmunt węgierski. Obaj zauroczeni. – A potem wyznała nagle: – Boże, jak ja go kochałam! Jeszcze nie był taki sławny. A on już wtedy tylko Hanna i Hanna... To straszne, co się stało... Słyszałeś? Miesiącami włóczył się po Polsce, tropił, rozpytywał, cała armia łowców szukała mordercy. I ani śladu!

Przez długą chwilę leżeliśmy w ciszy. Postanowiłem ją przerwać:

– Brat Mikołaj opowiedział mi kiedyś historię komtura królewieckiego Bertolda Bruhavena. Otóż przed wstąpieniem do zakonu poddał się próbie. Kazał sobie przyprowadzić najładniejszą dziewczkę z okolicy. Przez rok spał z nią w jednym łóżu, nagą, i ani razu jej nie dotknął.

– Zamierzasz mu dorównać? – Rykxa leżała odwrócona do mnie bokiem, z głową podpartą na dłoni. Oczy się jej śmiały. Schowała nagie ramię pod kołdrę.

– Ani myślę! – Sięgnąłem do świecy i ryzykując oparzenie, zatopiłem knot w ciekłym wosku.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Zawisza poszedł za radą Ryńskiego i spędził noc na piętrze opuszczonego domu. Gdy o świcie zszedł do sutereny, Ayhe już czekała. Promienie wznoszącego się nad miastem słońca odnalazły oba małe okna wybite tuż nad ziemią i rozświetliły pomieszczenie. Odwróciła się na odgłos kroków. Uniosła podbródek.

– Dzień dobry, panie!

Zawisza skinął głową. Chwilę się jej przyglądał.

– Jesteś przy nadziei?

Ayhe zmarszczyła brwi, nie rozumiała pytania. Spojrzała w dół i uśmiechnęła się speszona.

– Za ciasna ta tunika!

– Wiesz, że muszę pierwszy o tym wiedzieć.

– Nie jestem w ciąży! Utyłam! – Wciągnęła brzuch, wygładziła materiał. – Jak możesz! – syknęła wściekle, zarzucając grzecznościową formułę.

– Widać, że dobrze ci się powodzi. – Rycerz się roześmiał. – Ciesz się mnie to.

Zawisza przy każdym spotkaniu sycił się jej widokiem jak miodem. Nie dziwił się Aaronowi, że ten stracił dla niej głowę. Odejście takiej kobiety to muszą być potworne męki dla duszy.

Ucieczka z Krakowa, ucieczka od Aarona, nie przeszkodziła Ayhe w podjęciu współpracy z polskim wywiadem. Już po pierwszej rozmowie z łowcą, który odszukał ją w Gdańsku, zrozumiała, że nie ma wyboru. Okazała się rozsądną i praktyczną niewiastą. Przyjęła pomoc, jaką zaproponowali jej Polacy. Rozumiała świat kupiecki i bankowy, sprawnie poruszała się w księgowych zapisach, znała biegle kilka języków. Jako szpieg okazała się bezcenna. Gdy po nawiązaniu romansu z Piotrem Vorrathem zażądała większych sum za swoje usługi, Tęczyński zgodził się bez mrugnięcia okiem. Vorrath należał do grona gdańskich patrycjuszy, którzy nienawidzili zakonu, pragnęli jego upadku i przejścia Prus pod polskie panowanie. Polskie lub jakiegokolwiek inne.

Polakom udało się odbudować kupiecką siatkę. Już nie na tak wysokim szczeblu, nie tak rozległą i gęstą jak za czasów Jana z Tęczyna, ale dającą dość dobry wgląd w sytuację zakonnego państwa. Teraz, w połączeniu z informacjami z najważniejszego pruskiego portu, obraz nabrał ostrości. Wraz z nastaniem wojny każda wiadomość o dostawach do Gdańska, zwłaszcza wojskowych, była na wagę złota. Ayhe urosła do roli jednego z najważniejszych polskich szpiegów na pruskim wybrzeżu.

– Co z Vorrathem po zamieszkach?

– Ledwie ocalał. Został nawet aresztowany, ale go wypuścili. – Powiedziała to spokojnie, rzeczowo, ale widać było, że wiele przeszła i strach nadal jej towarzyszy. – Wrócił do portu.

– To dobrze. – Zawisza podał Ayhe zwinięty w rulon kawałek papieru. – Potrzebujemy bardziej szczegółowych danych o przeladunkach w porcie. To lista towarów, które nas interesują. Chcemy od dziś jednego raportu na tydzień. Pisz je wedle tej instrukcji. Usłyszałem wczoraj

o zwerbowaniu przez Krzyżaków genueńskich łuczniczków. Mają dotrzeć do Prus przez Gdańsk. Dowiedz się, jak liczny to oddział. Dopisz to sobie do listy, to ważne!

Ayhe rozwinęła list i przebiegła po nim wzrokiem.

– Krzyżacy zrobili się czujni... Bądź ostrożna. I nie zachodź w ciążę, na Boga!

Podniosła wzrok. Uśmiechnęła się do rycerza.

– Nie zapytasz, jak udała się zamiana naszych Aragończyków?

– Wiem, że wszystko dobrze poszło.

– Ryksa jest wspaniała. Pokochałam ją. Naprawdę.

– Wierzę.

– Jak zamierzasz wydostać się z miasta?

– Nie musisz wiedzieć. Wychodzących nie sprawdzają.

– Przy bramie nie, ale uważaj na strażę miejskie. Mogą aresztować każdego, kto nie jest z Gdańska i nie ma gletju. Wyłapują ludzi na ulicach. Są wszędzie.

– Wiem, widziałem. Dam sobie radę – odparł Zawisza. – Czegoś potrzebujesz?

– Pieniądzy – powiedziała Ayhe, patrząc mu w oczy.

– Ile?

– Dwadzieścia grzywien. To na całą zimę.

Zawisza westchnął, schylił się do worka i wydobyl zeń dwie pękate skórzane sakiewki.

Wręczył je Ayhe.

– Chciwość cię zgubi.

– Chciwość jest dobra.



Zawisza postanowił iść głównymi ulicami, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Ruszył więc Długą, potem skręcił w lewo w Lektykarską. Ayhe miała rację, strażników, i to uzbrojonych, było znacznie więcej niż zwykle. Im bardziej będzie kluczył, tym krócej będą go mieć w polu widzenia. Z Koziej skręcił więc w lewo w Szeroką, potem w prawo w Węglarską.

W północnej części miasta tłum znacznie się przerzedził. Przez długi czas Sulimczyk nie dostrzegł ani jednego strażnika. Ulicą Pawią dotarł do klasztoru Dominikanów. Do Bramy Zamkowej przy szpitalu Świętego Ducha postanowił dojść wąskim chodnikiem biegnącym wzdłuż murów.

Znajdował się na tyłach posesji przy ulicy Straganiarskiej, gdy z dochodzącej od południa uliczki, kilkanaście kroków przed nim, wyłoniło się nagle dwóch strażników. Przystanęli, spojrzeli w prawo, potem w lewo, po czym ruszyli w jego stronę.

Zawisza zaklął w duchu. Jakby się tu na niego zaczaili! Nie mógł teraz zawrócić, rzuciliby się za nim w pościg. Szerokość uliczki nie przekraczała jednego pręta. Nie sposób było się tu wyminąć, nie spojrzawszy sobie w oczy.

Zawisza podniósł wzrok.

Strażnicy zatrzymali się tak, że uniemożliwili mu przejście. Dwóch młodych osiłków: skórzane kaftany opięte na szerokich barach, grube karki, wysokie skórzane buty i krótkie miecze u pasa. Do tego tuniki z herbem miasta, co oznaczało, że byli na służbie i to oni tu rządzą. Widać na czas wojny w Gdańsku do straży delegowano żołnierzy.

Wiedział, że ich nie oszuka. Zbyt natarczywie mu się przyglądali. Będzie się musiał bić.

Po jego prawej stronie biegła zwarta zabudowa – tylne ściany posesji, których fronty wychodziły na Straganiarską. Po lewej – miejskie mury. Kilka kroków dalej Zawisza dostrzegł szerokie drzwi. Wyglądały na liche, takie, które można otworzyć kopniakiem. Gdyby udało mu

się wpaść do sieni... Tam zdobyłby nad nimi przewagę.

Jeden ze strażników, jakby czytał w jego myślach. Stanął bliżej ściany, zagradzając mu drogę. A potem uniósł pytająco głowę.

– Coś za jeden?

Zawisza usłyszał za sobą jakieś głosy. Odwrócił głowę. Z bramy klasztoru wyszło kilku zakonników. Nie mógł teraz zacząć bójki, a nuż braciszkwowie w odruchu obywatelskim przyjdą strażnikom z odsieczą. Albo pobiegną po pomoc do zamku.

– Gdańszczanin... od dziesięciu lat – odparł spokojnym tonem.

– Łżesz! – warknął strażnik. – Nigdy cię nie widziałem.

– Ja ciebie też nie. Od kiedy służysz w straży, młodzieńcze?

Drugi ze strażników prychnął zniecierpliwiony.

– Pogadamy na zamku. Pójdiesz z nami...

– Zapraszam do mojego kramu. Zobaczycie, gdzie mieszkam. Za fatygę poczęstuję was winem. Wolno wam pić na służbie?

Strażnik odpiął od pasa żeliwne kajdany.

– Mieszkam przy Ławniczej... – Zawisza udawał, że nie daje za wygraną. Musiał ich jakoś zagadać. Jeśli go skują, to po nim. Niech tylko przejdą braciszkwowie.

– Pójdiesz z nami! – powtórzył strażnik. – Mamy rozkaz odprowadzać takie podejrzane typy na zamek.

– Marnujecie czas, swój i mój.

– To się okaże.

Ten z lewej zrobił miejsce braciszkom, stając kilka kroków za plecami Zawiszy. Rycerz zsunął worek z ramienia. Braciszkwowie powoli znikali za zakrętem.

– Niech będzie, nie będę się opierał... – Zawisza zwrócił się do tego, który trzymał kajdanki i stał naprzeciwko. – Skoro tak wam zależy. No to może się poczęstujecie na drogę?

Rozsupłał worek i wyciągnął ramiona, by pokazać go strażnikowi. Żołnierz chciał zaprotestować, ale na słowa: „patrz, co mam”, odruchowo spuścił wzrok, by zajrzeć do środka. Worek spełnił jeszcze jedną ważną rolę: zasłonił ruch prawej nogi, którą Zawisza najpierw odwiódł do tyłu, a następnie wykonał szybki zamach i butem ciężkim jak kowadło wymierzył strażnikowi potężny cios w podbrzusze.

Rozległ się stłumiony krzyk. Nim żołnierz złamał się wpół i runął na kolana, Zawisza upuścił worek, szybko przerzucił ciężar ciała na prawą nogę, wykonał półobrót i rzucił się naprzód z pochyłoną głową. Liczył na to, że strażnik za nim, widząc, co się dzieje, ruszy do ataku. I żołnierz rzeczywiście zrobił dwa kroki – dokładnie tyle, ile trzeba było, aby czoło Zawiszy zmiażdżyło mu nos, rozerwało wargi i zgruchotało szczękę. Strażnik runął na plecy z rozrzuconymi ramionami, nie wydawszy z siebie nawet jęku.

Zawisza szybko się odwrócił, dobył nóż i nim pierwszy ze strażników zdążył powstać z kolan i sięgnąć po miecz, przebił mu gardło, po czym szarpnął ostrzem w bok, rozpruwając tchawicę. Strażnik zacharczał, poderwał się na nogi, złapał za szyję, próbując zatamować tryskającą krew. Drugi cios, w odsłoniętą pierś, prosto w serce, przerwał męczarnię.

Zawisza przywarł plecami do ściany. Szybko obrócił głowę w lewo, potem w prawo. Pusto. Walka trwała kilka sekund, rozegrała się na tyłach posesji. Spojrzał w górę: wszystkie okiennice były chyba zamknięte. Przed sobą miał fragment muru okalającego miasto. Rzucił okiem na wznoszącą się naprzeciw klasztoru basztę przeznaczoną na wieżę obserwacyjną: prostokątny występ, otwarty od strony miasta, bez strzelnic. Na drewnianych podestach nie dostrzegł nikogo. Chwała Panu!

Teraz podbiegł do wypatrzonych wcześniej drzwi. Były solidniejsze, niż przypuszczał.

Zawiodła go intuicja. Dobrze, że anioł stróż nad nim czuwał. Szybko uporał się z zamkiem za pomocą jednego z zakrzywionych gwoździ, które zawsze nosił przy pasku. Ramieniem pchnął drzwi. Uderzył go zapach stęchlizny. Ktoś od kilku dni tu nie wchodził. Była nadzieja, że gospodarz nie wróci przez najbliższe godziny. Zawłókł oba ciała, jedno po drugim, do sieni. Po chwili namysłu pchnął nożem strażnika ze zmiądzoną twarzą. W innych okolicznościach darowałby mu życie. Teraz walka toczyła się o najwyższą stawkę. Nie mógł sobie pozwolić na odruch litości.

Zamknął za sobą podwoje. Od strony klasztoru szła jakaś kobieta. Była na tyle zajęta myślami, że minęła rycerza, nawet na niego nie spojrzawszy.

Krew, która spryskała ścianę domu i ziemię, przybrała ciemnobrunatny kolor. Sulima uznał, że nie warto tego czyścić. Plama wyglądała na ślad po rozchłapanej kałuży. Ludzie na ogół nie zwracają na takie rzeczy uwagi, nie pamiętają, kiedy ostatni raz mocno padało.

Zawisza zarzucił worek na plecy i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę Bramy Zamkowej.



Werner Brecht zameldował się w skrytorium Lichtensteina dopiero następnego dnia późnym popołudniem. Były komtur poczuł przypływ nadziei na widok jego skupionego, ale zwycięskiego wyrazu twarzy.

– Panie! – zawołał od progu.

– Ciszej, człowieku! – syknął Lichtenstein. Wstał z krzesła, minął Wenera i zamknął za nim drzwi. Poklepał go po plecach. – Mów teraz!

– Mikołaj Ryński... Nie wiem, skąd, panie, przyszło ci to do głowy... – mówił knecht do wracającego za biurko komtura. – No więc chwilę po dzwonach na czwartą z jego domu wyszła jakaś kobieta.

– Młoda?

– Stara raszpla, panie, służąca albo gosposia.

Lichtenstein poczuł lekkie rozczarowanie. Usiadł za biurkiem.

– Zostawiłbym babę, ale w ślad za nią ruszył jakiś szczeniak. Dziwne, nie?

– Jeśliś to uznał za dziwne, to nie na darmo masz sławę myśliwego!

Werner uśmiechnął się szeroko, słysząc słowa pochwały.

– Tak miałem od dziecka, wietrzyłem trop tam, gdzie inni byli ślepi. Gówniarz szedł za staruchą, ale tak, żeby jej nie dojsć. Jakby śledził albo... pilnował. Ruszyłem za nimi.

Lichtenstein pokiwał głową z uznaniem.

– Stara doszła do gospody „Pod Kapturem”. Ale nie weszła, zachwiała się i przysiadła na stopniu przedproża domu obok. Myślałem, że ten mały do niej podejdzie, ale nie. Nagle stanął nad tą babą jakiś mąż. Ludzie mijali staruchę i nic, a ten wylazł nie wiadomo skąd, podszedł do niej i się nachylił. Chłopak wtedy odwrócił się na pięcie i gdzieś pognął.

– Wrócił do Ryńskiego?

– Tego nie wiem. Gdybym miał Jurgena albo kogoś do pomocy... Ale czułem, że ten mężczyzna jest ważniejszy. Przysięgłbym, że stara coś mu podała. Monetę? Może jakiś list? Nie wiem, ale coś było.

– Jak on wyglądał?

– Dobrze buty z wysokimi cholewami. Skórzany kaftan. – Werner wzruszył ramionami. – Nic szczególnego.

– Włosy?

– Czarne jak u kruka. Miał kaptur, ale na chwilę go zsunął.
– A twarz?
– Smagła, ale taka od słońca. Gładki, widać, że nie żołdak, raczej szlachcic, i to...
– No?
– Taki znaczny jakiś. Tak mi się pokazał.
– Może kupiec?
– Nie. Za żwawe ruchy. Rzekłbym, że to był rycerz, panie.
– I co dalej?
– Już się od niego nie odkleiłem. Szedłem za nim. Cały dzień... Kluczył po mieście, aż wlaź do jakiegoś domu, zaraz przy Bramie Długoulicznej.
– Wiesz, czyj to dom?
– Niczyj, opuszczony.
– W takim miejscu?
– Dowiedziałem się, że mają go burzyć.
Werner zamilkł i wbił wzrok w Lichtensteina. A potem triumfalnie dodał:
– A chwilę później do tej rudery, wejściem od sutereny, wszedł Mikołaj Ryński we własnej osobie.
Werner Brecht uśmiechnął się, widząc, jak wielkie wrażenie na komturze wywarły jego słowa.
– Słyszałeś, o czym gadali? – zapytał w końcu Lichtenstein.
– Nie. Czekałem, aż skończą. Wszedł tylko Ryński. Warowałem jak pies całą noc. Ten człowiek się stamtąd nie ruszył. Tylko ta starucha znów się pojawiła, tym razem z garnkiem. Postawiła go przed drzwiami przedproża i się ulotniła.
– Nagroda cię nie ominie!
– To nie wszystko! Na drugi dzień rano do tego domu przyszła kolejna kobieta. Znam ją. Niezła z niej latawica. Ale ostatnio ustatkowała się przy boku... wiesz kogo, panie?
– Bez zagadek, Werner!
– Piotra Vorratha!
– Piotra Vorratha... Wspaniale... – Lichtenstein wymawiał słowa powoli, rozcierał je językiem o podniebienie, jakby rozkoszował się ich smakiem. – Jak się nazywa ta dziewczka?
– To już niewiasta panie, ale wciąż warta grzechu. Mieszka z synem. Jest ciemnawa na gębie i to nie od słońca.
Lichtensteinowi aż zaszumiało w głowie od wspomnień.
– Arabka?
– Nie, nie, chrześcijanka. Coś o niej słyszałem...
– Zdaje się, że ja też – powiedział cicho Lichtenstein.
– Gdybym miał więcej ludzi, panie, może...
– Lepiej nie mogłeś się spisać!
Lichtenstein uważał rozmowę za zakończoną, ale knecht nie ruszał się z miejsca. Na jego twarzy zagościła niepewność.
– Co jeszcze? – spytał komtur.
– Za tym szlachcicem... Tak po prawdzie, to posłałem za nim dwóch ludzi. Przebrali się za strażników. Nie chciałem, żeby się czegoś domyślił. Myślałem, żeby go sprowadzić tu, do zamku...
– No i?
– No właśnie nie wiem. Ci ludzie nie wrócili.
– Już nie wrócą... – mruknął Lichtenstein.

– To nie były jakieś niedojdy, panie. Mocne chłopcy. Poza tym nie odważyłby się w biały dzień!

– To bez znaczenia, Werner. I tak dużo zrobiłeś! – powtórzył komtur. – Idź już.

Malbork, lato roku Pańskiego 1409

Rykxa wymyśliła, że będziemy wczesnym rankiem wychodzić do miasta, żeby móc swobodnie rozmawiać po polsku i omawiać strategię. Lubiła wcześniej wstawać. Ja nie, ale się podporządkowałem. Uśmiechała się do zamkowych strażników i zagadywała ich po aragońsku. Na szczęście żaden z nich nie rozumiał ani słowa. Wypuszczali nas bez sprzeciwu.

Nadeszła środa, dzień bezmięsny. Przyszykowano nam znacznie skromniejszą wieczerzę. Peter von Stein oświadczył, że skoro rozmowa będzie dotyczyła spraw wojennych, szczegółów uzbrojenia, to pragnie skorzystać z tłumacza. Martin zajął więc znów miejsce między nami. Moja strategia jakoś się sprawdzała.

Naprzeciwko zasiadł jeden ze skrybów, który, jak wyjaśnił Martin, ma niezwykły dar zapamiętywania każdego słowa. Przechowuje w pamięci rozmowy przez wiele miesięcy. Wielki mistrz polecił włączyć go w negocjacje, by przy późniejszym redagowaniu porozumienia nie pominąć żadnego szczegółu. Miało to też ten praktyczny wymiar, że podczas wieczerzy nie trzeba było sporządzać notatek, a jednocześnie mogliśmy rozmawiać ze świadomością, że nasze słowa zostaną zapamiętane.

Rozpoczęliśmy od podsumowania i potwierdzenia tego, co zostało zaproponowane w listach. Czyli liczby zdrowych, gotowych do wymarszu żołnierzy, miejsca stacjonowania oddziałów, czasu potrzebnego do przemieszczenia ich do Prus, liczby koni i wozów, struktury wojska, narodowości żołdaków *et cetera*.

Peter von Stein był rzeczowy, konkretny, dobrze przygotowany. Znał się na najemnikach, rzecz jasna, lepiej ode mnie. Ratowało mnie doświadczenie, jakiego nabrałem podczas przygotowań do wyprawy na Litwę. Tyle że wtedy Zawisza zwerbował dwudziestu ludzi... Teraz rozmowy dotyczyły tysięcy!

Potem określiliśmy po kolei wszystkie elementy wyposażenia, jakimi winna dysponować najemna armia. Przede wszystkim jakość uzbrojenia i opancerzenia. To znaczy Peter von Stein przedstawiał swoje wymagania, ja – zgodnie z wytycznymi – zapewniałem, że wszystkie warunki zostaną spełnione. Kopie, topory, miecze, kusze, hełmy, kirysy, kolczugi, wozy, rzędy końskie i na koniec same wierzchowce...

Instruując mnie przed misją, Zawisza polecił, abym w którymś z punktów zaproponował odmienne warunki. Wybrałem wozy. Peter von Stein chciał, by były średniej wielkości (to znaczy jeden na sześciu do ośmiu żołnierzy), gdyż z takich będzie się składał krzyżacki tabor. Ze względu na mobilność armii nie mogą dopuścić do znaczących odstępstw. Tymczasem armie najemne we Francji i Aragonii opierały się w dużej mierze na piechocie. Szybkość przemieszczania była więc i tak ograniczona. Tam używano znacznie większych wozów, z przeznaczeniem na wyposażenie nawet dla dwudziestu ludzi. Podniosłem tę kwestię. Mieliśmy więc pierwszy punkt sporny. Mistrz dzwonny przyjął to do wiadomości, skryba zanotował w pamięci.

Na koniec rozmów poruszyliśmy kwestię czasu obowiązywania kontraktu. Peter von Stein zapewnił mnie, że wojna będzie szybka, więc chcąc kontraktu na trzy miesiące. Oczywiście

z możliwością przedłużenia o kolejne trzy. Ale nie dłużej.

Rozmowa przebiegała swobodnie, w dobrej atmosferze. Nie odniosłem wrażenia nieufności. Skrupulatność, z jaką zakonnik podchodził do każdego detalu, kazała mi wątpić w to, czy w dziesięć dni, jakie nam pozostały, uporamy się z kontraktem. Zapewne drogą przez mękę będą rozmowy o odszkodowaniach za utraconą broń, konie, zbroje. Dla każdego elementu wyposażenia trzeba przygotować klasyfikację i wynegocjować kwotę odszkodowania. Samo spisanie wszystkich wierzchowców według klasy, rozmiaru i maści zajmie pewno pół dnia...

Urodziwy młodzieniec, który wczoraj słał w stronę Ryksy powłóczyście spojrzenia, dziś prezentował się jeszcze strojnziej. W dopasowanym do ciała kaftanie z jedwabiu przetykanego złotem, z rozrzuconymi, sięgającymi pasa włosami, bladą cerą i długimi jasnymi rzęsami lśnił niczym połączony paw.

Mniej więcej w połowie wieczery zdałem sobie sprawę, że zachwyty nad urodą mojej żony – przecież tak tu zostaliśmy przedstawieni! – nie opuszczał go i dziś. Kilka razy spostrzegłem, że gdy pił, lubieżnie się w nią wpatrywał, zerkając sponad krawędzi pucharu. Co za tupet! Brakowało tylko, by ustami posłał jej pocałunek. A potem z przerażeniem stwierdziłem, że Ryksa odwzajemniła kilka razy to natarczywe spojrzenie. Patrzyła w jego stronę ledwie chwilę, ale o mgnienie oka za długo... Rozsadzała mnie wściekłość. Skoro dostrzegłem to ja, mogli to zauważyć wszyscy pozostali biesiadnicy. Naraża mnie na kpiny! Co ona wyczynia!

Po głównej części wieczery, przed deserami, Ryksa szepnęła mi na ucho, że chce sama pójść do naszej kwatery. Przekazałem to Martinowi. Ryksa wstała, zaszurały o posadzkę buty podnoszących się od stołu zakonników. Moja małżonka, ukłoniwszy się mistrzowi dzwonnemu i reszcie biesiadników, opuściła salę.



Bruno, młodzieniec z Malborka zatrudniony na zamku jako palacz, przez cały dzień obserwował dziedziniec, przez który Ryksa i Aaron przechodzili kilka razy dziennie, udając się ze swojej kwatery na wieczerzę albo na krótki spacer na podzamcze lub świtem, jak dziś rano, nawet poza mury zamku. W końcu udało mu się nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Teraz, gdy wyszła z refektarza, odczekał chwilę i ruszył jej śladem.

Wszedł bez pukania do izby, gdzie umieszczono aragońskich gości. Cicho zamknął za sobą drzwi.

– Do usług, pani!

Podąła mu dłoń, a on ją ucałował.

Poznali się pięć lat temu, podczas negocjacji w sprawie zakupu przez Krzyżaków Nowej Marchii. Dzięki otworom podłogowym palacz przez wiele miesięcy skutecznie podsłuchiwał wielkiego szafarza. Szczegółowe dane przekazywane przez Brunona pozwoliły Jagielle na takie licytowanie, by jak najbardziej osłabić krzyżacki skarbiec. Ryksa była członkiem polskiej delegacji, która, znając warunki oferowane przez Krzyżaków, składała kontrproponycję kupna ziemi Ściborowi ze Ściborzyc ledwie kilka mil od Malborka. Metodę podsłuchu przy wykorzystaniu systemu grzewczego opracował ojciec Brunona, Klaus, który oddawał wielkie usługi polskim tajnym służbom, a te hojnie go za to wynagradzały. Młodzieńcowi obiecano spory płachetek ziemi pod Krakowem, gdzie będzie się mógł przenieść po zakończeniu służby, czyli już za rok. Tylko dlatego zgodził się kontynuować po zmarłym ojcu to niebezpieczne zajęcie.

Palacz już na początku czerwca otrzymał informację o planowanej wizycie fałszywej aragońskiej pary w Malborku. Miał do odegrania w tej misji bardzo ważną rolę.

Ryksa wyrzucała sobie, że podała chłopcu rękę do ucałowania. Jeśli Krzyżacy ich

obserwują...

– Czy w tej izbie możemy być podglądani? – zapytała cicho.

– Nie.

– A podsłuchiwani?

– Nie. – Pokręcił stanowczo głową. – Jest tu kilka takich izb, ale brodacze wam ich nie dali. Chyba niczego nie podejrzejwią.

– Dobrze! – Uśmiechnęła się uspokojona. – A czy ty możesz podsłuchać Petera von Steina?

– Niestety nie, pani. Komnaty mistrza dzwonnego nie mają ogrzewania przez posadzkę... nawet nie obsługują jego kominka.

– A ten refektarz?

– Tak samo, pani. To letnia sala. Tam do kominka mam dostęp, ale to wszystko.

– Muszę wiedzieć, jak Krzyżacy reagują na naszą ofertę. To jest twoje zadanie!

Palacz przybrał strapiony wyraz twarzy. Zależało mu, aby Polacy byli z niego zadowoleni.

– Coś wymyślę...

– Przyłóż się, to bardzo ważne. I słuchaj! – Ryksa splotła dłonie jak do żarliwej modlitwy.

– Postaraj się zawsze mieć mnie na oku, gdy będę szła przez dziedziniec. Sama albo z kimś. Jeśli przykucnę, żeby poprawić but, przychodź szybko tu, do tej komnaty. Jeśli założę ręce za plecy...

– Niewiasty nie zakładają rąk za plecy.

Ryksa uniosła podbródek.

– No dobrze, może nie zakładają... W takim razie jeśli przyłożę dłonie do twarzy, niech cię ręka boska broni. Unikaj mnie aż do odwołania.

– Czyli aż znowu kucniesz na dziedzińcu?

– Tak jest! Możesz odejść.

Palacz skinął głową i ruszył ku drzwiom.

– Poczekaj! – zawołała Ryksa. Podeszła do Brunona. – Przy okazji... Drobiazg... Dowiedz się czegoś o młodzieńcu, który zawsze zasiada z nami do wieczery...

– Taki jasnowłosa, panienska jakby?

– Tak, ten sam. – Ryksa uśmiechnęła się i podała mu monetę. – To twoja pierwsza część wynagrodzenia.

– Nazywają go Jukos. On nie ma nic do gadania. To gość wielkiego mistrza.

Ryksa wykonała gest oznaczający, że to bez znaczenia.

– Wiesz, gdzie on sypia? – spytała.

Palacz powoli kiwał głową. Namyślał się.

– Myślę, że wiem. Ale jeszcze sprawdzę.

– Możesz mu coś ode mnie przekazać?

Bruno zmarszczył brwi i bystro spojrział na kobietę.

– Pod jego izbą czuwa strażnik. Noc i dzień – odparł.

– Coś wymyślisz...

Bruno milczał.

– Na pewno ma kominek. Przy kominkach zawsze jest latem trochę roboty – podpowiedziała Ryksa. – Postaraj się. Wiem, że możesz. Dasz mu tę karteczkę.

– Co to jest?

– Coś taki ciekawski?

– Pani, powinienem wiedzieć. Nie umiem czytać, ale jakby mnie brodacze złapali...

– Pytanie po łacinie: „Jak cię zwą?”. Chcę, żeby sam mi to powiedział.

Palacz spojrział na nią wielkimi oczami.

– Chcesz, pani...

– Mam ochotę na romans, jeśliś już taki dociekliwy – wpadła mu w słowo. – Nie z tobą, głupcze – dodała, widząc, że rozbłysły mu oczy. – Chociaż... jak się sprawisz, nagroda cię nie ominie.

– I to wystarczy? – zapytał speszony, patrząc na strzępek papieru. – Na romans?

– To o wiele za dużo, ale nie mam czasu na zaloty. A teraz zmykaj.



Gdy wróciłem do izby, Ryksa była już przebrana w wieczorowe szaty.

Bez żadnych wstępów dałem upust swojemu poirytowaniu. W obawie przed podsłuchem musieliśmy się przytulać i znów mówić prawie szeptem, jak kochankowie.

– Co ty wyczyniasz?! – syknąłem.

– Co masz na myśli? – Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w usta. Przeszedł mnie dreszcz od stóp po czubek głowy. Pocałowała mnie jeszcze raz, oddałem pocałunek wbrew sobie.

– Który z *dienerów* bardziej ci się podoba? – zapytała, przeczesując mi włosy. – Nasz Martin... jak puchar owoców, ale...

– Na Boga! Do Martina nie wolno ci się nawet zbliżać! On po aragońsku mówi lepiej ode mnie.

– Pozostali dość paskudni – ciągnęła Ryksa, nie zważając na moje słowa.

– Ośmieszasz mnie! – warknąłem, uwalniając usta od kolejnego pocałunku. – To przecież wszystko widać!

– Nie przesadzaj. – Odsunęła się ode mnie. – Ty coś widzisz, bo jesteś o mnie zazdrosny.

– Brednie!

Opadła na łóżko. Przywołała mnie gestem ręki, a ja posłuchałem.

– Nie mam czasu... – mówiła przytulona do mnie. – Będziemy tu tylko dziesięć dni.

– Do diabła, niewiasto! Na co nie masz czasu?

– Na amory, kochany mężu, na amory. Takie misje to jedyna okazja.

– Nie wierzę! – Usiadłem na łóżku. – Ty... coś ukrywasz...

Przyłożyła palec do ust.

– Kiedy widzę jego rumieńce, nie mogę się oprzeć. Uprzedzałam cię, że mam słabość do pięknych mężów. Ty mi nie wystarczasz, jesteś za stary. A ten młodzian ma w żyłach mleko zamiast krwi. Ciekawe, jak smakuje...

– Boże, ciszej! – jęknąłem.

Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Karol von Lichtenstein otrzymał pierwszy raport z Malborka. Śmiałość poczynań polskiego wywiadu była zdumiewająca. Takie zuchwalstwo nie mogło pozostać bez ostrej odpowiedzi. Ale Lichtenstein postanowił się nie spieszyć. Miał co najmniej dwa tygodnie. W Malborku rządził teraz zadufany w sobie Peter von Stein! Niech najpierw ten Żydek wystawi go na pośmiewisko. Niech zrobi z niego durnia! Wtedy on, Karol von Lichtenstein, wjedzie do Malborka na białym koniu prawdy i w ostatniej chwili zdemaskuje oszustwo. Tak, nie ma się co spieszyć.

Jako znacznie pilniejsza rysowała się sprawa Zawiszy. Bo to on był drugą osobą przerzuconą do Gdańska. Opis Wenera, choć skąpy, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Po co się tu pchał? Dobre pytanie. W jakim celu sławny rycerz miał się chować gdzieś w Osieku, w śmierdzących ładowniach, jak szczur? To nie sprawa kontraktu na najemników przywiodła Zawiszę do Gdańska. Po co ryzykowałby wejście do miasta, skoro ten Żydek i jego aragońska współpracowniczka już wyjechali? Zawisza przekradł się do Gdańska, żeby porozmawiać z Mikołajem Ryńskim, to oczywiste. Przy okazji spotkał się z tą Arabką, ale to Ryński jest tu kluczem.

Kim był Mikołaj Ryński? Lichtenstein wiedział o nim tyle, ile wszyscy. Oddany, wierny rycerz, zasłużony dla zakonu. Wziął udział w ostatniej przed aresztowaniem Lichtensteina wyprawie na Żmudź, chyba w 1402 roku. Już wtedy Ryński cieszył się wielkim posłuchem wśród rycerstwa. Kiedy Karol siedział w Radzynie w celi, knechci opowiadali mu, że dwa lata później odbyła się morska wyprawa na Gotlandię. Pamiętał, że wspominali o chorągwi chełmińskiej. Lichtenstein wypytywał wówczas o jej chorążego. Na pewno wymienili nazwisko Ryńskiego. Chorąży ziemi chełmińskiej! To oznaczało dowództwo nad jej siłami zbrojnymi, wielki zaszczyt. Najwyższa godność ziemską, jakiej mogą dostąpić rycerze w Prusach, świadcząca o ogromnym zaufaniu ze strony władz zakonu. Potem, już po przenosinach do gdańskiej infirmerii, wspominał o nim Johann von Schönfeld w kontekście jakichś rokowań z Jagiełłą. Wielki mistrz bezgranicznie ufał Ryńskiemu. Znów jako chorąży uczestniczył w najeździe armii wielkiego mistrza na ziemię dobrzyńską.

Same zasługi i zaszczyty. Idealny materiał na zdrajcę.

I do tego jego ród pochodził chyba z Kujaw. Z Polski. Co z tego, że ojciec rodzony już w Prusach. Diabelskie nasienie przenosi się z mlekiem matek przez pokolenia. I zaczyna kiełkować, gdy budzi je sprzyjająca aura.

Trzeba się zająć Ryńskim, i to jak najszybciej. Zadanie w sam raz dla Jurgena. Karol zdecydował, że wezwie go jeszcze dziś. Poza tym będzie musiał wyciągnąć więcej informacji od Schönfelda.

A potem myśli komtura powędrowały ku tej kobiecie... Wernerowi zapłonęły oczy, gdy o niej wspominał. Oczywiście, że ją sobie przypominał. Ayhe. Czytał o niej w zeznaniach Heleny von Ruden... Dlaczego znalazła się w Gdańsku? Już raz miał dobrać się jej do skóry. To było... piętnaście lat temu, w Krakowie. Ale wtedy ten Żydek pociął nożem Zygryda i wszystko

potoczyło się w niespodziewanym kierunku.

Podobno wielu mężczyzn w Gdańsku straciło dla niej głowę. Czarownica. Nie może być inaczej.

Skoro Zawisza się z nią spotkał... podejmował takie ryzyko, to znaczyło, że albo jest jego kochanką, albo dla niego szpieguje. Bardziej prawdopodobna wydaje się ta druga możliwość. Ta dziwka grzeje już łóżko Piotra Vorratha. I to od niego zapewne pochodzą ważne dla Polaków informacje. Tylko czy Ayhe je kochankowi wykrada, czy też on donosi dobrowolnie.

Dużo pytań do rozstrzygnięcia.

Lichtenstein odkrył nagle, że im dłużej snuje rozważania na temat tej dziewczki, tym mocniej odzywa się w nim uczucie, o którym już dawno zapomniał. Pożądanie. Pociąg do kobiecego ciała. Kiedyś niewiasty do niego Ignęły, korzystał z tego, ile chciał. Lata w celi wymazały to z pamięci. Napięcie powróciło tak niespodziewanie, że aż zabiło mu serce. Tak, powinien się nią zająć osobiście. Należy mu się jakaś nagroda za trud ostatnich miesięcy. Czyż nie? Niech będzie nią Ayhe!

Malbork, lato roku Pańskiego 1409

Nadszedł piątek, dzień postny. Kolejne spotkanie w letnim refektarzu.

Martin od rana zacierał ręce, bo na dziś zapowiedziano jego ulubioną potrawę rybną: faszerowanego szczupaka z dodatkiem rybnych pasztecików. Wino podano miejscowe, postne, z owoców pochodzących z malborskich ogrodów. Słodkie i nijakie, zupełnie niepasujące do rybnych dań, ale takiego właśnie zażyczył sobie Peter von Stein.

Rykxa wreszcie przestała zerkać w stronę jasnowłosego młodzieńca. Mogło to znaczyć dwie rzeczy: albo przędli nic porozumienia w jakiś inny sposób, albo Rykxa w końcu uznała, że nie będzie siebie i mnie narażać na kompromitację. Niepokoilo mnie, że również Złotowłosa nie szukał jej oczu. Szanse, że równocześnie poszli po rozum do głowy, były znikome...

Mistrz dzwonny zapowiedział, iż pragnie zakończyć negocjacje do końca tygodnia. Jego rola na tym się zakończy. Od poniedziałku redakcją kontraktu mają się już zająć skrybowie. Cały przyszły tydzień będę miał wgląd w powstający dokument, by na bieżąco nanosić poprawki. Pod zredagowaną ostatecznie umową podpisamy my dwaj. Peter von Stein posiada pisemne upoważnienie od wielkiego mistrza, moje uprawnienia widnieją na fałszywej kredytywie, którą ze sobą przywiozłem.

Ostatecznie Krzyżacy zainteresowani byli podjęciem tysiąca kopii, czyli około trzech tysięcy zbrojnych jeźdźców na okres trzech miesięcy, począwszy od kwietnia przyszłego roku. O dziwo, Peter von Stein zgodził się bez targów na poszczególne pozycje rekompensaty z listy, którą mu wczoraj przedstawiłem. Przy czym całkowita rekompensata za straty nie mogła przekraczać dziesięciu grzywien na zbrojnego. Najemnikom nie przysługiwał udział w podziale łupów. Malbork nie brał też na siebie kosztów wykupu z niewoli. W przypadku śmierci najemnika rodzinie nie przysługiwało odszkodowanie, a jedynie zwrot kosztów za utracone uzbrojenie i konia.

I najważniejsze: wysokość żołdu na jedną kopię ustalono na cztery grzywiny za dobę służby. Ewentualne przedłużenie kontraktu o kolejne trzy miesiące miało się odbyć na tych samych warunkach. Hrabia d'Aragó nie miałby prawa odmówić jego przedłużenia, gdyby z takim żądaniem wystąpił zakon.

Poprosiłem o czas do namysłu do następnego dnia. Jak do tej pory wszystko przebiegało zadziwiająco gładko. Krzyżacy najwyraźniej nie podawali w wątpliwość naszej wiarygodności i woli zawarcia kontraktu.

Nie serwowano dziś deseru. W zamian bezustannie dolewano nam do pucharów to obrzydliwie słodkie wino. Słodkie i mocne. Pod jego wpływem poczułem w pewnej chwili rodzaj... satysfakcji z wynegocjowanych warunków. Uporaliśmy się z tak trudną materią w parę dni. Imponujące tempo jak na wagę sprawy. Szkoda, że to tylko baśń wymyślona przez polski wywiad. Będzie mi brakowało oschłego i ponurego Petera von Steina. I malborskiej kuchni... Mój Boże! Znów byłem pijany.

Mistrz dzwonny przywołał tymczasem jednego z pachółków usługujących do wieczerzy. Ten przyjął jego polecenie i wyszedł z sali. Wrócił po chwili, nachylił się nad dostojnikiem. Cięż

irytacji przemknął przez oblicze von Steina. Zakonnik odwrócił się do mnie. Mówił po niemiecku, a Martin tłumaczył.

– Przygotowaliśmy się do tych rozmów – zaczął *diener*. – Oczekujemy posłańca, który wizytował obóz najemników pod Perpignan w miejscu, gdzie wedle korespondencji ma się znajdować. Chcieliśmy potwierdzić prawdziwość waszych słów, panie, co do wartości bojowej najemnej armii. – Odwrócił się do von Steina, wysłuchał go w skupieniu, potem powiedział: – Nie bierz, panie, tego do siebie. Jesteśmy przyzwyczajeni do nieuczciwości najemników.

– Świetnie – odparłem i uczyniłem gest, który miał oznaczać, że nie czuję urazy i doskonale rozumiem. – Dlaczego nie przybył?

– To długa droga, przez całą Francję i niemieckie kraje. Mogło go coś zatrzymać. Mamy nadzieję, że stawi się jutro. Mistrz, jak już wspomnieliśmy, chciałby po niedzieli przekazać kontrakt w ręce pisarzy.

To zadziwiające, ale Martin był tak przejęty tłumaczeniem, że na samą wzmiankę o Francji w jego prawie nienagannym aragońskim pojawił się silny francuski akcent. Teraz odchrząknął i oznajmił:

– Jak mówi dostojny Peter von Stein, przypuszczamy, że wasz pan, hrabia d’Aragó, rozmawia również z Polakami...

– To wykluczone! – zaprotestowałem gwałtownie.

– Nie mamy powodów zakładać twojej nieuczciwości – rzekł *diener* w imieniu dostojnika. – Możesz nawet o tym nie wiedzieć. Jednak doświadczenie podpowiada nam, że najemnicy zawsze negocjują z obiema stronami.

Pojednawczy ton głosu Petera von Steina oraz wypite wino sprawiły, że jego słowa nie obudziły we mnie niepokoju. Niech zobaczą armię na własne oczy, będzie łatwiej doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Widziałem kilka razy obozy najemników w Aragonii. To doprawdy imponujący widok. Można było mieć obawy co do liczby koni. Krzyżacy żądali trzech tysięcy jazdy. Z tego, co pamiętałem, armie, które przetaczały się przez Aragonię, były piesze. W każdym razie – z przewagą piechoty. Pozostała jeszcze kwestia pieniędzy. Suma czterech grzywien na kopię, czyli trzech jeźdźców, na dzień to stanowczo za mało, tyle że to był przecież rdzeń planu obmyślonego przez Polaków. Ze słów Ryksy wynikało ponadto, że hrabia d’Aragó działał w porozumieniu z Arandą, więc z jego strony nie groziła nam dekonspiracja. Zresztą zdaje się, że Krzyżacy nie posłali nikogo znacznego, a byle poseł nie mógł mieć przystępu do hrabiego, by wypytywać o cenę. Co najwyżej pokazałoby mu namioty.

Obróciłem się do Ryksy, a ona uspokajającym skinieniem głowy dała znać, że wszystko rozumiała.

Po raz pierwszy w towarzystwie *dienera* padło nazwisko d’Aragó. Natychmiast się ożywił. Jeden z jego wujów przebywał kilka lat na dworze hrabiego. Zaczął mnie wypytywać o szczegóły, na które żadną miarą nie mogłem znać odpowiedzi. Czułem, że strużki potu spływają mi po plecach.

Uratowała mnie Ryksa: zasymulowała nagły atak kaszlu. Położyła dłoń na moim ramieniu, prosząc tym gestem, bym odprowadził ją do komnaty.

Przeprosiłem współbiedników i wyszliśmy z refektarza. Na środku dziedzińca przystanęła, by przykucnąć i poprawić but.

– Ty wracaj na salę – powiedziała, gdy znaleźliśmy się w izbie.

– On mnie zabije tymi pytaniami!

– To rozkaz. – Wypchnęła mnie na korytarz i zamknęła drzwi.



Palacz stawił się z naręczem drewna chwilę później. Zrzucił je z hukiem koło kominka. Zaczął rozniecać ogień. Wprawdzie trwało lato, ale zawsze mógł powiedzieć, że gościom dokucza wilgoć ciągnąca nocami od rzeki.

– Pani, tak jak kazałaś – odezwał się Bruno. – Przekazałem kartkę.

– Coś odpisał?

– Kazał mi tylko powiedzieć, że czeka na ciebie, pani. Wszystko ci...

Rykxa potrząsnęła głową.

– To teraz nie najważniejsze. Brunonie, musisz się dowiedzieć, czy przybył do Malborka jakiś poseł z Francji.

– Dziś rano byłem w stajniach. Na pewno nikt nie przyjechał. Ruch wojenny, zamieszanie, ale o żadnym pośle nie słyszałem.

– Dobrze! Ale pytaj co jakiś czas. Dyskretnie. To ważne! Gdyby ktoś taki się zjawił, natychmiast przychodź do mojej izby. Nawet w nocy. Obudź nas. Nie wiem, powiedz, że czujesz dym i chcesz sprawdzić kominek, cokolwiek. Rozumiesz?

Palacz potwierdził ruchem głowy. Rykxa wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Jaki tu panuje rozkład dnia o poranku? – spytała.

– Pierwsze dzwony, pryma, biją o czwartej. Brodacze wstają do pierwszej modlitwy.

– Boże drogi!

– Krzyżacy to zakonnicy, pani, zachowują wierność regule.

– Co potem? Wracają do łóżek?

– Nie mają łóżek, śpią na posadzce, na skórkach... Zazwyczaj przed trzecimi dzwonami, około dziesiątej, są już po mszy świętej, krótkiej, odprawianej przy ołtarzu północnym.

– A potem?

– Po dziesiątej słuchają drugiej mszy, przy ołtarzu głównym. Ta jest dłuższa i bardziej uroczysta. Dopiero po niej jedzą pierwszy posiłek.

– A potem?

– Każdy udaje się do swoich zajęć. Zważ pani, że jest wojna. Nie ma w Malborku większości dostojników. Dyscyplina się rozluźniła i...

– Nieważne – przerwała mu Rykxa. – To już mnie nie obchodzi. – A potem dodała: – Trzeba tę schadzkę urządzić dziś w nocy...

Palacz gwałtownie wstał z kolan.

– Pani, tak jak sobie życzysz. Młodzieniec jest niecierpliwy. Strasznie go tu pilnują i jest tym zmęczony. Ty, pani, widzę, również masz w sobie ogień.

– Ominiemy strażę? – spytała oschle. Zaniepokoił ją ten poufały ton. Co zrobi, jeśli ten szczeniak się tu na nią rzuci? Wyglądał na silnego. – Sprawdziłeś drogę?

Bruno znów przytaknął ruchem głowy.

– Da się! Nocą nie ma na korytarzach straży. Tylko przed samą kwaterą Jukosa zawsze stoi, a właściwie drzemie wartownik...

– Drzemie?

– Jak szedłem wczoraj w nocy, na próbę, to drzemał, ale i tak wejść od korytarza nie sposób.

– A zatem?

– Można się dostać przez komnaty wielkiego mistrza. Izba Jukosa do nich przylega. Są tam ukryte drzwi, zamykane na klucz, ale on zostawi je otwarte.

– Narażasz się...

– Tylko Jukos mógłby mnie wydać... Poproś go, pani, by trzymał język za zębami.

Rykxa uśmiechnęła się do młodzieńca.

– Dobrze, poproszę – powiedziała cicho. – A co do drogi, zdaję się na ciebie. Bądź przy mojej komnacie o trzeciej. Nie, dwa pacierze do trzeciej. Nie będziemy się spieszyć.

– Wedle waszego życzenia. Pamiętaj, pani, że przed godziną czwartą musisz być już u siebie. – Spojrzał na drzwi. – Pójdę już...

Rykxa chwyciła go za rękę.

– Poczekaj! Udasz się teraz do miasta. Znasz dom Michała Krapicza?

– To malborski mieszczanin, ksiądz, pisarz wielkiego komtura.

– Ten sam. Zapytasz o kupców z Lubeki. Nocują tam.

– Co mam im powiedzieć?

– Żeby byli czujni jutro o poranku. Oni już będą wiedzieć, co mają robić.



Gunter Salza na czas pobytu aragońskiej delegacji w Malborku otrzymał zakwaterowanie na podzamczu, w sąsiedztwie stajni. Pamiętał o zadaniu, jakie wyznaczył mu Lichtenstein. Ponieważ dysponował całkiem pokaźnym budżetem, mógł pozwolić sobie na gest wobec *dienerów*. Wypatrzył kilku takich, którym żywiej błyszcząły oczy, i pod byle pretekstem zapraszał ich do miasta, do karczmy, na dobre piwo lub wino, wedle upodobań. Młodzieńcy z wdzięczności otworzyli przed nim serca i usta. Mówili Gunterowi wszystko, a on zapamiętywał to, co mogło zainteresować Lichtensteina.

Jeden z młodzieńców okazał się bardziej rozmowny od innych i tego sobie Gunter szczególnie upodobał. Na imię miał Franc, rodowe nazwisko zbyt trudne, by zapamiętać. Żadna wielka familia. Chłopak pochodził z Bawarii. Służył jako *diener* wielkiemu szafarzowi. Utyskiwał na nudę w Malborku. Przez to zamieszanie z aragońskimi posłami nie mógł towarzyszyć swemu panu na wojennej wyprawie przeciwko Polsce.

Uwadze Franca, czujnego podczas posiłków, nie uszły ukradkowe spojrzenia Aragonki i tego długowłosego dziwaka. Nikt w zasadzie nie wiedział, ani skąd pochodzi, ani dlaczego traktowany jest przez dostojników z taką atencją. Wołano na niego Jukos. Mówiono jedynie, że to Rusin z jakiegoś bardzo zamożnego rodu, na co wskazywałyby jego bogaty strój i maniery. Inni twierdzili, że nie jest *dienerem* tak jak pozostali, ale że trafił na zamek w charakterze specjalnego gościa, nie na służbę. Nigdy nie opuszczał Malborka. Nie był też zbyt rozmowny, choć kilka razy widziano go na podzamczu z dziewczkami, które się tu zatrudnia do dojenia krów.

– Co to znaczy: widziano z dziewczkami? – zainteresował się Salza.

– No tyle, że do bab go ciągnie. My wychodzimy na miasto, każdy coś tam skubnie, a jemu zamku opuszczać nie wolno.

– Próbował?

– Straże mają przykazane go zatrzymać. Ciężko mu z tym, bo zakonnikiem nie jest i nie zostanie.

Franc wychylił duszkiem trzeci już tego popołudnia dzban sytnego piwa. Zamknął powieki, uniósł głowę i wydobył z gardzieli przeciągły bulgot.

– Ciekawe, czy mu się uda z tą Aragonką. – Otarł usta w rękaw kaftana. – Podobno zostaną tu jeszcze tylko tydzień...



Gunter Salza posłusznie sporządzał co wieczór raport dla Lichtensteina. Właśnie skończył

pisać kolejny. Przeczytał tekst jeszcze raz, poprawił kilka błędów. Po chwili wahania postanowił nieco ubarwić nudne, powtarzające się relacje z toczonych negocjacji.

Były komtur nigdy nie stronił od kobiet. W Brodnicy głośno było o jego wyczynach. Niewiasty za nim przepadały. Kiedyś.

Gunter Salza zanurzył pióro w atramencie, by na koniec listu dopisać kilka krótkich zdań o tym, jak to niewiasty zawsze znajdują czas na amory. Napisał o rozkwitającej wymianie namiętnych spojrzeń między złotowłosym Jukosem a czarnooką pięknoscią. I że wszyscy trwają w napięciu, kiedy wreszcie gorąca Aragonka przyprawi mężowi rogi.



Wyciągnąłem się w łóżu wyczerpany wieczszą. Jakoś udało mi się przetrwać nawałnicę pytań. Kręciło mi się w głowie od emocji i słodkiego wina. Ryksa leżała z głową na moim ramieniu. Przyzwyczałem się już do tych wspólnych wieczorów.

Długo rozmawialiśmy o Zawiszy.

Śmierć Hanny sprawiła, że przez ostatni rok więcej czasu spędzał na Węgrzech niż w Polsce. Miałem mu za złe, że zostawił syna, Mikołaja. Interesował się nim, płacił na jego utrzymanie. Ale przez rok go nie odwiedził.

Może dlatego, że chłopiec poczuł powołanie i bardziej myślał o habicie niż o zbroi? Wykazywał pilność w nauce, lepiej czuł się w kościele i w polu ze zwierzętami niż na żołnierskich ćwiczeniach. Kruczek, któremu odebrało rozum, ale przybyło serca, zastąpił mu matkę. Miał też dość sił, by prowadzić gospodarkę i utrzymywać w ryzach czeladź. Odwiedzałem ich co jakiś czas; często na prośbę Zawiszy.

Szelest pościeli obudził mnie w środku nocy. Domyśliłem się, że Ryksa wstała z łóża.

– Wychodzę. – Dobiegł mnie jej szept.

– Gdzie? Zwariowałaś! – syknąłem. – Zabraniam!

– Kto tu dowodzi?

– Dowodzi? Nie rozśmieszaj mnie!

– Nie jesteś moim mężem, chciałam przypomnieć.

Zerwałem się z łóżka, jakoś po ciemku zdołałem złapać ją wpół.

Uderzyła mnie łokciem w skroń. Piekielnie mocno i celnie.

– Do cholery! – krzyknęła zduszonym głosem po polsku. – Zostaw mnie!

Puściłem ją przerażony, zamroczony ciosem.

Gdańsk–Malbork, lato roku Pańskiego 1409

Był piątkowy wieczór trzydziestego pierwszego dnia sierpnia. Karol zmęczony czytaniem odłożył papiery. Piekły go oczy, powieki miał zaczerwienione. Zbyt dużo ostatnio pracował, do tego przy kiepskich świecach. Będzie musiał poprosić, żeby przyniesiono mu lepsze, a oszusta, który takie dostarcza na zamek, należałoby wtrącić do lochów.

Rozległy się szybkie kroki na schodach, a potem pojawił się kurier z raportem od Guntera Salzy. Lichtenstein odprawił go machnięciem ręki i z westchnieniem przytłoczonego pracą urzędnika rozwinął rulon. Przebiegł wzrokiem pierwsze akapity. Nic ciekawego. Gdyby coś ważnego się działo, Gunter napisałby o tym na początku.

Karol odłożył papier z postanowieniem, że przeczyta go świtem, zaraz po przebudzeniu. Kręcił się jednak na łożu, dręczony dziwnym niepokojem. Sen nie przychodził. W końcu wściekły zakonnik wyszedł w środku nocy na korytarz infirmerii. Długo szukał wartownika, choć powinni stać na każdym skrzyżowaniu korytarzy. Jest wojna, do cholery! Wreszcie któryś do niego podbiegł. Lichtenstein kazał sobie przynieść świecznik do skryptorium. Z lepszymi świecami.

Tam ponownie westchnął i sięgnął po raport z Malborka.

Jeszcze nie uzgodnili ostatecznych warunków, ale są blisko. Aragończyk poprosił o czas do jutra. Aragończyk... Lichtenstein się uśmiechnął. Dobrze, czyli jest tak, jak planował. Jeszcze raz pogratulował sobie w duchu powierzenia tej misji Gunterowi Salzie. Ten szybko wszedł w znajomość z jednym z *dienerów* i otrzymywał relacje z pierwszej ręki.

Jutro sobota. Potem niedziela, dzień święty. Kiedy pora na uderzenie? Może w poniedziałek? Tak, w poniedziałek, po uzgodnieniu warunków. Niech Peter von Stein ośmieszy się doszczętnie. Szkoda, że nie trafiło na wielkiego mistrza. Ale i tak nie jest źle. Ważne, aby w Malborku zdano sobie sprawę, jak ważną i potrzebną zakonowi osobą jest Karol von Lichtenstein. Niemal codziennie przywoływał w wyobraźni ulubioną scenę: jak wjeżdża do Malborka na białym koniu, stuka kopytami o bruk dziedzińca, klik-klak!, klik-klak!, i schodzą się wszyscy dostojnicy, baranie łby, ustawiają grzecznie w szeregu, a on wtedy zdradza im wielką tajemnicę, demaskuje oszusta: Żyda!, i wskazuje na niego palcem. Wielki mistrz, wielki komtur, wielki szafarz, wszyscy szepcą między sobą: skąd wiedział? Geniusz! Anioł stróż! Wybawca!

Wybornie! Tak, robi to w poniedziałek!

Przetarł zmęczone oczy i ponownie zagłębił się w lekturze. Przeczytał jeden niewnoszący nic nowego akapit i znów się zamyślił. Wciąż nie był pewien, co kryje się za tą maskaradą. Istniały dwie możliwości: Polacy chcą sprzedać nieistniejącą armię albo dowiedzieli się o tych rozmowach i postanowili interweniować, wywołać zamieszanie, uniemożliwić podpisanie kontraktu lub przynajmniej go odroczyć. I w pierwszym, i w drugim przypadku ich działania są uzasadnione. Tę wojnę wygrają najemnicy, przynajmniej po krzyżackiej stronie. Negocjacje, jak wynika z raportów, dotyczą trzech tysięcy zbrojnych. Uderzenie w zakon od tej strony to słuszny ruch. To jak wybić psu zęby, by potem mógł już tylko szczekać.

Tak, Polacy działają sprytnie. Oczywiście, nie mogli przewidzieć, że Lichtenstein

rozpozna Aarona. Nawet nie przypuszczają, że stary komtur przebywa jeszcze po tej stronie trawnika. Ale... sam koncept operacji... godny podziwu, musiał to przyznać.

Coś wszakże nie dawało mu spokoju. Dlaczego Tęczyński wysłał do Malborka swojego człowieka? Po co go tak narażał? Po co w ogóle ta delegacja? To wszystko można było osiągnąć za pomocą korespondencji. Gdyby to były normalne negocjacje, zrozumiałby, że chcą kontrakt podpisać na miejscu, z najwyższym zwierzchnikiem. Ale skoro planują oszustwo... Dlaczego, u diabła, nalegali na przyjazd do krzyżackiej stolicy? I to jeszcze z niewiastą... Choć to może mieć sens... Piękna Aragonka odciąga uwagę od męża. Pewno strzela oczami na lewo i prawo, miesza braciom w głowach.

Pochylił głowę nad kartką. Zaczął coraz szybciej przebiegać wzrokiem raport. Dużo szczegółów. Wszystkie nieistotne. Aż doszedł do zdań dopisanych na samym końcu. Już po pozdrowieniach.

I zamarł.

Serce zabiło mu tak gwałtownie, że stracił oddech. Zerwał się z krzesła. Poczł ukłucie ostre niczym pchnięcie sztyletem. Piers przestała się unosić. Najpierw wrócił oddech, potem przyszło zrozumienie. Oszukali go! To z niego zrobili idiotę!

Wpadł w furję. Przerazenie. Rozpacz. Wszystko naraz. Chwytał za blat i wywrócił stół z papierami, grube szkło kałamarza rozprysło się po podłodze na wszystkie strony, gęsty inkaust rozlał się ciemną plamą.

Do skryptorium wpadł strażnik. Lichtenstein szybko ochłonął, podniósł rękę na znak, że wszystko w porządku. Sam postawił stół, zebrał rozsypane papiery, omal nie wywracając się na śliskiej podłodze. Gorączkowo analizował sytuację. Może nie jest za późno!

Wypadł na korytarz i wrzasnął do strażnika:

– Budź komtura i dawaj mi tu kuriera!



Rykxa wyszła na korytarz z kagankiem w ręku. Z emocji zaschło jej w ustach. Palacz wyrósł koło niej jak duch. Śmiało się jej przyglądał. Za chwilę weźmie udział w tajnej schadzce. Ta ponętna niewiasta oddawała się w jego ręce.

Rykxa zdmuchnęła płomyk. W całkowitej ciszy ruszyli pogrążonymi w mroku korytarzami. Palacz szedł boso, Rykxa włożyła jedwabne pantofle na podeszwach tak cienkich, że czuła pod stopami każdą nierówność posadzki. Poruszali się niemal bezgłośnie.

Szli korytarzem łączącym wszystkie budynki średniego zamku. Minęli pomieszczenia szafarzy i *dienerów*, pomieszczenia wielkiego komtura, przeszli przez budynek infirmerii, budynek kuchenny. Potem weszli do ogromnej sali wspartej na trzech filarach, z rzędem wysokich, strzelistych okien rozświetlonych księżycową poświatą. Bruno zatrzymał się przy niewielkich drzwiach. Chwilę trwało, nim je otworzył. Palacz zanurzył się w czarnej czeluści, Rykxa postąpiła za nim.

– Jesteśmy w komnatach wielkiego mistrza. – Usłyszała szept tuż przy uchu. – Tu są zaciągnięte zasłony. Daj rękę, pani.

Szli powoli, minęli chyba jedną mniejszą i jedną większą komnatę. Palacz się zatrzymał. Ujął jej dłoń i przyłożył do chropowatej drewnianej powierzchni tuż przed nią. Potem przesunął w dół, aż natrafiła na metal.

Znów poczuła łaskotanie przy uchu:

– Za tymi drzwiami... on czeka na ciebie, pani. Ja muszę iść. Pamiętaj, abyś przed czwartą wróciła do siebie. Drogę już znasz...

Ryksa została sama. Odczekała chwilę, by uspokoić oddech. Nacisnęła klamkę.



Hans Stolz, osobisty kurier gdańskiego komtura, znał każdy kamień na drodze między Gdańskiem a Malborkiem. Ciął więc czarną przestrzeń nocy w pełnym galopie. Miał przekazać tylko jedno ostrzeżenie dla mistrza dzwonnego: nie dopuścić do spotkania Aragonki z gościem zakonu o imieniu Jukos. Hans Stolz nigdy nie zastanawiał się nad rozkazami. Tym razem też nie miał pojęcia, co to oznacza. Chyba coś ważnego, bo osiodłano mu najbardziej ręcznego konia z zamkowej stajni. Miał go zajechać na śmierć. Liczyła się każda chwila.

Malbork–Gdańsk, lato roku Pańskiego 1409

Rykxa pchnęła drzwi. Otworzyły się lekko, bezszelestnie. Jej oczom ukazała się niewielka komnata, podłoga i ściany dekorowane kilimami, złoto i purpura rozświetlone dziesiątkami świec. W powietrzu unosił się zapach gorącego wosku i wonnego kadzidła. Młodzieniec podniósł się na łóżku, usiadł. Miał na sobie śnieżnobiałą lnianą koszulę sięgającą kolan. Uśmiechnął się tryumfalnie. Podeszedł do niej. Był bosy, wyższy od niej o głowę. Odgarnął jej włosy, położył dłonie na policzkach i delikatnie ją pocałował.

Rykxa poddała się pocałunkowi. Pozwoliła młodzieńcowi unieść sukienkę, wodzić dłonią po jej nagim biodrze, a potem wsunąć rękę między uda. Zapragnęła mu się oddać. Czuła, że za chwilę to zrobi, zapomni o wszystkim.

Ostatnim wysiłkiem woli opuściła prawą rękę wzdłuż boku. Kciukiem zwolniła skórzaną blokadę, a potem zaczepiła o wąski jelec; z pochwy przymocowanej rzemykami do wewnętrznej strony ramienia wysunął się sztylet z wąskim, długim ostrzem. Ujęła go mocno w dłoń. Szybko odsunęła się od młodzieńca, wzięła krótki zamach, wbiła nóż tuż pod pępkiem i szarpnęła do góry. Równocześnie palcami lewej ręki wepchnęła mu do otwartych ust płócienną chustę zwiniętą w kłęb. Ćwiczyła to pod okiem łowców wiele dni. Rozpruty brzuch przesądza o wyniku pojedynku. Sztuka polega na zachowaniu absolutnej ciszy. Jukos był silny. Gdy chciała zadać drugi cios, wykręcił jej rękę, w której trzymała nóż. Ostrze rozcięło suknię i prześlizgnęło się po biodrze. Poczowała strugę ciepłej krwi na udzie.

Nie powinna była pozwolić na te pocałunki. To ją osłabiło.

Strach przywrócił siły. Napała na młodzieńca całym ciałem. Padli na łożo i zanim zdążył ją zepchnąć, zatopiła sztylet w jego twardej piersi. Charczał, ale chusta tłumiała rżenie. Szybko dźgnęła jeszcze kilka razy, dla pewności. Zrobiła tak, jak ją uczono. Serce biło jej jak oszalałe w piersi przyciśniętej do targanego konwulsjami ciała. Czuła, jak z młodzieńca uchodzi życie. W końcu znieruchomiał. Komnatę wypełnił mdły smród rozprutych wnętrzności. Łowcy uprzedzali ją o tym. Miała teraz oddychać tylko ustami.

Ściągnęła koszulę z nieboszczyka. Podarła ją na pasy, aby obwiązać nimi ranę. Rozcięcie sięgało połowy uda, krew lała się obficie. Źle to wyglądało. Rykxa czuła, że słabnie.



Po odprawieniu kuriera Karol von Lichtenstein wrócił do izby w infirmerii. Dziękował Bogu, że wtajemniczył gdańskiego komtura w sprawę aragońskiej delegacji. Jak teraz wytłumaczyłby się z posłania w środku nocy kuriera do Malborka?! Oczywiście nie wspomniał Schönfeldowi o rozpoznaniu Aarona, to zostawił dla siebie. Zwierzył mu się jednak ze swych podejrzeń, a w zasadzie pewności, iż wizyta Aragończyków w Malborku to prowokacja, operacja polskiego wywiadu. Wspólnie, choć to Schönfeld miał decydujący głos, ustalili, że poczekają z ujawnieniem tego na odpowiedni moment. Gdański komtur też miał swoje porachunki z Malborkiem. A Petera von Steina nie znosił.

Czyżby czekali o jeden dzień za długo? Może nie! Może posłaniec zdoła zapobiec nieszczęściu. To tylko niecałe dziesięć mil. Oby przez Wisłę szybko się przeprawił! Za dwie godziny będzie w Malborku. Jeśli jednak się spóźni, to ciężar winy spocznie na barkach Johanna von Schönfelda.



Obudziło mnie głucho uderzenie o drzwi.

Podniosłem się na łóżku. Potrzebowałem długiej chwili, by zaprowadzić w głowie porządek. Sięgnąłem po *mechero*, które trzymałem na taborecie służącym mi jako nocny stolik. Zapaliłem świecę. Płomień powoli nabierał blasku, wydobywając z ciemności coraz większe obszary izby, aż moim oczom ukazały się drzwi. Ktoś otworzył je na oścież. Korytarz za nimi tonął w mroku. Spojrzałem na drugą połowę łoża. Było puste!

Straszne przecucie chwyciło mnie za gardło. Wziąłem świecę do ręki i wyszedłem na korytarz. Tam zobaczyłem Ryksę: siedziała na posadzce, na lewo od drzwi, oparta plecami o ścianę, z bezładnie opadłymi rękoma. Oczy miała zamknięte. Była naga. Kłęb materiału, przyciśnięty do boku i przesiąknięty krwią, ciężko osunął się na podłogę, odsłaniając ziejącą mięsem ranę.

Przysunąłem płomień świecy do twarzy kobiety. Powieki zadrgały od blasku. Ryksa poruszała ustami, mówiła cicho, ledwie dosłyszalnie. Pochyliłem głowę.

– Nie wołaj medyka... – Usłyszałem.

Wziąłem ją na ręce, zaniósłem do łóżka, ostrożnie ułożyłem na pościeli.

– W moim kufrze... – powiedziała z wysiłkiem – jest bukłak... podaj...

Zrobiłem, o co prosiła. Upiła parę łyków. Przymknęła oczy.

– Co się stało? – wydusiłem przez zaciśnięte gardło, stojąc bezradnie nad jej nagim pokrzwawionym ciałem.

– Ta litewska gorzałka wskrzesi mnie tylko na kilka pacierzy... Nie ma czasu. Musimy wydostać się z zamku. Później ci wyjaśnię.

Obficie poląła ranę, przęcając nogę i zaciskając usta w bolesnym grymasie.

– Spruj prześcieradło i zabandażuj mi ranę.

Gdy wychodziliśmy na dziedziniec, słońce kryło się jeszcze za horyzontem, ale już widniało. Owiąło nas chłodne, rześkie powietrze.

Rozległo się bicie dzwonów wzywających na poranną modlitwę.

– Gdybym nie dała rady... uciekaj sam! – Szliśmy powoli, Ryksa mocno wsparta na moim ramieniu. – Musisz się uratować. Musisz wydostać się poza mury. Tam już czekają łowcy.

– Wiesz, że cię nie zostawię. Dlaczego musimy uciekać? Co z kontraktem?

– Pod Perpignan nie ma żadnych najemników. Ten poseł wiezie naszą zgubę.

Ryksa obróciła do mnie białą jak mleko twarz:

– Na korytarzu jest pełno krwi. Za chwilę odkryją ślady...

– Kto cię zranił? Jukos?

Ryksa nie odpowiedziała.

Wartownicy przy bramie dzielącej nas od przedzamcza stali zastygli w półśnie. Tylko jeden z nich niemrawo skinął głową, odpowiadając na moje powitanie. Byli przyzwyczajeni do naszych porannych spacerów. Teraz przed nami droga przez przedzamcze, która wydawała się nie mieć końca. Minęliśmy kościół Świętego Wawrzyńca, infirmerię pachółków, potem budynki browaru. Ryksa już ledwie powłóczyła prawą nogą; miałem wrażenie, że za chwilę straci przytomność. Czuję, że nie dojdziemy do północnej bramy, którą zazwyczaj wychodziliśmy

poza mury zamku.

Nagle, stamtąd właśnie, wypadł kurier na spienionym koniu. Omal nas nie stratował, galopem przemykając przez podzamcze.

Za budynkiem kamieniarskim, przed stajniami, skręciliśmy w prawo i stanęliśmy przed sześciokątną basztą, która otwierała drogę do rozciągających się za murami sadów owocowych.

Celowo kalecząc niemiecki, oznajmiłem strażnikom, że niewiasta, którą prowadzę, źle się poczuła i tylko rześkie powietrze i spacer wśród drzew przyniosą jej ukojenie. Bóg w swej niezmierzonej łaskawości sprawił, że strażnik, młodziutki knecht, podszedł do nas i zobaczywszy trupio bladą twarz mojej towarzyszki, ruszył ku bramie, by ją przed nami rozewrzeć na oścież.

Ryksa uszła jeszcze kilka kroków, ale gdy drzewa zasłoniły nas przed wzrokiem strażników, osunęła się na ziemię bez przytomności.

Malbork–Dobrzyń, lato roku Pańskiego 1409

Hans Stolz zrobił, co do niego należało. Pokonał drogę z Gdańska do Malborka w zdumiewająco krótkim czasie jak na nocną porę.

Przy pierwszej bramie prowadzącej do podzamcza nawet się nie zatrzymał. Tuż za stajniami omal nie stratował jakichś ludzi. Przed drugą bramą osadził konia, rzucił wodze strażnikowi, a jego towarzyszowi podał pismo i kazał się prowadzić do mistrza dzwonnego.

Razem z knechtem udali się do komnat Petera von Steina. Poranna msza w kaplicy już się rozpoczęła. Musieli czekać. Dopiero po jej zakończeniu wręczyli dostojnikowi pismo. Ten skrzywił się, przeczytawszy list.

– Jukos jest pod całonocną strażą – oznajmił. – Nikt nie dostanie się do jego komnaty. Jest bezpieczny. Wczoraj widziałem go na wieczerzy.

Potem przywołał jednego z *dienerów*.

– Niech ten człowiek... – wskazał Hansa Stolza – zobaczy go na własne oczy i uspokoi mojego przyjaciela, Johanna von Schönfelda. Idźcie i zbudźcie Jukosa. – Po czym zwrócił się do posłańca: – On nie ma obowiązku uczestniczenia w porannej modlitwie. O tej porze zazwyczaj jeszcze śpi.

Chwilę później dwaj żołnierze stali pod komnatą krzyżackiego gościa i na przemian łomotali pięściami w drzwi. Knecht, który trzymał tej nocy wartę, przyglądał się temu z rozbawieniem. Po jakimś czasie uśmiech zniknął z jego twarzy. Sam uderzył pięścią kilka razy. Bez odpowiedzi. W końcu posłali po mistrza dzwonnego. Ten po chwili namysłu kazał wezwać ślusarza.

Pierwszy do środka wpadł Peter von Stein. Za nim tłoczyli się w progu Hans Stolz, strażnik i pozostali żołnierze. Mistrz dzwonny najpierw spojrział w prawo. Niczego szczególnego tam nie zobaczył. Potem postąpił krok, aby zza otwartego skrzydła drzwi spojrzeć w lewo.

Znieruchomiał.

Widząc, że coś jest nie tak, knechci wyspali się do środka. Wszyscy podążyli za wzrokiem dostojnika. Zobaczyli łożo zalane krwią niczym rzeźnicki stół, a na nim nagie, rozplątane i pokłute jak po bitwie ciało Jukosa. Trup leżał na plecach w poprzek łoża, z głową wspartą o ścianę. Nieruchome oczy zastygłe w przedśmiertnym zdziwieniu skierowane były prosto na nich. W rozwartych do krzyku ustach tkwił knebel.

Przez długą chwilę panowała cisza.

– Wezwijcie medyka – rozkazał von Stein zduszonym głosem.

Nikt się nie poruszył.



Łowcy czekali na nas w ogrodach; z trudem ich poznałem w kupieckich przebraniach. Wzięli Ryksę na ręce i zanim ktokolwiek zaalarmował strażę, przejechaliśmy wozem przez miejskie bramy.

Dowodzenie przejął Jaroch. Przez Prusy szliśmy tylko nocami. W dzień kryliśmy się w lasach w obawie przed pościgiem i krzyżackimi patrolami. Malbork na pewno już zawiadomił okoliczne zamki.

Rykxa co chwila mdlała. Straciła dużo krwi. Łowcy walczyli o jej życie. Wiedziałem, że każdy z nich przeszedł odpowiednie szkolenie; zajęli się ranną z wprawą królewskich medyków. Jaroch w takich przypadkach kpił z wiary w wolę bożą czy koniunkcje gwiazd. Dwa razy dziennie zmieniał opatrunek, drąc na pasy czyste lniane koszule, które przezornie zabrałem z kufrów. Wcześniej mył ręce w litewskiej gorzałce i obficie polewał nią ranę. Oczy Ryksy szklily się wtedy z bólu, ale nie wydała z siebie najcichszego jęku.

Według informacji zdobytych przez łowców w Malborku główne siły krzyżackie prowadzone przez wielkiego mistrza Ulryka von Jungingena wyruszyły spod brodnickiego zamku, przekroczyły Drwęcę i weszły na ziemię dobrzyńską, kierując się na Rypin i Lipno. Oba miasta zostały zajęte niemal z marszu, a okoliczne wsie spalone.

Część krzyżackiej armii ruszyła potem na Dobrzyń. Załoga warowni odmówiła kapitulacji. Krzyżacy pod dowództwem wielkiego marszałka Fryderyka von Wallenrodego i komtura bałgijskiego Jana grafa von Sayna zdobyli warownię, paląc ją i mordując wszystkich mieszkańców, w tym wiele kobiet, które schroniły się na zamku. Dwa dni później, 20 sierpnia, wojsko dowodzone przez wielkiego mistrza przystąpiło do oblężenia Bobrownik. Pod warownię przyciągnięto maszyny oblężnicze i działa; zdobyto ją po ośmiu dniach ciężkich walk.

W końcu i my znaleźliśmy się na ziemi dobrzyńskiej. Sagan, znający doskonale okolicę, służył za przewodnika. Krzyżacy obsadzili już ważniejsze zamki i miasteczka, ale drogi były na ogół od nich wolne. Podążaliśmy śladami wojennej pożogi, mijaliśmy spalone wioski, ułożone w stosy ciała zabitych żołnierzy i pomordowanych wieśniaków. Co jakiś czas pojawiała się w zasięgu wzroku kolumna krzyżackich wojsk. Wówczas szukaliśmy schronienia w lasach.

Rodzina wioska Sagana, położona między Rypinem a Lipnem, nie ocalała, ale trupów w niej nie było.

Zupełnie straciłem orientację. Chmury od dwóch dni zasnuwały niebo, nie wiedziałem nawet, w którą stronę świata zierzamy. Tego dnia szliśmy skrajem ciągnącego się aż po horyzont lasu. Jaroch w pewnej chwili zarządził odpoczynek. Wolas zabrał się do przygotowywania ciepłej strawy dla rannej, a Sagan zagłębił się w las. Wrócił po godzinie, by poprowadzić nas do osady ukrytej w leśnych ostępach, gdzie schronili się mieszkańcy jego wioski.

Osada składała się z kilku solidnych, choć niskich chat zrębowych, z dachami pokrytymi strzechą z sitowia, pomiędzy którymi stało kilkanaście większych i mniejszych jat, drewnianych szałasów oraz namiotów zrobionych ze skór lub tkanin nasączonych łojem.

Jak wyjaśnił Sagan, była to przejściowa osada, kiedyś wykorzystywana przy wyrębie drzew. Wiele było takich miejsc w dobrzyńskich kniejach. Krzyżacy, jeśli tylko nie prowadził ich miejscowy judasz, nie zapuszczali się w głąb lasu. Takie osady stanowiły bezpieczne schronienie w wojennych czasach. A tu, w północnej ziemi dobrzyńskiej, ciągle było niespokojnie.

Napaść krzyżacka przyszła tak niespodziewanie, że z dobytku udało się ocalić kilka podręcznych rzeczy, reszta poszła z dymem. Na szczęście ludzie nie cierpieli głodu. Przeżyła trzoda, bo wieśniacy trzymali się zwyczaju przodków, że bydło i świny nie wracały na noc do swych zagród, lecz pozostawały na leśnych polanach, tam gdzie się pasły. Wrogie wojska nie znały miejsc wypasu stad, więc ich nie rabowały. Wieśniacy organizowali wspólne pastwiska dla kilku wsi, które zabezpieczano solidnym ogrodzeniem. Zbliżał się czas dojrzewania żołądź i bukwi, świny pozostawiano więc w lasach aż do pierwszych śniegów.

Sagan zapowiedział już wcześniej, że wiezie polską szlachciankę uprowadzoną

z krzyżackiego zamku i tam ciężko ranioną.

Udostępniono nam najlepszą chatę. Pod strzechą stały żarna i stępa, drewniane łopaty, radła i widły – sprzęty uratowane z pożogi. Łowcy wnieśli Ryksę przez niskie, szerokie, prawie kwadratowe drzwi poprzedzone wysokim progiem. Ułożyli ją na skleconym z bali łożu, w rogu izby, przy małym oknie. W środku stał też stół o niewyglądzonym blacie, a przy nim ciężka ława. Pod ścianą dostrzegłem palenisko obstawione glinianymi garnkami i misami.

Jakaś starucha kończyła szybkie porządki, brzoźową miotłą zagarnęła odpadki z podłogi do jamy w rogu klepiska, którą zasypała ziemią i przyklepała bosą stopą. Ciekawie się nam przyglądała. Nie usunęła skorupki jaj z narożników chaty. Jeśli życie ma się w rannej odrodzić, tłumaczył Sagan, to skorupki są potrzebne. Podobnie jak czaszki koni czy turów zawieszone w rogach chaty u powały. Wyglądały złowieszczo, ale miały magiczną moc, której niewiasta będzie potrzebowała.

Potem weszło kilka wieśniaczek, każda niosła wielki ceber z gorącą wodą. Wygoniły nas na zewnątrz i tam kazały czekać. Dostaliśmy do ręki po placku z jęczmiennej mąki.

Gdy pozwolono nam z powrotem wejść do izby, zastaliśmy Ryksę leżącą na skórach, przykrytą grubym owczym kożuchem.

Jaroch, który chwilę gadał ze znachorką, powiedział do mnie cicho:

– Za dużo wyszło z niej krwi... Teraz wszystko w ręku Boga. Musimy tu zostać jakiś czas. – Odwrócił się i podszedł do łoża. – Jak się czujesz, pani?

Rykxa była przytomna, uśmiechnęła się i coś do niego powiedziała. Potem skinęła na mnie ręką. Zająłem miejsce Jarocha u wezgłowia.

– Zabronili mi... wcześniej mówić – szepnęła.

– Powiesz mi, kiedy nabierzesz sił...

– Już więcej nie nabiorę... Całą mnie wysmarowali dziegiem... Umrę tu jak nic, wśród tych czarownic... Muszę ci wszystko powiedzieć. To ważne!

Zostaliśmy w środku chaty sami. Uniosła się na posłaniu, ręką wskazała na jedną z baranic leżących w nogach. Zwinąłem ją w rulon i podłożyłem jej pod plecy.

– Musieliśmy cię oszukać, Aaronie. – Uśmiechnęła się blado i położyła dłoń na mojej ręce. – Masz namalowane wszystko na twarzy. Kiedy ty się boisz, boi się cała wioska. Im mniej wiesz...

– Tym lepiej dla wioski. – dokończyłem.

– I dla ciebie – dodała Ryksa. Lekko uścisnęła mi dłoń. – Nie było żadnych najemników pod Perpignan. Aranda fałszował korespondencję.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem słaby, zmęczony pobytem w Malborku, ciąglym lękiem, bezsennymi nocami, potem uciezką.

– Po co... to wszystko? – spytałem.

Zamknęła oczy, kilka razy wciągnęła głęboko powietrze, jakby chciała nabrać sił albo zachować resztki przytomności. A potem zaczęła cicho mówić:

– Jakiś czas temu Tęczyński chciał zamieszać Krzyżakom w głowach. Wymyślił fałszywych najemników z Aragonii albo Kastylii. W mistyfikacji miał pomóc Francisco de Aranda. Ostatecznie pomysł upadł jako zbyt ryzykowny. Ale Tęczyński powrócił do niego, gdy trzeba było pilnie znaleźć sposób na wejście do Malborka.

– Po co? – powtórzyłem pytanie.

– Żeby zabić Jukosa.

– Tego chłopca?!

– Jukos był najstarszym synem Golewa, przywódcy zbuntowanych bojarów, którzy opowiedzieli się za Świdrygiełłą. Świdrygiełło zapewniał ich o wsparciu Krzyżaków.

Buntownicy wysłali Jukosa do Malborka w charakterze daru, jako dowód zaufania do Krzyżaków i do samego Świdrygiełły.

– I cóż da ta śmierć?

– Teraz bojarzy odwróca się od kniazia, wydadzą go w ręce Witolda. Zobaczysz, że tak się stanie.

– I po to narażano ciebie, mnie, łowców?

– To była ostatnia szansa zdławienia buntu! – Jej ściągnięta bólem twarz nagle spłonęła rumieńcem. – Wojna domowa na Litwie oznaczałaby naszą zgubę. Litwa zwróciłaby się ku Moskwie... Stałaby się naszym wrogiem. Gorszym niż Krzyżacy. Polska nie przetrwałaby wojny na dwa fronty. Bóg sprawił, że się udało!

– Nie było innego sposobu?

– Nie było! Żaden płatny zabójca nie wchodził w grę. Krzyżacy starannie Jukosa pilnowali. Nawet każdy kęs, który dostawał do zjedzenia, był sprawdzany.

– Nie zauważyłem...

– Bo nie patrzyłeś! Żeby ktoś mógł się do niego zbliżyć... on musiał tego chcieć.

– A gdyby nie udało się go uwieść?

– Miałam go zabić podczas wieczery. W ostatni dzień.

– Co by się z nami stało?

– Nie pytaj...

– Nie wyglądałaś na przejętą.

Roześmiała się cicho.

– Tego się można wyuczyć.

Pokręciłem głową.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć... Cóż on zawinił?

– Jukos? Oj, nie pytaj o takie rzeczy – odparła cicho. – Śmierć na wojnie zawsze szuka niewinnych. I nie sądź mnie. Zostaw to Bogu.

Uścisnąłem jej rękę.

– Powinnaś teraz odpocząć.

– Nie, nie... Nie wiem, czy dożyję rana. Słuchaj... – mówiła coraz ciszej. – Muszę ci jeszcze coś ważnego powiedzieć...

Pochyliłem się, ale ona powoli zamknęła oczy i już ich nie otworzyła.

Część III

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1409

Jednym z najważniejszych celów polityki Malborka było doprowadzenie do rozpadu unii polsko-litewskiej. Od jakiegoś czasu Ulryk von Jungingen wiązał daleko sięgające nadzieje z księciem Świdrygiełłą. Wywiad krzyżacki pozyskał informację, że kniazia popierało wielu bojarów na Litwie i podległych jej ruskich obszarach. Rozsądek podpowiadał więc, by nie atakować Żmudzi, ale skierować armię, nawet niewielką, na południe od Kowna, gdzie gromadzili się bojarzy pragnący odebrania władzy Witoldowi i gdzie miejscowa ludność w większości popierała Świdrygiełłę.

Krzyżacki wywiad wysłał tam swoich agentów, by nawiązali kontakt ze zbuntowanymi bojarami. Ci starym zwyczajem oświadczyli, że aby zabezpieczyć się przed zdradą z obu stron, gotowi są oddać Krzyżakom jako zakładników swoich synów. Malbork przystał na jednego, ale za to najważniejszego – Jukosa, syna sławnego bojara Golewa. Ugoszczenie go w Malborku miało być świadectwem szczerości intencji zakonu i gwarancją przyszłej współpracy.

Zawierając sojusz ze Świdrygiełłą, Krzyżacy liczyli na rozbitcie unii i zatrzymanie wojsk Witolda na Litwie na czas wielkiej wojny z Polską.

Komtur gdański Johann von Schönfeld doskonale orientował się w polityce Malborka. Bo sam ją współtworzył. A teraz przez własną głupotę obrócił ją wniwecz.

Schönfeld w skrytości ducha podziwiał przebiegłość byłego brodnickiego komtura, Karola von Lichtensteina, który najpierw w Aragończykach zobaczył oszustów, a potem w doniesieniu o niewinnej wymianie spojrzeń między Jukosem a damą z Aragonii dostrzegł zbrodniczy zamysł polskich szpiegów.

Lichtenstein powiadomił go wcześniej o swych podejrzeniach. Ale on, Schönfeld, zwlekał, ościągał się z poinformowaniem zakonu, chciał ugrać jak najwięcej. Rozmyślał, jak przypisać sobie największe zasługi, gdyby te przypuszczenia okazały się słuszne.

To z jego winy doszło do tragedii.

Tak, ale czasu cofnąć się nie da. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Ważne teraz, jak oceniają tę sytuację w Malborku. Już rozmawiał o tym z jednym z tamtejszych dostojników.

Po pierwsze, w krzyżackiej stolicy zapanowało poczucie klęski, przygnębienia. Po drugie, winą za śmierć Jukosa obciążono mistrza dzwonnego, który sprawował wówczas władzę na zamku. Oczywiście, wcześniej odpowie za to gardłem któryś ze strażników, ale to na Peterze von Steinie skupi się gniew wielkiego mistrza. I dobrze! Po trzecie, wysłanie przez Schönfelda kuriera wzbudziło uznanie w Malborku. Gdański komtur jest teraz postrzegany jako ten jedyny, który przejrzał fałszywych Aragończyków. Po czwarte, Malbork nic nie wie o Lichtensteinie i jego roli w gdańskiej komturii. Nie wie też, że Schönfeld mógł zapobiec tragedii, gdyby od razu poinformował mistrza dzwonnego o podejrzeniach. Malbork tego nie wie i nie może się dowiedzieć.

Gdański komtur doszedł do wniosku, że wprawdzie decyzja o wyciągnięciu Karola von Lichtensteina z więziennej celi przyniosła wiele korzyści, i dobrze się stało, że ją podjął, to już najwyższa pora, aby się go pozbyć. Oczywiście nie od razu. Trzeba odwrócić jego uwagę jakimś

gestem, stępić czujność. A potem... albo z powrotem do celi, albo do piachu. Schönfeld ciężko westchnął. Dał sobie czas do namysłu. Nie jest tak źle. Wprawdzie jego los spoczywa w rękach Lichtensteina, ale te ręce można mu łatwo odrąbać. I pozbyć się dręczącej niepewności, czy aby nie przyjdzie Lichtensteinowi do głowy udać się któregoś dnia do Malborka...



Karol von Lichtenstein przypomniał sobie, jak bardzo wstrząsnęło nim odkrycie, iż polski wywiad uprowadził jego statki u wybrzeży Alicante. To było kilkanaście lat temu. I oto teraz historia się powtórzyła. To samo zdumienie. Ci sami aktorzy.

Niewiarygodne.

Polacy zabili, nie, nie zabili, ponoć zaszlachtowali jak wieprza najważniejszego gościa, jakiego Malbork podejmował od lat. Jak można było do tego dopuścić?

Stało się jasne, dlaczego Aaronowi towarzyszyła ta Aragonka. A może to wcale nie była Aragonka? Nie miało to teraz znaczenia. Udało się jej umówić na nocną schadznię z tym młokosem. Żadna sztuka. Gdyby rżęsami w jego stronę zawachlowała owca, też by jej uległ. Karol musiał przyznać, że Polacy wybrali najprostszy i najpewniejszy sposób, by oszukać strażę i dostać się do komnaty Jukosa. Był gotów się założyć, że zabójczyni miała w zamku pomocnika. Kogo? Pewnikiem kogoś z czeladzi, kto swobodnie porusza się po całym budynku... Kucharza? Ślusarza? Może palacza? Tak, najpewniej któregoś z palaczy. Tylko oni mają dostęp do wszystkich pomieszczeń, znają ich rozkład, wszystkie drzwi i przejścia... Nie zamierzał jednak zaprzętać sobie teraz tym głowy.

Miał inne zmartwienia. Jak choćby to, że sam znalazł się w pułapce. Na razie całą winę za to ponosił Schönfeld. Bo to ostatecznie on podjął decyzję, by zwlekać z powiadomieniem mistrza dzwonnego. Lichtenstein miał na to świadków. Wystarczy, żeby szepnęła słówko w Malborku. Trzymał zatem Schönfelda w garści i... zyskał śmiertelnego wroga. Istnieją dwie możliwości. Gdański komtur będzie teraz wykonywał pozorowane gesty przyjaźni, by uspić jego czujność, a potem, po cichu, założy mu wór na głowę i zadusi. Lichtenstein tak właśnie by zrobił. Albo, druga możliwość, odeśle go z powrotem do celi. Przecież Karol formalnie wciąż jest więźniem.

Ile zostało mu czasu? Kilka miesięcy? Pół roku?

Źle to się ułożyło. Powinien był od razu zdemaskować Aarona. Ale tego nie zrobił... Wtedy, pod karczmą w Kiezmarku, w ułamku chwili w jego głowie zrodził się wielki plan zemsty, przywrócenia godności należnej jego osobie. Czyżby pierwszy raz od wyjścia z celi zawiodła go intuicja?

Chwilę wytchnienia od ponurych myśli przyniosła Lichtensteinowi wieść o sukcesach wojsk krzyżackich, a zwłaszcza zdobyciu Bydgoszczy w ostatnich dniach sierpnia. To wspaniała nowina! Polacy nie zdołają jej odbić, nawet jeśli pociągną z wielką armią. Twierdza ma solidne mury, zza których można się bronić miesiącami. A bez Bydgoszczy Polacy nie wygrają tej wojny.



Gdański komtur przystąpił do działania szybciej, niż można było się tego spodziewać. Gdy tylko doszedł do siebie po wydarzeniach w Malborku, oświadczył Lichtensteinowi, że zamysła wystąpić o anulowanie jego przewinień i przywrócenie go do pełnych praw zakonnika. Będzie argumentował to stanem zdrowia więźnia i jego przydatnością w nadciągającym starciu z Polską. Wielki mistrz mógł go ułaskawić, miał takie prawo. Nie tak dawno ułaskawił brata

krzyżackiego z konwentu ragneckiego, który zamordował kucharza.

Dla Lichtensteina te słowa zabrzmiały jak wyrok. Skoro komtur nie zamierzał wtrącać go z powrotem do celi, pozostawała druga możliwość... W tej sytuacji jedyną szansą było zwrócenie się bezpośrednio do Malborka. Ale po pierwsze, Schönfeld zrobi wszystko, żeby mu to uniemożliwić, a po drugie, nawet gdyby się udało, to jak postąpi wielki mistrz? Komu da wiarę? Już raz Lichtenstein otrzymał wyrok za sprzeniewierzenie zakonnego majątku. Ulryk von Jungingen wyciągnie rękę do skazanego wyrokiem sądu oszusta czy do gdańskiego komtura, może niezbyt rozgarniętego, popełniającego błędy, ale jednak godnego zaufania? Do tego – cóż za perfidia losu! – pacyfikacja Gdańska znacznie podniosła notowania Schönfelda.

Lichtenstein musiał uzbroić się w potężne argumenty. A miał na to mało czasu.

Powrócił myślami do dziwnej wizyty Zawiszy w Gdańsku. Wciąż zadawał sobie pytanie: po co takie ryzyko? Kazał swoim ludziom nadal śledzić Ryńskiego. Uznał też, że najwyższa pora zająć się tą arabską dziewczką. Poleciał Wernerowi, by dowiedział się wszystkiego na jej temat. Dał mu na to trzy dni. Trzeba ją wreszcie przesłuchać. Zrobi to osobiście, by przekonać się na własne oczy i uszy, a może nawet na własnej skórze, jak to z nią jest.

Dobrzyń, jesień roku Pańskiego 1409

Następnego dnia rano z bijącym sercem weszliśmy wszyscy czworo do izby. Ryksa, Bóg łaskaw, czuła się lepiej. Zdążyliśmy zamienić z nią ledwie słowo, bo zaraz pojawiły się znachorki i przegoniły nas od łóżka. Tym razem zamknęły się w chacie z Ryksą na długie godziny.

Gdy skończyły, wejść pozwoliły tylko mnie. Tak zażyczyła sobie pani.

Ryksa przywitała mnie pogodnym uśmiechem.

– Och, mężu! – westchnęła. – Mogliśmy lepiej wykorzystać okazję... Drugiej nie dostaniemy. – Głos miała silniejszy. Zdrowiała. Wyciągnęła dłoń.

Odruchowa przyklęknąłem i musnąłem ją ustami.

– Zostanie tu ze mną Sagan. – Cofnęła rękę, przybrała oficjalny ton. – A ty z Jarochem i Wolasem ruszysz do Krakowa. Spiesz się! Są ważne sprawy.

– Jak rozkażesz... pani. Wolałbym zostać z tobą jeszcze kilka dni, byłbym spokojniejszy. Pokręciła głową.

– Chodzi o wiarołomstwo królowej...

– Słyszałem plotki.

– Plotki? – prychnęła ze złością. – Cały Kraków huczał! Sądono ludzi! Niedawno wznowiono śledztwo.

– Dlaczego?

– Są powody. Tym razem jednak śledztwo jest tajne, bo toczy się przeciwko... Tęczyńskiemu. Oficjalnie został uniewinniony, ale król chce mieć pewność.

– Jaka jest prawda?

– Nie musisz jej znać – odparła stanowczo. A po chwili dodała: – Chcesz czy nie, zostałeś w to wmieszany...

Nic nie odpowiedziałem. Z tymi ludźmi wszystko jest możliwe. Czekałem na ciąg dalszy.

– Odnalazłam osobę, która zna prawdę i może ją poświadczyć... I Tęczyński już się o tym dowiedział.

– Kto to jest?

– Śliczne węgierskie dziewczę... Dwórka Barbary Cylejskiej. Dziwnym trafem zbłądziła do łoża Zawiszy. To przypadek. Ale dla Tęczyńskiego w takich sprawach przypadki nie istnieją.

Przez chwilę milczałem zdumiony.

– Sulima ma kochankę w Budzie?

– Tak mówią... W każdym razie starosta jest przekonany, że Zawisza też za nim węszy. I ten romans, prawdziwy czy zmyślony, bierze za dostateczny dowód. Przestraszył się. Przed Zawiszą otworzą drzwi do królewskich komnat o każdej porze dnia i nocy. Jedno jego słowo w uszach Jagiełły znaczy tyle co tysiąc moich.

– I co teraz?

– Tęczyński szuka sposobu, aby uderzyć w Zawiszę. Zamierza go oskarżyć o konszachy ze Ściborem ze Ściborzyc. Chodzi o jakiś handel miedzią, ale nie znam szczegółów.

– Ma dowody?

– Nie może ich mieć. Tęczyński uwierzył w czyjeś donosy, bo chciał uwierzyć. Jagiełło zakazał handlu ze Ściborem od czasu skandalu ze sprzedażą Marchii Krzyżakom. Przez Polskę wiedzie główny szlak węgierskiej miedzi. Kupcy walczą o udziały w tym handlu na śmierć i życie, bo to wielkie pieniądze. Tęczyński wykorzystuje ich rozgrywki, żeby skleić jakieś dowody...

– I co ja mam z tym wspólnego? – spytałem w końcu.

– Starosta boi się, że Zawisza lada dzień pozna tajemnicę jego romansu z Cylejską... Nie może się go pozbyć, tak jak to zrobił z Klemensem z Moskorzewa. Będzie chciał go umiejętnie oskarżyć. – Ryksa spojrzała mi poważnie w oczy. – Tęczyński weźmie się też za ciebie.

– Co to znaczy „weźmie się”?

– Przez lata prowadziłeś finanse Zawiszy. U ciebie będzie szukał dowodów na udział w przemyśle miedzi.

– Co mam robić?

Ryksa uniosła się na łokciach.

– Podejmiesz się tego zamówienia na łodzie!

– Dopiero będą mnie sprawdzać!

– To duży wojenny kontrakt, dlatego wywiad weźmie cię pod obserwację. Dzień i noc. Nie przepuszczą żadnego listu do ciebie, żadnej dziewczki, żadnej sakiewki. Ale będziesz bezpieczny. I twój dom.

– Ale przecież to Tęczyński kieruje wywiadem...

– Owszem, ale nie ośmieli się ciebie tknąć, póki pracujesz dla króla. Dlatego pojedziesz teraz do Krakowa i podpiszesz kontrakt. – Mówiła cicho, ale władcym tonem, jakbym był jej sługą. I dodała po chwili wahania: – Wcześniej sprawdź księgi, czy nie ma tam jakichś zapisów, żeby się nie czepiali...

Opadła zmęczona na skóry.

– Chciałam to sama powiedzieć Zawiszy. Miałem nadzieję, że spotkam się z nim w Gdańsku. Ale wiem, że on ci ufa.

Wolbórz, wrzesień roku Pańskiego 1409

W wojennej grze z wielkim mistrzem Jagiełło przegrał pierwsze starcie. Wojnę rozpoczął zakon, i to było zgodne z planem polskiego króla, potem jednak nastąpił ciąg porażek.

Przede wszystkim Jagiełło na spodziewał się tak szybkiej mobilizacji Krzyżaków. Ich armia z trzech stron, trzema klinami wbiła się w terytorium Polski, wszędzie odnosząc zwycięstwa. Krzyżacy byli butni, okrutni, szybcy i skuteczni. Palili, rabowali, mordowali. Polska nie potrafiła stawić oporu; była bezsilna, przegrywała. Do tego Jagiełło nie mógł liczyć na Witolda. Za szybko się to wszystko zaczęło. Błąd króla, błąd polskiego wywiadu.

Wyjście rysowało się tylko jedno – rozejm. Zawieszenie działań militarnych do wiosny, kiedy zmobilizowana polska armia wraz z Litwą, wolną już od groźby buntu Świdrygiełły, będą gotowe do walnej rozprawy. Tyle że aby uzyskać korzystny rozejm, trzeba mieć argumenty.

Jagiełło po radzie ze swoim dworem pchnął posłów do Ulricha von Jungingena, który pustoszył prawy brzeg Wisły. Równocześnie, aby zniechęcić Krzyżaków do przekroczenia rzeki, wysłał do pilnowania brodów nieliczne chorągwie, którymi dysponował.

Wiedział, że musi odnieść jakieś zwycięstwo, i to jak najszybciej. Tylko w ten sposób skłoniłby Krzyżaków do rokowań i podniósł morale polskiej szlachty zdruzgotanej klęskami na północy, utratą miast i zamków.

Monarcha ogłosił powszechną mobilizację. Zarządził, by w oktawę Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, czyli pomiędzy 8 a 15 września, wszyscy wezwani stawili się w Wolborzu. Stamtąd polska armia miała ruszyć w kierunku Prus.

Tylko gdzie zaatakować?

Z trzech armii krzyżackich, które najechały północną Polskę, należało wybrać tę najsłabszą i w nią uderzyć.



Zawisza przybył do Wolborza prosto z Gdańska. Na miejscu otrzymał rozkazy, aby zająć się najemnikami napływającymi do obozu.

Do Małopolan dołączyło sześćset kopii Czechów i tysiąc czterysta kopii Morawian przyprowadzonych przez morawskiego rycerza Jana Sokoła z Lamberku. Był on, podobnie jak Zawisza, przedsiębiorcą wojennym. Dobrze się znali z wcześniejszych wypraw. Zawisza starannie zlustrował najemników, czy stawili się zgodnie z kontraktem, a potem objął nad nimi komendę.

Król ogłosił mobilizację na zasadzie wyprawy powszechnej, co oznaczało, że musiał się na niej stawić każdy, kto dzierżawił ziemię na prawie rycerskim. Do Wolborza wojowie mieli przybywać z tak licznym i dobrze wyekwipowanym poczem, na jaki pozwalała im zamożność. Dużo zależało od dobrej woli szlachcica. Z jednej strony rycerze pragnęli ponosić jak najmniejsze ciężary udziału w wojnie, z drugiej zaś rodowa ambicja, umiłowanie ojczyzny i honor nakazywały im stawić się jak najwystawniej, nie bacząc na koszty.

Żeby pobudzić w żołnierzach gniew, Zawisza kazał szerzyć wśród szlachty wieści, jakie do obozu napłynęły ze Złotoryi. Ile było w nich prawdy, nikt nie wiedział, ale miały moc potężną. Podobno przed przystąpieniem do decydującego szturm Krzyżacy zwieźli wozami z pobliskiego Torunia panny i urządzili sobie pod murami miasta huczną zabawę: wino, jadło oraz tańce przy akompaniamencie trąb, fletów, piszczałek i dzwonków. Największą atrakcją było obserwowanie przez pijanych biesiadników, jak zaciężne wojska krzyżackie wdzierają się do miasta przez skruszone mury, by plądrować, gwałcić i zabijać.

Na początku września nadeszła wieść o upadku Bydgoszczy. Utrata ziemi dobrzyńskiej, dopiero co wykupionej z rąk krzyżackich, była upokarzająca i bolesna. Ale w obozie w Wolborzu zdawano sobie sprawę, że ziemi oddzielonej od reszty polskiego królestwa szerokim korytem Wisły nie sposób odbić na tym etapie wojny. Poza tym – z tych samych powodów – zajęcie jej przez Krzyżaków nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia dla reszty kraju.

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z Bydgoszczą.

Kilkanaście lat temu na lewym brzegu Brdy powstało przedmieście zwane Gdańskim. Aby zapewnić sprawną komunikację pomiędzy dwoma członami miasta, wzniesiono szeroki, solidny most, który uczynił z Bydgoszczy twierdzą o strategicznym znaczeniu. Przez ten most bowiem prowadziła teraz najszybsza droga z krzyżackiego Pomorza do Polski. Miasto, dzięki temu, że mogło tę drogę otwierać lub zamykać, stało się prawdziwą bramą albo na Kujawy i do Wielkopolski, albo do pomorskich posiadłości zakonu. Odzyskanie twierdzy bardzo poprawiłoby pozycję Jagiełły w negocjacjach.

Krzyżakom udało się zwerbować do współpracy nie tylko bydgoskich mieszczan, ale również wysokich rangą urzędników odpowiedzialnych za obronę miasta podczas wojny. Oficjalnie o wydanie bydgoskiego zamku Polacy oskarżyli burgrabiego Bernarda. Jednak najwyższym rangą urzędnikiem polskim przekupionym przez Krzyżaków okazał się starosta bydgoski, a zarazem starosta generalny Wielkopolski, Tomasz z Węgleszyna.

Upadek Bydgoszczy wszystkich przynębił. Dostrzeżono jednak pozytywny aspekt tego wydarzenia. Otóż dzięki temu, że operacja została wcześniej przygotowana przez krzyżacki wywiad, na Kujawy i Bydgoszcz ruszyła stosunkowo nieliczna armia. Dowodzili ją dwaj komturowie: człuchowski i tucholski. Nie potrzebowali wielkich sił, by przez tydzień pustoszyć pograniczne, a potem po szybkim trzymilowym marszu od granicy zająć bez walki otwarte przez zdrajców miasto.

Odbicie strategicznie położonej i silnie ufortyfikowanej twierdzy byłoby sukcesem, którego Jagiełło tak bardzo potrzebował. Tam też – już teraz Polacy to wiedzieli – stała się najslabsza z trzech krzyżackich armii.

Nic dziwnego, że po krótkiej naradzie z wojennymi doradcami Jagiełło obwieścił kierunek i cel natarcia polskiej armii: Bydgoszcz.

Co do Tomasza, król pozostawił decyzję Andrzejowi z Tęczyna.

Tęczyński „odziedziczył” tego podwójnego agenta po ojcu. Uparł się, by dalej go prowadzić, zapewniając o przywiązaniu Tomasza z Węgleszyna do Korony. Teraz ta zdrada z pewnością zostanie wykorzystana przez wrogów jako dowód na nieudolność Tęczyńskiego w kierowaniu tajnymi służbami.

Wściekły starosta wysłał swoich najlepszych ludzi na poszukiwanie Tomasza. Dopadli zdrajcę już w Prusach. Tam wykonali na nim wyrok, a ciało przewieźli do Sadłowa. W Krakowie ogłoszono, że Tomasz z Węgleszyna, wielki wróg zakonu, na wieść o upadku Bydgoszczy zmarł rażony apopleksją.



O powodzeniu operacji w Malborku Zawisza dowiedział się z relacji łowców jeszcze w Wolborzu. Wieść o śmierci Jukosa pomknęła po obozie jak ciepły wiatr, wszędzie wzbudzając ogromne poruszenie. Jeszcze tego samego wieczoru Sulima pił na umór za zdrowie Ryksy.

Krzyżacy wiązali ze Świdrygiełłą wielkie nadzieje. A ten w sojuszu z zakonem widział jedyną szansę na zdobycie wielkoksiążęcego kołpaka. Wojna domowa wywołana przez popleczników Świdrygiełły przy finansowym i wojskowym wsparciu zakonu miała zatrzymać wojska Witolda na Litwie i pozostawić Polskę samą. W optymistycznym dla Krzyżaków scenariuszu możliwe było nawet szybkie zwycięstwo buntowników, sojusz z Moskwą i atak od wschodu na Polskę.

O tym jak bardzo Witold bał się wybuchu powstania, świadczy fakt, że nie przysłał i nie przyśle w tym roku nawet jednej chorągwi, by wspomóc Jagiełłę.

Wywiady polski i litewski wiedziały, że wielki mistrz szykuje się do zawarcia układu ze Świdrygiełłą jeszcze tej zimy. Odpowiedni dokument był już negocjowany. Ulryk von Jungingen zobowiązał się w nim do udzielenia pomocy litewskiemu uzurpatorowi w odzyskaniu ojcowizny.

Śmierć Jukosa dawała wielką nadzieję, iż uda się temu nieszczęściu zapobiec.

Polacy dali się zaskoczyć w połowie sierpnia. Teraz sami chcieli zaskoczyć Krzyżaków. Aby plan się powiódł, należało jak najdłużej utrzymywać w tajemnicy kierunek marszu i cel uderzenia armii. Zdobycie Bydgoszczy miało stać się punktem zwrotnym tej wojny.

Mobilizacja przebiegła szybko i sprawnie. Wojsko wyruszyło z Wolborza 16 września 1409 roku. W forpoczcie polskiej armii szło kilkudziesięciu łowców, którzy mieli za zadanie likwidować krzyżackich szpiegów, sprawdzać drogi, mosty, miejsca na obozy oraz, co najważniejsze, rozpowszechniać wśród ludności fałszywe informacje o zamiarach Jagiełły.

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1409

Karol von Lichtenstein z ulgą opuścił zamkowe mury. Szedł pomostem, z rozkoszą wsłuchując się w krzyki mew i przyglądając ludziom. Przystanął, wznosił twarz do słońca i dziękował Bogu, że może się grzać w promieniach jego łaski. Potem przez Bramę Kogi dostał się na Długi Targ. Upajał się zapachami ulicy. Wreszcie skręcił w Ławniczą. Szedł lewą stroną, tak jak mu polecił Werner. Liczył portale. Zatrzymał się przy szóstym. Zsunął kaptur. Chwycił ciężką żeliwną klamkę i mocno nacisnął. Stawiła opór. Pchnął drzwi ramieniem. Ani drgnęły. Załomotał pięścią. Po chwili powtórzył. Otworzyła mu piękna kobieta o śniadej karnacji. A więc nie miała służby. Tym lepiej.

Ayhe wyglądała tak, jak powinna wyglądać matka, której kilkunastoletni syn zaginął kilka dni temu bez śladu: drżące usta, twarz blada, ściągnięta zmęczeniem i rozpaczą, bijąca z oczu nadzieja, że ten obcy, który przychodzi, przynosi jakieś wieści. Jakiegokolwiek.

Werner Brecht dobrze się sprawił. Szczeniaka dorwał w porcie. Teraz chłopak siedzi w jednej z gdańskich piwnic. Wyje i robi pod siebie ze strachu. Ponoć wyjątkowo lękliwy gówniarz.

– Prowadź do izby – rzucił Lichtenstein. A widząc wahanie i niepokój w jej oczach, dodał: – Mam wieści o Johanie.

Ayhe pobladła, oparła się o framugę, nie spuszczać wzroku z komtura. Zebrała się w sobie. Ruszyła przodem.

Nienawiść i złość potęgowały pożądanie. Karol miał przed sobą wysoką, silną kobietę, która mimo rozpachy trzymała się prosto, godnie. Przeszło mu przez głowę, że miałyby z nią kłopot. Ostatni raz niewolił dziewczkę za młodzieńczych lat. Wtedy wystarczył mu zapach niewieścich włosów, by stracić panowanie nad sobą. Ale teraz czuł, że nie dałby rady. Zwłaszcza z tak postawną kobietą.

Ayhe wprowadziła go do izby na górze. Stały tu długa ława, stół i krzesła. Było kolorowo jak na saraceńskim bazarze. Albo w burdelu. Przez uchylone drzwi zajrzał do sąsiedniego pokoju. Zobaczył łóżko.

Kobieta wodziła za nim smutnym wzrokiem. Głęboko oddychała.

– Gdzie jest Johan? – spytała zdławionym, ciężkim od bólu głosem.

– Wziąłem twojego synka na służbę. Już w pierwszy dzień się pokaleczył, co za pech.

Wyjął z kieszeni habitu jakieś zawiniątko. Rozwinął szmatę i rzucił na stół odcięty palec. Kobieta krzyknęła, zasłoniła usta dłonią. Opadła na ławę.

– Widzisz, nie jestem byle kanalią, bolałem nad tą stratą tak bardzo... – wyciągnął rękę w kierunku stołu – że zadałem sobie trud, żeby ci to przynieść.

Ayhe patrzyła na niego przerażonymi oczami. Uderzył w najczulszy punkt – nierozzerwalną, wytworzoną poza rozumem, zwierzęcą więź matki z dzieckiem. W takich sytuacjach z ojcami bywa różnie, ale na ogół cios też jest skuteczny. Niewiasty miękły jak wosk, nieważne, czy to wieśniaczki, mieszczyki czy szlachcianki.

– Opowiem ci, kim jestem – oznajmił spokojnym głosem. – Nazywam się Karol von

Lichtenstein. Twój... – wzruszył ramionami – ...mąż, kochanek czy jakim go tam brałaś do łóżka, niejaki Aaron Abnarrabí, zrujnował mi życie. Spędziłem wiele lat w lochach. Ten Żyd nie zrobił tego z niechęci do mnie, bo mnie nawet nie znał, przez to jego czyn osądzam jeszcze surowiej. Zrobił to dla pieniędzy. Zachował się jak płatny zabójca, bo to, że przeżyłem, zawdzięczam tylko bożej łasce. On skazał mnie na śmierć. Jak każdy płatny zabójca działał na czyjeś zlecenie. Tęczyński, Zawisza... Znasz ich? Teraz ja zamierzam się na nich odegrać. Za to, co mi zrobili. To chyba naturalne, prawda? Mówię ci to, abyś wiedziała, że nie będę miał litości ani dla ciebie, ani dla twojego syna, jeśli mi nie pomożesz. Zrozumiałaś? – Rozłożył ręce. – Bo już prościej nie potrafię mówić.

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową. W tym ruchu, w spojrzeniu, wyrazie twarzy, który bezwiednie przyjęła, Lichtenstein dostrzegł cię nadziei.

Podszedł i wyciągnął do niej rękę, by wstała. Karol von Lichtenstein był wysokim, barczystym mężczyzną, Ayhe niemal dorównywała mu wzrostem. Uniósł jej podbródek.

Jakie to proste.

Teraz poczuł podniecenie. Pochylił się, chwycił za dół jej tuniki i gwałtownie szarpnął do góry. Ayhe posłusznie uniosła ramiona. Materiał zsunął się gładko, ciągnąc za sobą lnianą koszulę. Stała teraz przed nim naga. Miała skórę jak miód. Wreszcie. Czuł podniecenie. Pociągnął ją za rękę do drugiej izby i pchnął na łóżko.



Wrócił do niej następnego dnia w południe. Wcześniej rozważał przez chwilę, czy nie oberznąć chłopcu jeszcze jednego palca, ale Gunter Salza, który dowiedział się o wszystkim od Wenera, odradził mu to, argumentując, że kobieta może stracić rozum. Stanie się wtedy nieprzydatna.

Lichtenstein ustąpił, choć najchętniej odrąbałby gówniarzowi głowę i cisnął pod nogi tej kurwy. Wczoraj się skompromitował. Zostawił ją zalaną łzami i obolałą, nie dlatego, że ją zgwałcił, ale dlatego, że ją zbił. Nie zgwałcił jej, bo nie mógł. Jeśli nie roześmiała mu się w twarz, to tylko dlatego, że na stole w izbie obok leżał odrąbany tasakiem palec jej bękarta.

Zamiast rozkoszować się wizją jej ciała, cieszył się na myśl o bólu, jaki jej zada. Jako mężczyzna stoczył się na dno.

Był już wieczór, gdy wreszcie miał dość Ayhe. Tym razem nawet nie próbował jej posiąść. Sam siebie zadziwił inwencją. Zmęczył się, zgłodniał i chciało mu się pić.

Ayhe ledwie dowlokła się do stołu, bo zapowiedział, że tam będzie z nią rozmawiał. Naga, gdyż zabronił się jej ubrać, ciężko opadła na krzesło.

– Szczeniaka oszczędzę – oznajmił Lichtenstein chrapliwym głosem. Odchrząknął. – Nic do niego nie mam. Ale walczę o przyszłość zakonu.

Ayhe wydawała się bliska omdlenia. Poruszała bezgłośnie ustami. Lichtenstein jednak nie zamierzał jej jeszcze odpuszczać. Nie przyszedł tu przecież dla rozrywki.

– Chcesz wody?

Skinęła głową. Nie ruszyła się.

– To sobie nalej – warknął zniecierpliwiony. – Nie wiem, gdzie trzymasz wodę. Nie będę ci usługiwał.

Wodził za nią wzrokiem, gdy powoli, trochę kulejąc, podeszła do komody. Drżącymi dłońmi chwyciła dzban i nachyliła nad kubkiem. Woda chlusnęła, spływała strużkami po meblu. Ayhe usiadła z powrotem do stołu i zaczęła chciwie pić.

– Aleś napaskudziła – stęknął komtur. – Mnie nie poczęstujesz?

Ayhe ponownie zwlokła się z krzesła; nalała wody do drugiego kubka.
– Czego chciał od ciebie Zawisza? – zapytał Lichtenstein. – Tylko to jedno pytanie.
Zamieniam się w słuch.
Ayhe milczała. Lichtenstein wychylił się przez stół, wziął krótki zamach i ją uderzył.
Ayhe nawet się nie odchyliła. Wierzchem ręki otarła krew znad wargi.
– Wyglądasz coraz ponętniej. – Lichtenstein się zaśmiał. – Może mi się w końcu uda...
Ayhe pociągnęła nosem.
– Wracam do pytania. Ciebie już nie będę bił. Zadam je po raz ostatni i jeśli mi nie odpowiesz, pójdę sobie... – Zaczął kiwać głową na boki i stroić obłąkańcze miny. – Pójdę się wyżyć gdzie indziej, gdzie indziej, zgaduj... GDZIE?!
– Płacą mi za informacje z portu – wydusiła, z trudem poruszając opuchniętymi wargami.
– Zawisza?
– On mnie do tego namówił. Ale pieniądze przywożą różni ludzie.
– Wręczasz im raport, a oni tobie pieniądze, tak?
– Tak.
– Informacje dostajesz od Vorratha?
– Sama je zdobywam. Mam dostęp do portowej kancelarii...
– Vorrath wie, co wynosisz?
– Nie...
– Twój syn właśnie stracił kolejny palec. Możesz skłamać jeszcze tylko osiem razy!
– Błagam, nie! Klnę się na Boga. – Rozpląkała się po raz pierwszy dzisiaj. – Wie o mnie, on nienawidzi zakonu! Ale ja sama przeglądam księgi i biorę, co mi potrzebne! Naprawdę tak jest! Błagam, panie, nie krzywdź Johana!
– Idziemy dalej. Aaron. To twój... mąż? Coś pamiętam sprzed lat. Już wtedy miałem cię na oku. Chciałem mu porządnie zaleźć za skórę. Ale jakoś się wam upiekło...
– Żyłam z nim, ale nie był moim mężem.
– Kochasz go jeszcze? Przepraszam, cofam pytanie, to absurd. Uciekłaś od niego, tyle lat już mieszkasz w Gdańsku. Widzisz, ile o tobie wiem? Za długo przebywałem w celi, straciłem rozeznanie w sprawach kobiet. Ale... nieźle się sprawiam jako kochanek, co?
Ayhe milczała.
– Z tego, co pamiętam, dziwki zawsze mówią, że nie miały lepszego! A ty co? Zapomniałaś fachu?
Bała się, że ją uderzy, ale tego nie zrobił.
– Nie miałam lepszego... – odpowiedziała cicho.
– Łziesz, zdiro! Skąd możesz wiedzieć, skoro jesteś taka szpetna, że mi się od razu odechciewa!
Ayhe nic nie odpowiedziała.
– Harda jesteś. Niech będzie. A teraz słuchaj, co masz zrobić...

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1409

Na kilka dni Karol von Lichtenstein niemal zapomniał, że zarządził śledzenie Mikołaja Ryńskiego. Zupełnie zatracił się w nękanii tej kobiety.

Tymczasem obserwacja domu Ryńskiego w Gdańsku przyniosła zaskakujące rezultaty. Mimo trwającej kampanii wojennej odwiedziło go wielu pruskich rycerzy. Ich także potem śledzono.

Lichtenstein przywołał do siebie jednego z młodych skrybów. Już dawno upatrzył go sobie na pomocnika. Horst, syn toruńskiego bankiera, miał bystre i chłodne spojrzenie. W zakonie służyło wielu potomków rodzin kupieckich, ale Karol uważał, że bankierzy są od kupców bardziej rozumni i skrupulatni. Poleciał Horstowi zebrać jak najwięcej informacji na temat tego dziwnego Towarzystwa Jaszczurczego. Pierwsze kroki miał skierować do zakonnych kancelarii: malborskiej, toruńskiej i gdańskiej. Horst dostał listy polecające od Johanna von Schönfelda, sporą sakiewkę na pokrycie kosztów i siedem dni na wykonanie zadania.

Młodzieniec zameldował się równo po tygodniu. Rzut oka na jego oblicze wystarczył, by stwierdzić, że misja się powiodła i chłopak przynosi ważne informacje. Lichtenstein znany był na gdańskim zamku jako brat Rudolf. Horst, nowicjusz w zakonie, nie zadawał pytań. Wszyscy w gdańskim zamku wiedzieli, że tajemniczy zakonnik cieszy się dużym zaufaniem komtura Schönfelda. I to wystarczyło, by skrupulatnie wypełniać jego rozkazy.

Horst uprzejmie się przywitał i przekroczył próg na zapraszający gest starego zakonnika.

– Widzę, że masz dla mnie dobre wieści – odezwał się Lichtenstein.

– Nie wiem, czy dobre, ale mam ich dużo, bracie Rudolfie. O Mikołaju Ryńskim, o Towarzystwie Jaszczurczym i kilku rycerzach.

– Świetnie, zacznij wedle uznania.

Horst otworzył teczkę, którą przyniósł ze sobą, i wyjął duży arkusz papieru złożony na pół.

– Lubię pisać, wszystko zapisuję. Pomaga – tłumaczył się.

Lichtenstein skinął głową na znak, że w pełni to popiera.

– *Eidechsesengesellschaft*, a po polsku Towarzystwo Jaszczurcze, założyli Mikołaj z Ryńska i jego brat Jan oraz Mikołaj z Kitnowa z bratem Fryderykiem.

– To bractwo rycerskie?

– Tak, bracie, wygląda jak zwykłe bractwo rycerskie. Członkowie przysięgają nieść sobie wszelką pomoc przeciwko każdemu, kto by ich „krzywdził lub dręczył”, tak jest napisane w akcie założycielskim. Przeciwko każdemu z wyjątkiem braci z Zakonu Najświętszej Maryi Panny... – Horst podniósł wzrok i się uśmiechnął.

– Jeszcze by tego brakowało – mruknął Lichtenstein.

– Jaszczurkowcy, jak siebie nazywają, zobowiązują się też do udzielania pomocy towarzyszom, którzy popadli w biedę lub na których spadły jakieś inne nieszczęścia.

– Nic w tym szczególnego...

- Tak, wszystkie bractwa mają podobne zapisy. Stowarzyszenie Osła...
Lichtenstein parsknął śmiechem.
- Osła? To jeszcze głupsza nazwa...
- Są też inne stowarzyszenia: Łabędzia, Wilka, Lwa, Koziorożca, Sokoła i Ryby, Tarczy Świętego Jerzego, Psów i Tropicielei, Wieńca, Korony, Niedźwiedzia, Jednorożca, Gryfa, Konia, Pawia...
- Dość!
- Tyle że one wszystkie powstały wzdłuż Renu, głównie w Szwabii i Frankonii. W Prusach i w ogóle w tej części świata nie było dotąd podobnej organizacji – zauważył Horst. A potem dodał: – No i jest jeszcze sprawa tajemnicy.
- To znaczy?
- Mam odpis statutu w języku niemieckim. Oryginał był po łacinie. Tak tu stoi: *unsir heymelichkeit*.
- Cóż to za tajemnica?
- Otóż zapisano, że każdy współbrat, który zdradziłby „naszą tajemnicę”, zostanie wykluczony z grona jaszczurkowców jako „zadekretowany złoczyńca”.
- Wykluczony... jako... jak mówiłeś?, „zadekretowany złoczyńca”? Co to znaczy?
- Chyba to, że ten wykluczony da gardła...
- Tak uważasz? Surowa kara. Jakaż to może być tajemnica?
- Horst rozłożył ręce.
- Tego na piśmie nie ma. Trzeba by zapytać któregoś z nich.
- Masz jeszcze coś ciekawego?
- W akcie założycielskim napisano też, że towarzystwo zostało utworzone „Bogu, naszemu Panu, na chwałę i służbę”.
- Tak, tak. – Karol machnął ręką. – To tajne bractwo?
- Nie! Ci czterej rycerze, ułożywszy statut, udali się do wielkiego mistrza...
- Którego?
- Konrada von Jungingena. Udali się z prośbą o jego zatwierdzenie. Wielki mistrz kazał przetłumaczyć akt na niemiecki i przywiesił na nim swoją pieczęć. To było w roku 1397 w Dniu Świętego Macieja. Wielki mistrz zarządził przy tym, aby każdy rycerz przystępujący do towarzystwa przywiesił na akcie fundacyjnym swoją pieczęć.
- Czyli Malbork przyjaznym okiem na nich patrzył...
- Przyjaznym. Konrad von Jungingen kazał go przepisać na pergaminie w kancelarii zakonu. Każdy miał do niego dostęp i wielki mistrz chwalił się jego zatwierdzeniem. Mówił, że chce, aby Towarzystwo Jaszczurcze było silne, trwało jak najdłużej i przyjęło w swe grono jak najwięcej rycerzy.
- Horst szukał czegoś wzrokiem na kartce.
- Już w 1398 roku wielki mistrz Konrad von Jungingen zezwolił jaszczurkowcom na ustanowienie osobnej wikarii w kościele w Radzynie Chełmińskim – odczytał.
- A jak się na nich zapatruje Ulryk?
- Też popiera. Mówi o nich: „nasi kochani, wierni rycerze i szlachta Towarzystwa Jaszczurkowców”. Rok temu zgodził się przenieść tę wikarię do kościoła Świętego Jakuba w Toruniu. Jej uposażeniem będą cztery łany...
- Zniecierpliwiony Karol machnął ręką na znak, że dość detali.
- Doceniam, chłopcze, twoją pracowitość. Bardzo mi pomogłeś.
- Do usług, bracie – odparł Horst. Złożył pokłon i skierował się do wyjścia.
- Czeka! Byłeś w Malborku... Jakie tam nastroje? O czym rozprawiają kanceliści?

– Najwięcej o Złotoryi...
– I co mówią?
– Że podobno oblężenie trwało osiem dni. Załoga twierdzy dzielnie się broniła, a zaciężni krzyżacy bili z ciężkich dział bez chwili wytchnienia. Gdy przy życiu pozostała garstka obrońców, komtur tucholski sprowadził pod mury panny z Torunia i muzykantów. I przy grającej muzyce kazał szturmować twierdzę.
– I co o tym sądzą kanceliści?
– Rozbawieni...
Karol nie spodziewał się takiej odpowiedzi.
– Nie myślą, że to głupie?
– Nie. W Malborku panuje przekonanie, że taka zabawa... podniesie ducha w naszej armii.
– A ty co myślisz?
Horst ociągał się z odpowiedzią.
– Mów, to zostanie między nami.
– Trzeba ich było wyróżnić, ale po cichu. Wieści o takich okrucieństwach... jeszcze te dziewczki i muzykanci... To obróci przeciwko zakonowi nawet tych, którzy nam w Polsce jeszcze sprzyjają.
– Masz rację, Horst. Nasi zwiadowcy donoszą, że mimo prac polowych szlachta masowo stawia się na wezwanie Jagiełły do Wolborza. Myślę, że to w dużej mierze zasługa tego dumia, tucholskiego komtura...



Karol nie miał wątpliwości, że statuty jaszczurkowców, ich deklaracje, gesty przyjaźni to tylko zasłona skrywająca ich prawdziwe oblicze. Rzeczywiste działania. Z jak wielką szkodą dla zakonu? Powoli docierało do niego, jak wielu szpiegów wyhodował polski wywiad podczas jego nieobecności. Rozplenili się jak szczury.

Któregoś dnia Lichtenstein oznajmił Gunterowi Salzie:

– Johann von Schönfeld nie pozwoli nam rozwinąć skrzydeł. Wziął nas do pomocy dla swojej chwały, a nie po to, byśmy wyrosli ponad niego. Zniszczy nas, gdy tylko się wychylimy po swoje. Zniszczy ciebie i mnie. Zrobi to, ani chybi... Po moim upadku potraktowano cię jak parobka. Wiem, że cię to zabolalo. I dalej boli. Zaslugujesz na cos wiecej. Naprawde tak myslę.

Guntera Salzę trudno było zaskoczyć, ale teraz stał oniemiały.

– Czuję, że ten Ryński i to całe towarzystwo o głupiej nazwie, to... dla nas prawdziwa krynica wiedzy. Wiedzy wartej fortunę – ciągnął z przekonaniem Karol. – I wiem, kto gotów będzie nas za nią hojnie wynagrodzić...

Opowiedział następnie knechtowi, co o jaszczurkowcach usłyszał od Horsta.

– Polecenie, aby każdy nowy członek towarzystwa przywieszał do statutu pieczęć herbową, to dla nas dar z nieba. Od roku jaszczurkowcy mają swojego kapelana w kościele Świętego Jakuba w Toruniu. Prowadzi im kancelarię. Ustalisz adres tego klechy. Chcę dostać spis wszystkich pieczęci. Ale tak, żeby się księżulo nie dowiedział. Weź kogoś sprytnego do tej roboty...



Tydzień później Lichtenstein miał przed sobą na pulpicie nazwiska dwudziestu sześciu

rycerzy, których pieczęcie podpisano pod akt założycielski Towarzystwa Jaszczurczego. Porównał je z listą gości odwiedzających dom Ryńskiego w Gdańsku i na osobną kartkę przepisał te, które się powtarzały. Było ich aż kilkanaście.

A zatem coś się szykowało. Trwał natężony ruch. Zapadały jakieś ważne decyzje. Musiał wyteńczyć wzrok i słuch. I działać szybko.

Lichtenstein dowiedział się także, iż w zamian za wsparcie i wierność podczas wojny z Polską wielki mistrz zamierzał ogłosić przed końcem roku dekret przyznający zadziwiająco szerokie przywileje rycerstwu dobrzyńskiemu i chełmińskiemu. Co najważniejsze, dokument ów wyłączał pasowane rycerstwo spod jurysdykcji krzyżackich sędziów, przyznawał im prawo oporu wobec zakonnej władzy i możliwość szukania opieki i protekcji u sąsiednich władców. Sąsiednich władców? U Jagiełły na przykład? Wielki mistrz postradał zmysły!

Poprzedniego wielkiego mistrza, Konrada von Jungingena, mimo pozornej łagodności nigdy nie opuszczała myśl o generalnej rozprawie z Polską. Chciał rozbić Unię i otoczyć Polskę pierścieniem wrogów. Ale żeby tego dokonać, wielki mistrz musiał najpierw zaprowadzić porządek na własnym podwórku. Założyciele Towarzystwa Jaszczurczego wykorzystali polityczne zawirowania, między innymi wydany przez papieża zakaz wszelkich napadów na Litwę, który spadł niespodziewanie na zakon, i podsunęli Konradowi swój statut do zatwierdzenia.

Można zrozumieć wielkiego mistrza, że potwierdził list fundacyjny towarzystwa i tak życzliwie potraktował założycieli. Nadużycia wobec rycerstwa były w owym czasie w Prusach prawdziwą plagą. Władzom zakonnym odpowiadało, że rycerze z ziemi chełmińskiej chcą się bronić sami. Zatwierdzając statut, wielki mistrz uznawał w pewnym sensie ich prawa narodowe i stanowe przywileje. W zamian za to zyskiwał spokój wewnątrz kraju. Z ulgą więc przyjął inicjatywę towarzystwa, że oto rycerska brać sama zadba o swoje prawa i sama będzie się broniła przed nadużyciami także ze strony zakonników.

Do tej pory Lichtensteinowi wydawało się, że Jagiełło słabo wykorzystuje społeczne tarcia w Prusach. Teraz zrozumiał, jak bardzo nie doceniał polskiego króla. Wszystko wskazywało na to, że Polakom udało się powołać do życia siatkę, jakiej dotąd nie mieli – składającą się ze zdrajców w krzyżackiej armii! Kto wie, czy nie to właśnie ośmieliło Jagiełłę do przystąpienia do wojny z zakonem, ba!, może nawet sprowokowania jej już teraz, kiedy wydawało się, że Polska nie jest jeszcze w pełni gotowa.

Lichtenstein był niemal pewien, że jeśli Jagiełło uderzy na Prusy, to zrobi to od strony ziemi chełmińskiej, matecznika jaszczurkowców. Po to Zawisza przedzierał się do Gdańska – żeby im wydać odpowiednie rozkazy. Jagiełło to przebiegły gracz. Zapędzi naszego Ulryka w kozi róg jak nic. Chyba że ktoś mu w tym przeszkodzi.

Na przykład Karol von Lichtenstein.



Zebrawszy informacje o wszystkich jaszczurkowcach, którzy figurowali na liście odwiedzających dom Ryńskiego, Lichtenstein uprzątnął swoje skrytorium, usunął ze środka wszystkie meble, jakby szykował salę do tańca. Potem rozłożył na podłodze kilkanaście kartek, a każda zawierała informacje o rycerzu, jego siedzibie rodowej, urządach, które sprawował, majątku oraz krótki życiorys.

Większość z tych ludzi znał. Aż trudno było uwierzyć, by ci wielcy rycerze mogli mieć jakieś nieczne zamiary wobec zakonu. Ale doskonale pamiętał, że podobne uczucia targały nim przed laty, gdy poznawał – nazwisko po nazwisku – kupców z polskiej siatki. Ta sama

zatrująca umysł mikstura złości, przygnębienia, niedowierzania.

Lichtenstein posłał po Guntera Salzę. Ten, otworzywszy drzwi, zastygł ze zdumienia. Karol tkwił na środku izby pośród kartek papieru tworzących równe rzędkę, niczym mogiły. Stary komtur kazał mu zamknąć drzwi na klucz.

Powoli przechadzał się po izbie z pochyloną głową, patrząc z góry na kartki jak jastrząb wypatrujący w trawie ofiary.

– Musimy zaatakować kogoś z nich... – odezwał się w końcu do Guntera. – Tylko jednego. I nie możemy się pomylić.

– Panie... – Salza spojrzał pytająco na komtura.

– Jaszczurkowcy to kanalie! – Lichtenstein nie zwracał na niego uwagi. Nie kazał mu tu przychodzić, żeby udzielał rad. Potrzebował uważnego słuchacza. – Za pawężem rycerskiego bractwa kryją się zdrajcy. Bardzo groźni. Musimy z ich grona wybrać jednego, żeby go przycisnąć. Tylko jednego, nie będziemy mieć więcej szans. Jeśli źle wybierzemy... ostrzeże pozostałych.

– Może sam Ryński? – zaproponował Salza. – Werner widział go, jak rozmawiał z Zawiszą.

Lichtenstein nie odpowiedział. Stąpił dużymi krokami, unosił kolana nienaturalnie wysoko, jakby się skradał.

– Albo Konrad z Płachaw, panie – odezwał się nieśmiało Gunter Salza. – Ma podłą sprawę w sądzie...

Lichtenstein podniósł głowę.

– Zniwala dziewczki – wyjaśnił knecht. – Ciąga je po stodołach. Ludzie się zbuntowali, poszli do komtura. Malbork kazał sprawę wyciszyć. Ale jakby się...

– Co to znaczy ciąga?

– Siłą bierze młode dziewczki...

– To wszystko?

– Jedna zmarła.

– Przez niego?

– Stąd sprawa, panie!

– Słabe... – orzekł po chwili Lichtenstein.

Znów patrzył pod nogi. Przy jednym z arkuszy zatrzymał się na dłużej. Kucnął, wziął papier do ręki.

– Ten! – powiedział cicho.

Gunter pochylił się nad kartką.

– Uderzymy w Janusza, syna Mikołaja Kitnowskiego – oznajmił Lichtenstein.

Mikołaj Kitnowski był jednym z czterech założycieli towarzystwa. Zmarł w 1408 roku. Za życia w interesach szło mu źle. Już w 1401 roku pożyczył z malborskiej kasy sto grzywien, które z trudem spłacił. Później handlował z Malborkiem końmi i brnął w długi. Lichtenstein znalazł gdzieś zapis, że niedługo przed śmiercią sprzedał Krzyżakom trzy konie za czterdzieści cztery grzywny. Stary Kitnowski umarł, zostawiając gospodarstwo w tak kiepskim stanie, że rodzinie groziła degradacja do stanu chłopskiego. Po śmierci Mikołaja jego syn Janusz pożyczył od malborskiego podskarbiego sporą sumę, bo aż dwieście grzywien, żeby ratować hodowlany interes. Dalej handlował z zakonem, sprzedał nawet gdańskiemu komturowi dwadzieścia koni. W przeciwieństwie do ojca nie garnął się do miecza, był za to lepszym od niego zarządcą.

– Zajmiemy się synem Kitnowskiego – powtórzył Lichtenstein.

Kraków, jesień roku Pańskiego 1409

Musiło minąć kilka tygodni, nim otrząsnąłem się z koszmaru malborskiej misji. Dorota już wróciła, przywitała mnie, jakby nic się nie wydarzyło; nie wyjaśniła, gdzie się podziewała, ani nie pytała, gdzie byłem. Dzieci jak zwykle hałasowały, ja zaś krążyłem myślami daleko od domu. Wracałem wspomnieniami do pierwszego spotkania z Ryksą w Gdańsku, burzliwego czasu w Malborku, a potem do rozmowy w leśnej osadzie. Nie miałem żadnych wieści o jej losach. Zawisza ruszył z królem na Prusy, Jarocho też dokądś wezwali. Nie pozostało mi więc nic innego jak czekać. Przeglądałem księgi, czyściłem wątpliwe zapisy. Ale co to da? Jak ludzie Tęczyńskiego będą chcieli, to i tak coś znajdą.

W mieście wszyscy mieli rozpalone głowy od polityki. Przed wyruszeniem do Wolborza król nie ruszał się z Wawelu. Zjeżdżali do niego szczególnie często kasztelan krakowski Jan z Tarnowa, wojewoda sandomierski Krystyn z Ostrowa oraz wojewoda łęczycki Jan Ligęza. A także dostojnicy z Wielkopolski: wojewoda kaliski Maciej z Wąsoczy, arcybiskup Mikołaj Kurowski, biskup poznański Wojciech Jastrzębiec i wojewoda sieradzki Jakub z Koniecpola. A wraz z nimi ich dwory, służba, rycerstwo, żołnierze eskorty. Karczmy i gospody pełne były przyjezdnych i wszyscy mieli coś ciekawego do opowiedzenia.

Całe miejskie rzemiosło przestawiło się na cele wojenne. Chęć zarobku, nienawiść do Krzyżaków, narodowa duma, lęk przed klęską – wszystko to razem sprawiało, że w warsztatach nie ustawał ruch, palono łuczywa i pracowano nawet nocą.

Rycerstwo w Polsce zbroiło się na własny koszt. Z arsenałów korzystały jedynie drużyny zamkowe i miejskie milicje. Zakaz sprzedaży broni do Korony, wydany przez zakon zaraz po objęciu tronu przez Jagiełłę, sprawił, że namnożyło się warsztatów produkujących uzbrojenie. Przdował w tej materii Kraków wraz z przyległymi Kazimierzem i Kleparzem.

Rojek twierdził, że rzemieślnicy w Polsce mogli dostarczyć rocznie ponad pięć tysięcy mieczy, ponad dwa tysiące kusz, dwa i pół tysiąca kolczug i prawie tyle samo zbroi płytowych. To całkiem sporo, zważywszy, że ta produkcja tylko uzupełniała zapasy broni zgromadzonej przez rycerstwo. Wielu rzemieślników wytwarzało broń na wywóz na wschód – na Litwę i Ruś, albo jeszcze dalej. Jeden z warsztatów w Stradomiu wykuwał tylko szlomy tatarskie, które kupcy litewscy brali w każdej ilości.

Pełną parą ruszyły do pracy krakowskie ludwisarnie. Krążyła legenda o odlanym w jednej z nich wielkim dziale, które mogło skruszyć każdy mur. Kupcy handlujący saletrą zacierali ręce, bo kasztelani w całej Koronie na potęgę wyposażali zamki w działa i uzupełniali zapasy czarnego prochu.



Mój wuj, mądry Salomon Abnarrabí, zawsze powtarzał, że najlepiej zarabia się na kontraktach dla wojska, pod warunkiem wszakże, że interesy robi się bezpośrednio z królem. Bo nawet jak mu zabraknie pieniędzy, co się najczęściej dzieje już w pierwszych dniach wojny,

czyni zapisy na swoich dobrach. A na nich wychodzi się najlepiej.

Ja nie posiadałem ani odpowiedniego sprytu, ani pracowitości, ani tej bezwzględnej zapiekłości w interesach, bez której kupiec nigdy nie wzniesie się ponad przeciętność. Mimo przykazań Ryksy żywiłem nadzieję, że król czy polski wywiad, ktokolwiek podejmuje w tej materii ostateczną decyzję, zapomną o mnie i o tym dziwacznym kontrakcie na barki.

Moje ramiona były zbyt kruche, a natura zbyt płochliwa. Nie chciałem znów ruszać na pierwszą linię frontu ramię w ramię z łowcami, szpiegami, skrytobójcami. Było coś przerażającego w tych ludziach: w ukryciu, jak zbóje, dokonywali najpodlejszych czynów w poczuciu bezkarności, wszechwładzy. Sami siebie rozgrzeszali, usprawiedliwiali swe zbrodnie miłością do króla, do ojczyzny, do wolności, i do czego tam chcieli, a prawa ludzkie i boskie mieli za nic.

Płonne nadzieje. Po pierwszej przespanej bez sennych koszmarów nocy zjawił się w moim domu jeden z tyńceckich braci.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – odezwała się z progu wysoka i szczupła postać odziana w nieskazitelnie czysty habit i lśniącobiały szkaplerz.

– Na wieki wieków... Co za niespodzianka! Dzień dobry, bracie Janie. – Uśmiechnąłem się kwaśno. Poznałem mojego gościa. Przed laty, gdy często bywałem w opactwie, widywałem go w skrytorium, gdzie łamano krzyżackie szyfry.

– Brat Mikołaj udał się do Wolborza – rzekł i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. – Ale przed wyjazdem wszystko mi przekazał.

Udając radość ze spotkania, zaprosiłem go, by zasiadł do stołu. Zakonnik bez słowa wstępu rozwinął rulon papieru z rysunkiem i gęsto zapisanymi u dołu liczbami. A potem rozpoczął objaśnienia, jakby decyzja, czy podejmę się kontraktu, czy nie, już dawna zapadła.

Zamówienie obejmowało dostarczenie dębowych klepek do wykonania stu pięćdziesięciu kadłubów łodzi: szerokich, wypornych, z wysoką burtą. Burty miały mieć wycięcie, tak aby można było na nich osadzić platformę z płazów szerokości ośmiu łokci. Jedna platforma musiała utrzymać kilku jeźdźców w pełnym uzbrojeniu oraz średniej wielkości bombardę. Klepki należało dostarczyć do Kozienic. Małymi partiami, z największej liczby tartaków, które miałem pod swoją pieczę. Reszta elementów łodzi-tratw, jak choćby pomosty, zostanie wykonana z budulca dobytego z puszczy radomskiej. Tam drewna jest pod dostatkiem. Ale tym miałem już sobie nie zaprzętać głowy.

Rysunki, które służyły zakonnikowi do objaśnień, oraz wszelkie obliczenia u dołu kartki wykonał mistrz ciesielski, niejaki Jarosław.

Ostatnia partia klepek miała być dostarczona z końcem marca. Czasu było więc niewiele. Dyspozycje do tartaków powinienem zacząć rozsyłać w najbliższych dniach. Wszystkie łodzie miały być gotowe do spławu Wisłą na początku maja.

– Dlaczego akurat ja dostaję to zamówienie?

– Jesteś królewskim serwitorem. Poza tym nikt z polskich kupców i rzemieślników na północy cię nie zna. A ci, którzy cię znają tutaj, mają o tobie złe zdanie. Wiesz... – położył mi rękę na ramieniu, chyba w geście pocieszenia – tak to z przechrztami bywa, jedni i drudzy krzywo patrzą. Ponadto jesteś jednym z nielicznych kupców drzewnych, którzy tak blisko współpracują z wywiadem. Zawisza za ciebie ręczy, więc na Wawelu ci zaufali. Jako jedyny możesz w krótkim czasie i bez rozgłosu dostarczyć odpowiednią ilość klepek. Przynajmniej tak sądzimy. Zadowolony z odpowiedzi?

– Tak.

Chwilę przyglądałem się rysunkom.

– Po co te łodzie? – zapytałem w końcu.

Zakonnik wznosił oczy ku powale. A potem odpowiedział poważnym tonem:

– Jagiełło chce na tych platformach osadzić wojsko i zaatakować Prusy od strony Wisły.

Zadowolony z odpowiedzi?



Kilka dni później przyszedł do mnie posłaniec z wiadomością, bym pilnie stawił się w kantorze Jordana. Kiedy szedłem przez Rynek w stronę dzielnicy żydowskiej, przelatywały mi przez głowę różne myśli. Zawisza utrzymywał dobre stosunki z rodziną Lewka, zwłaszcza z jego najstarszym synem, teraz zamożnym bankierem, choć nie tak potężnym i ustosunkowanym jak jego ojciec. To z banku Jordana pochodziły duże sumy, które zgodnie z poleceniem Zawiszy księgowiałem, potrącając należne mu trzy procenty. Notabene, idąc za radą Ryksy, usunąłem z ksiąg wszelkie adnotacje na ten temat. Gdyby Zawisza miał obracać nielegalnymi środkami, to na pewno za pośrednictwem któregoś z żydowskich banków, które były słabo spenetrowane przez służby podległe Tęczyńskiemu.

Minąwszy kamienny budynek sukiennic, a potem ratusz, wszedłem w ulicę Żydowską. Obawy moich dawnych braci w wierze się sprawdziły – królowi udało się przejąć posiadłość Pęcherza i przemienić ją w siedzibę uniwersytetu. Teraz Jordan mieszkał w domu Smerla, kilka kamienic dalej, na tej samej platea Iudaeorum. Smerl zaś przeniósł się do Kazimierza. Uważał, że wkrótce czeka to wszystkich Żydów. Uniwersytet zacznie się rozrastać, będą kupować na jego potrzeby sąsiednie kamienice... „Wygonią Żydów z Krakowa”, powtarzał, „całą gminę przeniosą do Kazimierza. Trzeba tam kupować kamienice, póki tanio”.

– *Szalom*, Aaronie! – Jordan przywitał mnie w swoim kantorze na parterze kamienicy. Zbliżył swą brodatą twarz i ucałował mnie w oba policzki.

Wyglądał kwitnąco, nie pił od kilku lat; przytył, ale trzymał się prosto. W kantorze panował spory ruch. Kilku klientów, zapewne rodzina, rozprawiało żywo z jednym z subiektów. Wszystko lśniło czystością: bielone ściany, wypolerowane blaty biurka, belki sufitu błyszczące od świeżo położonej farby.

Nim zdążyłem odpowiedzieć na wylewne powitanie, pociągnął mnie na zaplecze. Pogodne przed chwilą oblicze przybrało zatroskany wyraz.

– Jak interesy, Aaronie?

– Nic nowego. A u ciebie? Widzę, że niebiosa ci sprzyjają.

Jordan nie odpowiedział. Patrzył na mnie poważnym wzrokiem.

– Przejdę do rzeczy...

Od lat nie widziałem go tak zafrasowanego.

– Odwiedził mnie dziś jeden z bankierów z Kolonii... Dlatego po ciebie posłałem. Prosiłeś mnie kiedyś o rozszyfrowanie napisu „SSGG”.

Poczułem ulgę. A więc o to chodziło!

– To pierwsze litery wyrazów: *Stein, Strick, Grass, Grün*...

– To niemieckie słowa – zauważyłem. – Kamień, sznur, trawa, zieleń. To jakieś hasło?

– To rodzaj podpisu, znak, że ofiara została pozbawiona życia wyrokiem Ligi Świętego Sądu. Choć nikt nie wie, dlaczego wybrali akurat te wyrazy.

– Liga Świętego Sądu? – powtórzyłem, powoli wymawiając słowa, jakbym w ich brzmieniu szukał znaczenia. – Cóż to takiego?

– Tajna organizacja. Powstała w Niemczech bardzo dawno, może ze sto, a może nawet dwieście lat temu. Wymierza sprawiedliwość tam, gdzie nie sięga władza cesarza. Na jej czele stoi *Oberststuhlherr*. Kiedyś był nim arcybiskup Kolonii. Liga Świętego Sądu ma swoich

sędziów, *Freischöffen*. Trzymają w strachu całe Niemcy. Urządzają sądy kapturowe, które przesłuchują świadków oskarżenia i obrony. Wydają jedynie wyroki śmierci. Skazańca najczęściej wieszają i jako swój znak pozostawiają nóż z tymi właśnie literami.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Nonsens! Jaki to może mieć związek z Hanną?

– Nie wiem. Ale pozostawili swój znak. A to bardzo poważna sprawa...

– Może ktoś się pod nich podszywa?

– Ale po co? W Polsce? Po co podszywać się pod jakiś sąd, którego nikt tu nie zna? Liga działa tylko w Niemczech.

– Za co sąd kapturowy z jakiejś Kolonii mógł skazać Hannę?

Jordan bezradnie rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Człowiek, który mi to opowiedział, obiecał dowiedzieć się czegoś więcej. Napisze do mnie.

– Chyba powinniśmy o tym powiedzieć Zawiszy...

– I to jak najszybciej – zgodził się Jordan. – Kiedy się z nim zobaczysz?

– Nieprędko. – Pokręciłem głową. – Ruszył z królem, z armią, na północ.

– Znajdź sposób!

Poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu.

– I jeszcze jedno. Skoro się z nim będziesz widział...

– Prędeż z Jarochem – wpadłem mu w słowo.

– Może być Jarocho. To powiedz mu, że pieniądze tym razem przyjdą znacznie później.

Ociągałem się z wyjściem. W końcu zaryzykowałem pytanie:

– Skąd są te pieniądze?

– Po prostu mu to przekaż – odparł Jordan.



Po powrocie do domu znalazłem pod progiem szarą kartkę papieru, złożoną do środka i zalakowaną, bez żadnego znaku. Kto to przyniósł?

Złamałem pieczęć. Zacząłem czytać. List od Ayhe!

Po aragońsku. Równe, staranne pismo. Ayhe miała piękne smukłe dłonie i takie same kreśliła litery. Usiadłem. Nie, to niemożliwe, żeby po tylu latach... I jeszcze to chłodne pożegnanie w Gdańsku... A ona tak po prostu napisała do mnie list. Znów poczułem, że jestem dla niej gotów rzucić wszystko.

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1409

Karol von Lichtenstein swoje śledztwo w sprawie Ryńskiego i jaszczurkowców konsekwentnie trzymał w tajemnicy. Nie mógł wszakże podjąć wszystkich działań, które planował, bez skorzystania z zamkowej kancelarii, a co za tym idzie, bez poinformowania gdańskiego komtura.

Sprawę Janusza Kitnowskiego przedstawił zatem jako dalszy ciąg działań przeciwko gdańszczanom i okolicznemu rycerstwu, które poparło bunt. Lichtenstein oznajmił, iż podejrzewa Kitnowskiego o sprzedaż koni polskim handlarzom, mimo surowego zakazu, i zamierza to wykorzystać jako pretekst, by się z nim rozprawić. Johann von Schönfeld nie wypytywał o szczegóły i dał mu wolną rękę.

Lichtenstein miał już wystarczająco mocną pozycję, by bez żadnych upoważnień i pisemnych zgód uzyskać od zamkowych pisarzy odpowiednie dokumenty: list do Janusza Kitnowskiego z żądaniem natychmiastowej spłaty kredytu, który zaciągnął u malborskiego podskarbiego na sumę dwustu grzywien, oraz pismo z sądu grodzkiego poświadczające przyjęcie pozwu, w którym gdański komtur oskarżał Kitnowskiego o sprzedaż dwudziestu chorych koni i żądał odszkodowania o wartości... – a czemu nie! – równych dwustu grzywien.

To na razie powinno wystarczyć, uznał Lichtenstein, krytycznie przyglądając się sfałszowanym dokumentom. Z tą chorobą koni może przesadził, ale kiedyś słyszał o podobnym zdarzeniu. Nieważne, chodzi o to, żeby postraszyć. Najwyżej powoła się świadków, sam Schönfeld zezna, jak będzie trzeba.

Karol postanowił wybrać się do Słomowa, rodzinnego majątku Kitnowskich, już nazajutrz. To jakieś dwadzieścia mil. Zrobią to w dwa dni. Zrobią, bo zamierzał zabrać ze sobą Wenera Brechta i Jurgena.



Posiadłość Janusza Kitnowskiego dostrzegli z dala, gdyż osadzono ją na niewielkim wzgórzu. Stanowiły ją spory dwór wzniesiony z grubych modrzewiowych i dębowych bali oraz kilka budynków gospodarczych i stajni. Całość otaczała fosa i biegnący dookoła ostrokół.

Po podwórzu kręciło się sporo czeladzi. „Za gwarno”, pomyślał Lichtenstein, „tu nie porozmawiamy”. Wjechali przez główną bramę przez nikogo niezatrzymywani. Mieli na sobie wełniane spodnie, wysokie buty, skórzane kaftany, a na głowach czapy z wilczego futra. Tylko po dorodnych wierzchowcach można było poznać, że znaczni.

Wszyscy ciekawie się im przyglądali, ale nikt ich nie zaczepiał. Zatrzymali konie. Dopiero wtedy jakiś wieśniak, porządnie odziany, może zarządca, podszedł do nich, skłonił się i zapytał o cel wizyty.

– Do Janusza Kitnowskiego! – krzyknął z konia Jurgen.

Chłop śmiało spojrział mu w oczy i wskazał ciągnące się za domostwem stajenne zabudowania.

– Przy koniach, panie.

– Wołaj!

Wkrótce pojawił się szczupły młody człowiek średniego wzrostu o delikatnej, chłopięcej jeszcze twarzy.

– Coście za jedni? – rzucił twardo w ich stronę, wycierając dłonie w kawałek brudnego płótna.

– Słudzy gdańskiego komtura. Mamy dla was listy, rycerzu – odparł Lichtenstein i skinął głową na Wernera Brechta. Ten zeskoczył zręcznie z konia, podszedł do młodzieńca i podał mu dwa zwoje.

Lichtenstein, siedząc wciąż w siodle, splunął na bok i zawołał rozkazującym tonem:

– Czytaj! Mamy od razu brać odpowiedź. Umiesz czytać?

Kitnowski nie odpowiedział. Lichtenstein pomyślał, że intuicja go nie zawiodła, skoro młodzian przełknął tak łatwo ton i obelgę zawartą w pytaniu. Powinno z nim pójść łatwo.

Kitnowski wprawdzie rzucił ostre spojrzenie na jeźdźca, ale rozwinął pierwszy list. Przebiegł po nim wzrokiem. Zbladł, przesunął językiem po wargach, szybkim ruchem dotknął palcami czoła.

Otworzył drugi zwój. Przeczytał go także, po czym podniósł wzrok na przybyszów.

– Czego chcecie?

Karol von Lichtenstein patrzył na niego z wysokości wierzchowca i nie odpowiedział. Werner Brecht i Jurgen również milczeli.

– Zapraszam – powiedział Janusz, wyciągając ramię w stronę modrzewiowego dworu.

– Przejedźmy się – zaproponował Lichtenstein.

Wjechali do pobliskiego lasu rozciągającego się o dwa stajania na wschód od majątku. Zwolnili, szli stępa. Konie cicho stawiały kopyta na dywanie z czerwono-żółtych liści. Na przedzie jechali Lichtenstein i Kitnowski, za nimi Werner i Jurgen.

Pierwszy odezwał się komtur.

– Źle to wygląda...

– To pomyłka – zapewnił podniesionym głosem Kitnowski. – Co do pożyczki – mam umowę. Każdy sędzia...

– Każdy sędzia w Prusach wtrąci cię do lochu, głupcze. Idzie wojna. Państwo potrzebuje każdego grosza.

– Konie...

– Daj spokój! – Lichtenstein nie pozwolił mu dokończyć. – Nie wybronisz się. Zadarłeś z gdańskim komturem. Sprzedałeś mu stare chore szkapy. Po co ci to było?

– Były zdrowe!

– Jak przekonasz sędziów, to może po kilku latach procesu wyjdiesz z celi.

– Mój ojciec był wiernym rycerzem...

– Wiem, kim był twój ojciec – przerwał mu znów komtur. – Myślisz, że dlaczego tu jestem? Bo go znałem!

Janusz jakby odetchnął z ulgą.

– Przelewaliśmy razem krew pod Wilnem, w 1394 roku – ciągnął Lichtenstein. – Twój ojciec szedł tam pod wielkim marszałkiem Wernerem von Tettingenem, walczył pod zamkiem Ritterswerder.

– Tak było! – potwierdził gwałtownie młodzian.

– No widzisz, mam dobrą pamięć. Szanuję walecznych rycerzy, a za takiego uważałem twego ojca.

Był tak pewny swego, że dodał:

– Jestem Karol von Lichtenstein, dawny komtur brodnicki...

Janusz popatrzył na niego zdumionym wzrokiem.

– Pamiętam, was... panie, z opowieści...

– Ciesz się mnie to. No to już wiesz, z kim masz do czynienia.

– Co radzicie, panie?

Lichtenstein dostrzegł niewielką polankę zaścienioną złotem i miedzią opadłych liści. Chmury odsłoniły jasnożółte słońce.

– Przystańmy na chwilę.

Wszyscy zsiadli z koni.

– Napij się – zachęcał komtur, podając Kitnowskiemu bukłak. – Wino jest wyborne, mocne, tylko takie lubię.

Janusz przytknął naczynie do ust. Wtedy Lichtenstein skinął głową na swoich kompanów. Ci wytrącili młodzieńcowi bukłak, ujęli go pod ramiona i zawlekli pod jedną z sosen rosnących na środku polany. Przywiązali go do drzewa, a w usta wetknęli szmatę. Krzyków nikt by nie usłyszał, ale po co robić hałas.

A potem przystąpili do pracy. Bili mocno, bez pośpiechu, sprawiedliwie się zmieniając, jak chłopcy kopiący jedną piłkę. W ciosy wkładali cały ciężar swych potężnych ciał. Lichtenstein pierwszy raz widział ich przy robocie. Aż przyjemnie było popatrzeć. Musiał co jakiś czas podnosić głos, by nie przesadzali. Miał z tym nieszczęśnikiem jeszcze do pogadania. Wystawił twarz do słońca. Znow czuł, że żyje, że wstępują w niego nowe siły.

– Dość! – krzyknął w końcu.

Werner i Jurgen posłusznie opuścili ramiona. Odwiązali chłopaka, a ten osunął się na ziemię. Krew zbroczyła liście na odległość czterech łokci od drzewa. Ci knechci mieli pięści z żelaza. Zrobili dokładnie to, co chciał. Kitnowski zachował przytomność. W zakrwawionej, opuchniętej twarzy mrugały przerażone oczy. Komtur jeszcze raz spojrzął z uznaniem na swoich ludzi, a potem stanął nad skatowanym młodzieńcem, oparł się ramieniem o sosnę i zapowiedział:

– Ja będę zadawał pytania, a ty będziesz odpowiadał. Tak się podzielimy.

Rozległo się zduszone pojękiwanie.

– Do cholery, wyciągnijcie mu knebel! – rozkazał zakonnik.

Werner szarpnął za materiał. Przy okazji wyrwał ząb poluzowany od ciosów.

Rozległo się chrapliwe wycie przerażonego człowieka.

– Nie histeryzuj. – Lichtenstein pochylił się nad młodzieńcem, zmrużył oczy i przyglądał mu się z troskliwą uwagą medyka. – Zrobiłem to, żebyś wiedział, co cię czeka w więzieniu. Uczyniłem to z litości, z szacunku dla twojego ojca. To przestroga. Taki... klaps czulej matki.

Kitnowski się rozplakał.

– Ejże! – Lichtenstein skrzywił się z niesmakiem. – Gdyby to była cela w którymś z naszych zamków, tobyś miał już tylko gorzej. Możesz to sobie wyobrazić? A tak – podniósł głowę i rozejrzał się wokół – wrócisz do domu, może nie o własnych nogach, ale do własnego łóża. I mądrzejszy. Masz żonę?

Kitnowski nie odpowiedział.

Lichtenstein wziął zamach i kopnął leżącego w podbrzusze. Cios był tak mocny, że ciało przesunęło się o kilka piędzi, po czym zgięło w pól w nagłym skurczu.

– Wiesz... – zaczął Lichtenstein, ale przerwał, zatykając sobie uszy. – Nie da się rozmawiać, jak tak ryczysz! – Odczekał chwilę, aż jęki ustały, i kontynuował: – Rozmawiałem niedawno z pewną niewiastą. Dziwką, powiedzmy. Też musiałem ją uderzyć, żeby zaczęła mówić. Nie wiem, skąd ta prawidłowość. Czy naprawdę tak strasznie wyglądam, że wszystkim odbiera mowę?

Werner się roześmiał. Lichtenstein w ostatniej chwili wstrzymał go gestem przed wymierzeniem Kitnowskiemu kolejnego kopniaka.

– Ale dam ci szansę. – Komtur przykucnął. – Będę zadawał pytania, a ty będziesz składnie odpowiadał. No więc, masz żonę?

– Nie... – wydusił Kitnowski.

– Szkoda. Poopowiadałbyś coś. – Przekreślił głowę i głupio mrugnął do swoich kompanów. Ci posłusznie się roześmiali. – A tak musimy od razu przejść do rzeczy...



Po powrocie do Gdańska Karol von Lichtenstein przywołał do siebie Guntera Salzę i całą trójcę przykazał utrzymywanie w tajemnicy wszystkiego, co do tej pory ustalili w sprawie jaszczurkowców. Także, a może zwłaszcza, przed komturem Schönfeldem. Zapowiedział równocześnie, iż wkrótce pochwałą się tą wiedzą tam, gdzie czeka ich nagroda za trud, jaki wspólnie podjęli. I że gdańskiemu komturowi to będzie nie w smak.

Jeszcze tego samego wieczoru Karol udał się do komnat Schönfelda.

– Moi ludzie złapali kilku polskich przemytników – oznajmił na wstępie. – Dużo z nich wycisnęli.

– Gdzie są? – zainteresował się komtur.

– Pijani, odpoczywają...

– Ci przemytnicy, Lichtenstein!

– Obiecałem im wybawienie za słowa prawdy...

Schönfeld pytająco uniósł brwi.

– Nie żyją – doprecyzował były komtur.

Schönfeld się skrzywił.

– Czego się dowiedziałeś?

Lichtenstein uznał to pytanie za zaproszenie na dłuższą rozmowę. Rozparł się wygodnie na jednym z obszernych foteli zdobiących komnatę komtura i powiedział:

– W pierwszej połowie września Jagiełło ogłosił mobilizację. Rycerze z Małopolski i Rusi Czerwonej zebrał się w Wolborzu, potem stanęli pod Łęczycą, gdzie dołączyło do nich rycerstwo z Wielkopolski.

– Tyle wiemy.

– Nowina jest taka, że zmierzają pod Bydgoszcz!

– Malbork spodziewał się raczej, że nie Bydgoszcz jest celem, ale ziemie państwa zakonnego – zastanawiał się głośno Schönfeld. – Jagiełło podobno już kilka dni obozuje pod Łęczycą, a stamtąd raczej pójdzie na Płock albo na Włocławek. I tam będzie szykował armię.

– Błąd!

– Po co mieliby oblegać Bydgoszcz? Nie zdobędą miasta – zachnął się gdański komtur.

– Z informacji, jakie Malbork pozyskał od swoich szpiegów – kontynuował Lichtenstein – wynikałoby, że Witold też nadciąga ze swoją armią, że zlecił przygotowanie tratw w czterech miejscach, by przepłynąć się przez Narew...

– W Ostrołęce, Różanie, Osetnie i w Wiznie – wtrącił Schönfeld.

– Tak... Tylko że to też bujda. Kolejne łgarstwo szerzone przez polski wywiad, przez ich agentów, którzy się tu namnożyli jak wszy. Jagiełło zamierza oblegać Bydgoszcz – powtórzył Lichtenstein. – On naprawdę chce zdobyć miasto. Nadciąga piętnaście tysięcy ludzi. Pospolite ruszenie.

– Pospolite ruszenie – prychnął Schönfeld. – Świetnie, niech rozłożą oblężenie! Mają

działa?

– Wedle mojej wiedzy, nie. Kilka bombard. Nic więcej.

– No to oblężenie potrwa miesiącami – ocenił Schönfeld pewny siebie. – Zima ich tam zastanie. Pospolite ruszenie... Bardzo dobrze. Podniosą bunt. Szlachciurów dupy zmarzną, wypną się nimi na króla i wrócą do domów.

Lichtenstein musiał przyznać, że dużo było w tym racji. Nie zmieniało to jednak faktu, że wywiad krzyżacki schodził na psy! Jak można było nie wiedzieć, dokąd zmierza piętnastotysięczna armia! Krzyżacy nie spodziewali się ataku na Bydgoszcz. Dali się zwieść. Polacy już wygrali wojnę wywiadowczą. Pomyślał z goryczą, że sam się do tego przyczynił.

– Witold podobno nie jest gotowy do wojny – rzekł Lichtenstein. – Wciąż boi się ludzi Świdrygiełły. Proponował nawet Jagielle zawarcie rozejmu do następnego roku.

– Tak po prawdzie... Malbork też będzie chciał się układać – powiedział Schönfeld. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi na wielką wojnę.

– Żadnych rozejmów! – zawołał Lichtenstein. – Obronić Bydgoszcz! Ściągnąć hufce ze wschodu i ruszyć na Kraków! Dasz im czas, to zbiorą wojska i uzbroją się po zęby. Trzeba im je wybić, póki się da. Te piętnaście tysięcy to wszystko, co mają. Jeszcze im pięścią do gęby sięgniemy. Witold teraz nie przyjdzie. Ale za rok, tak! Tę wojnę trzeba skończyć tej jesieni! Za wszelką cenę rozbić ich pod Bydgoszczą! – powtórzył. – Podpisać rozejm, ale na naszych warunkach, po spaleniu Krakowa!

Schönfeld założył ręce za głowę i słuchał z uwagą. Potem się zamyślił. Dobrze wiedział, że wielki mistrz będzie dążył do rozejmu, bo przestraszy się polskiej armii. Nie był w pełni gotowy do wojny z Polską, potrzebował jeszcze kilku miesięcy.

Krzyżacy posłali jakiś czas temu kilkanaście silnych chorągwi na litewskie pogranicze. Miały czekać w pogotowiu na wybuch wojny domowej pod wodzą Świdrygiełły. Śmierć Jukosa w Malborku pokrzyżowała te plany, ale wojsk nie wycofano. Jeśli ziści się najczarniejszy scenariusz, to Świdrygiełło zostanie stracony, bunt zduszony w zarodku i zmobilizowana do tłumienia buntu litewska armia będzie mogła ruszyć na Prusy. Ale nie tej jesieni! Lichtenstein miał rację. Nawet jeśli Witold już zdusił bunt, to nie wyśle tak szybko armii poza swoje granice. Będzie potrzebował wojska, choćby po to, żeby straszyć nim niedoszłych buntowników. Krzyżackie chorągwie stojące na wschodzie się marnują. Nic Prusom ze strony Litwy nie grozi.

Zakon był pewny siebie: miał w rękach Bydgoszcz, gotowy do podpisania układ z Zygmuntem, drugi Luksemburczyk – król czeski Wacław – też chodził na krzyżackim pasku. Podbitej ziemi dobrzyńskiej można było użyć jako terytorium do wymiany za Żmudź. Ale to prawda, że to poczucie bezpieczeństwa jest złudne. Polska nie miała wprawdzie tyle złota co zakon, ale była czterokrotnie ludniejsza. Jeśli pozwoli się Polakom zebrać potężną armię, to będzie potrzebna fortuna na zaciągi, by ją zrównoważyć! Jagiełło może nic nie płacić swoim rycerzom miesiącami, a zakon z każdym dniem będzie się zbliżał do krawędzi bankructwa!

Tak, należało się rozprawić z Polakami pod Bydgoszczą.

Schönfeld postanowił udać się do Malborka i przedstawić te przemyślenia jako własne. To będzie dobry ruch. Wtedy doszły go słowa Lichtensteina:

– I jeszcze jedno... Chcę, żeby w Malborku usłyszano o moich zasługach. Że to ja zdobyłem wieści w sprawie Bydgoszczy. Zamierzam wrócić do zakonu i stanąć w tej wojnie!

Bydgoszcz, jesień roku Pańskiego 1409

Z Wolborza, gdzie zebrało się przede wszystkim rycerstwo małopolskie, król wyruszył 16 września, kierując się na Wielkopolskę, pod Łęczycę. Stanął tam obozem trzy dni później. W oczekiwaniu na dochodzące jeszcze z Małopolski pospolite ruszenie, a przede wszystkim na rycerstwo wielkopolskie, zarządził kilkudniowy postój.

Za namową Tęczyńskiego Jagiełło nie spieszył się z wymarszem. Z Łęczycy prowadziły dobre i uczęszczane drogi do Płocka i do Włocławka. Starosta chciał, by krzyżacy wywiadowcy mieli dość czasu na zlokalizowanie polskiego obozu i jego dokładne oględziny. Dlatego przykazał łowcom, by ich namierzali i obserwowali, ale, broń Boże, nie zatrzymywali. Jagiełło posłał kilka lekkich chorągwi zwiadowczych w kierunku Włocławka, tak by szpiedzy nabrali przekonania, że polskie wojsko zamierza ruszyć w tamtą stronę i dalej, na ziemię dobrzyńską.

Późniejsze wydarzenia pokazały, że mistyfikacja się udała i w drodze do Bydgoszczy armia polska nie napotkała żadnej krzyżackiej przeszkody. Sprawdziły się też przewidywania, że Krzyżacy nie zdecydują się na ryzykowną przeprawę przez Wisłę, by uderzyć na tyły polskich wojsk.

Armia złożona z Małopolan, Wielkopolan i czeskich najemników wyruszyła z Łęczycy 23 września. Trzema szybkimi marszami przez Siedlec i Koczawę doszła do Radziejowa.

Tabor składał się z ponad dwóch tysięcy wozów. Jeden zwykle przypadał na dwie kopie, czyli średnio sześciu ludzi. Kolumnę zamykało kilkadziesiąt wozów dobrze okutych, potężnych, zaopatrzonych w zapasowe koła. Nikt nie miał do nich przystępu. Według eskortujących je najemników załadowane były zapasami żywności, które miały wystarczyć na kilka miesięcy. Żołnierze już wiedzieli, że przyjdzie im oblegać Bydgoszcz. To twierdza trudna do zdobycia, zwłaszcza bez artylerii; wszyscy obawiali się wielomiesięcznego oblężenia.

W taborze oprócz zapasów prowiantu, broni i furazu wieziono namioty, z których każdy mógł pomieścić od dziesięciu do piętnastu zbrojnych. Jechało kilkadziesiąt kucharzy, a także delegowani i opłacani przez miasta medycy i chirurdzy.

Pod Radziejowem, gdzie armia dotarła 25 września, Jagiełło kazał rozbić namioty. Ponieważ wszystkie siły dotarły już na miejsce, król przeprowadził podział wojska na chorągwie.

Podczas postoju do obozu zjechali wywiadowcy z informacją o załodze krzyżackiej osadzonej w bydgoskiej twierdzy. W ręce łowców penetrujących pogranicze i polujących na krzyżackich kurierów wpadły dwa cenne listy.

Pierwszy pochodził od Henryka von Schwelborna, komtura tucholskiego. Była w nim mowa o znalezieniu na bydgoskim zamku dwudziestu łasztów soli będących własnością polskiego króla. Wybuchła o nią kłótnia pomiędzy Krzyżakami a zaciężnymi oficerami. Ci pierwsi argumentowali, że sól należy do nich, gdyż Polacy poddali się zakonowi. Komtur pisał do Malborka o jawnym nieposłuszeństwie najemników, którzy nie zamierzali zrezygnować z łupu.

Drugi list wystosował komtur świecki. Pisał w nim, że przybył ze swoimi ludźmi do Bydgoszczy, aby obsadzić tamtejszy zamek, ale stacjonujący w nim zaciężni, w liczbie

czterdziestu czterech ludzi, pozostawieni przez komtura człuchowskiego, nie chcieli ustąpić ani zgodzić się, by do garnizonu dołączyli bracia zakonni. Do tego panowało całkowite rozprężenie. Najemników oskarżano o kradzieże, brak dyscypliny, nieuczciwość. Źródłem kłopotów był dowódca zaciężnych Heinz von Borsnitz. Komtur świecki informował na koniec, że jedyne, co mógł zrobić, to wyznaczyć dodatkowego dowódcę – doświadczonego w bronieniu twierdz zakonnika.

Zawisza, wysłuchawszy treści obu listów, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Odważna decyzja o marszu na Bydgoszcz najwyraźniej zyskała uznanie w oczach Wiekuistego! *Audaces fortuna iuvat*, tak, śmiałym los sprzyja! Zapewne w bydgoskim garnizonie znajdowali się też pozostali członkowie rodu Borsnitzów: Kunze, Jon, Nickel i Paczko. Sulima znał ich wszystkich. Nieraz służyli pod jego rozkazami w armii Zygmunta. To świetni żołnierze. Najlepsi na Śląsku. I rozsądni.



Wojska królewskie, idąc przez Szarlej i Tuczno koło Inowrocławia, 28 września w godzinach popołudniowych dotarły do celu.

Bydgoską warownię otaczała fosa wypełniona wodami Brdy. Na południowy wschód od twierdzy rozciągało się podzamcze, od zachodu przylegało do niej miasto, chronione od północy i zachodu korytem rzeki. Szturm na Bydgoszcz można było przypuścić ze wzgórz, które okalały ją od południa. Dlatego mieszkańcy odгородzili się od tej strony mokrą fosą oraz wałem ziemnym wzmocnionym drewnianą konstrukcją.

Nim przystąpiono do stawiania namiotów, w pobliże murów podciągnięto kilkadziesiąt okutych wozów ze spyżą. Ci, którzy mieli wojenne doświadczenie, bardzo się temu dziwili. Dopiero gdy z hukiem opadły burty wozów, po wojsku poszedł pomruk zdziwienia, a potem rozległy się wiwaty: ciężkie wozy wyładowane były żelaznymi działami i kamiennymi kulami.

W ludziach wezbrała nadzieja, że artyleria zmiecie obrońców z murów zamkowych, skruszy obwarowania i da szybką wiktoryę.

Wśród uzbrojenia artyleryjskiego znalazło się ogromne działo ważące prawie sto osiemdziesiąt cetnarów. Było tak ciężkie, że transportowano je w dwóch częściach, które z wielkim wysiłkiem kilkudziesięciu ludzi zniosło z wozów i połączyło specjalnymi śrubami. Jak zapewniał jeden z puszkarzy, którzy teraz dopiero się ujawnili, działo wyrzucało potężne kamienne kule o wadze dziewięciu cetnarów każda; także i tych przywieziono tu spory zapas.

Zgodnie z przewidywaniami mieszczanie otworzyli bramy przed Jagiełłą, bo krzyżacki garnizon przerażony liczebnością polskiej armii i błyskiem stalowych dział zabarykadował się w murach zamku.

Janusz Brzozogłowy nie krył rozczarowania. Jako przyszyły starosta chciał zająć miasto siłą, zdusić krzyżacki opór zdecydowanym szturmem i tchnąć w pospolite ruszenie wiarę w swe siły. A tak wszystko odbyło się bez walki. Przejechał przez wyludnione ulice, przejął ratusz, mennice, wszedł do zamożniejszych domów i przeszukał klasztor karmelitów, nie napotykając żadnego sprzeciwu.

Teraz potężna polska armia, dobrze wyposażona i wypoczęta, stanie naprzeciw niezbyt licznej załogi zamku. Tym bardziej konieczne było szybkie zwycięstwo! Strategiczne znaczenie bydgoskiej twierdzy trudno przecenić, ale jako nadrzędny cel jawiło się teraz skrzepienie polskiego rycerstwa zwycięstwem, ukazanie Jagiełły w roli wodza, który może poprowadzić armię do wiktoryi nad potężnym zakonem.

Król zaś po zamknięciu pierścienia wokół miasta przesunął część armii na północ od

Bydgoszczy, nad Brdę, by oczekiwać tam na wojska wielkiego mistrza, których wszyscy się spodziewali. Pozostałe chorągwie rozłożyły się obozem w lesie podchodzącym od południa pod zabudowę grodu.



30 września wielki mistrz wyruszył z Malborka na czele armii, by zatrzymać pochód wojsk polskiego króla. W drodze dotarł do niego list komtura świeckiego, który informował o oblężeniu Bydgoszczy. Johann von Schönfeld przebywał w tych dniach w otoczeniu wielkiego mistrza, ale został przez niego odesłany do Gdańska, by nadzorował przekazanie złota z zamkowego skarbcza najemnikom, którzy właśnie przybili do portu. Schönfeld przywołał do siebie Lichtensteina. Nie spełnił danej mu obietnicy, bo nigdy nie miał takiego zamiaru. Ani słowem nie wspomniał wielkiemu mistrzowi o zasługach brodnickiego komtura. Mimo to powiedział:

– Ulryk von Jungingen usłyszał z moich ust wiele ciepłych słów o tobie. Ale teraz tego żałuję! – powiedział sucho. – Polacy przywlekli działa! Ukryli je w wozach. Twój szpieg opowiadał brednie, a ja się ośmieszyłem!

Lichtenstein nie wyglądał na zaskoczonego. Wieści z pogranicza zapewne dotarły już do Gdańska.

– Słyszałem, że wielki mistrz ruszył z armią pod Bydgoszcz. Niech uderza czym prędzej! Schönfeld spojrzął na niego z niechęcią.

– Ulryk będzie szukał rozejmu.

– To szaleństwo! Polacy nie przerwą oblężenia! Będą pertraktować, a do tego czasu zdobędą zamek.

– Tak szybko im nie pójdzie... Mamy waleczną załogę.

– Ten waleczny garnizon to ludzie Borsnitz – prychnął Lichtenstein. – Wśród Polaków jest kilka tysięcy zaciężnych. Dowodzi nimi Zawisza.

– No i co z tego? – Schönfeld wzruszył ramionami.

– Dobrze się znają z Borsnitzem... To werbownicy...

– Obroną zamku dowodzi nasz brat. Nigdy go nie podda!



Rankiem 29 września, w Dzień Świętego Michała Archanioła, przystąpiono do oblężenia zamku.

Zawisza, wykonując rozkazy króla, nakazał usypanie dookoła warowni wału ziemnego i wtoczenie nań wielkiego działa oraz kilkunastu innych cięższego i lżejszego kalibru. Na wale ustawiono wiklinowe kosze, wypełnione ziemią, zza których, jak zza tarcz, artyleria królewska miała prowadzić ostrzał.

Zamek, otoczony szerokim blankowanym murem, tworzyły trzy potężne skrzydła oraz mur kurtynowy zamykający dziedziniec od strony wschodniej. Pośrodku muru wznosiła się wieża bramna.

Położenie załogi krzyżackiej było bardzo trudne, dlatego Borsnitz, jego czterdziestu ludzi i brat zakonny, dowodzący zamkiem w imieniu komtura świeckiego, całą nadzieję pokładali w rychłej odsieczy.

4 października Armia Ulryka von Jungingena stanęła dwie mile od granicy. Wielkiego mistrza zaskoczyła gotowość części armii, którą Jagiełło ustawił na północ od miasta. Krzyżacy

nie byli przygotowani do walki, dlatego mogli jedynie biernie śledzić poczynania Polaków, którzy w tym czasie otoczyli już Bydgoszcz i rozpoczęli oblężenie.

Przez cztery dni żadna ze stron nie zdecydowała się wydać bitwy. Tymczasem posłowie króla czeskiego Wacława rozpoczęli negocjacje z przedstawicielami obu przeciwników w sprawie zawarcia rozejmu i oddania przedmiotu konfliktu do polubownego rozstrzygnięcia. W trakcie negocjacji polska armia ani na chwilę nie przerwała oblężenia zamku.

Zawisza już w pierwszy dzień intensywnego ostrzału wysłał do zamku emisariuszy. Odeszli z niczym, ale główny cel został osiągnięty: Heinz von Borsnitz dowiedział się, kto dowodzi szturmem. Teraz polski rycerz czekał na posłańców z zamku. Wiedział, że prędzej czy później ktoś się zjawi. Borsnitz był rozsądnym żołnierzem.

Tymczasem król prowadził rokowania dyplomatyczne z Krzyżakami. Obu stronom zależało na rozejmie; obie zdawały sobie sprawę, że dopiero przyszły rok przyniesie rozstrzygającą wojnę. Jagiełło nalegał na szybkie zdobycie twierdzy, liczył się każdy dzień; zwycięstwo znacznie poprawiłoby jego pozycję w negocjacjach. Obawiał się, że Krzyżacy, znecierpliwieni przedłużającymi się rozmowami, w końcu uderzą.

Kilka polskich szturmów zostało przez załogę zamku odpartych. Czas płynął coraz szybciej. Co wieczór do namiotu Zawiszy przybywał goniec z obozu króla z ponagleniem. 7 października po zapadnięciu zmroku stawił się w końcu posłaniec z zamku: Jon von Borsnitz, brat Heinza, komenderującego oddziałem zaciężnych. Oświadczył, że dowodzi nimi brat zakonny i że nie ma mowy o poddaniu się.

— Wyczekuje odsieczy – rzekł najemnik. – Jest pewien, że wkrótce nadciągnie armia wielkiego mistrza.

– Już jest – oświadczył Zawisza. – Stoi dwie mile od granicy. Tyle że Krzyżacy się boją. Negocjują rozejm. Nie przyjdą wam z odsieczą.

Jon von Borsnitz nie tracił rezonu.

– Nawet jeśli będą tylko negocjacje, wasz król i tak zdejmie oblężenie. Taki warunek postawi wielki mistrz. Po co marnować kule, ranić naszych ludzi? Heinz przysłał pewną propozycję... Tylko dlatego, że cię zna, panie, i szanuje. Otóż...

– Weźmiemy was szturmem, Jon – przerwał mu Zawisza. – Wiesz, ilu macie ludzi. Nie podolacie.

– Szturm będzie was kosztował morze krwi – odparł najemnik. – Krwi rozlanej po nic, bo Jagiełło i tak będzie musiał przehandlować Bydgoszcz za rozejm.

Zawisza się zamyślił. Wiedział, że te piętnaście tysięcy ludzi musi wrócić do domów z poczuciem zwycięstwa, nawet jeśli w oblężeniu weźmie udział kilka tysięcy, a w samym szturmie tysiąc. Muszą to opowiedzieć rodzinom, sąsiadom, żonom, tak aby cała Polska usłyszała, że zwycięstwo jest możliwe, że to rozejm zwycięski, a nie tchórzliwy. Gdy taka wieść rozniesie się po ojczyźnie, rycerstwo tłumnie stawi się na wiosenną mobilizację, będzie rwało do wojny. Do prawdziwej wojny. Ale żeby to się stało, musiał zająć Bydgoszcz przed końcem negocjacji.

Walny szturm pochłonie wiele ofiar. Mury się kruszą, ale trzeba jeszcze co najmniej tygodnia, by uczynić w nich na tyle znaczne wyłomy, by przedarła się piechota. Tymczasem pojawiają się już braki w zaopatrzeniu w amunicję. Kamieniarze z pobliskich polskich miast dostali zlecenie dostarczania odpowiednich kul, ale zawodzą. Na granicy stoi krzyżacka armia. Żądają odstąpienia od oblężenia. Jak długo będzie można zwlekać? Zawisza wiedział, że zostało mu ledwie kilka dni. Jeśli w tym czasie nie zdobędzie zamku, Jagiełło podpisze rozejm i Polacy w poczuciu klęski rozjadą się do domów. Rozejm zostanie odczytany jako porażka, a może nawet zdrada.

Rycerz podniósł wzrok na najemnika. Wziął głęboko powietrze do płuc i zapytał chłodno:
– Cóż to więc za propozycja, Herr Borsnitz?



Kilka godzin później Sulima wkroczył do pogrążonego w nocnych ciemnościach miasta na czele kilku chorągwi pospolitego ruszenia. Niektórzy jechali konno, inni szli pieszo, każdy ze swoim pocztem. Pachołkowie dzierżyli płonące pochodnie. Minęli rynek i zatrzymali się przed zamkową fosą, za którą wznosiła się wieża bramna z podniesionym zwodzonym mostem.

Poleje się morze krwi, ale zamek tej nocy musi zostać zdobyty.

Za pomocą niewielkich katapult żołnierze posłali pod wieżę skóry umoczone w jakimś mazidle, by potem podpalić je płonącymi strzałami.

W blankach rozświetlonego krwistymi płomieniami muru zamajaczyły cienie obrońców. Kusznicy podeszli na skraj fosy i posłali chmurę bełtów w kierunku twierdzy. Po chwili szturmujący usłyszeli serię głuchych uderzeń grotów odbijających się od kamiennej fortyfikacji. Odpowiedź z zamku nie nadeszła. Milczały działa, nie strzelano z kusz.

Na znak Zawiszy piechota stanęła w gotowości. Obozowa czeladź zniosła już wojenny sprzęt: plecione pomosty do przerzucenia przez fosę, worki z ziemią, wiązki chrustu i faszyny do wypełnienia fosy, tak by wojsko mogło przejść przez nią suchą stopą. I drabiny. Dziesiątki drabin długich na czterdzieści stóp, w tym także wiele czterorzędowych, po których wspinać się mogło równocześnie czterech wojowników.

Zawisza rozkazał posłać jeszcze jedną serię bełtów. Piechurzy ścisnęli w dłoniach miecze i topory. Podniesiono z ziemi drabiny.

Nagle z murów, wprost na płonące i buchające czarnym dymem skóry, runęło ciało jednego z obrońców. Płomienie błyskały jeszcze na tyle żywo, że wszyscy zza fosy dostrzegli białą obcisłą jakę naciągniętą na kirys i ozdobioną czarnym krzyżem. W szyi zakonnego brata tkwił bełt.

Rozległy się okrzyki radości, bo odczytano to jako pomyślną wróżbę.

Zawisza podniósł ramiona i skrzyżował je nad głową, nakazując wstrzymanie szturm.

– Bóg jest z nami! – wykrzyknął do kuszników. – Zabiliście dowódcę!

A potem podszedł samotnie pod wieżę bramną i zawołał donośnym głosem, wybijając się ponad hałas wiwatujących Polaków.

– Herr Borsnitz! W imieniu króla, prawowitego właściciela...

Nie dokończył, bo zwodzony most powoli zaczął się uchylać niczym ramię wyciągane na zgodę.

Gdańsk, jesień roku Pańskiego 1409

Podczas gdy Polacy oblegali bydgoski zamek, z każdym dniem coraz bardziej krusząc jego mury, Ulryk von Jungingen zgodził się przyjąć posłów króla Wacława IV. Proponowali oni pośrednictwo w zawarciu rozejmu oraz przekazanie sporu pod sąd polubowny czeskiego monarchy.

Rozpoczęto trójstronne negocjacje. Tyle że Polacy nie zamierzali odstąpić od oblężenia. Wręcz je zacieśnili. Krzyżacka armia stacjonująca kilka mil dalej tylko wsłuchiwała się w gęstniejący pomruk armatnich wystrzałów. Nie podejmowała żadnych działań, czekając na wynik rozmów, które Jagiełło przeciągał tak długo, aż w końcu jego wojska nocnym szturmem zdobyły zamek.

Upadek Bydgoszczy nie rozsierdził Karola von Lichtensteina tak bardzo jak to, co wydarzyło się później. Tak jak przewidywał, dopiero po upadku twierdzy Jagiełło łaskawie przystał na rozejm, który miał obowiązywać do 24 czerwca następnego roku. Uzgodniono, że do czasu wydania wyroku, co miało nastąpić nie później niż do najbliższej pierwszej niedzieli Wielkiego Postu, która w 1410 roku przypadała na 9 lutego, Wacław zadecyduje o przynależności terytoriów i zamków; na razie każda strona miała zatrzymać te ziemie, które posiadała lub zbrojnie zajęła do chwili podpisania rozejmu.

„Władze zakonu pewno gratulują sobie sprytu”, pomyślał Lichtenstein. „Oczywiście, że Wacław, kuszony krzyżackim złotem, wyda werdykt niekorzystny dla Polski. Tyle że nie będzie to miało żadnego znaczenia. Polacy zlekceważą tego czeskiego durnia i jego orzeczenia. Znajdą jakiś pretekst. Ich dyplomacja rozwinęła skrzydła. Jagiełło, przebiegły Litwin, dostał czas aż do czerwca przyszłego roku... Zbierze armię, jakiej świat nie widział. Dołączy doń Litwa, bo do buntu bojarów pod sztandarem Świdrygiełły nie dojdzie. Nikt tam przez lata nie podniesie kosmatego łba przeciwko Witoldowi. Ulryk von Jungingen popełnił niewybaczalny błąd, godząc się na rozejm. Powinien był rozgromić Jagiełłę pod Bydgoszczą. A zaraz potem ruszyć na bezbronny Kraków jak po swoje. I dopiero tam, pod murami polskiej stolicy, negocjować rozejm. Dureń, po trzykroć dureń! W dodatku na czas rozejmu Malbork będzie musiał odesłać do domu obcych zaciężnych. Byłoby szaleństwem utrzymywanie ich na żołdzie przez dziewięć miesięcy! Teraz część z nich podbiorą nam Polacy. Cały wysiłek werbowników poszedł na marne”.

Jak już raz pękną śluzy, to potok nieszczęść rwie bez umiaru. Następnego dnia przyszły już oficjalne wieści, iż litewscy i ruscy bojarzy, wstrząśnięci śmiercią Jukosa w Malborku, wypowiedzieli posłuszeństwo Świdrygielle i zerwali wszystkie sojusze z zakonem. Na nic się zdał tajny układ zawarty w geście rozpaczony 2 października 1409 roku w Świeciu pomiędzy Ulrykiem von Jungingenem a Świdrygiełłą, potwierdzający wcześniejsze słowne uzgodnienia. Wielki mistrz wystawił nawet Świdrygielle glejt, by ten mógł bezpiecznie przejechać przez Prusy i z Malborka, jak to było planowane, dać sygnał do powstania. Tajne służby wielkoksiążęce już o wszystkim wiedziały. W ręce Witolda wpadły krzyżackie listy, a potem sam Świdrygiełło, zdradzony przez niedoszłych buntowników.

Lichtenstein kręcił głową z niedowierzaniem. Witold mógł bez przeszkód rozpocząć

szukanie wojska, by stanąć u boku Jagiełły w wielkiej wojnie z zakonem. Przecież wielki mistrz podarował mu łaskawie aż dziewięć miesięcy!

Jedyna nadzieja w Zygmuncie Luksemburskim. Ale co będzie, jeśli i on zawiedzie? Jeśli nie uderzy od południa, jak obiecał Ulrykowi? To chytry lis. Tu jednak Lichtenstein porzucił lęki. Wcześniej żywił pewne obawy, ostatecznie doszedł do wniosku, że węgierski król nie zdradzi. Zbyt wielką żądzą pała do niemieckiej korony. Wie, że nigdy jej nie wsadzi na swój wyłysiały podstępny czerep, jeśli oszuka zakon.



Gunter Salza długo rozmawiał przy winie z knechtami, którzy przybyli spod Bydgoszczy do gdańskiego zamku w eskorcie jakiegoś dostojnika. Wieczorem udał się do Lichtensteina, by przekazać mu posłyszane nowiny.

– Polacy przekupili Borsnitza! – zawołał, gdy tylko zamknął za sobą drzwi do skrytorium. – Ten śląski pies kilka dni się bronił, ale potem podobno osobiście wetknął bęłt w szyję zakonnego brata i zrzucił go z murów. Że niby trafili go polscy kusznicy. Zaraz potem kazał otworzyć bramy.

Lichtenstein siedział za biurkiem. Nie przerwał pisania.

– Przekupili? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Podobno Jagiełło zapłacił za jakąś sól, którą Borsnitz i jego ludzie przejęli w zamku. Polacy pozwolili im odejść. Z końmi, bronią i pieniędzmi.

– Masz dowody? – Komtur posypał kartkę piaskiem, aby wysuszyć atrament.

– Wygadał się jeden z żołdaków Borsnitza.

– Wyrzeźwieje, wszystkiego się wyprze – orzekł Lichtenstein. – Wiesz, gdzie poszli? Na polską stronę czy do Prus?

– Do Prus!

– No to ich Ulryk z powrotem przyjmie. Ten dureń naprawdę przegra tę wojnę. – Lichtenstein zamyślił się na chwilę. Potem uderzył dłonią w blat biurka. – Pojedziesz do Kitnowskiego. Chwycisz go za pysk i powiesz, że pozew jest gotowy. Cela już na niego czeka. Za to, że mi nie powiedział prawdy o polskiej armii. Wszystko inaczej by wyglądało, gdybyśmy wiedzieli, że ciągną działa.

– Może nie wiedział?

– Postrasż go, powiedziałem. Niech się boi! Daj mu do zrozumienia albo mu powiedz prosto w twarz, że jeśli mnie szybko nie udobrucha czymś naprawdę ważnym, to go zabiję. Daję mu czas do Bożego Narodzenia.



Karol von Lichtenstein regularnie odwiedzał Ayhe. Jak ona sobie radziła z utrzymaniem tego w tajemnicy? Nie miał pojęcia. Zniknięcie Johana jeszcze jakoś można wytłumaczyć, ale siniaki? Nie mógł się powstrzymać, by jej nie dołożyć za każdym razem. Bił po twarzy, rękach, nogach, gdzie popadło.

Nie zamierzał krzywdzić jej synalka. Chłopak trochę głupiał w tej piwnicy, ale ręka już mu się zagoiła. Bez jednego palca przeżyje, a za to matka chodzi jak małpka na sznurku. Oddawała mu się z coraz większym zaangażowaniem, licząc – słusznie – że jej wysiłek przełoży się na lepsze traktowanie Johana.

Nie postanowił jeszcze, co z nią zrobi.

Z jednej strony nie bardzo mógł sobie wyobrazić, by kobieta, która poznała jego mizerne ciało, jego niedomagania i upodobania, której się zwierzał tyle godzin jak na spowiedzi... żeby taka dziewczka tak po prostu chodziła swobodnie po mieście i plotła z kumami trzy po trzy. Ayhe dopóki bała się o Johana, trzymała język za zębami, ale przecież nie będzie więził chłopaka wiecznie. Z drugiej strony wreszcie, po wielu porażkach, wróciła mu męska siła. Czerpał z tych wizyt coraz większą przyjemność. Dokonywał wyczynów godnych jurnego młodzieniaszka.

Nie musiał decydować już teraz.

Ayhe opowiadała mu szczegółowo o raportach, które słała do Polski. W zasadzie mógł wpływać na ich treść, a nawet wprowadzać mylne informacje. Ale po co? Miał kontrolę nad tym, co wie polski wywiad. To mu na razie wystarczało.

Czekał też, jak rozwinie się sprawa, którą jej zlecił podczas jednej z pierwszych wizyt. Oprócz żądzy zemsty powodowała nim zwykła ciekawość – tak po prostu, po ludzku był ciekaw, jak to się potoczy...

Gdańsk, zima roku Pańskiego 1409

Nadeszła sroga zima, a wraz z nią złudzenie, że konflikt z Polską zamarzył jak Motława, po której gdańszczanie śmiało przechodzili teraz na Wyspę Spichrzów. Karol von Lichtenstein wyczuwał jednak, że pod skorupą lodu płynie wartki nurt. Po ogłoszeniu rozejmu miasto otwarło bramy dla kupców. Szerokim strumieniem napłynęli także dyplomaci, kurierzy oraz różnej maści i narodowości szpiedzy.

Od czasu burzliwej wizyty w Słomowie Lichtenstein spotkał się z Januszem Kitnowskim jeszcze kilka razy. Młodzian rozczarowywał swymi donosami. Komtur zaczął już sobie wyrzucać, że źle wybrał donosiciela, pomylił się, miał tylko jedną szansę i ją zmarnował.

Goniec z listem od Kitnowskiego zjawił się o poranku 23 grudnia, na dzień przed wygaśnięciem ultimatum. Rycerz zawiadamiał w nim o swym pobycie w Gdańsku i potrzebie pilnego spotkania. Proponował jedną z gdańskich karczem. Karol nie spodziewał się pułapki, ale z szacunku dla swojej osoby nakazał Kitnowskiemu stawić się jeszcze tego samego wieczoru w jednym z przybytków zarządzanych przez Jurgena. Nie ma wszak lepszego miejsca na poufne rozmowy niż zamtuż. Na odwrocie listu zapisał dokładną godzinę spotkania: dziewiątą.



Lichtenstein zjawił się w burdelu na kwadrans przed czasem. Jurgen i Werner już na niego czekali w dużej izbie na dole, gdzie serwowano jedzenie i napitki. Na górę wiodły stamtąd dwie pary schodów. Jurgen poprowadził komtura tymi dla specjalnych gości, węższymi, po lewej. Gdy weszli do pokoju, w którym miało odbyć się spotkanie, Lichtenstein się skrzywił. W powietrzu unosił się zapach potu i ekskrementów.

– Miałeś tu nikogo przed nami nie wpuszczać!

– Jesteśmy trochę przed czasem, panie... – tłumaczył się Jurgen. – Kazałem dziwkom wywietrzyć. Zaraz otworzę okiennice.

– Zostaw! Zamarzniemy. Masz jakieś kadzidło?

Pokój był obszerny, wyłożony kobiercami, kolorowymi poduszkami, z kominkiem w rogu, w którym dogasał ogień. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stało ciężkie łóżko. Spod wytwornej narzuty wystawał skrawek prawdziwego prześcieradła! Okna zasłaniała ciężka kotara ze złotymi frędzlami. Pokój stanowił niewątpliwie wizytówkę przybytku. Nic dziwnego, że Jurgen chciał go wykorzystać do ostatniej chwili.

Przez zamknięte okiennice dotarł dźwięk dzwonu z pobliskiego kościoła: dziewięć uderzeń. Kitnowski się spóźnił.

Minęły co najmniej dwa pacierze, nim otworzyły się drzwi i stanął w nich młody rycerz w towarzystwie Wenera Brechta.

– Niech będzie pochwalony... – odezwał się z progu Kitnowski.

Obaj knechci ryknęli śmiechem.

– Na wieki wieków... – Lichtenstein nie poszedł ich śladem. – Długo kazałeś mi czekać.

– Wybacz, panie. Przynoszę za to ważne wieści – odparł młodzieniec, rozglądając się po izbie.

– Nie ma tu krzeseł. Siadaj pod ścianą. Łoże rezerwuję dla siebie.

Kitnowski najpierw spojrział na Brechta, który ciężko zwałił się na podłogę przy kominku, a potem przeniósł wzrok na Jurgena opartego ramieniem o framugę.

– Pamiętasz ich, prawda? – spytał komtur lekkim tonem. – Jeden będzie notował, a drugi pilnował, by nikt nam tu nie przeszkadzał. A jeśli kolejny raz mnie nabierzesz, poproszę, żeby ci wypruli flaki.

– To tajne informacje, panie...

– Ufam tym ludziom bezgranicznie.

Młodzieniec zajął miejsce pod ścianą naprzeciwko Wenera; czekał, aż ten wyjmie jakiś przenośny sekretarzyk, skoro miał robić zapiski, ale nic takiego się nie wydarzyło. Najwyraźniej knecht zamierzał notować w pamięci. Zapanowało długie milczenie.

– Z początkiem grudnia – odezwał się w końcu rycerz – w Brześciu Litewskim Jagiełło zjechał się z Witoldem. Ustalili tam plan kampanii na przyszły rok. W ścisłej tajemnicy. Ma być wielkim zaskoczeniem dla zakonu.

– Tylko oni dwaj? Czy ktoś jeszcze?

– Mikołaj Trąba. On odpowiada za całość polityki Korony.

– I cóż takiego uradzili? – spytał Lichtenstein.

– Po pierwsze, że obie armie, polska i litewska, mają się połączyć nad Wisłą, gdzieś powyżej Płocka.

– Na lewym czy na prawym brzegu?

Lichtenstein wiedział, że jeśli na lewym, to armia pójdzie w kierunku Kujaw i Pomorza, a jeśli na prawym, to zagrozi ledwie co zdobytej ziemi dobrzyńskiej, ale też ziemi chełmińskiej i całej Pomezanii, w tym Malborkowi. Ta informacja mogła przesądzić o losach wojny.

– Na prawym.

– Jesteś pewien?

– Tak. Inwazja pójdzie przez ziemię chełmińską.

Lichtenstein pokiwał głową. To oznaczało, że Polacy chcą odzyskać ujście Wisły, całe Pomorze z Gdańskiem. To zrozumiałe. Bez dostępu do morza Polska nie będzie się liczyła w świecie. Ziemię chełmińską z kolei zajmą ze względów strategicznych. Armia, która posuwa się w głąb wrogiego kraju, musi osłonić tyły, choćby po to, żeby chronić transporty z żywnością.

– Jagiełło pociągnie prosto na Malbork, panie – ciągnął Kitnowski. – Nie będzie mógł rozpraszać sił na oblężenia, dlatego jaszczurkowcy zamierzają opanować jak najwięcej pruskich miast i zamków, usunąć z nich krzyżackie garnizony.

– To te rozkazy przywiózł wam Zawisza do Gdańska?

– Tak.

Karol domyślał się, że Towarzystwo Jaszczurcze stanowi zagrożenie dla zakonu, ale w najczarniejszych myślach nie przewidywał, że aż tak duże. Czytał ich statut wiele razy. Zawsze zastanawiała go ta „tajemnica”. Teraz już rozumiał: chodziło o oderwanie ziemi chełmińskiej od państwa krzyżackiego i poddanie jej na powrót Polsce. Jaszczurkowcy chcieli uśmiercić zakon. Wygnać Krzyżaków z Prus i zaprowadzić tam polskie panowanie. Oto ich „tajemnica”.

– Jak przejdą Wisłę? – spytał Lichtenstein. – Tam nie ma brodów.

– Mają przerzucić jakiś most. Nie znam szczegółów.

– Most? Bzdura! Ile by to trwało!

– Mówię, co słyszałem.

– Co jeszcze postanowiono na tej naradzie?

– Jagiełło będzie chciał zmusić Krzyżaków, żeby wyszli w pole z całą potęgą i zagroździ mu drogę. Zamierza wszystko rozstrzygnąć w walnej bitwie.

– Jest bardzo pewny siebie – prychnął Lichtenstein.

– Tak, panie. Jagiełło zakłada, że zbierze większą armię.

Jurgen nerwowo się poruszył. Odwrócił głowę w stronę siedzącego na łożu Lichtensteina ciekawo jego reakcji.

– Czyli kluczem do zwycięstwa jest niewydanie bitwy Polakom? – spytał komtur. – I zamknięcie się w zamkach?

– Tak! Tyle że Jagiełło i jego doradcy są pewni, że Ulryk von Jungingen wyjdzie w pole.

– Tak dobrze go znają?

– Staszko z Bolumina, zaufany pokojowiec Ulryka, jest polskim agentem.

Werner parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Tak samo Bartłomiej z Boreszewa – dodał Kitnowski.

– Któż to? – spytał Lichtenstein.

– Medyk, panie. Polak z pochodzenia, dziekan kapituły warmińskiej, zaufany dyplomata Ulryka i jego osobisty lekarz. Polacy często wypytyują go o wieści z Malborka, ale też o zachowanie Ulryka. Takie zwyczajne, codzienne. Na tej podstawie przewidują, co zrobi. Uważają go za... wojennego ciemięgę. Potrafią przewidzieć jego reakcje. Dlatego ten lekarz bardzo dba o zdrowie Ulryka. Polacy nie chcą innego wielkiego mistrza.

Lichtenstein oparł się gwałtownie o ścianę, wyciągnął nogi na łożu. Brudne od błota obcasy zostawiły smugę na jasnej narzucie. Po raz kolejny dzisiejszego wieczoru poczuł dojmujące upokorzenie. Pokojowiec i lekarz Ulryka? Na rany Chrystusa! Milczał. Czekał, aż ochłonie.

– Coś jeszcze? – zapytał w końcu.

– Najrozsądniej byłoby zamknąć się w zamkach i miastach i bronić ich do upadłego. Tak jak mówiłeś, panie – powiedział Kitnowski. – I czekać, aż z południa wkroczy Zygmunt węgierski. Wtedy wyleźć z zamków i wziąć Polaków i Litwinów w dwa ognie. Jagiełło boi się tego. Jeśli zakon tak postąpi, wygra wojnę.

– I mówisz, że Polacy...

– Przewidują, że duma nie pozwoli Ulrykowi chować się za murami, że nie będzie chciał dopuścić do plądrowania Prus. Wielki mistrz przywykł do zwycięskich najazdów. I do tego, że to on sieje strach... No więc Polacy sądzą, że zakon wyda im bitwę w otwartym polu. I że ją przegra.

Lichtenstein przyznał w duchu, że ta diagnoza jest słuszna.

– A co z południem? Co z Zygmuntem? – dopytywał.

– Nie wiem. To nie dotyczy jaszczurkowców. Ryński nie dostawał żadnych pism w tej sprawie. Na pewno Polacy będą musieli zostawić jakieś odwody na południowej granicy.

– Jakimi odwodami Jagiełło chce zatrzymać trzydzieści tysięcy zbrojnych?

– Nie wiem – powtórzył Kitnowski. Lichtenstein mu uwierzył.

A zatem polski król uznał, że manewrem, który pozwoli mu wygrać wojnę, będzie szybki marsz na Malbork! Nie powolne zajmowanie terytorium Prus, ale błyskawiczny cios prosto w serce.

Ten plan był prosty i logiczny. Był genialny.

Po pierwsze, Jagiełło będzie miał przewagę zaskoczenia. A to na wojnie bezcenne. Ulryk na pewno nie spodziewa się po Polakach takiej przebiegłości. Po drugie, to Jagiełło będzie stroną atakującą. On przejmie inicjatywę, a Ulrykowi pozostanie tylko obrona i cofanie się. Że to źle, wie każdy, kto choć raz potykał się na miecze. Po trzecie, wojna spustoszy Prusy, a nie

Wielkopolskę, nie mówiąc o Małopolsce. Po czwarte i najważniejsze – Jagiełło zmusi zakon do wydania mu walnej bitwy. Nie trzeba być geniuszem strategii, by przewidzieć, że wygra ten, kto przyprowadzi więcej wojsk. Ulryk von Jungingen właśnie podarował Jagielle dziewięć miesięcy na ich zebranie...

Zakon znalazł się w śmiertelnej pułapce.

Podczas tłumienia buntu w Gdańsku Lichtenstein widział w oczach ludzi nienawiść. Zawładnął nimi strach i opuścili broń. Ale co będzie, jeśli Jagiełło z dużą armią wkroczy do Prus? Jak zachowają się mieszkańcy miast?

– I jeszcze jedno. – Kitnowski wyrwał go z rozmyślań. – Polska armia ma w Prusach krwawo znaczyć szlak. Takie będą oficjalne rozkazy. To ma jeszcze szybciej skłonić wielkiego mistrza do wydania bitwy!

Lichtenstein ciężko westchnął. Był wstrząśnięty i tego nie ukrywał.

– Skąd to wszystko wiesz? Dlaczego wcześniej milczałeś? – zapytał ostrym tonem.

– Zostałem niedawno sekretarzem Ryńskiego. Uczestniczę teraz we wszystkich spotkaniach z polskimi kurierami, którzy przywożą rozkazy. Przepisuję je. Rozsyłam.

Komtur pokiwał przytakująco głową na znak, że przyjmuje to wyjaśnienie. Może w swoich słowach młodzieniec zawarł trochę domysłów, ale układały się w przerażającą, logiczną całość.

– Nagroda cię nie minie – oznajmił Kitnowskiemu, gdy się żegnali. – Pozew o konie zostanie wycofany. I tak jak obiecałem, umorzemy kredyt. To dwieście grzywien. Nigdy zakon nie zapłacił szpiegowi takich pieniędzy. Doceń naszą hojność.



Była północ, gdy wchodził do swej komnaty na zamku. Nie zamierzał czekać do rana. Wezwał strażnika i kazał przyprowadzić Guntera Salzę. Świadomość, że ma w rękach klucz do wygrania wojny, rozpałała mu głowę.

Nim Salza stawił się w skrytorium, Lichtenstein miał już gotowy list. Wręczając go knechtowi, nie powiedział wszystkiego. Nie było czasu ani potrzeby. Oznajmił tylko, że pismo, które powiezie, zapewni im dostatek aż po kres żywota, oby odległy.

Pozostało jeszcze wskazanie adresata...

Tyniec–Tęczyn, zima roku Pańskiego 1409

Pewnego zimowego poranka jeden z tynieckich mnichów pracujących dla tajnych służb przyniósł bratu Mikołajowi dwie kartki papieru. Uznał, iż to na tyle ważne, że wywołał go z kaplicy. Jedna z nich zawierała tekst napisany w języku przypominającym łacinę, na drugiej znalazło się jego tłumaczenie. Brat Mikołaj uważnie przeczytał je do końca. Mimo nawału pracy rzucił wszystko, dosiadł konia i nie zważając na mrozy, pognął czym prędzej do Tęczyna.

Należał do grona kilkunastu osób w królestwie, które były anonsowane staroście Andrzejowi bez zwłoki, niezależnie od godziny. Tym razem przybył w porze posiłku. Tęczyński przeprosił współbiedników i udał się do prywatnych komnat, gdzie czekał już na niego zakonnik.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł na powitanie brat Mikołaj, skłaniając głowę.

– Na wieki wieków, bracie – odparł Tęczyński. – Rozumiem, że sprawa jest pilna...

Zakonnik podał Tęczyńskiemu obie kartki.

– Ten list... wywołał panikę wśród moich ludzi.

Tęczyński odsunął pismo od oczu na długość ramienia, by przeczytać drobne litery.

– To po...

– Aragońsku.

– Co to jest?

– List od Ayhe do Aarona – odpowiedział zakonnik.

Starosta rzucił mu pytające spojrzenie.

– Zerknij, panie, na kartkę z tłumaczeniem.

Tęczyński przełożył kartki i próbował czytać. Mrużył jednak oczy i co chwila wykrzywił twarz.

– Zgodnie z rozkazami, sprawdzamy wszystkie pisma, które przychodzą do Aarona – przypomniał zakonnik. – Żaden kurier się nie prześlizgnie.

Starosta pokiwał głową i oddał mu list.

– Za drobne litery! Co ten tłumacz wyprawia? Zatrudniacie krasnali?

Mikołaj nie odpowiedział.

– Ty to czytałeś?

– Tak, panie, starannie.

– Cóż więc pisze nasza gołębica?

– Chce się z Aaronem umówić na spotkanie.

– Gdzie?

– W tartaku Mikołaja Menczela, koło Łomży.

Tęczyński cofnął głowę i zrobił pytającą minę.

– To sprytnie... – tłumaczył brat Mikołaj. – Menczel to nasz agent, nasz i Witolda. Ale wiemy od kilku miesięcy, że zdradził i przeszedł na krzyżacką stronę.

– Nie wiedziałem, powinienem chyba...

– Była o tym wzmianka w raporcie. Ale to teraz nieistotne. Uważam, że ten list to pułapka zastawiona na Aarona – oświadczył zakonnik.

– Pułapka... albo są w zмовie.

– Nie, nie, to wykluczam. Przechwyciliśmy też jego list z odpowiedzią. Nic nie wskazuje na zмовę.

– No to co tam jeszcze oboje piszą?

– Dużo o... miłości, panie.

– To znaczy?

– Myślę, że ona go naprawdę kocha. Bije z tych słów uczucie.

– Sentymentalny się robisz na starość.

– Przypuszczam, że jest szantażowana, panie. Stąd ten Menczel.

Tęczyński zaklął cicho.

– Jeszcze gorzej. Liczy się każdy dzień. Co proponujesz?

– Trzeba by ją uprowadzić... – odpowiedział nieśmiało zakonnik.

– Jeśli dobrze pamiętam, już raz ją porwaliście... Też z Gdańska. I nic dobrego z tego nie wyniknęło.

Starosta zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem. Brat Mikołaj nieraz obserwował, jak Andrzej z Tęczyna ważył ludzkie losy, jak decydował o czymś życiu lub śmierci. Tym razem na wyrok czekał w większym niż zwykle napięciu.

Tęczyński się zatrzymał, po czym oznajmił krótko:

– Trzeba się jej pozbyć.

Brat Mikołaj potrząsnął przecząco głową.

– Żal, panie. To niezwykła kobieta! A poza tym to by była... Wybacz, panie, określenie... podłość.

– Podłość? – Starosta spojrział na zakonnika z niedowierzaniem. – Cóżes taki defensor? Ona za dużo wie! – dodał ostro. – Jest wojna, do kroćset!

W bracie Mikołaju wezbrało gorzkie jak piołun poczucie żalu i niesprawiedliwości. I winy, bo czegoż się spodziewał, przyjeżdżając tu z tym listem?

– Mam porozmawiać z Aaronem? – spytał głucho.

– Nie!

– Co zamierzacie, panie?

– Poślę do Gdańska Przeborą. Bo to będzie cholernie trudne zadanie...

– Ale co z Aaronem? – nalegał Mikołaj. – Odwołamy jego kontrakt?

– Wtedy jego też musielibyśmy zakopać w ziemi – zastanawiał się głośno Tęczyński. – Nie możemy przerwać dostaw do stoczni. Król nalegał, żeby to jemu zlecić. Tu bez zgody Jagiełły nic nie zrobię. – Przysiadł na krawędzi stołu i zamilkł na dłuższą chwilę. – Ayhe podejmuje próbę werbunku, to chyba oczywiste! – rzucił nagle, jakby dopiero teraz uświadomił sobie ciężar wyroku i szukał dlań uzasadnienia.

– Porwaliśmy ją i jej dziecko... Zabiliśmy jej męża – wyliczał zakonnik. – Służyła nam wiernie...

– Mój ojciec bardzo cenił Zawiszę, kochał jak syna – przerwał mu starosta. – Ale mówił, że ma rycerskie serce. I że nie powinien się z nami zadawać. Że przez tę swoją prawość jest niebezpieczny. Teraz mi go przypominasz! – Tęczyński zniżył nagle głos, choć byli w izbie sami. – Każę Przeborowi zbadać sprawę na miejscu. Niech siedzi w Gdańsku choćby i tydzień. On zna się na tym. Jeśli nie będzie pewności co do jej winy, nie tknie jej.

Mikołaj skłonił głowę w geście wdzięczności.

– I jeszcze jedno – dodał. – Jaroch widział się z Aaronem, był u niego.

– No to pošlę kogoś do śledzenia Jarocho. Już tego nie możemy odkładać.
– Tu trzeba bardzo uważać...
– Mam kilku nowych ludzi, są lepsi od Jarocho, dadzą radę. – Starosta uniósł ręce w geście bezradności. – Na Boga świętego! Zbliża się wojna, a ja muszę słać całe chorągwie najlepszych łowców, żeby śledzili naszych ludzi!
A potem zwrócił się oschle do zakonnika.
– Możesz odejść... Czy jeszcze coś?
– Wiemy już, co oznacza napis „SSGG”.
Tęczyński westchnął.
– Te litery ze sztyletu, które znaleziono przy zwłokach?
– Tak, panie. Wyjawił mi to Aaron... Specjalnie pofatygował się do Tyńca.
– No i?
Brat Mikołaj w kilku zdaniach wyjaśnił, czym jest Liga Świętego Sądu.
– Wstyd, że sami na to nie wpadliśmy... – dodał na koniec.
– *Stein, Strick, Grass, Grün...* kamień, sznur, trawa, zieleń – powtarzał Tęczyński. –
Twoi szyfranci coś tu znaleźli? Jakiś sens?
Mikołaj rozłożył ręce.
– Wydaje się, że to przypadkowo wzięte słowa... Ale dowiedziałem się czegoś więcej. Jak już wiedziałem, gdzie szukać... Otóż, skoro oni wydają tylko wyroki śmierci, to dlaczego nie na Zawiszę, tylko na jego żonę? Dlaczego powiesili biednego Kurta i tego stajennego, Gabora? To ludzie Bogu ducha winni. Ale za to bardzo bliscy Zawiszy. Cała trójka. Moim zdaniem wyrok został wydany na Zawiszę! Podobno w nadzwyczajnych okolicznościach wykonanie wyroku można zawiesić. Wówczas nie zabija się skazańca, ale wymierza mu się karę, przenosząc wyrok na bliskie mu osoby. Skąd tak dobrze znają Zawiszę? Dlaczego zdecydowali się akurat na te osoby? Nie mam pojęcia. – Zakonnik zamilkł, czekając aż Tęczyński coś powie. Ale ponieważ ten milczał, mówił dalej: – Sędziowie musieli się czymś kierować przy wyborze ofiar. Najpewniej zeznaniami świadków. Ale to tylko domysły. W każdym razie liga dopuszcza taką możliwość. Zawieszenie wyroku może się odbyć tylko na wniosek jednego z dwunastu mędrców.
– Mędrców?
– To kasta wtajemniczonych, elita ligi.
– Brzmi to wszystko... dziwacznie – mruknął Tęczyński.
– Dotąd liga nie działała poza Niemcami. W Polsce nigdy, dlatego tak długo błądziliśmy
– rzekł brat Mikołaj. I zapytał: – Mogę się tym podzielić z Aaronem? To w końcu on nas nakierował na ten trop...
– Nie! – sprzeciwił się Tęczyński stanowczym tonem. – Jak najmniej rozgłosu... Powinniśmy byli sami to odkryć... Już dawno!
– Tak, panie, wstyd – powtórzył zakonnik.
– O co może w tym chodzić?
– Nie wiem – odparł Mikołaj. – Myślę, że stoją za tym Krzyżacy. Taki tajny wyrok wykonany na sławnym rycerzu, ulubieńcu Jagiełły, zrobiłby wrażenie.
– Ale go nie wykonali!
– Ktoś bardzo wpływowy go ocalił. Chociaż trudno to nazwać ocaleniem...

Kraków, zima roku Pańskiego 1410

W lutym 1410 roku polskie poselstwo z biskupem poznańskim Wojciechem Jastrzębcem na czele przybyło do Pragi na ogłoszenie rozjemczego wyroku. Nikt w polskiej delegacji nie łudził się, że przekupiony krzyżackim złotem Wacław Luksemburski może wydać wyrok korzystny dla Polski.

Stało się, jak przewidywali. Wacław orzekł, iż Krzyżacy mają zwrócić Polsce ziemię dobrzyńską, ale dopiero po opanowaniu przez zakon Żmudzi. Gdyby Żmudź nadal opierała się zakonnemu władztwu i nie udałoby się jej pokojowo przyłączyć do zakonnych Prus, ziemia dobrzyńska miała przejść we władanie krzyżackie. Do czasu rozstrzygnięcia kwestii żmudzkiej sporną ziemią dobrzyńską miał zarządzać przedstawiciel czeskiego króla Benesz von Donyn.

Polakom nie pozostawało nic innego jak poszukać odpowiedniego pretekstu, aby orzeczenia nie uznać. Gdy zaczęto odczytywać wyrok po niemiecku, polscy posłowie poczęli domagać się tekstu po łacinie, gdyż, jak oświadczyli, języka niemieckiego nie rozumieją, co było, rzecz jasna, nieprawdą. Następnie, nie bacząc na próby zatrzymania ich przez Wacława, prośby, by przyjęli wyrok w języku czeskim, opuścili obrady, nie wysłuchując orzeczenia do końca, przez co nie nabrało ono mocy wykonawczej.

Rojek, który mi to wszystko relacjonował, nie wiedział, czy Polacy podejmowali jakieś mniej lub bardziej dyplomatyczne starania, by wpłynąć na werdykt czeskiego monarchy. Wiedział za to, że Krzyżacy zapłacili temu, jak się wyraził, „czeskiemu psu” sześćdziesiąt tysięcy złotych węgierskich.

Do tego jak zawsze dochodziła sprawa korony Rzeszy, o którą Wacław chciał walczyć równie zaciekle jak jego brat Zygmunt. Wziąwszy pod uwagę powiązania zakonników z elektorami Rzeszy, Wacław nie mógł sobie pozwolić na drażnienie Malborka i orzekł to, co orzekł. Nie miał wyboru.

Rojka bardziej niż Wacław martwił drugi z Luksemburczyków – Zygmunt. Wszyscy w Krakowie zachodzili w głowę, jak zachowa się węgierski król: czy dotrzyma umowy z zakonem i uderzy od południa na Polskę, czy też uda się naszej dyplomacji przekonać go do pokoju albo przynajmniej do jakichś pozorowanych działań. Wszystkich paraliżował strach na myśl o wojnie na dwa fronty z tak potężnymi przeciwnikami.



Realizacja kontraktu dla królewskiej stoczni przebiegała bez zakłóceń. Ściśle trzymałem się otrzymanych instrukcji. Jedyny problem stanowiła skala zamówienia i krótki czas na jego wykonanie. By zapewnić terminowe dostawy, musiałem zatrudnić dodatkowych pracowników i zerwać zawarte wcześniej umowy. Do każdego z moich czterech tartaków posłałem zaufanego człowieka, który na miejscu pilnował jakości i terminowości robót. Żaden z nadzorców nie wiedział o pozostałych tartakach. To wszystko kosztowało. Jordan zgodził się finansować – niechętnie – zaledwie trzecią część kosztów. Resztę musiałem pokryć z własnej kieszeni. Gdyby

Jagiello przegrał tę wojnę, byłbym jedną z jej najkrwawszych ofiar!

List od Ayhe sprawił, iż pomysł poślubienia Doroty, z którym nosiłem się od jakiegoś czasu, wydał mi się niedorzeczny. Gorączkowo szykowałem się do wyjazdu na północ. Ayhe dokładnie opisała mi miejsce, gdzie chciała się ze mną spotkać: w tartaku na prawym brzegu Narwi, trzy kilometry na północ od Łomży. Celowo wybrała tartak, bym mógł łatwo swą profesją usprawiedliwić podróż.

Zawisza mnie uprzedzał, iż każdy wyjazd z Krakowa będę musiał zgłaszać do Tęczyna za pośrednictwem któregoś z łowców. Uznałem to wówczas za zwykłą formalność, nie przypuszczałem, że może mnie spotkać odmowa. A jednak to się stało. Gdy nie pozwolono mi na opuszczenie Krakowa, wpadłem w rozpacz i wściekłość. Nic się dla mnie nie liczyło, nie było na tej ziemi istoty ani rzeczy, której nie poświęciłbym, byle tylko móc zobaczyć się z Ayhe. Lecz wobec moich strażników okazałem się bezradny. Jak miałem przechytryć łowców?

Wokół mojego domu zawsze kręciło się ich kilku; przestali się już z tym kryć. Zdałem sobie sprawę, że śledzą każdy mój krok. Kto wie, może nawet czytają moje listy? Zostałem otoczony ochronnym kordonem jak zbój, albo zakładnik, albo dostojnik zagrożony zamachem. Nieważne. Zostałem zniewolony!



Dwaj mężczyźni z Dortmundu już od dwóch tygodni znali adres zamieszkania Aarona Abnarrabiego. Śledzenie go nie nastroczało trudności. Problem pojawiał się za każdym razem, gdy chcieli zakraść się do jego domu i załatwić sprawę. Mieszkał tylko z jakąś kobietą i kilkoma bachorami, więc powinno pójść jak z płatka. Ale nie poszło. Odkryli ze zdumieniem, że ich ofiara, czwarta na liście, czyli przedostatnia, jest... pod ochroną. I to nie byle jaką ochroną. Sześciu, siedmiu... nawet nie żołnierzy, ale jakichś nadzwyczaj bystrych, szybkich, poruszających się jak rysie młodzieńców.

Po raz pierwszy w swej karierze mężczyzna w czerwonych spodniach podjął decyzję o chwilowym odstępianiu od wykonania wyroku. Nie powieszają tego człowieka teraz. Takie były zasady. Nie wolno im się było narażać ponad miarę. Zdecydowali, że udadzą się najpierw do Gdańska, by wykonać zlecenie numer pięć, a potem wrócą do Krakowa. Przecież w końcu zdejmą tę ochronę. Aaron Abnarrabí... Kim on jest u diabła, że nawet przez dach nie sposób się do niego dostać? Nawet na ulicy za nim idą! Nikt ich nie uprzedzał, że mogą spotkać się z czymś takim. Powiedzieli im tylko, że jest Żydem. Tak to właśnie jest z tymi Żydami, zawsze jakieś kłopoty, ale to nie tłumaczyło wszystkiego.



Poczułem ulgę, gdy w moim domu zjawił się wreszcie Jarocho. Przekazałem mu informacje od Jordana o opóźnionej wypłacie. Nie zapytałem o pochodzenie pieniędzy, a on niczego nie komentował.

A potem przytoczyłem słowo w słowo to, co o Lidze Świętego Sądu powiedział Jordan. Jarocho i to przyjął ze spokojem.

- Trzeba ostrzec Sulimę – powiedział tylko.
- Nikogo więcej?
- Kogo masz na myśli?
- Dużo o tym rozmyślałem... Hanna, Kurt, Gabor... Zawisza sercem i duszą był zawsze przy nich... Jak przy nikim innym. Skoro ta liga to rodzaj sądu, to może ich śmierć to kara? Dla

niego, nie dla nich... Tylko, na Boga, za co?

Jaroch pokręcił głową.

– Mówisz, że to niemiecki sąd... Trochę by się tego uzbierało... I win, i wrogów.

Śląsk, zima roku Pańskiego 1410

Po kilkudniowym pobycie w Krakowie i odebraniu rozkazów z Wawelu i Tęczyna Jaroch udał się na Śląsk, gdzie już od jakiegoś czasu na polecenie Jagiełły przebywał Zawisza.

Mimo że król Wacław stwarzał oficjalnie pozory, iż w sporze Polaków z Krzyżakami stoi po stronie tych drugich, to zezwolił na aktywność polskich werbowników na czeskiej ziemi.

W Czechach i na Morawach Jagiełło liczył głównie na wpływowego czesko-morawskiego możnowładcę Lacka z Kravař, z którym już wcześniej utrzymywał kontakty i który darzył Polskę i jej władcę szczerą sympatią. Zawisza doskonale znał Czechy i Morawy – mentalność tamtejszych ludzi, ich zwyczaje, polityczne stosunki. Kilka lat temu brał udział w walkach toczonych na tych ziemiach pomiędzy margrabiami morawskimi Prokopem i Jostem. Wszyscy w tamtych stronach znali i cenili Sulimę jako rycerza, dowódcę i werbownika.

Zawisza i towarzyszący mu królewscy wysłannicy przybyli do Brna na początku drugiego tygodnia stycznia. Odbywało się tam właśnie posiedzenie sądu ziemskiego, w którym uczestniczył także Lacek. Ten przedstawił polskiego rycerza staroście ziemskiemu Heraltowi z Kunštátu. Polacy, wykorzystując sprzyjającą okoliczność, ogłosili warunki zaciągu do polskiej armii. Heralt przyjął propozycję Polaków z radością. Zawisza dobrze znał większość kapitanów, więc starosta spodziewał się, że zbrojni staną ochoczo do zaciągu. Wszyscy, z Heraltem na czele, liczyli na zarobek, a miejscowe władze na pozbycie się grasujących bez zatrudnienia żołdaków, którzy sprawiali coraz więcej kłopotów.

Kilka dni później podczas jednego z posiedzeń sądu ziemskiego w refektarzu brneńskich dominikanów Zawisza spotkał się z miejscową szlachtą. Potwierdzono warunki zaciągu, który jeszcze tego samego dnia został oficjalnie ogłoszony. Sulima był wielce rad, gdy dowiedział się, że jako jeden z pierwszych spośród morawskich szlachciców wstąpił na polską służbę Jan Sokół z Lamberka. Zawisza cenił jego wojskowe umiejętności i od razu zaproponował na dowódcę morawskich najemników.



Jaroch przybył do Brna na ostatnie dni zaciągów. Zastał Sulimę w jednej z karczem, gdzie odbywał się tego dnia werbunek. Pisarze spisywali krótkie kontrakty przy kilku stołach. Zawisza gestem zaprosił Jarocha do wolnego stołu w głębi karczmy. Dopiero tam uścisnęli się na powitanie.

Rycerz wykrzyknął coś w stronę szynkwasu.

– Głodny? Zaraz nam coś podadzą.

– Głodny – oparł łowca. – Mogę od razu mówić?

– Jak dobre wieści, to od razu. Jak złe, to poczekaj, aż zjem. Od rana kęsa w ustach nie miałem. Łowię tu żołnierzy, jak święty Piotr ryby.

– Złe...

Zawisza głośno zaklął.

- Mów, pogańska zakało...
- Tęczyński wydał rozkaz zabicia Ayhe.
- Za co? – zapytał krótko rycerz.

Podszedł do nich karczmarz, ale Zawisza odprawił go ruchem ręki, nawet nie odwracając głowy.

– Zdaje się, że coś odkryli... Tęczyński podejrzewa, że Krzyżacy ją przekupili. Napisała dziwny list do Aarona. Jakby go chciała w coś wciągnąć. Aaron ma ten kontrakt... Wiesz, jak cały Wawel się trzęsie, żeby to zachować w tajemnicy...

Zawisza oparł się gwałtownie o ścianę. Zaczęły mu pulsować skronie.

– Jeśli to zrobi – syknął – wyjawię całemu światu prawdę o Cylejskiej.

Jaroch się przeżegnał.

– Wywołam wojnę w kraju, ale nie dbam o to. Jak on śmie wydawać wyrok na Ayhe? Wie dobrze, kim ona dla mnie jest! Robi to, żeby mnie sprowokować. I tym razem mu się uda! Mów, co wiesz.

– Jakiś zaufany łowca Tęczyńskiego jest już w drodze.

– Znasz go?

– Słyszałem o nim. Nazywa się Przebor. Jest młody, ale już sławny. Przezywają go Lisem.

– Mało oryginalnie.

– Ale, zdaje się, prawdziwie. Specjalizuje się w takich zadaniach...

– Weź kilku ludzi i ruszaj do Gdańska od razu. To rozkaz!

– Za późno – odparł ponuro Jaroch. – On już tam jest.

Gdańsk, zima roku Pańskiego 1410

Tęczyński posłał do Gdańska trzech łowców. Najważniejsze zadanie otrzymał Przebor: miał wejść do miasta i uśmiercić Ayhe, jeśli ustali ponad wszelką wątpliwość, że kobieta dopuściła się zdrady. Dwóch pozostałych miało pozostać poza murami.

Tęczyński zdawał sobie sprawę, że zabicie Ayhe będzie wypowiedzeniem wojny Zawiszy. Ale nie miał wątpliwości, że postępuje słusznie. Jeśli Ayhe przeszła na stronę Krzyżaków, musi ponieść karę. Dlatego wysłał Przebora, najbardziej doświadczonego i roztropnego łowcę, który uniesie odpowiedzialność, jaką złożono na jego barki. Miał obserwować Ayhe tak długo, jak uzna to za konieczne.



Dwaj mężczyźni podeszli pod bramę wejściową do szóstego domu po lewej stronie ulicy Ławniczej. Wszystko się zgadzało. To już przedostatnia mizerykordia do wbicia. Włóczyli się po Prusach, Polsce i Węgrzech prawie dwa lata. Najpierw trzeba było odszukać skazańca, potem zacząć się i czekać na odpowiedni moment. I to wszystko w obcych krajach i w niespokojnych, wojennych czasach. Dlatego tak długo to trwało. Nie mieli też doświadczenia w misjach za granicą. Rzadko bowiem wykonuje się wyroki poza niemieckimi krajami. Może nie uporali się tak szybko z zadaniami, jak powinni, ale i tak czuli satysfakcję z ich wykonania. Byli specjalistami w wieszaniu. Trup to trup. Nieważne, w jakim języku mówił za życia. Wykonywali wyroki tam, gdzie różni złoczyńcy, spryciarze wywinęli się sprawiedliwości.

W przypadku stajennego pozwolili sobie na odrobinę szaleństwa. Urządzili niezłą zabawę. Tym bardziej że nie mieli pewności, czy podpalają właściwego stwora. Mężczyzna w czerwonych spodniach, który pełnił funkcję dowódcy, ufał, że liga wybaczy im to odstępstwo od zasad.

Najbardziej dłużyło się im czekanie na Kurta. Cały miesiąc wyczekiwali, aż gówniarz wróci do Gdańska. Tak bardzo byli tym zmęczeni (Gdańsk nie przypadł im do gustu), że powiesili go zaraz pierwszego dnia, gdy tylko się zjawił. Teraz ta kobieta, potem powrót do Krakowa, i wreszcie będą mogli wrócić do Dortmundu. Do żon, do dzieci. Wysłuchać mszy po niemiecku, jak Pan Bóg przykazał.

Tym razem postępowali ściśle według zasad. Żadnych szaleństw. Wystarczył tydzień obserwacji i wszystko było jasne. Kobieta mieszkała w dużym domu sama. Jeszcze tak łatwo nie mieli. Wyglądało na to, że to zadanie pójdzie im najsprawniej. Zamierzali się z nim uporać w sobotę w nocy. Tak aby wyruszyć w drogę do Krakowa zaraz po pierwszej porannej mszy. Sprawdzili, że najbliższy kościół znajduje się po drugiej stronie szerokiej ulicy nazywanej Długim Targiem. Patronowała mu Najświętsza Panienska. Matka komisarza miała na imię Maria. Zawsze przed akcją szukali jakiejś wskazówki, dobrej wróżby. Tym razem dostali ją jak na tacy: Maria–Maria. Wszystko na pewno pójdzie dobrze.

Drzwi otworzyli bez kłopotów. Weszli po schodach, poruszali się po ciemku; kilka dni

wcześniej włamali się już do tego domu pod nieobecność właścicielki i wszystko sobie pomierzyli. Zabrali ze sobą hak, który zamierzali wkręcić w powałę. Sprawdzili belkowanie – było wystarczająco solidne, by udźwignąć postawną niewiastę. Za pomocą hubki i krzesiwa zapalili knot w kaganku. Ze świecątkiem w ręku weszli do sypialni. Komisarz przybliżył kaganek do twarzy kobiety. Spała mocnym snem. Regularne rysy zachwyciły mężczyznę w czerwonych spodniach. Miał talent do rysunku. Lubił szkicować twarze, zwłaszcza z profilu. Wiele czasu spędził na analizowaniu fenomenu kobiecej urody, doszedł do kilku ciekawych wniosków. Twarz śpiącej była bliska ideału.

Szturchnięcie przywołało komisarza do rzeczywistości. Odsunął się od łóżka, by zrobić miejsce towarzyszowi. Ten jako silniejszy wziął zamach i uderzył śpiącą niewiastę pięścią w skroń. Głowa odskoczyła jak piłka.

Postanowili, że kobieta ma być powieszona bez ubrania. Zdarli z niej nocną koszulę. W ich nozdrza uderzył ciepły, słodkawy zapach kobiecego ciała. Komisarz, czując mrowienie w łydźwiach, wyszedł na chwilę do głównej izby, żeby uwolnić się od pokusy i opanować żądze. Ze złością wbił mizerykordię w komodę. Nie była tu zbyt widoczna, ale i tak ją znajdują... Wrócił do sypialni spokojniejszy. Wyjęli z worka sznur. Komisarz zamierzał wkręcić hak w powałę, więc uniósł kaganek nad głowę, by rozejrzeć się za jakimś taboretym.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Ni stąd, ni zowąd rozległ się dziwny świst. W niewielkiej jasnej przestrzeni wyciętej z ciemności przez wąty płomień kaganka pojawił się nagle drąg rozpędzony jakąś nieludzką siłą. Trafił komisarza w szczękę z taką mocą, że prawie urwało mu głowę. Kaganek upadł na podłogę, ale zrzędzeniem losu nie przygasł. Mężczyzna w czerwonych spodniach dostrzegł sylwetkę wysokiego, postawnego mężczyzny, wzrostem równego komisarzowi. Za późno, by dobyć puginał spoczywający w pochwie u pasa, bo tamten już zdążył unieść piekielne narzędzie. Za późno nawet na unik. Zdołał jedynie pomyśleć, że jednak przecucie go nie myliło. Coś z tymi babami jest nie tak. Podziwiał ludzi, których nie zawodziła intuicja. Przebłysk satysfakcji, że i on się do nich zaliczał, był ostatnią myślą w jego życiu.



Przebor przeklinał swój los. W tym parszywym, zimnym mieście prześladował go pech. Niepotrzebnie się wtrącał. Może to klienci? Choć na takich nie wyglądali. Poza tym miał informacje, że ona już od dawna nie para się tą profesją. Któż więc u diabła to był? Ktoś z krzyżackiego wywiadu? Też nie. Po co zakradałby się w środku nocy?

Uroda kobiety wywarła na łowcy tak silne wrażenie, że nie mógł nie stanąć w jej obronie. Rozkaz brzmiał: obserwować. Na taki obrót sprawy nie był przygotowany. Działał jednak tak, jak podpowiedziało mu sumienie: nie mógł pozwolić, by dwóch osiłków na jego oczach powiesiło kobietę. To w końcu polska agentka.

Teraz pochylił się nad łóżkiem, by ją zbadać. Była nieprzytomna. Ale wiedział, że za chwilę dojdzie do siebie. Znał się na tym.

Szybko pozacierał ślady. Ściągnął trupy do piwnicy. Było tam chłodno, ale i tak zaczęły cuchnąć, szczury się do nich dobiorą, rozwleką ścierwo. Po chwili namysłu postanowił zakopać ciała. Płytko, żeby zdążyć przed świtem. Gdyby nie mróz, zrobiłby to na podwórku.

Gdy wrócił do sypialni, Ayhe zaczęła się ruszać. Dobry znak. Ciekawe, jak wytłumaczy sobie ból głowy i ten siniak na skroni? No i to, że obudzi się naga?

Gdy zmęczony wyszedł ostrożnie na ulicę, zarysy dachów już wyraźnie odcinały się na tle szarzejącego nieba.

Przebor postanowił spędzić na obserwacji Ayhe jeszcze tydzień.

Przez sześć dni nic ciekawego ani podejrzanego się nie wydarzyło. Co rano kobieta chodziła do portu. Potem wracała do domu. Już wcześniej zdziwiło go, że prowadzi taki samotny żywot. Miała zdaje się syna... Co się z nim stało? I nie miała kochanków? Przyznał w duchu, że cieszy się z takiego obrotu sprawy. Z czystym sumieniem wróci do Krakowa i obwieści, że podejrzenia o zdradę nie mają uzasadnienia. I zdaje się, nie tylko on odetchnie z ulgą.

Przebor postanowił, że w ostatni dzień wytrzyma na sąsiednim dachu do wieczora; powiedzmy, że dla przyzwoitości posiedzi godzinę po zmroku.

I właśnie wtedy, w tę ostatnią godzinę, jakaś zwalista, bez wątpienia męska postać zatrzymała się przed drzwiami domu Ayhe. Weszła bez kołatania. Jak do siebie.

Przebor zaklął w duchu najszpetniej, jak umiał. Wiedział, że teraz musi zostać tak długo, aż ten człowiek wyjdzie z bramy. I pójść za nim.

Łowca spędził w Gdańsku dodatkowych siedem dni. Gdy ostatniego dnia kończył obserwację, nie miał cienia wątpliwości, że gościem, który pojawiał się u Ayhe jeszcze kilka razy o różnych porach, także nocą, był krzyżacki dostojnik, i to wysoki rangą, bo gdy wchodził na zamek, wartownicy podrywali się na nogi i prężyli jak struny.

Przebor musiał teraz wykonać rozkaz, nie miał wyjścia. Ale powziął mocne postanowienie, że po powrocie do Krakowa rzuci tę podłą służbę. Dużo lepsze było uganianie się za zwierzyną po lesie. Tak przez lata zarabiał na życie i jakoś sobie radził.

Łowca splunął w brudną śnieżną bryję zalegającą na ulicy Ławniczej i poszedł się upić. Jutro wykona zadanie.

Gdańsk, zima roku Pańskiego 1410

Idąc w mroźny lutowy poranek do Ayhe, Karol von Lichtenstein zdał sobie nagle sprawę, że – aż przystanął – że się... cieszy. Ostatnio nachodził ją regularnie, mimo to się stęsknił. Roześmiał się na głos, gdy sobie to uzmysłowił. Tak, pociągała go ta kobieta, jak żadna inna do tej pory.

Drzwi wejściowe do sieni zastał lekko uchylone. Wszedł i zamknął je za sobą, ale odskoczyły. Jakby zepsuł się zamek. Sień była wyziębiona. Szron pokrywał poręcz schodów. Dziwne, żeby tak przez jedną noc zdążyło się wychłodzić. Poczł niepokój, który wzmógł się, gdy dotarł do izby na piętrze. Tu także wionęło chłodem... Tak jakby Ayhe nie paliła w piecu od kilku dni.

Znalazł ją w sypialni. Leżała pod skórą. Ręce miała ułożone wzdłuż tułowia, oliwkowe dłonie przybrały kolor ciemnego wrzosu. Uniósł skóry tylko po to, by zobaczyć, jak zginęła. Krwi było niewiele, mała plamka na wysokości serca, żadnych innych śladów przemocy. Szkolony zabójca, pomyślał komtur. Rozejrzał się po sypialni. Nic szczególnego nie zauważył. Wszedł do głównej izby. Na pierwszy rzut oka także nic. Buty stukały po zimnych deskach, jakby były podkute żelazem. Nic? A jednak... Ślad odsuwanej komody, tej, którą Ayhe załaza wodą podczas ich drugiego spotkania. Odsunął ją po tym samym śladzie. Znalazł wbitą w bok mebla mizerykordię z literami „SSGG” na rękojeści.



Śmierć Ayhe sprawiła, że tej nocy Lichtenstein wiercił się w łóżu, marzył, w głowie odzywały się głosy, których dawno już nie słyszał.

Ale nazajutrz o sprawie całkowicie zapomniał, ponieważ do Gdańska powrócił Gunter Salza. Przywoził dobre wieści. Po złożeniu głębokiego ukłonu na powitanie zawołał:

– Wszystko gotowe, panie. Godzą się na twoje warunki...

Lichtenstein kiwnął tylko głową, choć w głębi duszy miał ochotę podskakiwać z radości jak dziecko.

– Świetnie, świetnie – powtórzył kilka razy.

Gunter wręczył mu listy, które otrzymał na drogę powrotną. Lichtenstein przeczytał je uważnie, a potem przez kilka pacierzy nie odezwał się słowem, tylko słuchał relacji knechta z podróży i spotkań, jakie odbył.

– A i ja mam wieści – powiedział, gdy Salza skończył. – Johann von Schönfeld już wcześniej obiecał mi rehabilitację. Wiesz, że nie łągał? Podobno teraz nadeszły decyzje z Malborka: mam wziąć udział w wojnie, będę mógł się zemścić na Polakach na polu bitwy. Wielki mistrz zamierza dołączyć mnie do chorągwi gościnnej. Będą rycerze z Niemiec, z Francji i ja. Mam się stawić w Engelsbergu. Tam się zbierają. Kwaterę urzędzą mi na zamku w Świeciu.

To była prawda. Lichtenstein nie wiedział, co o tym myśleć. Podejrzewał Johanna von Schönfelda o kłamstwo, gdy mówił po raz pierwszy o wstawieniu się za nim u wielkiego mistrza.

Ale teraz pisma z konkretnymi rozkazami przysły z samego Malborka. I nie było mowy o fałszerstwie.

Ostatecznie Karol doszedł do wniosku, że sprawy mają się następująco. „Przed wszystkim o śmierci Jukosa praktycznie zapomniano; w Malborku już nikt do tego nie wracał. Schönfeld uznał, że w tej kwestii będę trzymał język za zębami” – analizował w myślach zakonnik. „Do tego doszły nowe okoliczności. Na zamku w Gdańsku krążyła już coraz głośniejsza plotka o moim powrocie. Prędzej czy później dotarłaby do Malborka. Schönfeld przegapił moment, kiedy mógł mnie po cichu usunąć. Jeszcze jesienią... tuż po wpadce z Jukosem było to możliwe. Teraz podniosłoby się za dużo kurzu. Schönfeld nadal pragnie mojej śmierci, ale zgon na zamku, w infirmerii czy w celi, ściągnąłby na niego podejrzenia. Śmierć na polu bitwy... już nie. W bitewnym zamieszaniu najłatwiej pozbyć się kłopotu. Schönfeld nie byłby pierwszym, który użył tego przepisu na beztróskie życie”.

– Trochę późno... – mruknął knecht, wyrывая Lichtensteina z rozmyślań.

Obaj się roześmiali.

– Umów spotkanie z Jurgenem i Brechtem – rozkazał były komtur. – I powiedz im, że czas ujawnić Malborkowi, co wiemy. Ku chwale zakonu...

Knecht się nie poruszył.

– Co tak stoisz?

– Mam im tak powiedzieć?

– Jak słyszałeś.



Spotkanie było umówione w tym samym zamczysku co ostatnio. Nawet pokój miał być ten sam. Burdele miały tę zaletę, że zakonnicy mogli wchodzić w kapturach, z pochylonymi głowami, i nikt się temu nie dziwił.

W izbie na dole kręciło się niewielu gości. Jurgen narzekał, że interes idzie coraz gorzej. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, miastu począł doskwierać niedobór prostytutek.

– Wiesz, Gunterze – odezwał się Lichtenstein, gdy pokonywali stopień po stopniu skrzypiące niemiłosiernie schody – po czym poznać, że w mieście źle się dzieje? Po tym, że kurwy z niego uciekają. Żadne tam sprawozdania komtura. Papier jest cierpliwy, inkaust ułoży się zgrabnie w każde łgarstwo. Ale kiedy kurwy się wynoszą, to nieomylny znak, że miasto upada. One wiedzą to najlepiej.

Werner Brecht i Jurgen już czekali na górze. Tym razem Jurgen kazał wnieść do pokoju sporych rozmiarów stół. Gospodarz rozstawił na nim cztery kubki i nalał wszystkim wybornego reńskiego wina.

– Udało się wszystko utrzymać w tajemnicy? – zapytał głośno Lichtenstein, kiedy już usiedli, i przewidując odpowiedź, wstał, aby podkreślić doniosłość chwili; wyprostował ramię z kubkiem pełnym trunku.

– Tak, panie – odpowiedzieli knechci zgodnym chórem.

Stuknęli się glinianymi naczyniami nad stołem.

– To znakomicie! – Lichtenstein ucieszył się. Odchrząknął i oznajmił: – Jutro udam się do Malborka. Dokonałiśmy wspólnie wielkiego dzieła. Jesteśmy w posiadaniu sekretów, które pozwolą naszej armii zwyciężyć Polaków i ich pogańskich sojuszników. Chciałem wam za to podziękować. Czeka nas wspaniała przyszłość. Zakon potrafi wynagrodzić wierne sługi.

Wzniesli toast za zwycięstwo, po czym Lichtenstein wydobyl z przepastnych kieszeni habitu trzy pękate trzosi i teatralnym ruchem przesunął je po kolei w kierunku knechtów. Gunter

wziął swój, podrzucił kilka razy na dłoni i schował do kieszeni kaftana. Początkowo z trudem ukrywał zdumienie wywołane postawą i słowami komtura, teraz cała ta sytuacja zaczęła go bawić.

Potem przyszedł czas na wspomnienia z krótkich, acz burzliwych dziejów wspólnej znajomości. Krwawe opowieści przeplatano wylewnymi toastami. Czas płynął szybko w coraz przyjemniejszej atmosferze. W końcu zaczął im doskwierać głód i uznali, że pora opuścić przybytek. Knechci zadowoleni z siebie i z kieszeni wypchanych sakiewkami podnieśli się z krzeseł.

– Wychodźmy pojedynczo – zalecił komtur. – Ty, Jurgenie, zostań chwilę, usiądź jeszcze. Niech Werner wyjdzie pierwszy.

Gdy ucichły na schodach kroki Brechta, Lichtenstein otarł usta wierzchem dłoni. Wstał i zaczął bez słowa krążyć po pokoju. Nikt nic nie mówił. Czekali na dyspozycje, kto ma wyjść następny.

Komtur zatrzymał się, stając tuż za plecami Jurgena. Gunter spodziewał się, że teraz komtur położy dłonie na ramionach knechta w geście przyjaźni albo zaufania, niczym ojciec dumny z dokonania dorastającego syna.

Tymczasem Lichtenstein przycisnął lewą rękę do ust knechta i odchylił gwałtownie jego głowę tak, że oparł ją sobie o pierś. Jednocześnie prawą błyskawicznym ruchem wprawno rzezaka poderżnął odsłonięte gardło. Krew chlusnęła ciemną gęstą strugą na blat stołu. Nóż musiał być piekielnie ostry, a cięcie zadane z dużą siłą, bo ostrze zatrzymało się ze zgrzytem dopiero na kręgach szyi.

Lichtenstein stwierdził z satysfakcją, że na jego szaty nie spadła ani kropla krwi. Gunter również zachował przytomność umysłu, bo gdy błysnęło ostrze, rzucił się do tyłu razem z krzesłem, czyniąc potworny hałas i tłukąc sobie głowę. Ale przynajmniej ocalił kaftan przed poplamieniem.

– Pomóż mi! – rzucił Karol do knechta. Wyjął trupowi z kieszeni sakiewkę, którą przed chwilą mu wręczył, i podał ją Gunterowi. – Jeszcze jedną taką odzyskamy. Opijemy się dzisiaj za wszystkie czasy. A jutro w drogę!

Zawinęli zwłoki w jeden z kobierców i wepchnęli je pod łóżko.

– Ten Jurgen był groźny – mruknął Lichtenstein, rozglądając się po izbie. – Widziałem, jak bije pięściami. Wołałem nie ryzykować.

Postawił krzesło, które wywrócił Gunter. Ściągnął narzutę z łóżka i jednym ruchem zarzucił ją na stół, żeby ukryć ślady krwi, która powoli wsiąkała w blat. Lichtenstein wyobraził sobie minę dziewczki, która wejdzie do pokoju i zobaczy ten bałagan. Pewnie będzie się zżymać, że jakiś głupek ozdobił stół narzutą. Ściągnie ją i...

Parsknął nerwowym śmiechem. A potem zarządził:

– Wenera załatwimy później. Najpierw chodźmy do Kitnowskiego.

– Kitnowskiego też? – zdziwił się Gunter. – To może obudzić podejrzenia jego kompanów.

– Niekoniecznie. Zresztą wolę już to, niż gdyby miała najść go chwila słabości i wszystko wygadał. Kazałem mu stawić się dziś w mieście. Wiem, gdzie wynajął pokój.

Gunter Salza obejrzał się za siebie. Na pierwszy rzut oka nic nie budziło podejrzeń. Zniknął jeden z kobierców, a na stole leżała narzuta zamiast obrusa. Kto by zauważył różnicę? On nie. W końcu w burdelu wszystko jest trochę inne. Znajdą trupa, gdy zaczną cuchnąć.

Janusz Kitnowski ledwie otworzył usta, gdy Lichtenstein wepchnął w nie nóż i przekreślił. Potem kilka razy uderzył w pierś. Kitnowski zacharczał, runął na podłogę, zadławił się krwią, po czym znieruchomiał. Oprawcy wyszli szybciej, niż weszli.

Potem udali się do rudery, gdzie mieszkał Werner. Weszli bez pukania. Gunterowi udzieliła się mordercza gorączka albo przestraszył się nagłego ruchu, bo gdy z bocznych drzwi wyszła niespodziewanie jakaś naga dziewczyna, pchnął ją długim nożem, w który uzbroił go Lichtenstein. To był odruch. Może gdyby nie wino krążące w żyłach, to by nad nim zapanował. Dziewczyna wpiła się w niego oczami; przerażona i zaskoczona niezasłużoną krzywdą. Oddychała płytko ustami, stanęła na palcach i chwyciła za ostrze, jakby chciała je sobie bezboleśnie wyjąć z brzucha. Gunter odstąpił krok. Dziewczyna umierała, nie odrywając od niego wzroku.

Lichtenstein w tym czasie dopadł do łóżka Wenera. Nie było pośpiechu. Knecht leżał pijany na plecach, chrapiąc jak potępieniec.

– Już zdążył się upić i sprowadzić sobie dziewczkę – mruknął komtur z nutą podziwu w głosie. – Przynajmniej umrze szczęśliwy.

Pochylił się nad śpiącym. Ujął nóż w obie ręce, przymierzył starannie i mocno pchnął z góry.

Zamek Beckov, wiosna roku Pańskiego 1410

Zawisza zabawił w Czechach jeszcze kilka tygodni. Miał powody do satysfakcji. Dzięki jego staraniom do polskiego obozu dołączy kilka tysięcy Czechów i Morawian. Po wykonaniu zadania z Brna ruszył prosto na Słowację. Jarocho dotarł do niego pod Kieżmarkiem. Takie dostał polecenie od Zawiszy jeszcze w Brnie. Nie znał zamiarów swego pana, choć się ich domyślał.

– Nikt cię nie śledził? – zapytał Zawisza.

– Kto niby?

– Ludzie Tęczyńskiego na przykład. Węszą już wszędzie... Tam, dokąd jedziemy, nie chciałbym być widziany.

– Nie, nikt za mną nie jechał. Na Boga!, panie, trochę się na tym znam.

Zawiszę to uspokoiło. Nikomu nie ufał bardziej w tych sprawach.

– Jaki teraz plan? – spytał łowca. – Dokąd zmierzamy?

– Jutro dowiemy się, czy wygramy wojnę.

Jarocho się roześmiał, już znał odpowiedź.

– Pokażecie się tam?

– Ten jeden raz muszę. – Zawisza pociągnął długi łyk z bukłaka, po czym podał go łowcy. – Nikt mnie nie rozpozna. Cuchnę i wyglądam jak dezterter...

Jarocho wyciągając rękę po wino, przyjrzał się rycerzowi. Ten miał na sobie znoszony skórzany kaftan, na nim nędzną, poczerniałą od starości i tłuszczu kolczugę nierówno zwisającą za biodra. Twarz okalał gęsty zarost, lepkie od brudu, nieprzystrzyżone włosy luźno spływały na plecy.

– Nawet gorzej, panie, wyglądasz jak łajdak.



Ścibor ze Ściborzyc wywodził się z polskiego rodu Mościców. Wyjechał na Węgry za czasów Ludwika Andegaweńskiego, a po jego śmierci w 1382 roku i rozpadzie unii polsko-węgierskiej trafił na dwór królowej Elżbiety i Zygmunta Luksemburskiego. Dzięki licznym zasługom awansował na urząd mistrza dworu królewskiego.

W 1388 roku Ścibor otrzymał od władcy Węgier, Zygmunta, dwa duże nadania majątkowe, w tym zamek Beckov. Z biegiem lat wszedł w posiadanie ponad dwudziestu grodów. Stał się jednym z najbogatszych ludzi na Węgrzech; sprawował rzeczywistą władzę nad całą zachodnią i środkową Słowacją, tytułując się „panem całej rzeki Wag”. Honorowano go także rozlicznymi godnościami; w 1395 roku objął jeden z głównych urzędów na Węgrzech i został wojewodą siedmiogrodzkim.

Ścibor wspierał Zygmunta finansowo, udzielając mu wysokich pożyczek, oraz militarnie. W latach 1401 i 1403, gdy na Węgrzech wybuchło przeciw królowi powstanie, zwerbował silną armię, która w dużej mierze przesądziła o zwycięstwie monarchy. Pełnił też w imieniu Zygmunta ważne misje dyplomatyczne. Prowadził między innymi trudne pertraktacje z Polską

i Krzyżakami dotyczące sprzedaży Nowej Marchii.

Mimo nieustających nacisków ze strony węgierskich baronów na króla, by ten pozbył się cudzoziemców ze swego otoczenia i pozbawił ich dóbr, w sprawie Ścibora, swego najwierniejszego sojusznika, Zygmunt pozostawał nieprzejednany. Ścibor ze Ściborzyc zyskał rangę najbardziej wpływowego magnata w otoczeniu węgierskiego władcy.

Dzięki kontaktom z węgierskim dworem Ścibor jako pierwszy Polak poznał plany rozbiorów ziem Korony, jakie – licząc na klęskę Jagiełły w wojnie z zakonem – przyszykował Ulryk von Jungingen wspólnie z Zygmuntem Luksemburskim. Uznał wówczas, że nie wolno mu stać z boku. Świadom swej potęgi wiedział, że może wpłynąć na przebieg i wynik wojny. Upadek ojczyzny wpłynąłby rujnująco na jego słowackie majątki, ale przede wszystkim ucierpiałyby jego narodowa duma, której nigdy się nie wyrzekł.

Razem ze Ściborem przybyło na Węgry wielu Polaków, jego krewnych, a także powinowatych i dworzan. Za jednego z nich, Andrzeja Balickiego z rodu Toporów, wysłała córka Ścibora, Rachna. Ścibor, który od wybuchu wojny niemal codziennie otrzymywał wieści z Polski, nie krył satysfakcji z odbicia Bydgoszczy przez polską armię.

Zawiszę Czarnego znał jeszcze z czasów wojen o tron dla Zygmunta. Ostatni raz widzieli się jesienią 1408 roku w Niepołomicach. O tajnym spotkaniu wiedziało ledwie kilka osób po polskiej i węgierskiej stronie. To Zawisza doprowadził wówczas do rozmów polskiego króla ze Ściborem, a potem przekonał Jagiełłę do przyjęcia planu magnata.

W następnych miesiącach słały do siebie listy przez zaufanych kurierów. Przed tygodniem Ścibor po raz pierwszy od kilku lat zaprosił Zawiszę do swego głównego zamku. Chciał osobiście przekazać mu dobre wieści, poza tym miał dla niego niespodziankę. Niezwykły prezent. Dowód przyjaźni i lojalności. Dar od serca, który powinien docenić sam król Władysław. Ścibor napisał w krótkim liście: „Przybywaj, drogi przyjacielu, po wieści. A prócz nich czeka cię osobliwa niespodzianka. Będziesz zdumiony!”.



Zawisza i Jaroch dotarli na zamek Beckov 10 marca 1410 roku. Była to iście królewska siedziba. Nie na darmo obwołano Ścibora królem Słowacji.

Twierdza wznosiła się trzy mile na południowy zachód od miasta Trenczyn, na wysokiej wapiennej skale, w miejscu, gdzie pasmo Gór Inowieckich schodzi łagodnie ku dolinie Wagu.

Zawisza przedstawił się jako kurier z listami od starosty ziemskiego Heralta z Kunštátu. Straże, uprzedzone o jego przybyciu, zaprowadziły posłańca prosto do prywatnych komnat Ścibora, urządzonych na górnym zamku, w północnej części twierdzy. Jaroch został przy koniach na dziedzińcu zamku dolnego, gdzie mieściły się zabudowania stajenne.

Gospodarz otworzył ramiona na powitanie i uściskał rycerza. Zawisza poprosił o wybaczenie swego nędznego wyglądu, ale wojewoda go nie słuchał.

– Gratuluję! – zawołał radosnym tonem. – Kiedy przyszły wieści z Malborka, w Budzie przez miesiąc tak wszyscy kręcili głowami, że jeszcze ich karki bołą!

– Nie ja tego dokonałem – odparł rycerz.

– Ty, właśnie, że ty. Bez twego uporu Jagiełło by się nie poważył! – Ścibor położył dłoń na ramieniu rycerza w przyjacielskim geście. – Chciałbym poznać tę niewiastę. Niebywała odwaga! Jak ją zwą?

– Ryksa, panie.

– Jak się miewa?

– Ten psubrat ją szpetnie ranił. Ale dobrze. Podobno już dosiada konia.

– Niech Bóg doda jej sił!

Ścibor klasnął w dłonie na służbę, by polać wina.

– Tak... radziłem ci wtedy w Niepołomicach: pozbądźcie się Litwina. Ale powiedziec łatwo. Nie sądziłem, że się wam powiedzie. Zygmunt nie może do tej pory uwierzyć, że Krzyżakom nie udało się podnieść buntu na Litwie. Zapewniali, że wszystko ugadane.

Zawisza w najwyższym napięciu wpatrywał się w swego rozmówcę. Ten to dostrzegł.

– Wiem, drogi przyjacielu, na jakie wieści czekasz. – Począł, aż służący napełni srebrne kielichy, po czym uniósł swój i oznajmił uroczyście: – Zygmunt nie uderzy na Polskę. To już postanowione. Wypowie wojnę, ale nic poza tym się nie stanie. Gwarantuję ci to moim słowem.

– Wypił kilka łyków. – Wcale się Zygmuntovi nie spieszy do upadku Jagiełły i rozbiorów Polski. Węgrom też Krzyżacy na północy nie są potrzebni. Chcę, żebyś to przekazał twojemu królowi.

Zawisza skłonił się nisko i poczuł, że nogi się pod nim ugięły.

– Bogu niech będą dzięki! I tobie, panie.

– Tak jak mówiłem – dodał chętnie wojewoda – Zygmunt nie będzie z Polską wojował, jeśli ta będzie silna. Krzyżacy zapewniali go, że Litwa zamiast wsparcia zaniesie do Polski pożogę. Dlatego zgodził się z nimi układać. Byłby durniem, gdyby postąpił inaczej. Ale zgaszony bunt Świdrygiełły przesądził sprawę.

– Zrezygnuje teraz z krzyżackich pieniędzy?

– O, nie! – Wojewoda się zaśmiał. – Kiedy minie rozejm, przyjadę z poselstwem. Przywiozę wypowiedzenie wojny, a wywiozę krzyżackie pieniądze. Najedziemy polskie południe później, jak już się rozprawicie z Krzyżakami w polu. Uderzymy tak, że z łatwością nas odeprze. Osobiście poprowadzę wojska. Spalimy kilka miasteczek, Jagiełło podniesie lament, oburzy się, będzie słał pisma do papieża. Zresztą, nie twoje to już zmartwienie, ja to z naszym drogim Władysławem odpowiednio poprowadzę!

Zawisza uczynił gest oznaczający, że rozumie, gdzie kończy się jego rola. Serce wciąż waliło mu jak oszalałe.

– Ale zostawcie jakieś odwody na południu – dodał Ścibor. – Kilka chorągwi wystarczy. Na wypadek gdyby któremuś baronowi strzeliło coś do głowy. Będą cholernie zawiedzeni. – Gospodarz zatarł ręce. – Naprawdę... jesteśmy tu wszyscy pod wrażeniem... Przeniknąć do Malborka i zabić najpilniej strzeżonego gościa na wysokim zamku? Ho, ho! Wyczyn godny Herkulesa.

Wypili jeszcze raz do dna, nie odrywając ust od kielichów.

– Mój przyjacielu! – zawołał rozochocony wojewoda. – Wojska pójda w pole, poleje się krew, ale wojnę już wygraliście! Nikt Krzyżakom nie przyjdzie z pomocą. I to ty tego dokonałeś. Tak! Ty! Gdyby nie twój upór, Świdrygiełło właśnie topiłby Litwę we krwi! A Zygmunt paktowałby z Ulrykiem, jak Polskę pokroić.

– To zasługa króla...

– Ejże, wierny rycerzu! Nie bądź dziś skromny! Król Władysław dostał od Boga cudowny dar: słucha dobrych rad. Ale to ty ich udzieliłeś.

Ścibor uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

– Żeby to uczcić, przyszykowałem niespodziankę. Pisałem ci.

– Panie, płonę z ciekawości.

Wojewoda klasnął w dłonie. Boczne drzwi do komnaty otwarły się i stanęło w nich dwóch żołnierzy. Wprowadzili więźnia zakutego w kajdany.

Gdy ten podniósł głowę, Zawisza w pierwszej chwili go nie rozpoznał. Wspomnienia niczym skorupy rozbitego dzbana podnoszone z ziemi powoli składały się w całość. Aż przybrały właściwy kształt.

Zamek Beckov, wiosna roku Pańskiego 1410

Zawisza ostatni raz widział Karola von Lichtensteina dziewięć lat temu. Więzienna cela przemieniła komtura w starca.

Ścibor kazał zaraz wyprowadzić więźnia do sąsiedniej komnaty, by tam czekał na przesłuchanie.

– Nie wiedziałeś nawet, że on żyje, prawda? – zapytał szelmowskim tonem wojewoda. – A co dopiero, że knuje w najlepsze. Johann von Schönfeld trzymał go w klatce jak szczura, chowając przed światem.

Zawisza nie wiedział, co powiedzieć. Zdobył się jedynie na pytanie:

– Uprowadziłeś go, panie? Z Brodnicy? Z Malborka?

– Nasz komtur sam przywłókł tu swoje stare kości. – Ścibor w przejawie wybornego humoru klepnął się w udo. – Dasz wiarę? Jakiś knecht przywiózł listy, w których Lichtenstein składał mi propozycję przekazania ważnych informacji. Przyjąłem ją, rzecz jasna. Wystarałem się nawet o glejt w królewskiej kancelarii. Cóż, Krzyżacy ciągle uważają mnie za nieprzyjaciela Jagiełły. Pamiętam brodnickiego komtura z czasów, kiedy wrócono mu w zakonie karierę. A potem jeszcze z burzliwych negocjacji w sprawie sprzedaży Marchii.

Ścibor podniósł rękę i przywołał gestem kogoś ze służby.

– Mam jego listy – oznajmił. – Chcesz przeczytać?

– Cóż w nich jest? – zainteresował się Zawisza.

– Konkrétów niewiele, choć wszystkie dość niepokojące... Ale zanim go zamknąłem w celi, trochę z nim pogawędziłem...

Gdy pojawił się lokaj, Ścibor odebrał od niego kartkę papieru złożoną na czworo i podał Zawiszy.

– Ten człowiek wie zaskakująco dużo o wojennych planach Jagiełły. Wie na przykład o planowanej przeprawie przez Wisłę po jakimś tajemniczym moście. Mówił, że Jagiełło planuje szybki marsz na Malbork, i to prawym brzegiem Wisły, przez ziemię chełmińską.

Ścibor przyglądał się badawczo Zawiszy, sprawdzając, jak silne wrażenie wywierają jego słowa.

– To prawda? Tak zamierzacie rozstrzygnąć wojnę? Iść przez najbardziej najeżoną fortyfikacjami krainę? Bez zdobywania zamków?

Zawisza nie odpowiedział.

– Oczy mu goreją jak szaleńcowi. Ale to pozory. Ma tu... – popukał się palcem w głowę – ...wszystko poukładane. Dobrze to przemyślał. Tylko skąd on to wie? Jak mi Bóg miły! Nie mam pojęcia. Ale nawet jeśli sobie to wszystko wymyślił, to... do cholery, całkiem niezła strategia. Co myślisz?

Twarz Zawiszy odzyskiwała swój zwyczajny kolor. Rycerz skrył się pod maską obojętności, ale wewnątrz kipiał od emocji.

Nie uszło to uwadze wojewody.

– Coś mi mówi, że... nie wszystko zmyślił, mam rację?

– Kto jeszcze wie o tych planach? – Zawisza uniknął odpowiedzi.
– Zabroniłem mu rozpowiadać, powiedziałem, że król Zygmunt spojrzy na niego łaskawym okiem, pod warunkiem że zachowa wszystko w tajemnicy.
– I zachował?
– Twierdzi, że tak. Nie wiem. Myślę, że tak. Taka wiedza na gębach wszystkich nie jest nic warta.

Ścibor uśmiechnął się pobłaźliwie. Widział, co dzieje się w duszy Sulimy.

– Ale w jednym się mylił. Jak zresztą wszyscy Krzyżacy. Lichtenstein uważa, że Zygmunt uderzy na Polskę, że mnie mianuje dowódcą. W Malborku trwają w przekonaniu, że już rozstrzygnęli tę wojnę na swoją korzyść. Ten stary lis umyślił sobie, że sprzedając mi wasze plany, uczyni ze mnie wielkiego wodza!

– Sprzedając? Czego chciał w zamian?

– Majątku, spokoju, bezpieczeństwa *et cetera*. W tej albo odwrotnej kolejności. Już nie pamiętam... – Ścibor roześmiał się szczerze. – Gdybym się wcześniej z tobą nie domówił, mości rycerzu, to kto wie? Może poszedłbym na ten układ. Lichtenstein miał pecha. W życiu tak bywa.

Odwrócił się w kierunku drzwi, za którymi zniknął komtur wraz z żołnierzami. Wskazał na nie ramieniem.

– Jest twój. Przesłuchaj go! Dowiedz się, skąd to wszystko wie. Nie możemy mu pozwolić na żadne kontakty. Jego wiedza jest jak trucizna.

– Nie mogę go zabrać ze sobą do Polski.

– Dlaczego?

– Lepiej przesłuchać go tu. Niech opadnie kurz. Muszę się dowiedzieć, kim jest jego informator. To może być ktoś z najbliższego otoczenia Tęczyńskiego albo nawet samego Jagiełły.

– Niech tak będzie! – zgodził się Ścibor. – Przechowamy go przez jakiś czas na Słowacji.

– Chwilę się zastanawiał. – Odeślę go do któregoś z moich zamków. Zastanowię się.

– Mogę z nim teraz porozmawiać? – spytał Zawisza.



W odległym Tęczynie starosta otrzymał informację, że przybył jeden z ludzi wysłanych w ślad za Jarochem. Kazał natychmiast przywołać posłańca. Chwilę później młody łowca prężył się przed nim jak struna.

– Opowiadaj – rzucił w jego stronę Tęczyński.

– Szliśmy za Jarochem, wedle rozkazu.

– Nie połapał się?

– To już stary wilk, mniej widzi, mniej słyszy...

– Dobrze, co dalej?

– Pociągnął do Czech, do Zawiszy. Potem wrócił do Krakowa i znów się spotkał z Zawiszą. Tym razem w Kieżmarku. Stamtąd obaj ruszyli do zamku Ścibora.

– Kiedy to było?

– Jechałem do was, panie, trzy dni.

Tęczyński chwilę się zastanawiał.

– Zabawią tam dzień lub dwa. Dziś pewno opuszczają już Beckov... Co zamierza Przebor?

– Postępować wedle rozkazów. Miał ich aresztować, jeśli potwierdzi się, że goszczą u Ścibora.

- Dadzą radę?
- Przebor wziął najlepszych. Wie, z kim będzie miał sprawę.

Węgry, wiosna roku Pańskiego 1410

Zawisza zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w niedużej, skromnie urządzonej izbie, której wystrój kontrastował z bogatym wyposażeniem reprezentacyjnych komnat zamku Beckov. To musiał być rodzaj antyszambru, gdzie posłańcy czekali na widzenie z wojewodą. Surowa drewniana podłoga, kamienne ściany, pod nimi kilka ciężkich ław okrytych wełnianymi kobiercami. Na jednej z nich, pod oknem, siedział ze zwieszoną głową Karol von Lichtenstein. Długie siwe włosy opadały mu na kolana. W brudnej, nędznej szacie wyglądał jak stary parobek, który tkwi tu od kilka dni, by prosić wojewodę o zmiłowanie dla syna.

– Skąd to wszystko wiesz? – rzucił w jego stronę Zawisza.

Lichtenstein odwrócił głowę. Mocne promienie słońca rozjarzyły żółte okienne szkło za głową komtura i jego oblicze utonęło w cieniu.

– I tak wydrę to z ciebie, kanalio!

– A jak? Będziesz mi wrywał paznokcie? – zapytał Lichtenstein takim tonem, jakby go to naprawdę ciekawiło. – To nie takie proste. Torturować trzeba umieć. A ty się na tym nie znasz. To sztuka taka sama jak gra na lutni. Ale zanim przejdziemy do tortur... musisz wiedzieć, że twoje położenie jest dużo gorsze niż moje... Prawie mi cię żal.

Komtur podniósł się z ławy. Brudne, cuchnące szaty, posklejane od tłuszczu siwe strąki to tylko oznaki przebytej drogi. Ten człowiek wciąż był krzepki. Trzymał się prosto, panował nad sobą.

– Ufasz Ściborowi, prawda? – Gdy stał, jego głos wybrzmiewał w komnacie znacznie mocniej. – Postawiłeś na niego swoją kartę, jak widzę... To przebiegły gracz... Tylko udaje sojusznika. Zdradzi ciebie i twojego króla, tak jak zdradził mnie. Twój król na własne życzenie zrezygnował ze wsparcia baronów... Owszem, ci baronowie są warci tyle co splunął, to łotry i oszuści. Ale jest ich dwudziestu. A ty zostałeś z jednym sojusznikiem. – Wskazał na drzwi prowadzące do komnat Ścibora. – Zależysz od jego kaprysu. Oddałeś wszystko w jego ręce. Kiedy masz dwóch wrogów, możesz ich na siebie napuścić, ale jeśli masz jednego, nic nie poradzisz.

Zawisza milczał, a komtur nabierał coraz większego animuszu. Ogarnęła go jakaś dziwna ekstaza.

– Jesteś już trupem! Trupem rycerza. Słyszałeś o Lidze Świętego Sądu? Widzę po oczach, że tak! A wiesz, że poprzedni komtur Gdańska był wysoko w hierarchii ligi? Poczciwy Jan von Rumpenheim, kto by pomyślał... Pewno nie wiesz, bo skąd. Przez wiele lat błagałem go, żeby liga zainteresowała się twoją sprawą. Pamiętasz Tidemana Stickera? No, jego chyba musisz pamiętać. Zanim się go pozbyliście, wszystko mi wyznał. Opowiedział o tym morderstwie w Brugii. Wiesz, że Lubertus Howoschild jeszcze żyje? Jego rodzina nigdy nie pogodziła się z tym, że Polacy przepłacili sędziów, byś mógł uniknąć kary. Lista twoich grzechów jest długa, morderstwo w Brugii tylko ją otwiera, potem dochodzi bezczeszczenie zwłok, skatowanie niewinnych zakonników, użycie czarów i paktowanie z diabłem na turnieju w Perpignan. To było... prawie dwadzieścia lat temu... Dla Ligi Świętego Sądu czas płynie inaczej! A potem

jeszcze zbrodnie, jakich się dopuściłeś przeciwko mnie... Tak bardzo pragnąłem zemsty! Prosiłem, błagałem, ale komtur nie dawał się przekonać. Wtrącili mnie do lochów. Znow przez ciebie! Jakaż niespodzianka spotkała mnie po wyjściu na wolność! Liga rozpatrywała twoją sprawę! Rycerz znany i podziwiany w Europie... Wygrywasz turnieje. Wszędzie, gdzie się pojawiaasz, wzbudzasz zachwyty. Kochają się w tobie wszystkie niewiasty. Czytałem raporty z przesłuchań! Umiłowany rycerz tego poganina Jagiełły. Dlaczego jeszcze nie wiesz? Nie wiem! Wiesz, że zamiast ciebie zabili tę Arabkę, Ayhe?

– Skąd wiesz, że zabili ją ludzie ligi? – spytał Zawisza chrapliwym, jakby nie swoim głosem.

– Znalazłem przy jej trupie mizerykordię z literami „SSGG” na rękojeści. To chyba wystarczy? Nie rozumiem, dlaczego to zrobili, ale się stało. Myślałem kiedyś, że była twoją kochanką, ale już wiem, że nie. To w końcu ty ją tu sprowadziłeś, prawda? To przez ciebie straciła męża... zgładzili jej męża, uczyniłeś jej dziecko sierotą... Potem to wykorzystałeś, wciągnąłeś ją do służby. I w końcu ją zamordowali... To boli, prawda? Ale dlaczego, na miły Bóg, ją posłali na tamten świat, a nie ciebie? Nie wiem, dlaczego jeszcze żyjesz. Ale wyślą po ciebie katów. Muszą. Takie są zasady. Wyroki ligi są nieodwołalne. Stanie się to za rok, za dwa, za dziesięć. Ten, kto darował ci chwilowo życie, wyda na ciebie wyrok. Zginiesz we śnie, albo w łaźni, albo dopadną cię na polu bitwy. Jedno jest pewne, wnuków nie doczekasz.

Karol von Lichtenstein był wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa wywarły na polskim rycerzu.

– Stwórca jest po mojej stronie. Wyjdę z tego cało dzięki jego woli. Przekonasz się! A teraz powiem ci, co masz zrobić, jeśli chcesz, bym wskazał ci zdrajcę...

Zawisza już nie słuchał. Podeszedł do drzwi, przez które wszedł przed kilkoma pacierzami, i gwałtownie je rozwarł.

– Jarocho, do mnie!

Łowca po oporządzeniu koni przybył do sali audiencyjnej i oczekiwał na wynik rozmów. Teraz poderwał się na nogi i podbiegł do Zawiszy. Zatrzymał się kilka kroków przed rycerzem, jakby przestraszył się widoku jego oblicza.

– Musisz z niego wyciągnąć, kto jest zdrajcą – wycharczał Sulima przez zaciśniętą krtań.

– Ta kreatura twierdzi, że tortury to jak gra na lutni. Wybierz jakąś melodię i z nim poćwicz!

Odwrócił się do komtura, wskazując ramieniem na Jarocho:

– To Litwin. Człowiek o wielu talentach. Myślę, że dziś niejednym cię zadziwi.

Zawisza poprosił Ścibora o udostępnienie jakiejś celi w lochach. Potem dowódca garnizonu dostarczył Jarochowi narzędzi, których ten sobie zażyczył. Były to żelazne szczypce, żeliwna węglarka, węgiel oraz hubka i krzesiwo do rozpałki.



Zawisza i Ścibor zdecydowali, że Karol von Lichtenstein zostanie osadzony w Trenczynie. Tamtejszy zamek również należał do wojewody, nie miał przy tym charakteru stałej rezydencji, nie kręciło się więc po nim tylu gości, wrogów, przyjaciół i szpicli. Garnizon liczył kilkudziesięciu zbrojnych, dość, by przez kilka tygodni upilnować starego komtura w którejś z zamkowych cel. Zawisza nie chciał brać Lichtensteina do Polski, nim Jarocho nie wyciągnie z niego więcej informacji. Nie powinno być z tym kłopotów. Po pierwszych kilku godzinach przesłuchań w lochach zamku Beckov Jarocho oświadczył, że Karol von Lichtenstein to kapitulant, człek płochliwy, małego ducha. Bardzo szybko wyjawiał nazwisko zdrajcy; okazał się nim Janusz Kitnowski.

Wyjechali z zamku Beckov przed południem. Towarzyszyło im dwóch żołnierzy eskorty. Jaroch związał komturowi ręce z przodu, by mógł prowadzić konia. Przed nimi tylko dwie mile. Pojadą wolno, dotrą na miejsce w dwie godziny. Wiał ciepły wiatr z południa. Droga do Trenczyna wiodła wzdłuż płynącej ciemnym nurtem rzeki Wag.

Zawisza po wielokroć przywoływał w myślach spotkanie z komturem. Jaroch jeszcze w Brnie opowiedział mu o Lidze Świętego Sądu. Mroczna tajemnica śmierci Hanny i tych niewinnych ludzi znalazła wyjaśnienie. Teraz Zawisza poznał sprawcę. Poczł ulgę. Miał na kim się zemścić lub komu przebaczyć.

Droga co jakiś czas zagłębiała się w lasek porastający brzeg rzeki. I właśnie w jednym z takich miejsc Jaroch, nagle czymś zaniepokojony, dał znak ręką, by się zatrzymali.

Za późno.

Świsnęły bełty. Żołnierz, który prowadził grupę, został trafiony w skroń, siła pocisku zmiotła go z konia. Jaroch jęknął z bólu i pochylił się w siodle. Zawisza dostrzegł, że wierzchowiec Lichtensteina, ugodzony w pierś, stanął dęba, a komtur runął ciężko na plecy. Ktoś wypadł z poszytu. Zawisza ściągnął gwałtownie wodze, dobył miecza, ale postać, ku której się skierował, zamachnęła się szeroko i nim do niej dopadł, zarzuciła z wprawą łowcy siatkę, która obciążona kawałkami ołowiu opadła na rycerza. Zawisza poczuł szarpnięcie, a potem ogarnęła go ciemność.



Otworzył oczy. Siedział oparty o drzewo. Była noc. Kilka kroków od niego płonęło ognisko. Jakiś mężczyzna stał nad nim i widząc, że Zawisza uniósł powieki, kucnął. Nikt nic nie mówił. Ciszę przerywały jedynie trzaski pękających od ognia bierwion.

– Kim jesteście? – spytał Zawisza po węgiersku.

– Zwą mnie Przebor. – Mężczyzna odpowiedział po polsku. A tamci to Janusz, Filip i Henryk. Na służbie króla.

– Jakiego króla?

– Jagiełły.

– Oszalałeś, człowieku?!

Powoli wracała mu pamięć.

– Wy to zrobiliście?

Mężczyzna, który przedstawił się jako Przebor, kiwnął potakująco głową.

– Nas było pięciu... – Zawisza zacisnął powieki, jakby przywoływał w pamięci obrazy z leśnej potyczki. – Gdzie reszta?

– Jeden uciekł. Pozostali nie żyją. Jaroch też...

– Będziesz wisiał!

– Wypełniam rozkazy.

Zawisza chciał zerwać się na nogi, ale ostry ból przeszył mu całe ciało.

– Nie ruszaj się, panie. Masz stłuczone kości.

– Czyje rozkazy?

– Andrzeja z Tęczyna.

– Kazał nas pozabijać?

– Aresztować ciebie, panie, i przywieźć do Krakowa. Będziesz sądzony.

– Za co, durniu?

– Nie mnie oceniać.

– Muszę zobaczyć ciała tych zabitych!

– Spłynęły rzeką, panie.
– Ile ich było?
– Trzy. W tym ciało Jarocho. – Przebor na wspomnienie łowcy z szacunkiem pochylił głowę. – Jarochowi oddaliśmy cześć. Był jednym z nas. Sławny. Ale zdrajca. Ciebie, panie, mam rozkaz dostarczyć żywego.
– Jesteś łowcą?
Przebor skinął głową.
– Pamiętasz twarze tych dwóch pozostałych?
– Jeden był bez brody, młody. Drugi starszy, brodę miał...
– Siwą?
– Nie przyglądałem się...
– Mogliście uwolnić komtura... On nas zgubi! Człowieku, ruszajcie za nim!
Przebor popatrzył na niego nieufnie i pokręcił głową.
– Nie wiem, o kim mówisz, panie. To raczej on ściągnie na nas pościg. Uciekamy już od południa. Ma się ku świtaniu. Jesteśmy już daleko od tamtego miejsca...
Zawisza skierował wzrok na postać młodzieńca różniącą się wyglądem od pozostałych.
– Kim jesteś? Wyglądasz na rozumnego.
– Jestem notariuszem – odparł młody człowiek. – Pracuję w kancelarii pana Tęczyńskiego.
– Co tu robisz?
– Mam świadczyć o tym, co będą zeznawali ci ludzie.
– Duchowny?
– Benedyktyn, panie. Ale kazali mi przywdziać cywilne szaty.
– Jak cię zwać?
– Henryk.
– Posłuchaj, bracie Henryku, możliwe, że uciekł człowiek... Karol von Lichtenstein, były komtur Brodnicy, słyszałeś o nim?
– A jakże!
– On ma wiedzę, która zagraża Koronie, królowi...
– Teraz to już wszystko w rękach Boga, rycerzu. Martw się raczej o swoją głowę.

Węgry–Polska, wiosna roku Pańskiego 1410

Łowcy pod rozkazami Przebora przywieźli Zawiszę do Tyńca, do zamkowej części klasztoru. Umieszczono go w jednej z niewielkich gościnnych komnat w zamkowym skrzydle. Tak zażyczył sobie Andrzej Tęczyński.

Sam starosta nie doczekał przybycia łowców. Udał się za królem do Sandomierza. Tam też ruszył od razu Przebor, by zdać relację z zatrzymania rycerza.

Garnizon królewski miał pilnie strzec Zawiszy. Mimo iż ten dał kapitanowi garnizonu rycerskie słowo, że nie podejmie ucieczki, żołnierze trzymali przy nim straż.

Brata Mikołaja jednakowoż nie ośmielili się zatrzymywać. Spojrzeli tylko ciekawie w ślad za nim w głąb komnaty. Przetrzymanie w Tyńcu tak sławnego rycerza zrodziło wiele plotek.

– Henryk wszystko mi powiedział... – oznajmił Mikołaj, gdy zamknął za sobą drzwi. Przybył od razu, gdy tylko dowiedział się o sprawie.

Zawisza z ulgą go przywitał. Gdyby zakonnik zwlekał jeszcze kwadrans, sam posłałby po niego.

– Nie sądziłem, że Tęczyński się na to poważy...

Zawisza machnął niecierpliwie ręką.

– Najpierw Lichtenstein! – Zawisza pociągnął zakonnika pod okienny prześwit, jak najdalej od drzwi. – Karol von Lichtenstein szantażował młodego Kitnowskiego. Wyciągnął od niego wszystko, co przekazywaliśmy Ryńskiemu. Zna kierunek marszu naszych wojsk, wie o moście, o marszu na Malbork, o Towarzystwie Jaszczurzym. I Bóg wie, co jeszcze...

– Karol von Lichtenstein? – spytał zdumiony Mikołaj. – Przecież... skończyliśmy z nim... lata temu. On żyje?

– Miałem go w ręku! Na powrozie. A wcześniej z nim gadałem, gęba w gębę jak z tobą teraz. Ludzie Tęczyńskiego nas napadli. Zabili Węgrów i Jarocho. – Zawisza opowiedział zakonnikowi, co zaszło w drodze z zamku Beckov do Trenczyna. – Temu bydlakowi udało się uciec. Tak przypuszczam. Jeśli zdoła dostać się do Malborka... Z wiedzą jaką ma... To będzie nasz koniec! Trzeba zarządzić blokadę dróg! Powiadomić wszystkie miasta, garnizony wszystkich zamków!

– Postawienie na nogi wszystkich garnizonów w kraju, rozesłanie kurierów, zorganizowanie patroli... – Brat Mikołaj pokręcił głową. – To wymaga czasu, tygodni! Rozkaz może wydać tylko Tęczyński. A i tak... jeden człowiek zawsze się prześlizgnie. – Skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na rycerza. – Poza tym... kto ci teraz da wiarę? Kto to może potwierdzić? Ścibor? Byłeś w zamku Beckov? O co w tym wszystkim chodzi?

Zawisza ciężko usiadł na pryczy. Musiał przyznać zakonnikowi rację. Spojrzał na sunącą w dole szerokim korytem Wisłę. Najzwyczajniej jak umiał opowiedział o porozumieniu, jakie łączyło Ścibora z Jagiełłą, a potem o swojej rozmowie z wojewodą. Gdy skończył, zapadła długa cisza.

– Dlaczego król trzymał to wszystko w tajemnicy przed Tęczyńskim? – spytał w końcu

brat Mikołaj.

– Bo mu Tęczyński przyprowadził rogów! Jagiełło mu nie ufa, chciał się go pozbyć! – uniósł się Zawisza. – Tak, Tęczyński miał rację. Tak, prowadziłem śledztwo w jego sprawie i kontaktowałem się ze Ściborem. Ale dwa razy się pomylił. Ze Ściborem ratowałem ojczyznę, a nie knułem przeciw niej. A w jego sprawie nie szukałem sposobu, by go pogrążyć, ale żeby go uniewinnić.

– A więc to prawda? Szukałeś dowodów przeciwko Cylejskiej?

– Ryksa ich szukała.

– Ona zrobi, co jej każesz!

– Tak jest w istocie.

– I co będzie?

– Oznajmi królowi, że Tęczyński jest niewinny.

– Niech cię Bóg błogosławi, rycerzu! – Zakonnik odetchnął z ulgą. A potem zapytał: –

A jaka jest prawda?

– Idzie wojna! Słyszałem, że Tęczyński ma wystawić własną chorągiew... To jakiej ty chcesz prawdy?

Brat Mikołaj nie odpowiedział.

– Skoro sama królowa powiedziała, że... to potwarz, przysięgała w obecności biskupa krakowskiego, zaprzysięgała swoją czystość i niewinność, dotykała świętych relikwii... Nie przyznała się do zdrady! – Zawisza położył dłoń na ramieniu zakonnika. – Przecież niewiasty w takich sprawach nigdy nie kłamią... Prawda?



Karol von Lichtenstein dawno nie czuł takiego podniecenia. Trwał w gorączce, duchowym upojeniu. Mimo głodu, pragnienia, konieczności ukrywania się, spania pod gołym niebem lub w oborach ze zwierzętami radość rozsadzała mu pierś. Przenikało go poczucie jedności z siłami Stwórcy. Taka nędzna śmierć nie była mu pisana. Udało mu się zbiec z zasadzki. Kto ją urządził? Dlaczego zabito jego ciemnościeli? Nieważne. Z boską pomocą zdołał się przetoczyć z leśnej ścieżyny w gęsty podszyt. Nie znaleźli go. Poczekał, aż zapadnie zmrok; w pierwszej napotkanej wiosce włamał się do jakiegoś warsztatu, gdzie na kawałku ostrej blachy rozciął więzy.

Do wioski Guntera Salzy dotarł po dwóch tygodniach. Na szczęście wierny knecht już wcześniej dokładnie opisał mu położenie domu, dzięki czemu trafił bez błędzenia.

Drzwi otworzyła mu postawna wieśniaczka o wyzywającej urodzie i zimnych oczach. Kazał kobiecie posłać po męża do Gdańska, przyszykować strawę i kąpiel. Potem, gdy się krzątała, wodził za nią oczami. A ona unikała jego wzroku, nie umiała ukryć niechęci. Lichtenstein postanowił, że gdy już pozbędzie się Guntera, wróci do niej. Będzie jej dawał pieniądze na przeżycie i będzie ją tu brał, w tej nędznej chacie.

Gertę, bo tak wołano na żonę Guntera Salzy, przeraziło przybycie komtura. Nigdy wcześniej go nie widziała, ale nie miała wątpliwości, że przybysz mówi prawdę. Gunter wiele o nim opowiadał. Mówił nawet, że są do siebie podobni. I tak w istocie było. Tyle że wewnątrz Guntera wypełniała dobra dusza. A w oczach komtura niewiasta dostrzegła diabelskie iskry. Wierzyła w upiory. I właśnie zobaczyła jednego z nich! Upiory, żywe trupy, pastwiły się nad ludźmi aż do ich zabicia. Żywiły się nie tylko ciałem, ale i duszą swych ofiar, obcowały cielesnie z żywymi kobietami.

Czyż Gunter nie mówił, że wszyscy mieli już komtura za zmarłego i ten nagle powstał?

Ileż zbrodni się za nim ciągnęło? Opętał jej męża, sprawił, że ten porzucił ją i dzieci i przyłączył się do tego obłąkanego korowodu śmierci. Do końca życia nie zapomni, jak Gunter przyjechał do niej, upił się do nieprzytomności, a potem zbudził ją w środku nocy i wszystko opowiedział. O zamordowaniu tych trzech mężczyzn w Gdańsku i tej niewinnej dziewczki. Gorzałka krążyła mu w żyłach jak oszalała, może dlatego się wygadał. A potem zwymiotował, bo tak mu to ciążyło na duszy.

Gerta lęk przed upiorami wyniosła z domu. Drżącymi rękami dobyteła z dna skrzyni dawno nieużywaną, odziedziczoną po babce miskę z odcisniętym na dnie krzyżem z łamanymi w prawo ramionami, symbolem słońca przynoszącym szczęście i ochronę przed demonami. W niej przez cztery dni podawała komturowi strawę, modląc się, by nie zażądał jej ciała.

W końcu, po czterech dniach, próg chaty przestąpił Gunter Salza.

Podczas wieczerzy Karol von Lichtenstein opowiadał knechtowi, co wydarzyło się od czasu ich rozstania przed kilkoma miesiącami. Wódka rozwiązała im języki.

– Gdańskiego komtura dopadła straszna wściekłość za śmierć Kitnowskiego – powiedział Gunter. – A potem popadł w rozpacz, gdy zniknąłeś, panie. Nie wie, co ma powiedzieć w Malborku. Wszyscy podejrzewają cię o zdradę.

– Wszystko im wyjaśnimy – mruknął Lichtenstein.

– Nie powinniśmy pokazywać się w Malborku... Ścibor albo nawet Zygmunt z pewnością coś napiszą w tej sprawie do wielkiego mistrza. Znow wtrąca cię do lochów, panie, a mnie zetną. Za morderstwa i za zdradę...

– Głupiś! – prychnął komtur. – Nic nam nie zrobią. Wyłgam się. Najpierw odwiedzimy Schönfelda. Powiem, że to wszystko... to było zaplanowane – mamrotał już całkiem pijany. – A potem wstąpię do tej najemnej chorągwi. Dzięki nam... zakon zwycięży!

Żona knechta uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Nie odezwała się, ale też i nie uroniła ani słowa. Miała swój rozum. Umiała nawet trochę czytać; była córką zubożałego rycerza. Dobrze wiedziała, że jeśli Karol von Lichtenstein wróci do Gdańska, a potem uda się do Malborka, trafi do więzienia. Te listy z Węgier na pewno są już w drodze. Lichtenstein wszystko wygada. A wtedy powieszą Guntera, jej zaś odbiorą chałupę i pójdzie z dziećmi na tułaczkę. Nie mogła pojąć, jak Gunter mógł się na to zgodzić. On nie oszalał. Został opętany!

Dobrze słyszała: zakonnik ukrywał się całą drogę, spał w lasach, nie pokazywał się ludziom. Nikt go nie widział, nikt nie wie, że tu jest... Jutro skoro świt mają ruszyć w drogę do Gdańska.

Gdy wieczerza się zakończyła, kobieta padła na kolana. Modliła się żarliwie, aż dobiegł ją głos chrapania obu upojonych gorzałką mężczyzn. Wtedy wstała. Cicho otworzyła drzwi do izby, w której spał Karol von Lichtenstein. Chwilę nasłuchiwała, żeby mieć pewność, że się nie pomyliła. To by dopiero było!

Część IV

Pola Grunwaldu, 15 lipca roku Pańskiego 1410

Rycerze zebrani pod sztandarem wielkiej chorągwi ziemi krakowskiej od godziny stali w bojowym szyku, ale sygnał do boju nie rozbrzmiewał. Ogier Zawiszy wyczuwał przyspieszone bicie serca swego pana; począł prychać, grzebać przednią nogą, szeroko otwierał oczy, łyskające białkami. Uszy zwracał do tyłu, jakby sam wyczekiwał głosu trąb. Wreszcie gwałtownie targnął łbem i głośno zarżał. Zawtórowały mu inne wierzchowce.

Nadciągnęły chmury, zdejmując na chwilę z rycerskich ramion palące promienie lipcowego słońca. Znów zerwał się wiatr, który porwał kurzawę wzbijaną kopytami tysięcy koni i pchał ją Krzyżakom w oczy. „To dobry znak”, pomyślał Zawisza. Wiatr w twarz będzie mącił im widok, ale przede wszystkim poniesie chrzęst zbroi i oręża, dudnienie kopyt, bojowe krzyki – cały ten piekielny hałas, jaki uczyni Jagiełłowa armia, by odjąć wrogowi odwagi.

Nim chorągwie zaczęły zajmować wyznaczone pozycje, Zawisza z Wolasem objechali okolice w towarzystwie jednego z przewodników, który doskonale znał te strony. Pokazał im pobliskie wsie: Stębark, Grunwald i Łodwigowo oraz drogi, jakie od nich prowadziły w różne części Prus.

Rozległy obszar, na którym miała rozegrać się bitwa, od wsi Łodwigowo aż po Stębark, dzieliła na dwie części płytka dolina, przez którą przepływał wielki strumień. Po jednej stronie, północno-zachodniej, stały wojska krzyżackie. Naprzeciw nich powoli rozwijała szyki armia Jagiełły. Składała się ona wyłącznie z rycerskiej jazdy. W taborach ciągnących za wojskiem służyło trochę uzbrojonej piechoty, ale nie była przeznaczona do walki w polu, co najwyżej do obrony obozu, gdyby został zaatakowany.

Niewielu polskich rycerzy przywdziało pełne zbroje płytowe. Większość miała na sobie kolczugi, na które nakładali stalowe napierśniki albo płyty, a do tego mniej lub bardziej kompletne osłony na ramiona i nogi. Dla ochrony głowy zakładali najczęściej kapaliny albo otwarte szłomy. Najzamożniejsi rycerze stanęli w polu w przyłbicach z zasłoną w kształcie psiego pyska. Kopijnicy dzierżyli w dłoniach ciężkie bojowe kopie, zwane drzewami, strzelcy zaś uzbrojeni byli w kusze. I jedni, i drudzy mieli przy pasie miecze (ci biedniejsi tasaki lub kordy), a do siodeł przytroczone topory, maczugi albo nadziaki. Polscy rycerze nieśli na pancerzach barwne narzuty bez rękawów, zwane jakami, z herbem rodowym. Ponieważ podobnie czyniło rycerstwo stające po krzyżackiej stronie, król Jagiełło, dla uniknięcia pomyłek, polecił swoim opasać się wiązkami słomy.

Front polsko-litewski rozciągał się na długość trzech stajañ. Na lewym skrzydle stanęli Polacy, na prawym rozwinęli się Litwini. Zawisza, występując pod wielką chorągwią krakowską, osadzoną niemal na styku wojsk litewskich i polskich, miał po prawicy polską chorągiew gończą, potem zaciężną czesko-morawską chorągiew Świętego Jerzego, a następnie trzy chorągwie smoleńskie oraz szereg chorągwi litewskich i ruskich, do tego dwie tatarskie na samym skraju. Na lewo stały ziemskie chorągwie: sandomierska, halicka i wieluńska. Pomiedzy nimi znalazła się prywatna Andrzeja z Tęczyna. Potem szły liczne prywatne znaki aż do zewnętrznego skrzydła wojsk koronnych, gdzie przeważali Wielkopolanie.

Chorągiew krakowska przewyższała wszystkie inne liczbą oraz znamienością rycerstwa. Prowadził ją miecznik krakowski Zyndram z Maszkowic. Za godło miała białego orła w koronie z rozpostartymi skrzydłami na czerwonym polu; sztandar, gonfanon, niósł Marcin z Wrocimowic, rycerz herbu Półkozy. Obok Zawiszy Czarnego znalazł się w jej szeregach jego brat Farurej, który zasłynął we Francji jako rycerz turniejowy, a potem, zarekomendowany przez samego Karola VI, przebywał długi czas w Saragossie, na królewskim dworze.

W szpicie chorągwi, ułożonej już w szyku bojowym, stało trzech kopijników – Florian z Korytnicy herbu Jelita, Skarbek Górski herbu Habdank i Paweł Złodziej z Biskupic herbu Niesobia – w drugim szeregu było ich pięciu, w trzecim siedmiu, w czwartym dziewięciu, a w piątym jedenastu. Między nimi znajdował się chorąży Marcin. Reszta chorągwi, liczącej łącznie czterystu jeźdźców, stała bezpośrednio za pancernym klinem, tworząc kolumnę o trzydziestu trzech szeregach po jedenaście koni w każdym. Tworzyli ją pocztowi, lżej zbrojni, wyposażeni w kusze. Podczas szarży ostrzeliwali przeciwnika, śląc bełty ponad głowami kopijników. Przy zwarciu z wrogiem strzelcy stawali do walki wręcz na miecze, topory, tasaki i kordy.

Kopijnicy uzbrojeni w kopie, prowadzący najsilniejsze konie, najpełniej opancerzeni, mieli za zadanie rozbić szyk nieprzyjaciela, niczym taran wrota miasta, a potem torować drogę dla całej chorągwi.

Domarat z Kobylan, który stał w trzecim szeregu klina obok Zawiszy, zauważył, że ten zerka na wybijający się wysoko ku niebu sztandar prywatnej chorągwi Andrzeja z Tęczyna: srebrny topór o złotym toporzysku na czerwonym tle. Wieść o konflikcie między Sulimczykiem a Tęczyńskim szybko dotarła do uszu kręcących się wokół dworu rycerzy. Większość odetchnęła z ulgą, gdy obaj mężowie w obliczu wojny poszli na ugodę.

– Wiesz, Farureju – odezwał się Domarat znany z krotochwilnego charakteru – wszyscyśmy tu radzi, że się Zawisza z Toporem dogadał. Bo nasz starosta to strasznie zawzięty na Krzyżaków okrutnik. Słyszeliście... – to mówiąc, rozejrzał się na boki, a nawet spojrzął za siebie, upewniając się, że go słuchają – ...jak potraktował tych szpiegów, co ich wiosną na ziemiach Siemowita złapali? Nie? No to słuchajcie: kazał ich Tęczyński zamknąć w lochach jednego z zameczków, które mu król oddał do dyspozycji. Po kilku miesiącach zjawia się tam jakiś pruski rycerz i na starostę naskakuje, że przecież rozejm, a on mu niewinnych ludzi uwięził. I czerwony na gębie ze złości żąda uwolnienia pojmanych. Przyszliście za późno, mówi mu Tęczyński, bo wicie, panie rycerzu, ponieważ czas biedny na przednówku, o strawę ciężko, postanowiłem te wasze gnidy oduczyć jeść. Słyszałem, że to możliwe, tylko trzeba powoli jadło odejmować. I patrzcie, co za pech! Jakaś zaraza musiała przyjść, bo ledwie ich nauczyłem nie jeść, jak w dwie niedziele wszyscy wyzdychali.

Kilku rycerzy głośno się roześmiało.

– I co na to ten rycerz? – zapytał Jaksa z drugiego szeregu, który słuchał opowieści, a teraz odwrócił się w siodle, by lepiej słyszeć.

Domarat splunął pod kopyta konia i odparł:

– Wściekł się, w ogóle go to nie rozbawiło, i woła, że się zemści, będzie u króla szukał sprawiedliwości. Tęczyński mu na to: takiś pies?, to może od razu poszukasz sprawiedliwości? Będziemy się pojedynkować! Czeladź i kilku Polaków, żołnierzy, co przebywali w zamczku, na dziedziniec wyprowadził i przynosi miecz. Ale tylko jeden! Rycerz zdziwiony – ciągnął Domarat – pyta: jak mamy toczyć pojedynek jednym mieczem? A Tęczyński mu na to: zamek skromny, nie mam więcej wolnego oręża. Ale nie martw się. Będziemy go uczciwie, po chrześcijańsku, używać na zmianę!

Jaksa zaczął chichotać.

– Tylko, mówi Topór... – Domarat sam już trząśł się w siodle – zaczynam ja, bom gospodarz!

Wszyscy, którzy stali blisko Domarata i słyszeli opowieść, ryknęli śmiechem.

– I rozciął go jak świniaka. – Rycerz ocierał łzy z oczu, ubawiony własną opowieścią. – Tak to pruskie bydło na kawałki porąbał, że musieli chama łopatami do wora zbierać, bo nie szło inaczej. Tak to jest rozsierdzić Tęczyńskiego!

Zawisza nie uwierzył w tę historię, ale tak, to prawda, on i Tęczyński już sobie wybaczyli. Ponieważ Ayhe, jak wynikało ze słów Lichtensteina, zginęła z rąk oprawców z ligi, więc Zawisza nie wszczął wojny przeciwko staroście, a ten z kolei przyjął wyjaśnienia od króla w sprawie węgierskiej intrygi. I Bogu chwała, bo wszystko stało się tak, jak Sulima zapowiedział: gdy polska armia zbliżała się do pruskich granic, Ścibor kilka razy pojawił się w obozie krzyżackim, by wziąć złoto, a potem w polskim, by wręczyć listy od Zygmunta wypowiadające wojnę. Tyle że żadnych wojsk dla wspomnienia zakonu nie przyprowadził, nie zbierał ich też, by uderzyć na Polskę od południa.

Według raportów szpiegów Ulryk von Jungingen przywiódł na grunwaldzkie pola pięćdziesiąt jeden chorągwi, blisko dwadzieścia tysięcy jazdy. Armia, jakiej zakon w swej historii nigdy jeszcze nie wystawił. Sprzymierzeni mieli jednak przewagę. Wojsk koronnych przyszło pięćdziesiąt jeden chorągwi, co dawało też blisko dwadzieścia tysięcy zbrojnych, a był jeszcze książę Witold, który przyprowadził czterdzieści chorągwi – dodatkowe dziesięć tysięcy jeźdźców.

Zawisza przysłonił ręką oczy. Znów zaświeciło ostre lipcowe słońce.

Wtorkowy ranek 15 lipca, w Dniu Rozesłania Apostołów, nie zapowiadał roz pogodzenia. Wymarsz spod zgliszcz Dąbrówna, które Polacy dwa dni wcześniej zdobyli i spalili do szczytu, zapowiedziany na wczesne godziny poranne, znacznie się opóźnił, ponieważ noc przyniosła burzę z rzęsiłą ulewą i porywistym wiatrem. Król zrezygnował nawet z odprawienia przed wymarszem zwyczajowej porannej mszy. Z powodu gwałtownego wiatru nie można było rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwa.

Niektórzy rycerze przerazili się, że ta ulewa, wichura i grzmoty, jakie spadły na obóz, to boska kara za grabież i spalenie Dąbrówna. Przedwczoraj, w Dzień Świętej Małgorzaty, Polacy w kilka godzin wzięli miasto szturmem. Potem przez całą noc łupili domy, mordowali mężów, kobiety i dzieci. Na koniec miasto doszczętnie spalili. Nawet tych, którzy się w kościele schronili, nie oszczędziły płomienie. Ci, którzy się tych okrucieństw dopuścili, tłumaczyli sobie, że to odwet za bestialstwa poczynione przez Krzyżaków w tej wojnie i wszystkich poprzednich, ale czy Stwórca takie tłumaczenie przyjmie?

Zawisza dziękował Bogu, że doszli tu w tak wielkiej potędze! Służył pod wieloma wodzami, ale nigdy jeszcze nie widział takiego porządku i równie doskonałej organizacji marszu.

Koncentracja armii obyla się w Czerwińsku nad Wisłą. Między 30 czerwca a 2 lipca Jagiełło przeprowadził się przez Wisłę z wojskiem z Małopolski i Wielkopolski, by na prawym brzegu połączyć się z oddziałami książąt mazowieckich Janusza i Siemowita oraz chorągwiami litewskimi i ruskimi. W tym celu nieco powyżej Czerwińska przerzucono przez Wisłę most spoczywający na stu pięćdziesięciu łodziach. Wszystkie jego elementy przygotowano w największej tajemnicy w górze rzeki, pod Kozienicami, a potem spławiono na miejsce przeprawy. Zakotwiczenie łodzi i ułożenie na nich szerokiego na pięć kroków pomostu zajęło ledwie pół dnia. Trzydniowa przeprawa odbyła się w największym porządku. Podejście do mostu ograniczono kozłami, aby zapobiec tłokowi; nad porządkiem czuwała specjalnie powołana w tym celu zbrojna straż. Ci, którzy podchodzili do rzeki, nie mogli wyjść z podziwu nad niezwykłością konstrukcji. Szerokość Wisły w tym miejscu znacznie przekraczała pół stajania!

Pod Czerwińskiem Zawisza spotkał się z Aaronem, którego rozpierała duma na widok tego cudu techniki. Poczciwy Żyd dopiero teraz dowiedział się, do czego potrzebny był materiał z jego tartaków. Sprawił się znakomicie; klepki z najlepszej dębiny dostarczał zawsze na czas, zachowując do ostatniej dostawy całkowitą tajemnicę.

Aaron uradował Zawiszę wieściami o Ryksie, która powróciła do Krakowa i cieszyła się pełnym zdrowiem. A potem zasmucił, gdy oznajmił, że podjął decyzję o powrocie do Aragonii, do Saragossy. Nie wiedział jeszcze, czy na zawsze, czy tylko na kilka lat. Śmierć Ayhe mocno nim wstrząsnęła; przyznał, że to był główny powód tej decyzji. Czekał tylko na zapłatę z królewskiej kasy. Zamierzał przeznaczyć sporą jej część na zabezpieczenie Doroty i jej dzieci.

Po udanej przeprawie armia sprzymierzonych ruszyła dalej na północ.

W czwartek przed Dniem Świętej Małgorzaty, to jest 10 lipca, Jagiełło wraz z wojskiem przybył pod zamek i miasteczko Kurzętnik, strzegące ważnego i dogodnego brodu, którym król zamierzał przeprowadzić się przez Drwęcę.

Okazało się jednak, że Krzyżacy oczekiwali tu na królewską armię i obsadzili przeprawę. Obwarowali brzegi Drwęcy z obu stron wysokimi ostrokołami, do tego trzymali w pogotowiu łuczników i liczne działa, tak że bez stoczenia morderczej walki przejść przez wodę nie było sposobu.

Dobrze, że przeważył rozsądek i mimo nalegań rycerstwa z pospolitego ruszenia król i powołana przy nim rada wojenna zarządziła odwrót.

To tu po raz pierwszy znalazły potwierdzenie wieści, które wcześniej docierały do polskiego wywiadu, lecz nie dawano im wiary: Karol von Lichtenstein z diabelską pomocą przedostał się do Prus i służył teraz w krzyżackiej armii.

Pod Kurzętnikiem tajny posłaniec od Mikołaja Ryńskiego przyniósł listy, w których, oprócz innych wieści, jaszczurkowcy donosili, iż Lichtenstein został włączony do chorągwi najemnych żołnierzy niemieckich, która miała w herbie dwie skrzyżowane strzały: jedną zakończoną ostrym grotem, a drugą drewnianą, bez żelaza i grotu, obydwie czerwone na białym polu. Walczyli pod tym znakiem rycerze zaciężni, służący za wynagrodzenie, oraz goście zakonu przybyli z własnej woli i na własny koszt.

Zawisza i cały polski wywiad od miesiący usiłowali dociec, co stało się z Karolem von Lichtensteinem. Zdawano sobie sprawę, że jego powrót do Prus mógłby obrócić w niwecz wysiłki polskich służb. Misternie przygotowany plan dezinformacji, pozorowania przygotowań do uderzenia na Pomorze Gdańskie, ległby w gruzach. Z przesłuchania, jakie przeprowadził Jaroch jeszcze w Breckovie, wynikało, że brodnicki komtur wiedział naprawdę dużo. Zdecydowano się jedynie na przeniesienie miejsca ułożenia pływającego mostu z Płocka do Czerwińska. Na inne zmiany w ustalonej strategii było już za późno.

Zaryglowana przeprawa pod Kurzętnikiem stanowiła czytelny dowód, że zakonnicy znają królewskie plany. Musiał je wyjawić Lichtenstein. Ale najwyraźniej nie powiedział wszystkiego... Przecież nie wszczęto represji wobec jaszczurkowców. Co zatem powiedział? Co tym razem knuł Lichtenstein?

Zawisza dostrzegł, że na polu między wojskami krzyżackimi a armią sprzymierzonych zieleni się od strony Stębarka kępa sześciu ogromnych dębów, na które powłazili miejscowi chłopcy albo obozowa czeladź, by z bliska oglądać bitwę.

Niektórzy rycerze zerkali na nich z zazdrością. Kto wie, ilu zamieniłoby się z tymi pacholkami. Za chwilę rozpęta się piekło, kopuła szaleństwa przykryje to pole na wiele godzin, a pod nią będą upiorne krzyki, kwiczenie koni, zgrzyt żelaza. Tylko tym gapiom na pewno nic złego się nie przydarzy. Wielu rycerzy zginie, odniesie rany. Mieli świadomość, że za chwilę zderzą się z krzyżacką nawałnicą. Przez szczeliny w zbroi przenikał lęk. Ale nie przed śmiercią.

Ci dzielni mężowie bali się bólu, kalectwa, żebraczego żywota, na jakie wielu z nich zostanie skazanych, jeśli krzyżacki miecz odejmie im rękę, nogę, pogruchocze plecy, pozbawi czucia w kończynach...

Armia Ulryka von Jungingena budziła grozę.

Wojskom krzyżackim łatwiej było się rozwinąć do bitwy, dlatego uformowały szyk bojowy szybciej niż siły sprzymierzonych. Pierwsze linie obu armii stały od siebie w odległości strzału z łuku. W odstępach pomiędzy krzyżackimi chorągwiami pierwszej linii widać było działa, których użycia w bitwie polowej jeszcze polscy rycerze nie doświadczyli.

Zawisza przyglądał się wroziej armii ze spokojem. To nie będzie drugi Kurzętnik. Armia krzyżacka przybyła na pole bitwy niemal jednocześnie z armią polsko-litewską, nie miała czasu na przygotowanie fortyfikacji czy pułapek.

Zawisza podjechał kilka razy pod krzyżackie szeregi, ale żaden z ich rycerzy nie podjął rękawicy i nie wyszedł na harce. Albo się bali, albo powstrzymywał ich dowódca. Dumnie przeżyła się krzyżacka chorągiew, której herbem był szeroki czarny krzyż na białym polu, a którą prowadził wielki marszałek Prus Fryderyk Wallenrod. Pod jej znakiem walczyli głównie rycerze frankońscy, wprawieni w bojach, odziani w pełne zbroje płytowe okryte barwnymi jakami. Większość głów osłaniały przyłbice.

Ale Sulimę znacznie bardziej interesowała stojąca obok chorągiew niemieckich rycerzy zaciężnych ze sztandarem z dwiema skrzyżowanymi strzałami. Bo to w jej szeregach, wedle doniesień jaszczurkowców, miał walczyć Karol von Lichtenstein. To pewnie z którąś z tych dwóch chorągwi przyjdzie się zderzyć wielkiej krakowskiej.

Nie było to dziełem przypadku. Skrybowie pracujący przy radzie wojennej ponumerowali przed bitwą polskie i krzyżackie chorągwie, tak by łatwiej było gońcom przekazywać rozkazy ze wzgórza, skąd Jagiełło obserwował pole bitwy i dowodził wojskami sprzymierzonych. Król nakazał Zyndramowi z Maszkowic tak rozstawić chorągiew krakowską, by stała naprzeciw krzyżackiej najmniejszej. Zawisza jako jedyny z rycerzy nienależących do rady znalazł się w królewskim namiocie na poufnej rozmowie z Jagiełłą, nim ten rozpoczął modlitwy. Ustalono podczas niej, że Karol von Lichtenstein nie może opuścić grunwaldzkich pól żywy. Nawet jako jeniec stanowił poważne niebezpieczeństwo. Zawisza dostał od króla zgodę na odłączenie się od chorągwi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jagiełło zgodził się też wyznaczyć grupę łowców, której zadaniem miało być obserwowanie ruchu dwudziestej ósmej chorągwi krzyżackiej, bo taki numer nadano oddziałowi Lichtensteina, i pilnowanie, by żaden z jej rycerzy nie uszedł z pola bitwy. Łowcy mieli na bieżąco, w miarę możliwości, informować Zawiszę o jej położeniu. Oczywiście wszystko to, gdyby nie udało się w pierwszych natarciach powalić komtura.

Jak twierdzili jaszczurkowcy, Lichtenstein nie nosił krzyżackich znaków, ale herb ziemi, z której się wywodził: tarczę z białą belką na czerwonym polu.

Trudno było rycerstwu znieść to przeciągające się przedbitewne oczekiwanie. Król natomiast, wysłuchawszy dwóch mszy i zmówiwszy modlitwy, gdy nic już nie stało na przeszkodzie, by dać sygnał do boju, udał się konno na wyniosłe wzgórze, by stamtąd jeszcze raz spojrzeć na polskie i nieprzyjacielskie wojska.

Domarat, widząc to, coraz bardziej się niecierpliwił. Potem któryś z pocztowych doniósł, że Jagiełło przystąpił do pasowania wielkiej liczby rycerzy. Następnie król, siedząc na koniu, wyspowiadał się przed podkanclerzym królestwa Mikołajem Trąbą.

– Bo nas dupy już od siodeł pieką! – krzyknął Domarat do gońca, który pędził z rozkazami przed pierwszym szeregiem chorągwi.

Zagadnięty gwałtownie osadził konia i zawołał:

– Przybyli krzyżaccy heroldowie, ale już odprawieni! Król każe za chwilę odtrąbić hasło

i bój zacząć!

I rzeczywiście. Niecały pacierz później w szeregach unii zabrzmiały trąby zapowiadające natarcie, a wojsko koronne podjęło donośnym głosem ojczystą pieśń *Bogurodnicę*.

Pola Grunwaldu, 15 lipca roku Pańskiego 1410

Jako pierwsze ruszyło prawe skrzydło armii polsko-litewskiej.

Zawisza widział posuwające się naprzód lekkie chorągwie litewskie i tatarskie. Jeźdźcy, nisko pochyleni do przodu na drobnych koniach, szli od razu prędko jak wiatr, wymachując mieczami i sulicami. Wsparły je od lewego skrzydła oddziały koronne: chorągiew Świętego Jerzego oraz gończa.

Czarne obłoczki wykwitły wokół rozstawionych między krzyżackimi chorągwiami bombard, a potem do uszu rycerzy dobiegł grzmiący huk wystrzałów. Nie wyrządziło to jednak nacierającym żadnych szkód. Po oddaniu armatniej salwy Krzyżacy ruszyli szarżą na Litwinów.

Wtedy zagrzmiały trąby na polskim skrzydle.

– Gotuj się! – krzyknął Zyndram z Maszkowic.

Po całej linii poszedł szereg zamykanych przyłbic, żelaznych rękawic ujmujących wodze. Marcin dał znak sztandarem. Wielka chorągiew krakowska ruszyła. Rozległy się pokrzykiwania: raz, by dodać sobie odwagi, dwa, by idący obok trzymali sztyk.

Szli klusem z kopiami ustawionymi w pionie. Zawisza stracił z pola widzenia to, co działo się na prawym skrzydle. Nie wykrzykiwał bojowych wezwań. Łapczywie wciągał powietrze do płuc. Jakby chciał zebrać go na zapas, bo wiedział, że za chwilę zstąpi do piekła i zabraknie mu tchu.

A potem zaczął się modlić słowami modlitwy, której nauczyła go matka, gdy jako młody chłopak wychodził z domu na wojenną służbę:

Święta Maryjo, Dziewico wieczna, przez umiłowanie Syna Bożego, który Cię umiłował, aby Cię wynieść ponad chóry anielskie,

Wysłuchaj mnie i módl się za mnie,

Święta Maryjo, wspieraj mnie i wstaw się za mnie...

Już widać było z naprzeciwną nacierającą chorągiew krzyżacką, która szła wprost na nich. Dwudziesta ósma rycerzy zaciężnych! Bogu niech będą dzięki!

Aby Bóg uwolnił mnie i strzegł od wszelkiego złego,

i od wszelkiego niebezpieczeństwa,

i od wszelkich bólu i ran...

Na znak chorążego rycerze pochyłili drzewa. Zawisza oparł kopię na wycięciu w tarczy.

Święta Maryjo, Dziewico dziewic, wspieraj mnie...

Święta Maryjo, Pani i Królowo całego świata, wspieraj mnie...

Strzelcy rozpoczęli ostrzał z kusz. Krzyżacy zrobili to samo, bo nagle spadł na nich grad bełtów. Obok Zawiszy szedł z lewej Domarat, z prawej Farurej. Żadnemu z nich żelazne groty nie wyrządziły krzywdy. Łby końskie w jednej linii, żaden nawet na piędź się nie wysunął.

Święta Maryjo, nadziejo nędzarzy, módl się za mną i wspieraj ogarniętego lękiem...

Przeszli w galop...

Święta Maryjo, najdobrotliwsza pociecho uciekających się do Ciebie, wspieraj mnie i módl się za grzechy i zaniedbania moje...

...a zaraz potem w cwał, starając się zachować zwarty szyk do ostatniej chwili przed uderzeniem.

Święta i chwalebna, najmiłsza Bogu ze wszystkich niewiast...

Święta Maryjo, wysłuchaj, proszę, mnie nędzarza, który się do Ciebie uciekam...

Zawisza poruszał ustami, wypowiadając słowa modlitwy. To ostatnie człowiecze odruchy. Mięśnie stężałe do bólu zamieniły go w kamień, wszelka myśl odpłynęła, a wraz z nią strach.

bym odczuł Twą pomoc, ja, który się udaję do Twego wsparcia,

Amen!

Pierwsze linie otarły się o siebie z przeraźliwym zgrzytem metalu, przeniknęły jedna w drugą, jakby splotły się dwie żelazne dłonie, a potem rozległ się przeciągły łoskot stalowych grotów uderzających o tarcze. Wtórowały mu ludzkie krzyki i kwik ranionych zwierząt. Kopia Zawiszy przeszła nad pawężką niemieckiego jeźdźca, który nagle wyrósł tuż przed nim; grot wbił kolczy kołnierz pod hełm, Zawisza poczuł szarpnięcie; w ułamku chwili dostrzegł, jak łamiące się drzewce urywa rycerzowi głowę.

W tłumulcie walczącej zwarli się ze sobą na wyciągnięcie ramion. Dobyli mieczy, toporów, buław. Prawie wszyscy niemieccy rycerze mieli pełne zbroje płytowe. W chaosie, jaki zapanował, trudno było znaleźć szczelinę w pancerzu, by wepchnąć przez nią ostrze. Sulima pochwycił ciężki nadziak z żelaznym styliskiem. Parł naprzód. Wbijał ostry kolec w otwory do oddychania, wizjer albo pruł nim twarz, jeśli przeciwnik miał zwykły kapalin lub szłom, albo nieopatrznie uniósł zasłonę. Sam też otrzymał kilka ciosów, ale był dobrze chroniony. Starał się dojrzeć w bitewnym zamęciu rycerza z herbem Lichtensteina.

Choć krzyżackiemu wojsku sprzyjało ukształtowanie terenu, bo lewy brzeg doliny górował nad prawym, zajęтым przez Polaków, niemieccy rycerze nie zdołali wytrzymać impetu natarcia chorągwi krakowskiej i zostali odrzuceni na bez mała staję. Polacy zdobyli wyraźną przewagę, udało im nawet oskrzydlić wrogą chorągiew.

Podczas jednej z potyczek ostry dziób broni zakleszczył się w metalu; Sulima nie zdołał go wyszarpnąć; Niemiec trafiony w skroń runął pod kopyta konia z nadziakiem tkwiącym w hełmie.

Wtedy Zawisza dostrzegł rycerza z jaką i tarczą, na której wymalowano białą belkę na czerwonym tle. A więc jaszczurkowcy się nie mylili! Oto miał przed sobą Karola von Lichtensteina.

Sulima dobył miecza, spiął konia ostrogami i wbił się w ciżbę odgradzającą go od brodnickiego komtura. Wyrąbywał sobie drogę ostrzem, jakby powalał drzewa w litewskiej puszczy. Raz spadł na niego potężny cios zadany żelazną maczugą, lecz albo wrogie ramiona były już zmęczone, albo Maryja wysłuchiwała jego modlitw i otoczyła go matczyną opieką, bo naplecznik wytrzymał uderzenie. Zawisza przywarł tylko do końskiej szyi i przez długą chwilę próbował złapać oddech.

Niemieccy rycerze coraz częściej się poddawali. Polacy przekazywali jeńców swoim giermkom, ci zaś odprowadzali ich do taboru. Zrobiło się luźniej. Nareszcie dołączyło do Zawiszy dwóch łowców, których król przydzielił mu jako pocztowych. Rycerz mieczem wskazał im Lichtensteina jako cel. Nacierał dalej ochraniający teraz z obu stron przez młodych wojowników.

Gdy od komtura dzielił go już tylko jeden jeździec, dostrzegł kątem oka znak czyniony wysoko w górze sztandarem krzyżackim i chorągiew Lichtensteina rozpoczęła nagły odwrót. Komtur szarpnął wodzami, zawrócił gwałtownie konia i uszedł za swoimi z pola walki.

Marcin z Wrocimowic także dał sygnał. Polscy rycerze uwolnieni od przeciwnika,

pokrzykując na siebie, szybko zaczęli na nowo formować szyki. Walcząca obok chorągiew halicka czyniła to samo. Kilku rycerzy zerkało za siebie. Teraz ich także powinni wycofać! Doświadczeni żołnierze po drzeniu ramion i suchości w ustach wiedzieli, że bój trwa już co najmniej cztery pacierze.

Zawisza dostrzegł, że coś niedobrego musiało się wydarzyć na prawym litewskim skrzydle wojsk sprzymierzonych, bo polskie chorągwie z drugiego rzutu, zamiast zluzować chorągwie krakowską i halicką, jedna za drugą zmierzały w stronę Stębarka.

Jakby na potwierdzenie tych obaw jeden z gońców królewskich przyniósł wieść, że cała Litwa rzuciła się do ucieczki. Tymczasem Zyndram krzykiem zwoływał rycerzy do szybszego formowania szyków, bo od strony wojsk zakonnych zbliżała się kolejna nawałnica.

Już po chwili na zmęczone i poranione chorągwie runęły z impetem świeże oddziały krzyżackie, w tym prowadzone przez wielkiego mistrza. Ulryk von Jungingen był nie tylko naczelnym wodzem, ale również brał udział w walce, a teraz stał na czele nacierających oddziałów.

Klin wbił się w krakowską chorągiew niczym pięść w miękkie podbrzusze. Kopijnicy galopujący na szpicy przedarli się głęboko do środka, a stalowe boki rozepchnęły wyłom i polska chorągiew pękła na pół.

Jeden z krzyżackich rycerzy natarł na chorążego Marcina z Wrocimowic, zrzucając go kopią z wierzchowca. Na ten widok ryk zwycięstwa wyrwał się z krzyżackich gardeł. Ukoronowany orzeł na czerwonym polu, najwyższy znak całego wojska królewskiego, runął pod kopyta wierzchowców. Zniknięcie gonfanonu mogło zostać odczytane jako sygnał do odwrotu, wprowadzić zamęt w polskie szeregi, doprowadzić do klęski.

Zakonny rycerz, który powalił chorążego, odrzucił kopię. Uzbrojony w topór i ochraniany przez dwóch swoich pocztowych napierał koniem, by przedostać się bliżej Marcina, który ogłuszony i potrącony przez kłębiące się wierzchowce starał się podnieść sztandar. Krzyżak najpierw wściekle ciął przez pysk zwierzę, które zagroziło mu drogę, a potem zawiesił topór nad chorążym, by w odpowiednim momencie spuścić ostrze na jego głowę. Ta krótka chwila wyczekiwania zgubiła zakonnika. Zawisza ciął go mieczem przez ramię uzbrojone w topór, a potem uchwycił za okrwawiony kikut i ściągnął z siodła. Jeden z rannych polskich rycerzy ostatkiem sił wraził miecz w brzuch konia niosącego na grzbiecie jednego z pocztowych Krzyżaka. Drugiego ciosem w hełm powalił Domarat z Kobylan, który też rzucił się do ratowania gonfanonu.

Krzyżacka szpica, która rozerwała krakowską chorągiew, została otoczona przez polskie rycerstwo. W kotle rozpoczęła się rzeź.

Walczący zdawali sobie sprawę, że polska armia bez gonfanonu jest niczym zapaśnik, któremu odcięto dopływ powietrza. Za chwilę omdleje i się podda. Rycerze, pokrzykując na siebie, uczynili pusty krąg wokół rannego chorążego. Zawisza zeskoczył z konia, by pomóc mu wstać z kolan.

I poczuł, jakby zstąpił do piekieł.

Oślepił go kurz wzbijany końskimi kopytami, zadławił odór krwi, rozprutych trzewi, ludzkich i zwierzęcych, ogłuszył kwik rannych zwierząt ryjących kopytami ziemię i skowyt ludzi błagających o pomoc i ratunek przed stratowaniem. Krzyżacki grot na szczęście nie miał dość impetu, by przebić płytę napierśnika. Chorąży oparł się na ramieniu Zawiszy, a potem uniósł ręce ku górze, by wciągnięto go z powrotem do świata żywych. Zawisza podniósł sztandar i podał go Marcinowi. Potem, nastąpiwszy na trupa, wsunął resztką sił stopę w strzemień, uchwycił wyciągnięte ramię Domarata i wspiał się na konia.

Dopiero wtedy zaczął oddychać.

Zaraz potem przyszedł rozkaz odwrotu także dla krakowskiej chorągwi. Kopijnicy dostali nowe kopie, rannych odesłano do obozu. Czeladź doniosła potrzebne uzbrojenie, kusznicy uzupełnili zapas bełtów.

Nosiwody nie nadążali z dostawami, bo słońce wciąż prażyło bez litości. O jadło nikt nie poprosił. Dwaj młodzi rycerze, jeszcze nieprzywykli do takich zapasów, wymiotowali ze zmęczenia, strachu i przerażenia tym, co widzieli.

Dopiero tu Zawisza dowiedział się, że obaj jego pocztowi polegli podczas szarży chorągwi wielkiego mistrza. Przywołał jednego z łowców i kazał sobie zrelacjonować dotychczasowy przebieg wypadków.

Okazało się, że całe litewskie skrzydło przestało istnieć. Zbrojni Witolda początkowo dzielnie opierali się pancernym hufcom Krzyżaków, ale po kilku pacierzach ich szyki zaczęły się chwiać, za opór płacili coraz obficiej przelewana krwią, w końcu zostali zmuszeni do odwrotu, który przeobraził się w bezładną ucieczkę.

Krzyżackie chorągwie lewego skrzydła ruszyły w pościg. Ponieważ uznały, że bitwa jest już wygrana, zajęły się wyłapywaniem jeńców, zagarnianiem łupów, nie dbając o własne szyki. Zapuściły się tak daleko, że utraciły łączność z resztą swojej armii.

Po ucieczce Litwinów i upadku gonfanonu kłęska wojsk sprzymierzonych była blisko. Z otoczenia króla posłano nawet gońca, by sprawdził najbliższej rozstawione konie przygotowane na wypadek ucieczki Jagiełły i kazał dociągać popręgi. Król z eskortą kilkudziesięciu kopijników zajmował miejsce na niewielkim wzniesieniu niedaleko połączenia skrzydeł polskiego i litewskiego. Na trasie odwrotu rozstawiono ręce wierzchowce, aby Jagiełło, zmieniając je, miał szansę umknąć ewentualnemu pościgowi.

Była to jednak zbyt ostrożność. Po podniesieniu gonfanonu widmo kłęski zostało zażegnane. Na szczęście niektóre chorągwie Witoldowe, w tym trzy chorągwie smoleńskie, dotrzymały pola i dzięki polskim chorągwiom odwodowym udało się zaryglować wyłom i zabezpieczyć prawą flankę. Nie było jak dotąd wieści, co dzieje się z uciekinierami i pogonią. Wiadomo tylko, że kilka chorągwi udało się Witoldowi zawrócić. I że to Tatarzy pierwsi rzucili się do ucieczki.

Jednocześnie dobre wieści napływały z lewego skrzydła. Tam w rejonie Łodwigowa biło się rycerstwo z Wielkopolski, wsparte przez cudzoziemskich zaciężnych, i zdobywało wyraźną przewagę.

Następne doniesienia, z godziny trzeciej po południu, czyli kilka godzin po rozpoczęciu pierwszych starć, wskazywały, że krzyżackie wojsko, wyczerpane upałem i wielogodzinnym bojem, zaczęło coraz bardziej ustępować pola i cofać się w stronę własnych taborów.

Wielka chorągiew krakowska znów była gotowa do boju, gdy goniec z rozkazami od króla dopadł do Zyndrama. Do Zawiszy zaś podjechał Wolas, który pełnił przy królu funkcję jednego z gońców.

– Panie – zawołał zdyszany – dwudziesta ósma chorągiew zaciężna przeszła na prawe skrzydło i bije się teraz bliżej Łodwigowa. Łowcy czekają w odwodzie. Gdyby ktoś z tej chorągwi próbował się przebić, mają go dojsć i...

– Ściągniesz mnie wtedy – przerwał mu Zawisza. – Przebijesz się do mnie. Zrozumiałeś? Mało brakło! Miałem kurwiego syna na wyciągnięcie miecza. A co tu się dzieje?

– Wygląda na to, że wielki mistrz ruszył ostatnie odwody. Prowadzi je łukiem pomiędzy wzgórzami, chce uderzyć z zaskoczenia na nasze skrzydło. Próbuje odwrócić kłęskę...

– To świeże wojsko? – nie dowierzał Zawisza.

– Chyba nie! Wydaje się, że Ulryk złożył swój hufiec z chorągwi, które wcześniej wycofał. Macie ich zatrzymać. Zyndram już dostał rozkazy. Staną przy was inne małopolskie.

– Co jeszcze się dzieje, mów szybko!
– Witold ciskał wściekle gromy na swoje chorągwie, własną pierśią zagradzał im drogę, gdy uciekały... Część zatrzymał i zawrócił. Słyszałem, że ci Litwini przy pomocy naszych chorągwi starli krzyżacką pogoń, a teraz wracają do bitwy.

– Pomóż mi założyć hełm – rozkazał Zawisza.
– Ryński uratował cały front – ciągnął Wolas, poprawiając przypięcie kołnierza – bo jego chorągiew pierwsza ruszyła za Litwinami i pociągnęła za sobą inne. Gdyby nie to, brodacze mogliby uderzyć od flanki. Byłoby po nas, panie...

– Gdzie on teraz jest?

– Cała chorągiew chełmińska wróciła. Idzie z odwodem wielkiego mistrza!

– Dobrze! Wie, co ma robić!

Wielka krakowska ustawiła się frontem ku hufcom Ulryka von Jungingena, a wraz z nią inne chorągwie małopolskie.

Już w pierwszym natarciu udało się otoczyć wielkiego mistrza. Zrobiono jakby turniejowy plac, tak żeby Wiekuisty mógł zobaczyć, że Ulryk von Jungingen trzymający przy piersi najświętsze relikwie, został pobity wedle rycerskich reguł. Naprzeciw niego stanął Farurej, opromieniony sławą francuskich turniejów. Sulimczyk natarł, nie zwlekając. Wielki mistrz osłonięty płytową zbroją, na rumaku okrytym białym kropierzem, dzielnie się bronił, ale widać było, że w szermierczej sztuce ustępuje Farurejowi.

Mimo zażartości bojów toczonych ze wszystkich stron miecze nagle jakby zawisły w powietrzu, wszystkie oczy zwróciły się w stronę Ulryka. Krzyżacy wiedzieli, że jeśli padnie wielki mistrz, nic już nie ochroni ich przed klęską.

I padł.

Był to umówiony wcześniej z jaszczurkowcami moment. Ryński opuścił sztandar, dając swojej chorągwi znak do poddania. Niemal w tej samej chwili na nieosłonięty bok odwodowej kolumny uderzyły świeże polskie oddziały, które jeszcze nie brały udziału w bitwie. W rzezi, jaką krzyżackiemu hufcowi urządzili Polacy, zginęli, oprócz wielkiego mistrza, marszałek i prawie wszyscy komturzy prowadzący swe chorągwie.

Równocześnie na grunwaldzkie pole od strony Łodwigowa powróciło kilkanaście chorągwi litewskich. Uderzając na tyły rozpaczliwie broniących się Krzyżaków, dopełniły dzieła zniszczenia.

Pola Grunwaldu, 15 lipca roku Pańskiego 1410

Kilka chorągwi krzyżackich z prawego skrzydła, niezamkniętych jeszcze w okrążeniu, widząc nieuchronną klęskę zakonu, próbowało dotrzeć do obozu, by tam organizować obronę. Pozostałe rzuciły się do bezładnej rejterady. Rycerze brnęli w moczary ciągnące się od Grunwaldu ku Stębarkowi, licząc, że tam unikną pościgu, lub, by ominąć mokradła, uciekali na północ drogą idącą z Grunwaldu do Frygnowa.

Dwudziesta ósma chorągiew krzyżacka przebiła się do obozu, jednak kilku rycerzy oderwało się od niej i zbiegło z pola bitwy.

Jeszcze przed wzięciem obozu Zawisza zaalarmowany przez Wolasa porzucił swój oddział i stanął na czele pościgu. Miał ze sobą kilku łowców i przewodnika, tego samego, który pokazywał im okolicę przed bitwą.

Wedle Wolasa zbiegów było pięciu, może sześciu, wśród nich Karol von Lichtenstein. Uciekali nie na północ, ale wzdłuż traktu wiodącego ze Stębarka przez Grunwald do Samina, gdzie trakt się rozgałęział – jedna dróżka odchodziła brzegiem jeziora Dąbrowa na Wierzbicę, i ten szlak był drożny, a druga prowadziła na Elgnowo i dalej na Lubawę.

Przewodnik uważał, że podjęcie ucieczki na zachód jest słuszne, pod warunkiem że nie odbiją na Elgnowo, bo drogę zagradza tam staw młyński, od niedawna spiętrzony na strumieniu spływającym z północy do jeziora Mała Dąbrowa.

– Jeśli ci, których chcecie dojść, panie – oznajmił przewodnik – nie zrobili wcześniej rozpoznania, są zgubieni.

Wkrótce po śladach ciężkich rumaków, których dosiadali Lichtenstein i jego kompani, stało się jasne, że żadnego rozpoznania nie było. Uciekinierzy wybrali najprostsza drogę – na Elgnowo.

Zbiegli rycerze słyszeli za sobą odgłosy pościgu. Nie mogąc pokonać rozlewiska, zatrzymali się przy młynie. Był to duży drewniany budynek z grubych bali kryty sitowiem. Już zamierzali się poddać, gdy dostrzegli, że ściga ich ledwie jeden rycerz, pozostali wyglądali na giermków – nosili tylko kolczugi, nawet głowy mieli odkryte.

Uciekinierzy dobyli mieczy. I srodze się zawiedli. Trzech padło od razu w kilka chwil po skrzyżowaniu broni z łowcami. Czwarty wbił miecz w ziemię i padł przy nim na kolana, unosząc rękę w poddańczym geście.

Lichtenstein się bronił. Stanął przed Zawiszą bez tarczy, tylko z mieczem. Tunika herbowa nosiła ślady krwi. Jego własnej albo jego wrogów. Komtur słaniał się na nogach. Bitwa wyczerpała jego siły; wyglądał, jakby wiedział, że idzie na śmierć.

Walka trwała krótko. Zawisza nie musiał się wysilać. Odparował kilka słabych ciosów Karola, po czym chwycił lewą ręką głownię w połowie długości i trzymając miecz oburącz jak sulicę, zadał mocny sztych. Nauczył się tego ataku we wczesnej młodości. Nigdy go nie zawiódł. Szybko wykonany był nie do obrony. Lichtenstein musiał mieć zbroję z najlepszej stali, bo cios nie przebił pancerza. Komtur runął na plecy. Sulima stanął nad nim, postawił stopę na piersi i przyłożył mu miecz do szyi. Spod zasłony przyłbicy usłyszał krzyk.

Zawisza odwrócił się do łowców i wskazał ruchem głowy klęczącego rycerza.

– Tamten jest wasz! – zawołał. A potem spojrział w dół. – A tego pošlemy do piekła.

– On chce coś powiedzieć – mruknął Wolas, który podszedł do Zawiszy i patrzył z pogardą na zakonnika wijącego się na ziemi niczym robak przygnieciony obcasem. – Dobij go, panie, lepiej diabła nie słuchać. Dość namieształ.

Lichtenstein ostatnim wysiłkiem zdołał unieść zasłonę. Zawisza zatrzymał uniesiony miecz, po czym z wściekłością odrzucił go na bok. Wolas spojrział na niego nierozumiejącymi oczami.

– Panie, król kazał go zabić...

– To nie Lichtenstein!

– Ma znaki herbowe, jaszczurkowcy potwierdzili...

– Do wszystkich kurew! – wrzasnął rycerz. – Mówię, że to nie Lichtenstein!

Nachylił się nad leżącym.

– Kim jesteś, psie? Gdzie komtur?

– Jestem Gunter Salza – wydusił ranny.

– Na pal cię każę nadziać, jak mi Bóg miły! Coś za jeden?

– Jestem... knechtem... służyłem Karolowi von Lichtensteinowi.

– Gdzie on?

– Nie żyje.

– Gdzie trup? Gdzie padł?

– On łże, panie – odezwał się Wolas – Popatrz na zbroję... żaden z niego knecht!

– Wolas, do kroćset, przecież nie jestem ślepy! Wiem, jak wygląda morda Lichtensteina!

– Zawisza przyklęknął obok knechta. – Po coś założył jego znaki?

– Na rozkaz komtura gdańskiego Johanna von Schönfelda... Nikt nie wie, że Lichtenstein nie żyje, nie powiedziałem nikomu. Schönfeld głową za niego ręczył, sam wyblagał w Malborku, by pozwolili Lichtensteinowi iść na wojnę. Malbork się zgodził, dał mu dowództwo nad grupą zaciężnych. Miał ich prowadzić w niemieckiej chorągwi, ale zniknął. Schönfeld zląkł się, że wielki mistrz zacznie drażnić... Kazał mi udawać komtura, dołączyć do tej chorągwi jako Karol von Lichtenstein. A na bitwę założyć tunikę herbową z jego znakami... Nikt Karola w zakonie nie pamiętał, tyle lat w celi. Mieliśmy tak wszystko potem urządzić, żeby wyglądało, że zginął w bitwie...

– Co ty bredzisz? – warknął Zawisza.

– Karol nie żyje już od miesięcy, panie.

– Jak to od miesięcy? Kto go zabił?

– Moja żona.

Wolas parsknął śmiechem.

– To jakiś wariat. Dobij go, panie.

– Nie, nie – powiedział Zawisza i podniósł się z kolan. – Wydam go najlepszym litewskim siepaczom, jakich król ma przy sobie. Będziesz przeklinał, psie, swoją matkę i ojca, że cię spłodzili...

– Klnę się na Boga!... Mówię prawdę. Nikt w zakonie nie wiedział, że Lichtenstein uknuł zdradę... To ja na Węgry, do Ścibora, pierwsze listy zawoziłem!

Zawisza znieruchomiał.

– Potem Lichtenstein cudem uszedł z Węgier – ciągnął knecht, z trudem łapiąc powietrze.

– Wyrwał się wam z rąk, panie, boście Sulimczyk, widzę teraz po znakach... Szedł kilka tygodni, aż dotarł do mojej wioski.

Zawisza z niedowierzaniem kręcił głową. Spojrział na Wolasa.

– Prawdę mówi... Nie zmyśliłby tego...

Po czym zwrócił się do knechta:

– Lichtenstein dotarł do Malborka?

– Nie!

– Jesteś pewien?

– Jak tego, że Bóg istnieje! Miał iść, chciał wszystko wyznać, cożeśmy razem, czyli ja i on, uczynili, a było dużo złego... Moja żona się złąła, że mnie powieszą, co pewno by się stało... Upiła go i w nocy pchnęła nożem...

– Łżesz, kanalio! – syknął Wolas.

– Trupa mogę pokazać! Sam zakopywałem!

– Pchnij go, panie! – radził łowca. – To diabeł, taki jak ten jego komtur. Nikt z tej chorągwi nie uszedł poza tymi ludźmi. Obóz już pewno zdobyty. Lichtenstein albo leży trupem, albo już w niewoli.

Zawisza skinął głową, że się zgadza. Uwierzył knechtowi, ale ten za dużo wiedział. Na wolności byłby równie niebezpieczny jak Lichtenstein. Wolas dobył sztylet zza pasa i ukląkł nad leżącym.

– Panie! Ocalcie chłopca! On zginie...

– Dość, łotrze! – warknął Wolas i uniósł ostrze.

– Czeka! – krzyknął Zawisza i spojrział na knechta. – O kim mówisz?

– O Johanie, synu tej Arabki. Karol kazał mi go więzić. A potem zabić, kiedy ta kobieta zginęła. Ale nie posłuchałem, bo to dobry chłopak. Ukryłem go. Kazałem dobrze żywić. Daruj życie, a oddam ci go. Jeśli zginę, on przepadnie! Ja go ocaliłem...! Biorę Boga na świadka! Na Chrystusa, nie zabijajcie mnie!



Zdobywanie krzyżackiego obozu trwało zaledwie kilka pacierzy. Broniących się rycerzy i czeladź pozabijano lub wzięto do niewoli, namioty i wozy taborowe splądrowano. Zaraz po wkroczeniu do obozu Jagiełło rozkazał rozbić wszystkie znalezione tam beczki z winem, by zapobiec pijaństwu, jakiemu zwycięskie i zmęczone upałem rycerstwo z pewnością by się oddało. Wino polało się kilkoma szerokimi strumieniami, zmieszało z krzyżacką krwią i szybko wsiąkało w suche łąki Stębarka.

Przed bitwą król polecił swojemu wojsku, aby braciom-rycerzom, łatwym do rozpoznania dzięki brodom i białym jakom z czarnym krzyżem, nie dawać pardonu. I najlepiej by było, gdyby poległ wszyscy. Dobry Bóg wsparł te plany, bo z dwóch i pół setki braci-rycerzy, jacy ścignęli pod Grunwald, ocalała ledwie garstka. Pierwsze raporty z pola bitwy mówiły o kilkunastu tysiącach rycerzy poległych po stronie zakonu lub wziętych do niewoli. Zdobyto pięćdziesiąt jeden krzyżackich chorągwi, działa i nieprzebrane bogactwa taboru.

Zawisza spodziewał się, że król zarządzi dzień lub dwa odpoczynku, choć powinien od razu iść na Malbork. Jeśli jaszczurkowcy dobrze wykonali swoje zadania, to zamki i miasta pruskie będą go witały z otwartymi bramami i ramionami.



Zawisza, nie czekając na królewskie decyzje, polecił Wolasowi, by dobrał sobie kilku ludzi i ruszył z Gunterem Salzą do jego wioski jeszcze tego samego wieczoru. Tam mieli przesłuchać jego żonę, a przede wszystkim sprawdzić, czy mówi prawdę, i odkopać trupa. Potem

uwolnić Johana i udać się z chłopakiem do Krakowa. Gdyby tam jeszcze Aarona zastali, to mieli mu powiedzieć, że powinien się chłopcem zaopiekować. Był to winien jego matce.

Ważniejsze postaci występujące w pierwszym i drugim tomie cyklu o Zawiszy Czarnym oraz krótka informacja o ich wcześniejszych losach

Abnarrabí Aaron. Narrator powieści. Jako mały chłopiec został sierotą i trafił pod dach swego wuja, Salomona Abnarrabiego. Jego naukę w szkole przerwało tragiczne zdarzenie, w wyniku którego chłopiec został oskarżony o morderstwo. Dzięki wujowi uniknął kary. Trafił do warsztatu tkackiego Abrahama Abencanyasa. Za wstawiennictwem tkacza wuj Salomon dał mu posadę kancelisty. Aaron zakochał się w arabskiej niewolnicy Ayhe. Został wysłany z misją do zamku Loarre, gdzie poznał Zawiszę. Jego wuj w chwili śmierci był bankrutem; cała odpowiedzialność za długi rodziny spadła na Aarona. Chłopak udał się do Perpignan, gdzie Zawisza stoczył pojedynek z Juanem de Urrísem. Tam dotarła do Aarona najpierw wiadomość o śmierci Ayhe, a potem o jej ocaleniu. W roku 1392 wraz z Zawiszą przybył do Krakowa. Został wciągnięty do współpracy z polskimi tajnymi służbami. Przyczynił się do upadku komtura brodnickiego Karola von Lichtensteina.

Aranda Francisco de. Dworski urzędnik. W wieku piętnastu lat został paziem na służbie króla Aragonii Piotra IV. Od roku 1380 przebywał w otoczeniu infanta Marcina. Od 1387 był doradcą króla Jana I. Pod koniec roku 1388 został oskarżony przez hrabiego de Pradesa o otrucie infanta Jaime'a. Aranda z braku dowodów został oczyszczony z zarzutów, wówczas hrabia de Prades zażądał rozstrzygnięcia tej kwestii w pojedynku sądowym. W jego imieniu do pojedynku stanął Zawisza. Po stronie oskarżyciela wystąpił Juan de Urrís. Aranda posiadał głęboką wiedzę o wszystkim, co działo się na ważniejszych europejskich dworach. Dążył do usunięcia panującego w Aragonii króla i włożenia korony na głowę młodszego brata monarchy, Marcina, na którego miał duży wpływ. Aranda został zwerbowany przez Polaków i działał jako polski agent.

Ayhe. Arabska niewolnica Salomona Abnarrabiego, słynąca z niezwyklej urody. Wielka miłość Aarona. Na skutek tragicznych zdarzeń trafiła w ręce handlarza niewolnikami Tidemana Stickera. Gdy ten popadł w finansowe i prawne tarapaty, w Aaronie zrodziła się nadzieja na odzyskanie ukochanej. W Perpignan Aaron otrzymał wiadomość, że Ayhe żyje i wraz ze Stickerem znajduje się w drodze do Gdańska. Ayhe w wyniku akcji polskiego wywiadu na jakiś czas przeniosła się do Krakowa i zamieszkała wraz z synem Johanem w domu Aarona.

Dorota. Dziewczyna z podmiechowskiej wsi, parająca się dorywczo prostytutką w Krakowie. Została wynajęta przez Aarona do politycznej intrygi.

Jaroch, łowca. Po matce Litwin, po ojcu Polak, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Zawiszy Czarnego.

Johan. Syn Ayhe i Tidemana Stickera.

Jordan. Syn Lewka, najśłynniejszego żydowskiego bankiera średniowiecznej Polski. Jordan był przyjacielem Zawiszy. Przez wiele miesięcy gościł Aarona w swoim domu, gdy ten po raz pierwszy przybył do Krakowa.

Konopka Mikołaj, benedyktyn. Kierował grupą mnichów w tynieckim klasztorze zajmujących się pracą dla polskiego wywiadu: łamaniem szyfrów, pisaniem listów, fałszowaniem dokumentów.

Lichtenstein Karol von. Komtur brodnicki, odpowiedzialny za działanie krzyżackiego wywiadu działającego na terytorium Polski. W wyniku akcji podjętej przez polskie służby, przy wydatnym udziale Aarona i Zawiszy, został zmuszony do tajnej współpracy z Polakami. Oskarżony przez władze zakonu o malwersacje trafił do więzienia.

Łowcy. Grupa najzdolniejszych zawodowych myśliwych królewskich przeniesiona do służby wywiadowczej.

Rojek Adam. Krakowski mieszczanin. Bakałarz w szkole Maryi Panny. Uczył stylistyki i kaligrafii. Nauczyciel Aarona, potem przyjaciel.

Ruden Helena von. Żona Mikołaja von Rudena.

Ruden Kurt von. Syn Heleny i Mikołaja Rudenów.

Ruden Mikołaj von. Znany piwowar i kupiec gdański. Współpracował z polskim wywiadem. Zdemaskowany przez Krzyżaków i skazany na śmierć.

Sticker Tideman. Niemiecki kapitan przewożący pielgrzymów z Gdańska do Composteli. W roku 1378 jego statek został napadnięty przez angielskich piratów u wybrzeży przylądka Finisterre. Po tym zdarzeniu zamieszkał najpierw w Walencji, potem w Saragossie. Dzięki kontaktom z Genuńczykami, którzy handlowali niewolnikami z Krymu, Tideman Sticker wyspecjalizował się w handlu młodymi kobietami. Stał się właścicielem Ayhe, arabskiej niewolnicy, ukochanej Aarona. Ścigany przez sąd uciekł z Aragonii do Gdańska, zabierając ze sobą Ayhe. Został zlikwidowany przez polskie tajne służby.

Tęczyński Jan. Starosta ziemi sieradzkiej, łączącej Małopolskę z Wielkopolską i Mazowszem. Z racji pełnienia tej funkcji – odpowiedzialny za kształtowanie polityki Polski wobec zakonu krzyżackiego, w tym również za prowadzenie działań wywiadowczych. Jeden z przywódców Małopolan. Blisko związany z królową Jadwigą. Ojciec Andrzeja.

Tomasz z Węgleszyna. Ojciec Hanny, ukochanej, a potem żony Zawiszy. Starosta inowrocławski. Jeden z najbardziej zaufanych współpracowników króla Jagiełły. Zdemaskowany jako krzyżacki szpieg.

Wybrana bibliografia

- Biskup M., *Grunwaldzka bitwa*, Warszawa 1991.
- Biskup M., Czaja R. (red.), *Państwo zakonu krzyżackiego w Prusach. Władza i społeczeństwo*, Warszawa 2008.
- Christiansen E., *Krucjaty północne*, Poznań 2009.
- Cieślak E. (red.), *Historia Gdańska*. Tom 1 do roku 1454, Gdańsk 1985.
- Davies N., *Europa. Rozprawa historyka z historią*, Kraków 1998.
- Długokęcki W., *Elita władzy Malborka w średniowieczu*, Malbork 2004.
- Duby G. (red.), *Historia życia prywatnego*. Tom 2: *Od Europy feudalnej do renesansu*, Wrocław 2005.
- Felczak W., *Historia Węgier*, Wrocław 1983.
- Grabski A.F., *Polska w opiniach Europy Zachodniej XIV–XV w.*, Warszawa 1968.
- Grażawski K., *Życie codzienne na ziemi chełmińskiej i dobrzyńskiej w średniowieczu*, Włocławek 2003.
- Jasienica P., *Polska Jagiellonów*, Warszawa 1988.
- Jelicz A., *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie (wiek XIII–XV)*, Warszawa 1966.
- Józwiak S., *Na tropie średniowiecznych szpiegów*, Inowrocław 2005.
- Józwiak S., *Wywiad i kontrwywiad w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach*, Malbork 2004.
- Józwiak S., Kwiatkowski K., Szweda A., Szybkowski S., *Wojna Polski i Litwy z zakonem krzyżackim w latach 1409–1411*, Malbork 2010.
- Józwiak S., Trupinda J., *Organizacja życia na zamku krzyżackim w Malborku w czasach wielkich mistrzów (1309–1457)*, Malbork 2011.
- Jučas M., *Grunwald 1410*, Kraków 2010.
- Kiersnowski R., *Życie codzienne na Śląsku w wiekach średnich*, Warszawa 1977.
- Klein A., Sekunda N., Czernielewski K.A., *Chorągwie polskie pod Grunwaldem*, Łódź 2000.
- Klein A., Nowakowski P., *Chorągwie krzyżackie pod Grunwaldem*, Łódź 2000.
- Koczerska M., *Rodzina szlachecka w Polsce późnego średniowiecza*, Warszawa 1975.
- Kręt H., *Życie codzienne Jadwigi i Jagiełły*, Kraków 2005.
- Krzyżaniakowa J., Ochmański J., *Władysław II Jagiełło*, Wrocław 2006.
- Kuczyński S.M., *Wielka wojna z zakonem krzyżackim w latach 1409–1411*, Warszawa 1987.
- Kurtyka J., *Tęczyńscy. Studium z dziejów polskiej elity możnowładczej w średniowieczu*, Kraków 1997.
- Kutrzeba S., *Finanse i handel średniowiecznego Krakowa*, Kraków 2009.
- Łowmiański H., *Polityka Jagiellonów*, Poznań 2006.
- Małowist M., *Wschód a Zachód Europy w XIII–XVI wieku*, Warszawa 2006.
- Mastykarz K., *Czas wolny i rozrywka w Toruniu, Chełmnie, Grudziądzu i Brodnicy*

w XIV–XVI wieku, Toruń 2010.

Możejko B., Szybkowski S., Śliwiński B., *Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima*, Gdańsk 2003.

Nadolski A., *Grunwald 1410*, Warszawa 2008.

Nadolski A., *Grunwald. Problemy wybrane*, Łódź 2010.

Ochmański J., *Historia Litwy*, Wrocław 1982.

Piwowarczyk D., *Obyczaj rycerski w Polsce późnośredniowiecznej (XIV–XV wiek)*, Warszawa 2006.

Piwowarczyk D., *Poczet rycerzy polskich XIV i XV wieku*, Warszawa 2008.

Radoch M., *Walki Zakonu Krzyżackiego o Żmudź od połowy XIII wieku do 1411 roku*, Olsztyn 2011.

Samsonowicz A., *Łowiectwo w Polsce Piastów i Jagiellonów*, Warszawa 2011.

Samsonowicz H., *Złota jesień polskiego średniowiecza*, Poznań 2001.

Sroka S.A., *Polacy na Węgrzech za panowania Zygmunta Luksemburskiego 1387–1437*, Kraków 2001.

Szajnocha K., *Jadwiga i Jagiełło*, Warszawa 1969.

Szweda A., *Organizacja i technika dyplomacji polskiej w stosunkach z zakonem krzyżackim w Prusach w latach 1386–1454*, Toruń 2009.

Urban W., *Średniowieczni najemnicy*, Warszawa 2008.

Wyrozumski J. (red.), *Dzieje Krakowa*, Kraków 1992.

Wyrozumski J., *Kraków do schyłku wieków średnich* [w:] *Dzieje Krakowa*, t. 1, Kraków 1992.

Zaremska H., *Żydzi w średniowiecznej Polsce. Gmina krakowska*, Warszawa 2011.

Fot. Forever Young Books



SZYMON JĘDRUSIAK

Pochodzi ze Śląska, od ćwierćwiecza mieszka z rodziną w Krakowie. W młodości wiele podróżował; w Meksyku spędził dwa lata. Po powrocie studiował iberystykę. Jeszcze w trakcie studiów zajął się tłumaczeniami. Przełożył m.in. *Historię Hiszpanii*, dzieło hiszpańskich historyków, *Proste pytania* F. Savatera oraz *Kościół i naukę* J.M. Riazy Moralesa.

Od lat działa w branży wydawniczej, obecnie jest właścicielem wydawnictwa publikującego książki edukacyjne.

Jego drugą obok lingwistyki pasją jest historia. Jako pisarz postawił sobie wysoko poprzeczkę. Zaczął od powieści o losach polskiego bohatera czasów średniowiecza. Barwną i mało znaną historię Zawiszy Czarnego poznajemy na tle dziejów całego kontynentu.

ZAWISZA CZARNY

WIELKA WOJNA

Fascynująca opowieść o najsłynniejszym polskim rycerzu

*J*akim człowiekiem był legendarny Zawisza herbu Sulima? Czy rzeczywiście ucieleśniał wszelkie cnoty? Kto przesądził o grunwaldzkiej wiktorii – waleczne rycerstwo czy dyplomaci i tajni agenci na usługach Korony?

Na te pytania odpowiada Szymon Jędrusiak w porywającej trylogii o średniowiecznej Polsce, Europie oraz brutalnej polityce pełnej intryg i zaskakujących rozgrywek dyplomatycznych.

Pod koniec roku 1408 nikt nie ma wątpliwości, że wybuch wielkiej wojny jest nieuchronny. Nowy mistrz zakonu Ulryk von Jungingen dąży do zbrojnej konfrontacji, chcąc rzucić na kolana Polskę i Litwę.

Zawisza Czarny robi wszystko, by powstrzymać wybuch buntu na Litwie przeciwko Witoldowi i zapobiec porozumieniu Krzyżaków z Zygmuntem Luksemburskim. 15 lipca 1410 roku pod Grunwaldem staje do walki pod wielką chorągwią ziemi krakowskiej.

Fabularny rozmach i solidna dawka historii, której nie znajdziesz w podręcznikach. Gotowy scenariusz na superprodukcję



FANBOOK



www.bukowylas.pl

Polub nas na Facebooku



Wyłączny dystrybutor



